

Stirling Joss

Benedicts 01

Kim jesteś, Sky



Samochód odjechał, zostawiwszy dziewczynkę na poboczu. Mała usiadła na ziemi, drżąc z zimna w cienkiej bawełnianej koszulce i szortach, i objęła rękoma kolana. Wiatr targał jej delikatnymi włosami, jasnymi jak kula dmuchawca.

Bądź cicho, wariatko, bo wrócimy i zrobimy z tobą porządek - powiedzieli.

Nie chciała, żeby po nią wracali. Była tego pewna, chociaż poza tym nie była pewna nawet swojego imienia ani miejsca zamieszkania.

Minęła ją jakaś rodzina w drodze do swojego samochodu. Matka miała apaszkę na głowie i niosła na rękach niemowlę, a ojciec prowadził drugie dziecko za rękę. Dziewczynka wpatrywała się w wytarty trawnik i liczyła stokrotki. *Jak to jest - zastanawiała się - być niesionym?* Tak dużo czasu minęło, odkąd ktoś ją przytulał, że trudno jej było na to patrzeć. Zdawało jej się, że wokół rodziny dostrzega złoty blask - kolor miłości. Nie ufała tej barwie; powodowała tylko rany.

I wtedy kobieta ją zauważyła. Dziewczynka mocniej objęła kolana, próbując zrobić się tak malutka, żeby nikt jej nie dostrzegł. Bezskutecznie. Kobieta powiedziała coś do męża, przekazała mu niemowlę i podeszła bliżej, aż przykucnęła obok dziewczynki.

- Zgubiłaś się, skarbie?

Bądź cicho, bo wrócimy i zrobimy z tobą porządek.
Dziewczynka pokręciła głową.

- Twoi rodzice weszli do środka? - Kobieta zmarszczyła brwi. Jej twarz lekko poczerwieniała, jakby ze złości.

Dziewczynka nie była pewna, czy powinna skinąć głową. Mama i tata odeszli, ale to było dawno temu. Nigdy nie przyjechali po nią do szpitala, ale zostali razem, w ogniu. Zdecydowała, że nic nie powie. Twarz kobiety przybrała szkarłatny kolor. Dziewczynka skurczyła się ze strachu. Rozgniewała ją. A więc ci, którzy właśnie odjechali, mówili prawdę. Jest niedobra. Zawsze wszystkich unieszczęśliwia. Dziewczynka schowała głowę w ramionach. Może, jeśli będzie udawać, że jej tam nie ma, kobieta znowu poczuje się szczęśliwa i odejdzie. To czasem działało.

- Biedna mała - westchnęła kobieta i podniosła się. -Jamal, wróć, proszę, do środka i powiedz menedżerowi, że jest tu zgubione dziecko. Ja z nią zostanę.

Dziewczynka usłyszała, jak mężczyzna szepcze uspokajająco do dziecka, a potem ich kroki, kiedy wracali w stronę restauracji.

- Nie martw się, jestem pewna, że twoja rodzina będzie cię szukać. - Kobieta usiadła przy niej, rozgniatając piątą i szóstą stokrotkę.

Dziewczynka zaczęła gwałtownie dygotać i kręcić głową. Nie chciała, by jej szukali - ani teraz, ani nigdy.

- Wszystko jest w porządku. Naprawdę. Wiem, że musisz być przestraszona, ale za chwilę będziecie już razem.

Dziewczynka krzyknęła, po czym raptownie zakryła dłonią usta. *Me powinnam wydawać dźwięków, nie powinnam robić zamieszania. Jestem niedobra. Niedobra.*

Ale to nie ona tak hałasowała. To nie jej wina. Teraz było wokół niej mnóstwo ludzi. Policja w żółtych kurtkach, jak te, które otaczały jej dom tamtego dnia. Głosy, które coś do niej mówiły. Pytały, jak ma na imię.

Ale to była tajemnica, a ona już dawno zapomniała odpowiedzi.

Samochód zatrzymał się, silnik ucichł, a ja zbudziłam się ze znanego mi koszmaru. Z głową wciśniętą w poduszkę, walcząc z sennością, przez dobrą chwilę próbowałam przypomnieć sobie, gdzie jestem. Nie na tej stacji przy autostradzie, ale w Kolorado z moimi rodzicami. Szłam przed siebie. I wprowadzałam się do nowego domu.

- No i jak? - Simon, jak wolał być nazywany mój tata, wysiadł ze zdezelowanego starego forda, którego kupił w Denver, i teatralnie wskazał ręką w kierunku domu. Chciał pochwalić się naszym nowym domem z takim entuzjazmem, że jego długie, poprzetykane siwizną brązowe włosy aż wyślizgnęły się z kucyka. Dom miał spiczasty dach, rusztowanie na ścianach i brudne okna - nie wyglądał obiecująco. Prawie spodziewałam się, że zza drzwi wejściowych wychynie rodzina Addamsów. Usiadłam i przetarłam oczy, próbując odpędzić strach, który opanowywał mnie po takich snach jak ten ostatni.

- Och, kochanie, jest cudowny! - Sally, moja mama, nie poddawała się zniechęceniu. Simon żartobliwie nazywał ją terierem szczęścia, bo chwyciła je zębami i nie chciała pu-

ścić. Sally wysiadła z samochodu. Poszłam za nią, niepewna, czy jestem pod wpływem jet lagu, czy po prostu senna. Do głowy przychodziły mi słowa takie jak „ponury”, „zrujnowany” i „zbutwiały”. Sally widziała to inaczej.

- Myślę, że będzie fantastycznie. Spójrzcie na te okiennice - muszą być oryginalne. A ten ganek! Zawsze uważałam, że dobrze bym wyglądała na ganku, siedząc w bujanym fotelu i patrząc na zachodzące słońce. - Jej brązowe oczy błyszczały wyczekująco, a brązowe, kręcone włosy podskakiwały, kiedy w podskokach wchodziła po schodach.

Mieszkałam z Simonem i Sally, odkąd skończyłam dziesięć lat, i już dawno zaakceptowałam fakt, że są prawdopodobnie stuknięci. Oboje żyli w swoim własnym świecie fantazji, w którym opuszczone domy były „oryginalne”, a pleśń „nastrojowa”. Inaczej niż Sally, zawsze uważałam się za osobę ultranowoczesną, lubiącą krzesła, które nie są rajem dla korników, i sypialnie, które zimą nie mają sopli po *wewnętrznej* stronie okien.

Ale zostawmy dom. Góry za nim były oszałamiające, a ich przyprószone śniegiem szczyty wznosiły się nieprawdopodobnie wysoko ku czystemu, jesiennemu niebu. Ciągnęły się wzdłuż horyzontu niczym fala pływowa zastygła w czasie, złapana w chwili, kiedy miała opaść w naszym kierunku. W świetle późnego popołudnia ich kamieniste zbocza przybrały różowawą barwę, ale tam, gdzie cień przykrywał połacie śniegu, ich kolor przechodził w szaroniebieski. Porastające je lasy były już poprzetykane złotem; obok ciemnych daglezji płonęły kępy osiki. Dostrzegłam kolejkę linową i przecinki, które wyznaczały szlaki narciarskie. Wyglądało na to, że wszystkie biegły prawie pionowo.

To musiały być te Góry Skaliste, o których czytałam, kiedy rodzice ogłosili, że przenosimy się z Richmond nad Tamizą w Anglii do Kolorado w Stanach Zjednoczonych. Zaproponowano im rok jako rezydującym artystom w nowym Centrum Sztuk w małym miasteczku o nazwie Wrickenridge. Miejscowy multimilioner i wielbiciel ich prac wbił sobie do głowy, że resort narciarski na zachód od Denver potrzebuje zastrzyku kultury - a moi rodzice, Sally i Simon, mieli go dostarczyć.

Kiedy oznajmili mi tę „dobrą wiadomość”, weszłam na stronę internetową miasteczka i dowiedziałam się, że Wrickenridge znane jest właściwie tylko z tego, iż zimą spada tu co roku ponad siedem metrów śniegu. Więc będzie można jeździć na nartach - ale mnie nigdy nie było stać na szkolną wycieczkę w Alpy, więc znajdę się pewnie milion lat za moimi rówieśnikami. Już wyobrażałam sobie swoje upokorzenie, kiedy w pierwszy weekend sezonu, przewracając się, będę zjeżdżała po oślej łączce, podczas gdy pozostali pomkną w dół czarnym szlakiem.

Ale rodzice pokochali pomysł malowania wśród szczytów Gór Skalistych, a ja nie miałam serca psuć im tej wielkiej przygody. Udawałam, że nie przeszkadza mi opuszczenie liceum w Richmond i wszystkich moich przyjaciół i zapisanie się do szkoły w Wrickenridge. Przez sześć lat, które upłynęły, odkąd adoptowali mnie Sally i Simon, zdążyłam znaleźć swoje miejsce w południowo-zachodnim Londynie; pokonałam swój strach i milczenie, przezwyciężyłam nieśmiałość i stworzyłam swój krąg, w którym czułam się lubiana. Gdzieś głęboko zatrzasnęłam dziwne fragmenty mojej osobowości - jak ten sen o czymś kolorowym, który kiedyś miewałam. Nie wypatrywałam już aury u napotykanym lu-

dzi, co robiłam jako dziecko, i ignorowałam ją, kiedy mimo wszystko traciłam nad sobą kontrolę. Zrobiłam z siebie normalną dziewczynę - w każdym razie prawie normalną. A teraz zostałam rzucona w nieznane. Widziałam mnóstwo filmów o amerykańskich szkołach i czułam się bardziej niż niepewnie na myśl o nowym miejscu mojej edukacji. Przecież przeciętne amerykańskie nastolatki na pewno czasem mają pryszcze i źle się ubierają? Nigdy nie będę do nich pasować, jeśli filmy okażą się prawdziwe.

- OK. - Simon wytarł ręce w nogawki wypłowiałych dżinsów - zwyczaj, przez który każda sztuka odzieży, jaką posiadał, była usmarowana farbą olejną. Tego dnia był ubrany w swoje zwykłe, artystycznie niechlujne ubranie, podczas gdy Sally całkiem elegancko prezentowała się w nowych spodniach i kurtce, które kupiła na podróż. Ja, w moich pomiętych lewisach, plasowałam się gdzieś pomiędzy nimi. - Chodźmy do środka. Pan Rodenheim powiedział, że wysłał do nas ekipę remontową. Obiecał, że zabiorą się do elewacji, jak tylko będą mogli.

A więc dlatego ten dom wyglądał jak nora.

Simon otworzył drzwi wejściowe. Zaskrzypiały, ale nie wypadły z zawiasów, co uznałam za nasze małe zwycięstwo. Malarze najwyraźniej niedawno wyszli, pozostawivszy nam w prezencie folię, drabiny i kubelki z farbą oraz połowicznie pomalowane ściany. Zajrzałam do pokoiów na górze i odkryłam jeden pomalowany na turkusowo z królewskim łóżkiem i widokiem na górskie szczyty. Musi być mój. Może nie będzie tak źle.

Zdrapałam paznokciem ślady farby ze starego lustra wiszącego nad komodą. Błada, poważna dziewczyna w lustrze zrobiła to samo i popatrzyła na mnie ciemnoniebie-

skimi oczami. W nikłym świetle jej owalna twarz, okolona niesfornymi, długimi blond lokami, wyglądała mizernie. Dziewczyna wydawała się krucha i samotna, jakby była więźniem pokoju po drugiej stronie lustra. Jak Alicja, która nigdy nie wróciła z tamtej strony zwierciadła.

Wzdrygnęłam się. Tamten sen wciąż mnie prześladował i ciągnął w przeszłość. Muszę powstrzymać te myśli. Ludzie - nauczyciele, przyjaciele, właściwie wszyscy - mówili mi, że łatwo odpływam w melancholijne sny na jawie. Ale nie rozumieli, że czułam... sama nie wiem... jakby czegoś mi brakowało. Byłam tajemnicą dla siebie samej - kłębkim fragmentarycznych wspomnień i niezbadanych, mrocznych zakamarków. Moja głowa była pełna sekretów, ale ja zgubiłam mapę, która pokazałaby mi, gdzie je znaleźć.

Odsunęłam rękę od chłodnej tafli, odwróciłam się od lustra i zesłam na dół. Moi rodzice stali w kuchni, przytuleni do siebie, jak zwykle. Dopełniali się nawzajem tak idealnie, że często zastanawiałam się, jak znajdują jeszcze miejsce dla mnie.

Sally obejmowała Simona w pasie i położyła głowę na jego ramieniu.

- Nie jest źle. Pamiętasz nasze pierwsze mieszkanie w Earls Court, kochanie?

-Tak. Ściany były szare, a kiedy pod domem przejeżdżało metro, wszystko się trzęsło. - Pocałował jej krótkie, brązowe włosy. - Ten dom to pałac.

Sally wyciągnęła rękę, żebym razem z nimi mogła przeżyć tę chwilę. Przez ostatnie lata nauczyłam się nie reagować nieufnością na ich przyjazne gesty, więc podałam jej swoją dłoń. Sally ścisnęła ją w milczeniu, pokazując, że docenia, ile mnie kosztowało, by się przed tym nie cofnąć.

- Jestem taka podekscytowana! Czuję się jak w Boże Narodzenie.

Sally uwielbiała zwyczaj chowania prezentów w skarpetach. Uśmiechnęłam się.

- Nigdy bym się nie domyśliła.

- Jest tam kto? - Rozległo się pukanie do drzwi i do środka dziarsko wmaszerowała starsza pani. Miała czarne, przyprószone siwizną włosy, ciemnobrązową skórę, kolczyki w kształcie trójkątów, które sięgały niemal kołnierzyka złotej marynarki. W rękach trzymała garnek z jakimś daniem, ale poradziła sobie z zamkniętymi drzwiami jednym kopnięciem. - Tu jesteście. Widziałam, jak przyjechaliście. Witamy w Wrickenridge.

Sally i Simon wymienili rozbawione spojrzenia, a tymczasem kobieta, czując się wyraźnie jak u siebie w domu, położyła danie na stoliku w holu.

- Nazywam się May Hoffman, jestem sąsiadką z naprzeciwka. A wy jesteście tymi Brightami z Anglii.

Wydawało się, że pani Hoffman nie oczekuje od nikogo uczestnictwa w rozmowie. Jej energia była przerażająca; złapałam się na tym, że żałuję, iż nie jestem żółwiem i nie mogę się przed nią schować do swojej skorupy.

- Wasza córka nie jest podobna do żadnego z was, co? - Pani Hoffman przesunęła na bok wiaderko z farbą. - Zobaczyłam, jak parkujecie. Czy wiecie, że z waszego samochodu cieknie olej? Będziecie chcieli to naprawić. Kingsley w warsztacie zrobi to dla was, jeśli powiecie, że wam go poleciłam. Da wam uczciwą cenę, ale uważajcie, żeby nie policzył sobie za czyszczenie - to powinno być bezpłatne.

Sally skrzywiła się do mnie przepaszająco.

- To bardzo miło z pani strony, pani Hoffman. Zamachała ręką.

- Wszyscy tutaj staramy się być dobrymi sąsiadami. Musimy - poczekajcie, aż przeżyjecie jedną z naszych zim, to zrozumiecie.

- Skierowała swoją uwagę na mnie i zmrużyła oczy. - Jesteś zapisana do jedenastej klasy w liceum?

- Tak... yyy... pani Hoffman - wymamrotałam.

- Semestr zaczął się dwa dni temu, ale spodziewam się, że o tym wiesz. Mój wnuk też jest juniorem. Powiem mu, żeby się tobą zaopiekował.

Przed oczyma pojawiła mi się koszmarna wizja męskiej wersji pani Hoffman oprowadzającej mnie po szkole.

- Jestem pewna, że to nie bę... Przerwała mi i wskazała na garnek.

- Pomyślałam, że przyda wam się domowe jedzenie na początek korzystania z waszej nowej kuchni. - Pociągnęła nosem.

- Widzę, że pan Rodenheim wreszcie zabrał się do odnawiania tego miejsca. Czas najwyższy. Mówiłam mu, że ten dom jest hańbą dla okolicy. A teraz odpocznijcie sobie, dobrze? Odwiedzę was, jak się urządzicie.

Zniknęła, zanim zdążyliśmy jej podziękować.

- No cóż - powiedział Simon. - To było interesujące.

- Bardzo proszę, napraw jutro ten ciekący olej - powiedziała Sally błagalno-żartobliwym tonem, przyciskając ręce do piersi. - Nie chcę tu być, jeśli pani Hoffman dowie się, że nie posłuchałeś jej rady - a ona na pewno tu wróci.

- Jak grypa - zgodził się.

- Ona nie jest... no... bardzo brytyjska, prawda? - spytałam.

Roześmialiśmy się wszyscy - i był to najlepszy chrzest, jaki ten dom mógł otrzymać.

Tego wieczoru rozpakowałam walizkę do starej komody, którą Sally pomogła mi wyłożyć papierem. Wciąż czuć ją było stęchlizną, a szuflady się zacinały, ale podobał mi się jej wyblakły biały kolor. Sally nazwała go udreńczonym. Wiedziałam, jakie to uczucie, bo spędziłam wiele lat na tym końcu wachlarza emocjonalnego.

Przyłapałam się na myśli o pani Hoffman i tym dziwnym miasteczku, do którego przyjechaliśmy. Było takie inne, obce. Na tej wysokości zaczynało nawet brakować powietrza i czułam, że zbliża się ból głowy. Góry za oknem, obramione gałęziami rosnącej tuż przy domu jabłoni, przypominały ciemne sylwetki na tle ciemnoszarego, nocnego nieba, które zasnuwały chmury. Szczyty górowały nad miastem niczym sędziowie, przypominając nam ludziom, jak niewiele znaczące i krótkie jest nasze życie.

Spędziłam dużo czasu, decydując, co założę pierwszego dnia w szkole. W końcu wybrałam parę dżinsów i koszulkę z GAP. Wystarczająco anonimowy zestaw, żebym nie odstawała od pozostałych uczniów. Po namyśle wyciągnęłam dopasowany sweterek z flagą Wielkiej Brytanii wyszytą z przodu złotą nicią. Potrafię zaakceptować to, kim jestem.

To było coś, czego nauczyli mnie Sally i Simon. Wiedzieli, że trudno mi przypomnieć sobie przeszłość, i nigdy mnie do tego nie zmuszali, mówiąc, że przypomnę sobie, jeśli będę na to gotowa. Wystarczało im, że teraz jestem tym, kim jestem; nie musiałam przeproszać ich za to, że jestem niekompletna. To wszystko nie przeszkadzało mi jednak czuć przerażenia na myśl o nieznanym, jakim był jutrzejszy dzień.

Czułam się trochę tchórzem, ale przyjąłam propozycję Sally, że potowarzyszy mi w zapisywaniu się na zajęcia w szkolnym sekretariacie. Liceum Wrickenridge znajdowało się około jednej mili w dół od naszego domu, niedaleko 1-70, głównej drogi łączącej miasto z pozostałymi ośrodkami narciarskimi w okolicy. Budynek eksponował dumę z celu, któremu służył: nazwa szkoły była wyryta w kamieniu nad podwójnej wysokości drzwiami wejściowymi, teren szkoły porządnie utrzymany. Hol obwieszony był tablicami ogłoszeniowymi reklamującymi szeroką ofertę zajęć otwartych - a może wręcz obowiązkowych - dla uczniów. Pomyślałam o college'u, do którego chodziłabym w Anglii. Ukryty za centrum handlowym między mieszaniną budynków z lat sześćdziesiątych i baraków, był anonimowy - nie było to miejsce, do którego się należy, ale raczej takie, przez które się przechodzi. Miałam przecucie, że przynależność stanowiła istotną część nauki w Wrickenridge. Nie byłam pewna, jak się z tym czułam. Spodziewałam się, że nie będzie mi to przeszkadzać, jeśli uda mi się tu odnaleźć, ale zacznij, jeśli obleję test z wtapienia się w nowe środowisko.

Sally wiedziała, że jestem niespokojna, ale postanowiła zachowywać się, jakbym miała zostać najlepszą uczennicą w historii tej szkoły.

- Zobacz, mają kółko artystyczne - stwierdziła radośnie. - Mogłabyś spróbować garncarstwa.

- Jestem w tym beznadziejna. Zagryzła wargi, bo wiedziała, że to prawda.

- To może kółko muzyczne. Widzę, że mają tu orkiestrę. Och, popatrz, cheerliderki! To mogłoby być zabawne.

- Tak, jasne.

- Wyglądałabyś uroczo w takim stroju.
 - Jestem prawie o stopę za niska - odpowiedziałam, patrząc na fotografię składającego się z długonogich dziewczyn zespołu.
 - „Kieszonkowa Wenus”, oto kim jesteś. Chciałabym mieć twoją figurę.
 - Sally, możesz nie robić mi wstydu? - Czemu w ogóle się z nią kłóciłam? Nie miałam zamiaru zostać cheerliderką, nawet jeśli wzrost nie byłby problemem.
 - Koszykówka - ciągnęła Sally. Przewróciłam oczami.
 - Taniec.
- Teraz chyba żartuje.
- Kółko matematyczne.
 - Musiałabyś mnie ogłuszyć, żeby mnie tam zaciągnąć
 - wymamrotałam, czym doprowadziłam ją do śmiechu.
- Ścisnęła mnie za rękę.
- Znajdziesz swoje miejsce. Pamiętaj, jesteś wyjątkowa.
- Weszliśmy do sekretariatu. Recepcjonista stał za wysokim kontuarem. Na łańcuszku na szyi przymocowane miał okulary; odbijały się od jego różowego swetra, kiedy wrzucał listy do skrzynek nauczycieli, sącząc jednocześnie kawę z papierowego kubka.
- Ach, ty musisz być tą nową dziewczyną z Anglii! Zapraszam, zapraszam. - Skinął na nas i uścisnął rękę Sally.
 - Pani Bright, jestem Joe Delaney. Prosiłbym o podpisanie paru formularzy. Masz na imię Sky, prawda?
- Skinęłam głową.
- Uczniowie mówią do mnie „panie Joe”. Mam dla ciebie pakiet powitalny. - Podał mi go. Zauważyłam, że mam już uczniowską kartę magnetyczną ze zdjęciem. Było takie

samo jak to w paszporcie, na którym wyglądałam jak królik w świetle reflektorów. Super. Przewiesiłam łańcuszek z identyfikatorem przez głowę i schowałam kartę tak, żeby nikt jej nie widział.

Pan Joe pochylił się ku mnie poufale, owiewając mnie zapachem kwiatowej wody po goleniu.

- Zakładam, że nie wiesz, jak działa nasz system?

- Nie wiem - przyznałam.

Pan Joe spędził następne dziesięć minut, cierpliwie wyjaśniając mi, na jakie zajęcia mogę chodzić i jakie stopnie muszę otrzymać, żeby ukończyć rok.

- Przygotowaliśmy ci plan zajęć na podstawie wyborów, których dokonałaś, kiedy wypełniałaś aplikację, ale pamiętaj, nic nie jest ostateczne. Jeśli chcesz coś zmienić, daj mi znać. - Zerknął na zegarek. - Opuściłaś sprawdzanie listy, więc zaprowadzę cię prosto na pierwsze zajęcia.

Sally dała mi buziaka i życzyła powodzenia. Od tej chwili musiałam radzić sobie sama.

Pan Joe zmarszczył brwi na widok tłumu spóźnialskich wpisujących spóźnienia do specjalnego zeszytu. Rozpędził ich, jak pies pasterski stado opornych owiec, po czym poprowadził mnie w stronę korytarza, w którym odbywały się zajęcia z historii.

- Sky, to ładne imię.

Nie chciałam mu mówić, że wybraliśmy je razem z rodzicami zaledwie sześć lat temu, kiedy mnie adoptowali. Kiedy mnie znaleziono, nie byłam w stanie podać nikomu mojego prawdziwego imienia i nie mówiłam nic przez kilka lat, więc pomoc społeczna nazwała mnie Janet - „po prostu Janet”, jak żartował jeden z moich przyrodnych braci. To sprawiło, że znienawidziłam to imię jeszcze bar-

dziej. Nowe miało pomóc mi zacząć nowe życie z Brightami; Janet zostało relegowane do roli drugiego imienia.

- Podobało się moim rodzicom. A ja byłam za mała, żeby przewidzieć, w jakie zakłopotanie będzie mnie wpędzać, zestawione z moim nazwiskiem. Sky Bright - Niebo Jasne.

- Jest urocze, oryginalne.

- Mhm, tak. - Serce biło mi jak młot, dłonie miałam spocone. Nie mogę wszystkiego popsuć. Nie wolno mi wszystkiego popsuć.

Pan Joe otworzył drzwi.

- Panie Ozawa, nowa uczennica.

Japońsko-amerykański nauczyciel spojrzał na mnie znad ekranu laptopa, z którego przeglądał jakieś notatki na interaktywnej białej tablicy. Dwadzieścia głów odwróciło się w moją stronę.

Pan Ozawa zmierzył mnie spojrzeniem znad okularów. Proste, czarne włosy opadały mu na jedno szkło. Jak na starszego mężczyznę, był nawet przystojny.

- Sky Bright?

Przez klasę przeszedł chichot, ale to nie moja wina, że moi rodzice nie ostrzegli mnie, kiedy wybieraliśmy dla mnie imię. Jak zwykle bujali w obłokach, zamiast pomyśleć o czekających mnie w szkole męczarniach.

- Tak, proszę pana.

- Może nas pan zostawić, Joe.

Recepcjonista dotknął mnie, zachęcając, bym weszła do środka, i odszedł.

- Uśmiechnij się, Sky.

Na pewno, kiedy jedyne, na co mam ochotę, to zanurkować pod najbliższą ławkę.

Pan Ozawa kliknął na następny slajd, zatytułowany „Amerykańska wojna domowa”.

- Usiądź, gdzie masz ochotę.

Widziałam tylko jedno wolne miejsce, obok dziewczyny o karmelowej skórze i pomalowanych na czerwono, biało i niebiesko paznokciach. Miała fantastyczne włosy - burzę rudobrazowych dredów sięgających jej za ramiona. Uśmiechnęłam się do niej neutralnie i usiadłam obok. Skinęła głową i zabębniła paznokciami w ławkę, podczas gdy pan Ozawa rozdawał kartki z zagadnieniami. Kiedy się odwrócił, dziewczyna wyciągnęła rękę, ale raczej musnęła moją dłoń, niż ją uścisnęła.

- Tina Monterey.

- Sky Bright.

- Tak, słyszałam.

Pan Ozawa klasnął w ręce, prosząc o uwagę.

- OK, moi drodzy, jesteście tymi szczęściarzami, którzy zdecydowali się uczyć historii Ameryki w dziewiętnastym wieku. Niestety, po dziesięciu latach uczenia jedenasto-klasistów nie mam żadnych złudzeń. Spodziewam się, że w ciągu wakacji cała wiedza wyparowała z waszych mózgów. Zaczniemy zatem od czegoś łatwego. Kto mi powie, kiedy zaczęła się wojna domowa? I tak, chcę, żebyście podali właściwy miesiąc. - Jego oczy przesuwają się po klasie doświadczonych unikaczy, po czym zatrzymały się na mnie.

A niech to.

- Panno Bright?

Wszelka wiedza o historii amerykańskiej, jaką posiadałam, zniknęła jak Niewidzialny Człowiek, który sztuka po sztuce zdejmuje z siebie ubranie, aż zostaje biała plama.

- Yyy... mieliście wojnę domową?

Klasa jęknęła.

To chyba znaczyło, że powinnam była to wiedzieć.

Byłam wdzięczna Tinie, że mimo tego fatalnego początku nie zostawiła tej niemającej o niczym pojęcia Angielki w czasie przerwy i zaproponowała, że pokaże mi szkołę. Wiele rzeczy, które mówiłam, doprowadzało ją do śmiechu

- jak twierdziła, nie dlatego że były zabawne, ale dlatego że były takie angielskie.

- Twój akcent jest bezbłędny. Brzmisz jak taka aktorka

- no wiesz, ta z filmów o piratach.

Naprawdę brzmiałam tak dystyngowanie? Ciekawe. Zawsze myślałam, że mówię bardziej jak mieszkanka Londynu.

- Jesteś spokrewniona z królową? - przekomarzała się ze mną Tina.

- Tak, jesteśmy spokrewnione przez naszą prababcie
-odparłam poważnie.

Tina otworzyła szeroko oczy.

- Żartujesz!

- Właściwie to tak - żartuję, oczywiście. Roześmiała się i pacnęła się tęczką w czoło.

- Przez chwilę dałam się nabrać; zaczynałam się martwić, że będę musiała przed tobą dygać.

- Nie krępuj się.

Poszliśmy do bufetu po lunch i zaniósłszy nasze tace do stołówek. Jedna ze ścian składała się wyłącznie z okien, które wychodziły na błotniste boiska i lasy za nimi. Na niebie świeciło słońce, nadając szczytom barwę połyskującej bieli. Niektórzy uczniowie jedli na zewnątrz, gromadząc się w grupkach zorganizowanych mniej więcej na podstawie stylu ubierania się. Do szkoły chodziły cztery roczniki, od czternastego do osiemnastego roku życia.

Ja byłam w klasie jedenastej, tak zwanej klasie „juniorów”. Wyżej była klasa seniorów, którzy w tym roku mieli zdawać maturę.

Trzymaną w ręku puszką wody z bąbelkami wskazałam na stojących na zewnątrz.

- Powiedz mi, Tina, kto jest kim?

- Chodzi ci o grupy? - Roześmiała się. - Wiesz, Sky, czasem myślę, że wszyscy jesteśmy ofiarami stereotypów, bo dostosowujemy się do nich, chociaż przykro mi to mówić. Kiedy starasz się być inna, tylko kończysz w grupie buntowników, z których każdy robi to samo. To jest właśnie liceum.

Grupa brzmiała dobrze - była czymś, za czym mogłam się schować.

- Tam, skąd przyjechałam, było chyba podobnie. Niech zgadnę, ci tutaj to sportowcy? - Występowali w każdym filmie, który widziałam, od *Grease* po *High School Musical*, i łatwo było ich zauważyć, bo przebrali się, żeby poćwiczyć w czasie przerwy.

- Tak - maniacy sportowi. Przeważnie są w porządku -niestety, nie ma wielu wysportowanych facetów z sześciopakiem. Większość to spocone nastolatki. Gramy tu głównie w baseball, koszykówkę, hokeja, piłkę nożną kobiet i futbol.

- Futbol amerykański - to trochę jak rugby, prawda? Poza tym, że zawodnicy noszą więcej ochraniaczy?

-Tak? - Wzruszyła ramionami. Domyśliłam się, że sama nie przepada za sportem. - A ty w co grasz?

- Trochę biegam i grywam w tenisa, ale to wszystko.

- To mogę znieść. Ci sportowcy potrafią być tacy nudni, wiesz? To jednotorowe umysły - i nie myślą wcale o dziewczynach.

Minęło nas trzech uczniów rozmawiających o gigabajtach z minami tak poważnymi, jakby chodziło co najmniej o negocjacje pokojowe na Bliskim Wschodzie. Jeden z nich wymachiwał pendrivem na łańcuszku.

- To są geecy - mądrale, które muszą pokazywać innym, jak dużo wiedzą. To prawie to samo, co nerdzi, ale z większym udziałem technologii.

Roześmiałam się.

- Żeby być sprawiedliwym, mamy innych zdolnych uczniów - są mądrzy, ale się tym nie chwala. I raczej me trzymają się w grupach, jak geecy i nerdzi.

- Ho, ho! Nie jestem pewna, czy będę pasować do którejś z tych grup. .

- Ja też nie: nie jestem głupia, ale nie jestem materiałem do Ligi Bluszczowej. Są jeszcze artyści - muzycy i aktorzy. Właściwie do nich pasuję, bo lubię sztukę i design.

- W takim razie powinnaś poznać moich rodziców. Podekscytowana szybko zabębniła paznokciami po puszcze.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś z *tej* rodziny, która przyjechała do Centrum Sztuk pana Rodenheima?

- Tak.

- Super. Bardzo bym chciała ich poznać.

Minęła nas grupa chłopaków w spodniach, które zwisały im z pupy jak wspinacze bez liny czepiający się przewieszki.

- To są skaterzy - prychnęła Tina. - Nic nie trzeba dodawać. Ach, zapomniałabym o łobuzach - nie spotkasz ich tutaj między mięczakami, są na to za wspaniali. Pewnie są w tejchwili na parkingu, otoczeni wianuszkami dziewczyn, i porównują, czy ja wiem, gaźniki. Oczywiście, jeśli nie są

zawieszeni w prawach ucznia. Kogoś pominęłam? Mamy też kilku niedopasowanych. - Wskazała małą grupkę przy kontuarze. - I mamy nasze własne bractwo narciarskie, specjalność Gór Skalistych. Moim zdaniem są tam najprzystojniejsi chłopcy w mieście. - Musiała dojrzeć zmartwienie na mojej twarzy, bo szybko zaczęła mnie pocieszać. - Możesz być w więcej niż jednej grupie - narciarzy i sportowców, grać i dostawać najlepsze stopnie. Nikt nie musi zajmować się tylko jedną rzeczą. Poza outsiderami.

Zerknęłam na grupkę, na którą wskazała. Tak naprawdę nie byli prawdziwą grupą, bardziej zbiorom dziwaków, którzy nie mieli obok kogo usiąść. Jedna dziewczyna mamrotała coś do siebie - a przynajmniej nie zauważyłam żadnego zestawu słuchawkowego przy jej telefonie. Ogarnęła mnie panika, że ja też znajdę się między nimi, kiedy Tina się mną znudzi. Zawsze czułam się trochę inna; niewiele było trzeba, by wepchnąć mnie do grupy prawdziwych dziwadeł.

- Tak, nie zwracaj na nich uwagi. Są w każdej szkole. -Otworzyła jogurt. - Nikt się tym nie przejmuje. A jak było w twojej poprzedniej szkole? Chodziłaś do Hogwartu? Z bogatymi dziećmiakami w czarnych sukniach?

- Yyy... nie. - Zakrztusiłam się ze śmiechu. Gdyby Tina zobaczyła mnie w czasie lunchu w mojej państwowej szkole średniej, nie pomyślałaby o Hogwarcie, ale o zoo: dwa tysiące uczniów w ciągu czterdziestu pięciu minut starało się wepchnąć do zatłoczonej jadalni. - Wyglądała podobnie do waszej.

- To świetnie. Więc szybko poczujesz się jak w domu. Miałam wiele doświadczenia w byciu nową, zanim zaadoptowali mnie Sally i Simon. Przedtem byłam przeno-

szona z domu do domu, jak list przechodni, którego nikt nie chce zatrzymać. Teraz znów stałam się obca. Miałam wrażenie, że bardzo rzucałam się w oczy, kiedy tak chodziłam korytarzami z mapą w ręku, nie rozumiejąc nic z tego, jak funkcjonuje ta szkoła, chociaż prawdopodobnie tylko ja się tym przejmowałam. Pozostali uczniowie prawdopodobnie wcale mnie nie dostrzegali. Klasy i nauczyciele stali się punktami orientacyjnymi; Tina czymś w rodzaju skały, na którą mogłam wrócić, kiedy od czasu do czasu wymywało mnie w jej okolicy. Starłam się jednak z tym nie zdradzać, żeby nie zniechęcić jej do zaprzyjaźnienia się ze mną w obawie, że ją przytłoczę. Spędzałam całe godziny, nie odzywając się do nikogo, i musiałam zmuszać się, żeby ignorować swoją nieśmiałość i rozmawiać z innymi uczniami. Mimo to miałam wrażenie, że pojawiłam się tam zbyt późno; uczniowie z Wrickenridge mieli mnóstwo czasu, by stworzyć grupy i poznać się wzajemnie. Ja tylko stałam na zewnątrz i zaglądałam do środka.

Kiedy pierwszy dzień w szkole zbliżał się do końca, zastanawiałam się, czy już zawsze będę skazana na uczucie, że życie jest dla mnie niewyraźnym cieniem, jak film na złej, pirackiej kopii. Zniechęcona i trochę smutna skierowałam się do drzwi wyjściowych, chcąc iść do domu. Przepychając się przez tłum wylewający się z budynku, dostrzegłam tych łobuzów, o których Tina wspomniała przy lunchu. W świetle słońca na parkingu samochodowym wcale nie wyglądali na rozmytych, ale z pewnością na takich na bakier z prawem. Było ich pięciu; opierali się niedbale o swoje motocykle: dwóch Afroamerykanów, dwóch białych chłopaków i jeden ciemnowłosy Latynos. Niezależnie od czasu i miejsca, natychmiast daliby się

zidentyfikować jako zwiastujący kłopoty. Mieli podobny wyraz twarzy, rodzaj pogardy wobec świata edukacji reprezentowanego przez nas, dobrych uczniów, obowiązkowo opuszczających budynek szkoły o wyznaczonej godzinie. Większość uczniów omijała ich szerokim łukiem, jak statki unikające niebezpiecznej linii brzegowej. Pozostali rzucali im zazdrosne spojrzenia, jakby słyszeli syrenę i mieli pokusę, by podpłynąć zbyt blisko.

Część mnie chciała być taka jak oni - stać tam, pewna siebie, i pokazywać reszcie świata środkowy palec za to, że jest taki beznadziejny. Gdybym tylko miała długie nogi, cięty język i spojrzenie, które wbijałoby innych w ziemię! Ach, no tak, bycie chłopakiem pomagało: jako dziewczyna nigdy nie wyglądałabym tak jak oni, stojący w niedbałej pozie z rękami zaczepionymi o szlufki od spodni, kopiający grudki ziemi czubkami butów. Czy przychodziło im to naturalnie, czy raczej obliczali efekt i ćwiczyli wygląd przed lustrem? Szybko odsunęłam od siebie to podejrzenie - to było coś dla mięczaków takich jak ja; ich wyniosłość była z pewnością wrodzona. Szczególnie zafascynował mnie Latynos - jego oczy ukryte były w cieniu, kiedy tak stał, pochylony, z założonymi rękoma, opierając się o siodelko motocykla, jak król pośród swoich rycerzy. Na pewno nie musiał walczyć z przekonaniem, że czegoś mu brakuje.

Gdy na niego patrzyłam, wsiadł na swój motor i z rykiem uruchomił silnik, jakby budził ogromnego wierzchowca. Machnąwszy krótko swoim kolegom, wystrzelił z parkingu, rozpędzając gromadę uczniów. Wiele bym dała, żeby znaleźć się za nim na tym motorze, pozostawić szkołę za sobą, podczas gdy mój rycerz odwoziłby mnie do domu. Lepiej, być kierowcą, samotną, walczącą z niespra-

wiedliwością superbohaterką w obcisłym, skórzanym stroju, przed którą mdleliby mężczyźni.

Parsknęłam drwiącym śmiechem, płosząc zbłąkane myśli. *O czym ty myślisz!* - skarciłam swoją rozpędzoną wyobraźnię. Wojownicy i potwory, superbohaterowie? Chyba naczytałam się za dużo mangi. Ci chłopcy byli z innej gliny. Nawet nie spojrzeliby w moją stronę. Powinnam być wdzięczna, że nikt nie siedzi w mojej głowie i nie wie, jak bardzo mam wybujałą wyobraźnię. Czasami mój związek z rzeczywistością mógł wydawać się wąty, kiedy pozwalałam, żeby sny na jawie barwiły mój ogląd świata. Byłam zwykłą, nudną Sky; oni byli bogami; tak był urządzony świat.

Przez następnych kilka dni błądziłam po szkolnych korytarzach, stopniowo wypełniając białe punkty na mapie szkoły i ucząc się panujących tu zasad. Kiedy wdrożyłam się w tryb pracy, odkryłam, że radzę sobie na lekcjach, mimo iż sposób prowadzenia niektórych z nich był mi obcy. W Anglii było dużo bardziej formalnie - do uczniów nie zwracano się po imieniu, wszyscy siedzieliśmy w osobnych ławkach, a nie w parach - ale myślałam, że udało mi się tu odnaleźć. W ten sposób, w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa, zupełnie nie byłam przygotowana na gwałtowny szok, jaki zgotowała mi pierwsza lekcja wuefu.

Pani Green, nasza wredna nauczycielka wychowania fizycznego, obwieściła nam swoją niespodziankę w środę wczesnym rankiem. Powinni ogłosić jakąś ustawę, która zabraniałaby nauczycielom to robić - nie miałyśmy kiedy załatwić sobie zwolnienia.

- Moje panie, jak wiecie, sześć naszych najlepszych cheerliderek poszło do collegeu, więc poluję na nowe chętne.

Nie tylko ja wyglądałam na załamana.

- Dajcie spokój, to nie jest odpowiednia reakcja! Nasi zawodnicy potrzebują waszego wsparcia. Nie możemy pozwolić, żeby liceum Aspen tańczyło i kibicowało lepiej od nas, prawda?

Yes, we can, zaśpiewałam pod nosem, naśladując prezydenta Obamę.

Pani Green wcisnęła przycisk na pilocie i z głośników huknęła piosenka Taylor Swift *You belong with me*.

- Sheena, wiesz, co robić. Pokaż pozostałym kroki pierwszej sekwencji.

Tyczkowata dziewczyna o miodowych włosach z gracją antylopy wyskoczyła do przodu i zaczęła wykonywać układ, który wydał mi się diabelsko trudny.

- Widzicie, to proste - stwierdziła pani Green. - Ustawcie się w rzędach. - Ja schowałam się za plecami innych. - Ty tam - nowa. Nie widzę cię. - Dokładnie o to mi chodziło. - Przejdź do przodu. I od początku, raz, dwa, trzy, wymach.

OK, nie jestem całkowicie beznadziejna. Udało mi się nawet wykonać coś zbliżonego do ruchów Sheeny. Wskazówka na zegarze powoli przesuwiała się w kierunku końca lekcji.

- A teraz zatańczymy naprawdę - oznajmiła pani Green. Przynajmniej ona dobrze się bawiła. - Pompony w dłonie!

Nie ma mowy. Nie zamierzam potrząsać tymi idiotycznymi rzeczami. Zerknęłam ponad ramieniem pani Green i zobaczyłam, że część chłopców z mojej klasy skończyła już bieganie i śledziła nas przez okna stołówki przy sali gimnastycznej. Z ironicznymi uśmiezkami. Świetnie.

Pani Green zorientowała się, że pierwszy rząd patrzy na coś, co dzieje się za jej plecami, i zrozumiała, że mamy publiczność. Szybko niczym ninja rzuciła się na chłopców, za

nim zdążyli zorientować się, o co chodzi, i wciągnęła ich do środka.

- W Wrickenridge wierzymy w równość płci. - Radośnie wcisnęła im pompony do rąk. - Do szeregu, chłopcy.

Teraz my śmiałyśmy się, kiedy czerwoni jak buraki chłopcy zostali zmuszeni do przyłączenia się do tańca. Pani Green stała z przodu i oceniała nasze umiejętności - albo ich brak.

- Hmm, to nie to, to nie to. Myślę, że musimy poćwiczyć rzucanie. Neil - wskazała na barczystego chłopaka z ogoloną głową - byłeś w składzie w zeszłym roku, prawda? Wiesz, co robić.

Rzucanie wydało mi się OK. Podrzucanie pomponów było lepsze niż potrząsanie nimi.

Pani Green trąciła w ramię jeszcze trzech chłopaków.

- Panowie, stańcie z przodu we czwórkę. Zróbcie kołyskę z rąk - o, właśnie tak. Teraz potrzebna nam jest najmniejsza dziewczyna.

O, nie, nie. Cofnąłam się za Tinę, która lojalnie spróbowała mnie zasłonić, opierając ręce z pomponami na biodrach.

- Gdzie ona się podziała - ta mała Angielka? Jeszcze przed chwilą tu była.

Sheena popsuła mój plan ukrycia się.

- Jest za Tiną, psze pani.

- Chodź tu, złotko. To całkiem proste. Usiądź na ich rękach, a oni rzucą cię w powietrze i złapią. Tina i Sheena, przynieście materac, na wszelki wypadek. - Oczy musiałam mieć jak spodki, bo pani Green poklepała mnie po policzku. - Nie martw się, nie musisz nic robić, tylko wyciągnąć ręce i stopy i starać się wyglądać, jakbyś świetnie się bawiła.

Zmierzyłam chłopców nieufnym spojrzeniem; oni też mi się przyglądali, możliwe, że po raz pierwszy, oceniając, jak dużo ważę. Wreszcie Neil wzruszył ramionami, jakby podjął decyzję.

- Dobrze, zrobimy to.

- Na trzy! - krzyknęła nauczycielka.

Złapali mnie i poleciałam do góry. Mój wrzask prawdopodobnie dało się słyszeć aż w Anglii. Z pewnością to on sprowadził trenera koszykówki i pozostałych chłopców. Myśleli pewnie, że kogoś właśnie mordują.

Pani Green pewnie nie wybierze mnie do zespołu.

Wciąż w szoku, poszłam z Tiną na lunch, ale nie miałam apetytu. Mój żołądek jeszcze nie wrócił na ziemię.

- Rzucili tobą całkiem wysoko, prawda? - Tina trąciła mnie, żeby przerwać moje zamyślenie.

- O. Mój. Boże.

- Robisz dużo hałasu, jak na tak małą osobkę.

- Ty też byś narobiła, gdyby nauczyciel-sadyśta postanowił cię torturować.

Tina potrząsnęła grzywą.

- Nie będę mieć tego problemu. Jestem za duża. - Myślała, że to śmieszne, zdrajczyni. - Co zamierzasz zrobić z resztą przerwy, Sky?

Obudzona z mojego zamroczenia, wydobyłam z wręczonej mi na przywitanie teczki ulotkę i położyłam na stoliku.

- Myślałam, że pójdę na zajęcia muzyczne. Chcesz iść ze mną?

Odepchnęła ulotkę ze śmiechem.

- Przykro mi, idziesz sama. Każą mi się trzymać z daleka od sali od muzyki. Szkło tłucze się, kiedy widzi, że nadchodzę z otwartymi ustami. A ty na czym grasz?

- Gram na kilku instrumentach - przyznałam.
- Szczegóły, siostró, szczegóły - ponagliła mnie, kiwając dłonią.
- Na pianinie, gitarze i na saksofonie.
- Pan Keneally umrze z podniecenia, kiedy to usłyszy. Dziewczyna-orkiestra! Śpiewasz?

Pokręciłam głową.

- Uff! Musiałabym zniechęcić cię za bycie nieznośnie utalentowaną. - Odsunęła od siebie tacę. - Na muzykę tędy. Zaprowadzę cię.

Widziałam zdjęcia na stronie szkoły, ale wyposażenie sali od muzyki znacznie przekroczyło moje oczekiwania. W głównej sali stał błyszczący, czarny fortepian. Już świerzbiły mnie ręce, żeby go dotknąć. Uczniowie kręcili się po sali, kiedy weszłam; niektórzy brzdąkali na gitarach, a dwie dziewczyny ćwiczyły na fletach gamy. Wysoki, ciemnowłosy chłopak w lennonkach wymieniał stroik w klarncie z poważnym wyrazem twarzy. Poszukałam miejsca do siedzenia na uboczu, najlepiej z dobrym widokiem na fortepian. Było jedno miejsce obok dziewczyny na drugim końcu sali. Ruszyłam w jego kierunku, ale jej koleżanka usiadła na krześle, zanim tam dotarłam.

- Przykro mi, ale to miejsce jest zajęte - powiedziała dziewczyna, widząc, że wciąż nad nią stoję.

- Jasne. W porządku.

Przysiadłam samotnie na brzegu biurka i czekałam, unikając wzroku innych.

- Hej, ty jesteś Sky, prawda? - Chłopak z ogoloną głową, o cerze koloru palonej kawy wziął mnie za rękę i potrząsnął nią. Poruszał się z gracją właściwą osobom o długich nogach. Gdyby pojawił się w jednym z moich

komiksowych snów, nazywałyby się pewnie „Człowiek-Guma”.

Przestań, Sky, skup się.

- Yyy... Cześć. Znasz mnie?

- Tak. Jestem Nelson. Poznałaś moją babcię. Powiedziała mi, żebym się tobą zaopiekował. Dobrze cię tu traktują?

OK - więc jednak nie przypominał pani Hoffman, był super.

- Tak, wszyscy są bardzo mili.

Wyszczrzył zęby, słysząc mój akcent, i usiadł obok mnie, opierając stopy o krzesło przed nami.

- Super. Myślę, że bez problemu się tu odnajdziesz. Potrzebowałam to usłyszeć, bo akurat zaczynałam mieć co do tego wątpliwości. Stwierdziłam, że lubię Nelsona.

Drzwi otworzyły się z hukiem i wszedł pan Keneally, potężny mężczyzna z włosami rudymi jak u Celta. Szkicując w zeszycie, natychmiast przyznałam mu etykietkę: Władca Muzyki, Zwiastun Zagłady - dla wszelkiej dysharmonii. Zdecydowanie nie nadawał się na bohatera kreskówki w obcisłym ubranku.

- Panie i panowie - zaczął, nie przestając chodzić. -Święta zbliżają się jak zwykle z oszałamiającą szybkością, a my mamy bogaty program koncertów. Zatem możecie się nastawić, że damy z siebie wszystko. - Już słyszałam w głowie jego popisowy kawałek: mnóstwo bębnow, budowanie napięcia, rodzaj podrasowanej wersji uwertury *Rok 1812*. - Orkiestra zaczyna w środę. Zespół jazzowy w piątek. Wszystkie wschodzące gwiazdy rocka, jeśli chcą zarezerwować salę na swoje ćwiczenia, najpierw kontaktują się ze mną. Ale po co to mówię - znacie zasady. - Rzucił papie-

ry na stół. - Może poza tobą. - Władca Muzyki przeniósł swój przeszywający wzrok na mnie. Nienawidzę być nowa.

- Szybko się uczę, proszę pana.

- To dobrze. Nazywasz się?

Coraz bardziej nienawidząc dziwaczego wyboru moich rodziców, przedstawiłam się, wzbudzając zwyczajowe chichoty u tych, którzy mnie dotąd nie poznali.

Pan Keneally spojrzał na nich spod zmarszczonych brwi.

- Na czym pani gra, panno Bright?

- Trochę na pianinie. Och, i na gitarze, i saksofonie tenorowym.

Pan Keneally zahaścił się na czubkach palców - wyglądał jak nurek, który zamierza skoczyć na głębiny.

- Czy „trochę” to jakiś angielski kod, który znaczy „bardzo dobrze”?

-Yyy...

- Jazz, muzyka klasyczna, rock?

-Yyy... Jazz, tak myślę. - Zadowolilibym się czymkolwiek, tak długo jak było zapisane na pięciolinii.

- Jazz, tak myślę? Nie wydaje się pani pewna, panno Bright. Muzyka nie jest czymś, co można ot tak porzucić, muzyka to życie lub śmierć!

Jego przemowę przerwało wejście spóźnialskiego. Latynoski motocyklista tanecznym krokiem wszedł do sali z rękoma w kieszeniach. Długie nogi szybkim krokiem przemierzały podłogę, kiedy kierował się w stronę parapetu, by usiąść obok klarncisty. Przez chwilę byłam zaskoczona, że motocyklista naprawdę bierze udział w jakiejś szkolnej aktywności; wyobrażałam sobie, że jest ponad to. A może

przyszedł, żeby się z nas ponabijać? Opierał się o okno, jak wcześniej o siodełko motoru, nogi skrzyżował niedbale, a jego twarz miała wyraz rozbawiony, jakby wszystko to słyszał już wcześniej i jakby już go to nie obchodziło.

Zastanawiałam się, czemu nie ma takich chłopaków w Richmond. I nie chodziło o to, że wyglądał jak model z plakatu - emanowała z niego energia, która kumulowała się pod skórą, jakaś ledwo powstrzymywana wściekłość, niczym tygrys w klatce. Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku. Nie tylko na mnie wywarł takie wrażenie. Atmosfera w sali uległa zmianie. Dziewczęta usiadły bardziej prosto, chłopcy stali się niespokojni - wszystko dlatego, że to boskie stworzenie zaszczyliło nas, śmiertelników, swoją obecnością. A może to był wilk między owcami?

- Panie Benedict, jak miło, że pan do nas dołączył - powiedział pan Keneally głosem pełnym sarkazmu. Jego dobry humor gdzieś znikł. Przed oczyma pojawiła mi się mała scenka: Władca Muzyki przeciwko Złemu Wilkołakowi, a zamiast broni nuty. - Wszyscy jesteśmy przejęci, że oderwał się pan od swoich niewątpliwie znacznie ważniejszych spraw, żeby zagrać coś z nami, chociaż dołącza pan do nas nieco później.

Chłopak uniósł brew, wyraźnie nieporuszony. Wziął do ręki parę pałeczek i zakręcił nimi w palcach.

- Spóźniłem się? - Głos miał głęboki, basowy, tak jak to sobie wyobrażałam. Klarncista odważnie trącił go w bok, przypominając mu, żeby się zachowywał.

Pan Keneally wyraźnie stracił nad sobą panowanie.

- Tak, spóźniłeś się. Wydaje mi się, że w tej szkole panuje zwyczaj, żeby przeprosić nauczyciela, jeśli przychodzi się później niż on.

Pałeczki zatrzymały się, a chłopak popatrzył na nauczyciela przez chwilę z wyrazem twarzy aroganckim, jak jakiś młody lord mierzący wzrokiem chłopca, który ważył się go poprawić. Wreszcie powiedział:

- Przepraszam.

Miałam wrażenie, że pozostali uczniowie wydali ciche westchnienie ulgi, że konflikt udało się powstrzymać.

- Nie mówisz szczerze, ale to musi wystarczyć. Niech pan uważa, panie Benedict: może jest pan utalentowany, ale nie interesują mnie primadonny, które nie wiedzą, jak traktować swoich kolegów muzyków. A pani, panno Bright, potrafi pani działać w grupie? - Pan Keneally odwrócił się do mnie, miażdżąc moje nadzieje na to, że zostanę zapomniana. - Czy cechuje się pani podobnym podejściem co pan Zed Benedict?

To pytanie nie było w porządku. To była walka super-bohaterów, a ja nie byłam nawet postacią z tła. Nawet nie rozmawiałam z Wilkołakiem, a już proszono mnie, bym go krytykowała. Miał w sobie coś takiego, co sprawiało, że nawet najbardziej pewna siebie dziewczyna musiała go trochę podziwiać. Ponieważ moja samoocena od początku sięgała prawie dna, Zed wzbudzał we mnie coś w rodzaju przerażenia.

- Ja... nie wiem. Ale ja też się spóźniłam.

Chłopak spojrzał na mnie, po czym odwrócił wzrok, jakbym była grudką błota na jego wilkołaczych superbutach.

- Sprawdźmy, co potrafisz. Zespół jazzowy, przygotować instrumenty. - Pan Keneally rzucał nutami jak frisbee. - Panie Hoffman, do saksofonu; Yves Benedict, zagra pan partię klarnetu. Może przekona pan swojego brata, żeby zaszczycił nas grą na perkusji?

- Oczywiście, panie Keneally - odpowiedziały lennonki i rzuciły motocykliście ponure spojrzenie. - Zed, chodź tutaj.

To jego brat? O rany, jak to możliwe? Może są trochę do siebie podobni, ale zachowywali się, jakby byli z innych planet.

- Panno Bright, może pani zająć moje miejsce przy fortepianie.

- Pan Keneally z uczuciem pogładził pokrywę instrumentu.

Bardzo, bardzo nie chciałam występować przed wszystkimi.

- Yyy... panie Keneally, wołałabym...

- Proszę siadać.

Usiadłam i dostosowałam wysokość stołka. Przynajmniej znałam utwór.

- Nie zwracaj na niego uwagi - wyszeptał Nelson i ścisnął moje ramię. - Wszystkim to robi - mówi, że sprawdza w ten sposób nasze nerwy.

Czując, że moje już są zszargane, czekałam, aż pozostali będą gotowi.

- OK, dajcie czadu - powiedział pan Keneally, siadając na widowni, żeby nas obejrzeć.

Od pierwszego dotknięcia klawiszy wiedziałam, że fortepian jest cudowny - miał pełny, mocny dźwięk i ogromny zasięg. Odprężył mnie, jak tylko on potrafił, tworząc barierę między mną i resztą sali. Zatonęłam w muzyce i zapomniałam o tremie, aż zaczęło mi się to podobać. Żyłam dla muzyki tak, jak moi rodzice dla sztuki. Nie zależało mi na występach - wołałam grać w pustym pokoju; lubiłam stawać się częścią utworu, wysłuchując każdej nuty i przyzywając magię, by rzucić czar. Kiedy grałam z innym-

mi, towarzyszący mi muzycy przestawali być ludźmi i stawali się dźwiękami: Nelson, płynny i niedbały; Yves, klarncista, liryczny, inteligentny, czasem zabawny; Zed - no cóż, Zed był biciem serca, nadawał rytm muzyce. Czułam, że rozumie ją tak jak ja, bezbłędnie odczytując zmiany nastroju i tempa.

- Bardzo dobrze, co ja mówię, świetnie! - ogłosił pan Keneally, kiedy skończyliśmy. - Obawiam się, że właśnie zostałem wyrzucony z zespołu jazzowego - dodał, puszczając do mnie oko.

- Dałaś czadu - powiedział Nelson cicho, kiedy mnie mijał.

Pan Keneally przeszedł do innych spraw, zaplanował próby chóru i orkiestry, ale nikogo już nie poprosił o zagranie czegoś przed klasą. Nie chcąc wychodzić z za mojej bariery, zostałam tam, gdzie byłam, wpatrując się w odbicie moich dłoni w uniesionej pokrywie fortepianu, palcami dotykając klawiszy, ale nie naciskając ich. Poczułam lekkie dotknięcie na ramieniu. Uczniowie wychodzili, ale Nelson i klarncista stali za mną. Zed był nieco dalej i wciąż sprawiał wrażenie, jakby wolał być gdzie indziej.

Nelson wskazał na klarncistę.

- Sky, poznaj Yvesa.

- Cześć. Dobra jesteś - przywitał mnie Yves z uśmiechem, poprawiając okulary na nosie.

- Dzięki.

- Ten kretyn to mój brat Zed. - Machnął ręką w kierunku zmarszczonego motocyklisty.

- Daj spokój, Yves - warknął Zed. Yves zignorował go.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Jest taki wobec każdego.

Nelson roześmiał się i zostawił nas.

-Jesteście bliźniakami? - Obaj mieli złotobrazową skórę, ale Yves miał okrągłą twarz i gładkie, czarne włosy, jak młody Clark Kent. Zed za to miał wyraziste rysy, mocno zaznaczony nos, duże oczy o długich rzęsach i głowę o gęstych lokach. Było bardziej prawdopodobne, że będzie jednym z tych barwnych, niegrzecznych podrostków niż dobrym, nudnym chłopakiem. Upadły bohater, jeden z tych typów tragicznych, którzy przechodzą na stronę zła, jak Anakin Skywalker.

Trzymaj się ziemi, Sky.

Yves pokręcił głową.

- Nie. Jestem od niego o rok starszy. Jestem w seniorach. On jest najmłodszy w rodzinie, beniaminek.

Nigdy nie widziałam nikogo, kto mniej przypominałby beniaminka. Mój szacunek dla Yvesa wzrósł, bo jego brat najwyraźniej go nie onieśmiał.

- Jezu, dzięki, braciszku, jestem pewien, że właśnie to chciała wiedzieć. - Zed założył ręce i zatupał nogą.

- Do zobaczenia na próbie - powiedział Yves i wyszedł, ciągnąc za sobą Zeda.

- Tak, jasne - wymamrotałam, patrząc za nimi. - Założę się, że nie możecie się doczekać. - Zanuciłam ironiczną melodię na wyjście, wyobrażając sobie, że obaj wzlatują w niebo i znikają z oczu śmiertelników.

Tego samego dnia po południu Tina odwiozła mnie do domu samochodem, mówiąc, że chce zobaczyć, gdzie mieszkam. Myślę, że tak naprawdę chciała poznać moich rodziców. W jej samochodzie były tylko dwa miejsca, a tył przeznaczony był na narzędzia jej brata, który był hydraulikiem. Z boku wciąż dało się przeczytać słowa *Naprawy Monterey*.

- Oddał mi ten samochód, kiedy kupił sobie ciężarówkę - wyjaśniła Tina radośnie, naciskając klakson, żeby przepłoszyć z drogi grupkę nastolatków. - Jest oficjalnie moim ulubionym bratem przez co najmniej kolejny miesiąc.

- Ilu masz braci?

- Dwóch. Wystarczy. A ty?

- Jestem jedynaczką.

Tina paplała, kiedy jechałyśmy przez miasto. Jej rodzina wydawała się wspaniała - trochę chaotyczna, ale zżyta. Nic dziwnego, że Tina była taka pewna siebie.

- Na próbie poznałam Zeda i Yvesa Benedictów - powiedziałam konwersacyjnym tonem, próbując nie zwracać

uwagi na fakt, że jestem wciśnięta w siedzenie jak astronauta przy starcie.

- Czy Zed nie jest cudowny?! - wykrzyknęła, cmokając z entuzjazmem ustami i wymijając kota, który ośmielił się przejść ulicę przed maską.

- Tak, chyba tak.

- Nie ma mowy o chyba. Ta twarz, to ciało - czego więcej może chcieć dziewczyna?

Kogoś, kto ją zauważa? - pomyślałam.

- Ale przy tym zadziera nosa i doprowadza nauczycieli do szału. Dwóch jego braci było podobnych, ale mówią, że on jest najgorszy. W zeszłym roku prawie wyrzucili go ze szkoły za brak szacunku dla nauczyciela. Fakt, nikt z nas nie przepadał za panem Lomasem. Okazało się, że niektórych z nas lubił za bardzo, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Zwolnili go pod koniec semestru.

- Fúj.

- No właśnie. W każdym razie w rodzinie Zeda jest siedmiu synów. Trzech wciąż mieszka z rodzicami w domu na końcu miasta, obok stacji kolejki linowej. Starsi mieszkają w Denver.

- Kolejki linowej?

- Tak, ich tata prowadzi ją w sezonie; ich mama jest instruktorem narciarstwa. Wszyscy uważamy, że bracia Benedict są królami stoków.

- Jest ich siedmiu?

Zatrąbiła na pieszego i zamachała.

- Mają imiona według wzoru: Trace, Uriel, Victor, Will, Xavier, Yves i Zed. Może to im pomagało je zapamiętać.

- Dziwne imiona.

- Dziwna rodzinka, ale są w porządku.

Kiedy przyjechałyśmy, Sally i Simon rozpakowywali przyrządy malarskie. Widziałam, że są zachwyceni, że tak szybko przyprowadziłam do domu koleżankę. Martwili się moją nieśmiałością jeszcze bardziej niż ja.

- Przepraszamy, możemy ci zaproponować tylko kupne biszkopty - powiedziała mama, z szelestem wydobywając poczęstunek z pudła stojącego na kontuarze. Jakby należała do tych matek, które pieką własne ciasta!

- A ja miałam nadzieję na prawdziwą angielską herbatkę

- odparła Tina z błyskiem w oku. - No wiecie, te malutkie kanapeczki z ogórkiem i ciasteczka z kremem i galaretką.

- Masz na myśli sconesy z dżemem - poprawił Simon.

- Sky mówiła, że interesujesz się sztuką. Co słyszałaś na temat nowego centrum?

- Widziałam budynek - jest fantastyczny. Pan Rodenheim ma wobec niego ambitne plany. - Zerknęła na szkicownik, który Sally dopiero co rozpakowała. Wyglądało na to, że jest pod wrażeniem: z uwagą przyglądała się każdemu rysunkowi. - Ten jest świetny. To węgiel?

Sally wstała i zarzuciła szal na ramię.

- Tak, lubię szkicować węglem.

- Czy będzie pani prowadzić lekcje?

- To część umowy - potwierdziła Sally, rzucając Simonowi zachwycone spojrzenie.

- Chciałabym wziąć w nich udział, pani Bright, jeśli mi pani pozwoli.

- Oczywiście, Tino. I proszę, mów mi Sally.

- Sally i Simon - dodał mój tata.

- OK. - Tina odłożyła szkicownik i wsadziła ręce do kieszeni. - Więc to po was Sky odziedziczyła artystyczne geny?

- Hmm... nie. - Sally uśmiechnęła się do mnie, lekko zakłopotana. Zawsze tak było, kiedy ludzie o to pytali. Zgodziliśmy się, że nigdy nie będziemy udawać kogoś, kim nie jesteśmy.

- Jestem adoptowana, Tina - wyjaśniłam. - Moje życie było nieco skomplikowane, zanim Sally i Simon wzięli mnie do siebie.

Innymi słowy, miałam niezłe kłopoty. Zostałam porzucona na stacji benzynowej, kiedy miałam sześć lat; nikt nie był w stanie odnaleźć moich biologicznych rodziców. Byłam w szoku i nie potrafiłam nawet przypomnieć sobie swojego imienia. Przez następnych kilka lat porozumiewałam się wyłącznie za pomocą muzyki. Nic dziwnego, że nie mam ochoty wspominać tamtego okresu. Pozostało mi po nim przerażające poczucie, że pewnego dnia pojawi się ktoś, kto zażąda mnie z powrotem, jak walizki zagubionej przez linie lotnicze. Wiedziałam, że nie chcę być odnaleziona.

- Och, przepraszam - nie chciałam wtykać nosa w nie swoje sprawy. Ale twoi rodzice są ekstra.

- Nic nie szkodzi.

Tina podniosła z ziemi swoją torbę. -To świetnie. Muszę lecieć. Do zobaczenia jutro. -I pomachawszy nam radośnie, wyszła.

- Lubię twoją Tinę - oznajmiła Sally, przytulając mnie.

- A ona uważa, że jesteście ekstra. Simon pokręcił głową.

- Amerykanie uważają, że buty są ekstra, ktoś, kto ich podwozi do domu, jest ekstra: co oni robią, kiedy spotkają kogoś naprawdę godnego podziwu? Skończą im się określenia.

- Simon, przestań mówić jak stary nudziarz. - Szturchnęła go Sally. - Jak ci minął dzień, Sky?

- W porządku. Nie, lepiej niż w porządku. Ekstra. - Wyszczrzyłam zęby. - Myślę, że będzie mi tu dobrze. - Tak długo, jak długo będę trzymać się z daleka od cheerliderek pani Green.

Próba zespołu jazzowego przypadła na koniec tygodnia. Do tego czasu ani razu nie spotkałam braci Benedict na korytarzu. Najwyraźniej mieliśmy inny plan lekcji. Raz zauważyłam z oddali Yvesa grającego w siatkówkę, ale rozkład dnia Zeda nie pokrywał się z moim.

Widziała go Tina.

Nelson grał z nim raz w koszykówkę. Odważny człowiek.

Ale ja nie. Oczywiście wcale nie spędzałam całego czasu na szukaniu go.

Usłyszałam też nowe informacje na jego temat. On i jego rodzina byli jednym z ulubionych tematów plotek. Trzej bracia Benedict - Trace, Victor, a teraz najmłodszy z nich, Zed - byli znani z tego, że szaleli po Wrickenridge na swoich motorach, wdawali się w bójkę w miejscowych barach i zostawiali za sobą ślad w postaci złamanych serc żeńskiej części populacji. Głównie dlatego, że bez powodzenia umawiali się z tutejszymi dziewczynami. Najstarsi, Trace i Victor, ustatkowali się trochę, bo pracowali już poza miastem, jak na ironię - obaj w służbach mundurowych. Mimo to ich przeszłe dokonania nadal były opowiadane z czułością i zamiłowaniem. Werdykt brzmiał: „niegrzeczni, ale nie źli”.

Podsumowanie Tiny było najbardziej udane: „jak belgijskie czekoladki - wodzą na pokuszenie, ale nie sposób się im oprzeć”.

W poczuciu winy, że stanowczo za bardzo interesowałam się kimś, kogo spotkałam zaledwie jeden raz, spróbowałam przestać się za nim rozglądać. Zazwyczaj się tak nie zachowywałam - w Anglii rzadko interesowałam się chłopcami, a gdybym miała znaleźć kandydata, aby się tym zająć, że się tak wyrażę, na pewno nie byłby to Zed.

Co w nim było do lubienia? Nic, tylko ten ironiczny uśmieszek. Czułam się płytka z powodu mojego zainteresowania tym chłopakiem. Może został antybohaterem mojego obecnego komiksu, ale to nie czyniło z niego dobrego kandydata do skupiania na nim mojej uwagi w świecie rzeczywistym. Może fakt, że był tak bardzo poza moim zasięgiem, sprawiał, że dziwnie „bezpiecznie” było o nim myśleć. Nic więcej z tego nie będzie, bo zanim on mnie dostrzeże, księżyc musiałby spaść z nieba.

Nasze drogi przecięły się raz, ale stało się to poza szkołą - i zdecydowanie nie zakończyło się dla mnie dobrze.

W drodze do domu wstąpiłam do sklepu spożywczego, żeby kupić mleko, i dopadła mnie pani Hoffman. Zasypując mnie pytaniami o wszystkie przedmioty szkolne, zatrudniła mnie jednocześnie do robienia z nią zakupów.

- Sky, złotko, chciałabym słoik sosu koperkowego - powiedziała, wskazując małą zieloną butelkę na najwyższej półce.

- OK. - Wzięłam się pod boki i spojrzałam w górę. Był za wysoko dla nas obu.

- Czemu te okropne półki są tak wysoko? - westchnęła pani Hoffman. - Zastanawiam się, czy nie wezwać kierownika.

- Nie, nie. - Nie chciałam uczestniczyć w tej historii. - Dosięgnę tam. - Zerknęłam w alejkę, zastanawiając się, czy nie ma tam gdzieś podręcznej drabiny, i dostrzegłam Zeda na drugim końcu sklepu.

Pani Hoffman również go zauważyła.

- Proszę, proszę, to ten chłopak Benedictów, Xav - nie, Zed. Głupie imiona, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Nie chciałam, ale nie miałam wątpliwości, że ma też coś do powiedzenia na temat mojego imienia.

- Może go zawołamy? - spytała.

No pewnie: „Przepraszam, panie Wysoki i Przystojny Wilkołaku, może pomógłby pan angielskiemu karzełkowi i podał mu sos?”. Raczej nie.

- Nie ma potrzeby, dosięgnę go. - Wspięłam się na najniższą półkę, podciągając się za środkową i stając na palcach. Moje palce prawie zacisnęły się na stojącym z brzegu słoiku - prawie...

Nagle poślizgnęłam się i wylądowałam na pupie, a słoik wyleciał mi z rąk i rozbił się o płytki. Rząd słoików z sosem koperkowym zakołysał się niebezpiecznie i wyglądał, jakby miał spaść, ale w cudowny sposób został na swoim miejscu.

- Cholera jasna!

- Sky Bright, takie słowa w ustach młodej damy! - powiedziała pani Hoffman.

Koło nas pojawił się ktoś z obsługi, ciągnąc za sobą mopa i wiadro na kółkach jak opasłego psa.

- Ja za to nie płacę, Leanne - oznajmiła pani Hoffman, wskazując na to, co zrobiłam ze słoikiem.

Podniosłam się z ziemi, czując, że na dole kręgosłupa już robi mi się siniak, ale oparłam się pokusie, by rozetrzeć obolałe miejsce.

- To moja wina. - Sięgnęłam do kieszeni i wyciągnęłam pięciodolarówkę. Koniec pieniędzy na czekoladę.

- Schowaj swoje pieniądze, kochana - powiedziała pracownica sklepu. - To był wypadek. Wszyscy to widzieliśmy.

Bez słowa, Zed podszedł do nas i bez najmniejszych trudności wziął z półki następny słoik sosu, po czym wsunął go do koszyka pani Hoffman.

Pani Hoffman uśmiechnęła się do niego szeroko, nie zdając sobie może sprawy, że uśmiecha się do szkolnego rozrabiaki.

- Dziękuję, Zed. Masz na imię Zed, prawda?

Skinął głową, przesuając po mnie wzrokiem z czymś w rodzaju rozbawienia.

Klik - paraliżuje wroga mrugnięciem powieki.

- Jak się mają twoi rodzice, Zed?

Cudownie! Pani Hoffman znalazła sobie inną ofiarę do odpytywania.

- W porządku - odparł, dodając po chwili: - psze pani. Wow, Ameryka jest dziwna! Nawet miejscowy chuligan

ma wdrukowane podstawy uprzejmości - w przeciwieństwie do swojego brytyjskiego odpowiednika, któremu przez myśl by nie przeszło zwracanie się do kogokolwiek „psze pani”.

- A twoi bracia, co porabiają?

Wymknęłam się z cichym „do widzenia”. Nie dam głowy, ale wydawało mi się, że Zed wymamrotał „zdrajca”, kiedy go zostawiłam. Dzięki temu poczułam się nieco lepiej z idiotycznym upadkiem wprost na jego oczach.

Nie uszłam daleko, kiedy usłyszałam za sobą motor. Obejrzałam się i zobaczyłam, że ulicą na czarnej hondzie jedzie Zed, zręcznie wymijając potok samochodów wracających wieczorem do domu. Najwyraźniej był lepszy niż ja w ucinaniu rozmowy z panią Hoffman. Zwolnił, kiedy mnie zauważył, ale nie zatrzymał się.

Ja dalej szłam przed siebie, próbując nie martwić się, że zaczyna robić się ciemno, a on wciąż mnie śledzi. Jechał za mną, aż dotarłam do bramy, po czym zawrócił z takim piskiem opon, że pudełek sąsiadów podskoczył, jakby kopnął go prąd.

O co mu chodziło? Chciał mnie przestraszyć? Był zaciekawiony? Stwierdziłam, że to pierwsze jest bardziej prawdopodobne. Umarłabym z zakłopotania, gdyby wiedział, jak dużo czasu w tym tygodniu spędziłam, myśląc o nim. To musiało się skończyć.

W piątek rano w lokalnych wiadomościach non stop pokazywano porachunki gangów w najbliższym dużym mieście, Denver. Jakaś rodzina została złapana w wymianie ognia. Wszyscy zginęli. Wydawało się to dalekie od problemów naszej górskiej społeczności, jakie więc było moje zaskoczenie, kiedy usłyszałam, że wszyscy o tym mówią. Przemoc rodem z komiksu jest OK w wyobraźni, ale na żywo jest odrażająca. Nie chciałam rozwodzić się na ten temat, ale moi koledzy z klasy nie przestawali o tym mówić.

- Mówią, że chodziło o sprzedaż narkotyków, która źle się skończyła - powiedziała podczas lunchu Zoe, przyjaciółka Tiny. Zoe była niepokornym typem, a ja polubiłam ją szczególnie dlatego, że była tylko nieco wyższa ode

mnie dzięki swojej niziutkiej, chińskiej mamie. - Ale zginęło pięciu członków jednej rodziny, w tym małe dziecko. To okropne!

- Słyszałam, że ci, którzy strzelali, uciekli. Wysłano za nimi list gończy - dodała Tina wszechwiedzącym tonem. Jej starszy brat pracował w biurze szeryfa. - Brad zostaje po godzinach.

- Powiedz swojemu bratu, żeby się nie martwił: pani Hoffman zauważy ich, jeśli tu przyjadą. - Zoe złapała kawałek selera i zanurzyła go w soli, jednocześnie wolną ręką odrzucając swoje długie, czarne włosy na plecy. - Już widzę, jak ich zatrzymuje.

- Tak, będą ją błagać o litość - zgodziła się Tina.

Pani Hoffman - Nieubłagany Sędzia, wymierzający sprawiedliwość drewnianą łyżką zagłady - zażartowałam w myślach.

- Myślicie, że ci gangsterzy naprawdę tu przyjadą? Popatrzyły na mnie.

- Co? Coś ciekawego miałyby się wydarzyć we Wrickenridge? Wróc na ziemię - roześmiała się Zoe.

- Nie, Sky - dodała Tina. - Bez szans. To miasteczko leży na końcu rzeczywistości. Czemu ktoś miałby przyjeżdżać tutaj bez nart na nogach?

Dobre pytanie. Zbyt późno zdałam sobie sprawę, że byłam głupia, nie domyśliwszy się, że obie żartowały, kiedy mówiły, że Wrickenridge miałyby zostać wplątane w wielkie wydarzenie. W Zoe i Tinie mój brak inteligencji wzbudził jednak bardziej rozbawienie niż pogardę. Dzięki obcemu pochodzeniu zasłużyłam na wyrozumiałość.

Przeprosiłam i odeszłam, żeby uniknąć dalszego słuchania rozmów o morderstwie. Przed salą do prób pojawiłam

się pięć minut przed czasem. Miałam ją dla siebie i ulżyłam moim palcom na klawiaturze fortepianu, zanurzając się w nokturnie Chopina. Pomogło mi to oczyścić się z uczucia przerażenia, które opanowywało mnie, kiedy myślałam o strzelaninie w Denver. Przemoc zawsze powodowała we mnie panikę, jakby miała spowodować uwolnienie tygrysa z klatki wspomnień w moim wnętrzu - coś, z czym nie mogłam walczyć i czego pewnie bym nie przeżyła. Nie zamierzałam tam wracać.

W domu nie mieliśmy jeszcze pianina, więc przejawiałam poważne symptomy odstawienia. Kiedy tak lawirowałam wśród nut, zaczęłam się zastanawiać, jakie powitanie zgotuje mi dziś Zed. Chopin przepłynął w coś ostrzejszego, z wplecionym motywem z *Mission Impossible*.

Drzwi otworzyły się z hałasem, a mnie serce zabiło mocniej i odwróciłam się wyczekująco, ale był to tylko Nelson.

- Cześć, Sky. Yvesa i Zeda nie ma w szkole. - Człowiek-Guma energicznym krokiem wszedł do środka i wydobyl swój instrument z pokrowca.

Poczułam, jak ogarnia mnie fala zawodu, którą kazałam sobie przypisać temu, że odebrano mi możliwość grania, a nie temu, że tęskniłam, by zobaczyć obiekt mojej utrzymywanej w tajemnicy obsesji.

- Masz ochotę wypróbować parę kawałków ze mną, mimo wszystko?

Przesunęłam palcami po klawiszach. Kąciki ust Nelsona drgnęły.

- Jaką muzykę proponujesz, skarbie?

- Um... Na pewno jest kilka piosenek, od których moglibyśmy zacząć. - Wstałam i zaczęłam kartkować stos nut na stole.

Nelson roześmiał się.

- A niech cię! Spławiłaś mnie!

- Tak? Naprawdę? - Czułam, że mój rumieniec nie może już stać się większy. - Może to? - Podsunęłam mu przypadkowo wybrany utwór.

Spojrzał na nuty.

- Muzyka estradowa? Pewnie, w *Oklahomie* jest kilka niezłych kawałków, ale...

- Och. - Zabrałam mu nuty, czując się jeszcze bardziej zakłopotana tym, że go rozśmieszyłam.

- Nie denerwuj się, Sky. Może ja coś wybiorę?

Z ulgą zostawiłam nuty i wycofałam się na stołek od pianina, gdzie czułam się, jakbym miała wszystko pod kontrolą.

- Tak się przeze mnie denerwujesz? - spytał poważnie Nelson, rzucając mi zaciekawione spojrzenie. - Nie powinnaś się mną przejmować - ja tylko żartowałam.

Przerzuciłam warkocz przez ramię i zawinęłam go dookoła dłoni. Musiałam wiązać włosy w warkocz, inaczej wymykały się spod kontroli.

- To nie ty.

- Po prostu chłopcy?

Lekko uderzyłam głową w pokrywę fortepianu.

- To tak bardzo widać? Nelson pokręcił głową.

- Nie. Jestem po prostu wrażliwy i wyczuwam takie rzeczy. - Uśmiechnął się.

- Mam z tym pewien problem. - Słyszając siebie, zmarszczyłam z niesmakiem nos. Miałam mnóstwo problemów, a wszystkie - według psychologa dziecięcego, do którego chodziłam od szóstego roku życia - miały źródło w głęboko

zakorzenionym braku poczucia bezpieczeństwa. No naprawdę, jakbym sama nie mogła do tego dojść, wiedząc, że zostałam porzucona i tak dalej.

- Czuję się trochę niepewnie.

- Ale ja jestem z tobą, pamiętaj. - Nelson wybrał utwór i pokazał mi go do oceny. - Ze mną możesz się nie krepować. Nie mam wobec ciebie nikczemnych zamiarów.

- Nikczemnych?

- Nie jestem pewien, co to znaczy, ale moja babcia oskarża mnie, że je mam, kiedy myśli, że zrobiłem coś złego. Poza tym to dobrze brzmi.

Roześmiałam się i poczułam nieco swobodniej.

- Masz rację - mogę się jej poskarżyć, jeśli zrobisz coś nie tak. Wzdrygnął się żartobliwie.

- Nawet ty nie będziesz tak okrutna, brytyjska dziewczuszko. No dobra, czy zamierzamy tak paplać cały dzień, czy coś zagramy? - Nelson schwycił saksofon i sprawdził, czy jest nastrojony.

- Zagrajmy. - Otworzyłam nuty na pulpicie i od razu zaczęłam grać.

Nie miałam żadnych planów na weekend. Czy to nie brzmi żałośnie? Tina i Zoe pracowały w soboty w miejscowych sklepach, a Nelson wyjechał z miasta, żeby odwiedzić ojca, więc nie miałam się z kim spotkać. Simon wspomniał coś o szukaniu używanego pianina, ale pomysł upadł przez menedżera Centrum Sztuk, który wezwał moich rodziców, żeby urządzili swoją pracownię. Nie zamierzałam wchodzić im w drogę. Równie dobrze mogłabym stać między dwójką czekoladoholików i ich zapasem cukierków. W ten sposób miałam tylko jeden wybór: krążenie po Planecie Wrickenridge, jak samotna kometa na własnej orbicie.

- Przyjdź do nas w porze lunchu - powiedziała Sally, wręczając mi dwadzieścia dolarów. - Idź, obejrzyj sobie miasto.

To nie zabrało mi wiele czasu. Wrickenridge było po amerykańsku urocze; nawet Starbucks ukrywał się w drewnianej chatce w szwajcarskim stylu. Było tu także kilka droższych sklepów - niektóre z nich otwierano tylko w czasie sezonu narciarskiego - kilka czekających na zimę hoteli z eleganckimi restauracjami, jedna tania restauracja, dom

kultury i sala gimnastyczna z siłownią. Przystanąłam przed nią na chwilę, zastanawiając się, czy warto przyjrzeć się jej bliżej, ale w końcu stwierdziłam, że jestem zbyt nieśmiała, żeby spróbować. To samo spotkało pobliskie spa i salon stylizacji paznokci. Zastanowiłam się, czy Tina chodziła na manicure właśnie do *Pięknych Paznokci*. Ja swoje własne obgryzłam prawie do żywego.

Ruszyłam dalej, kierując się w górę Main Street, w stronę parku. Po drodze podziwiałam miejskie kwietniki, porośnięte kolorowymi, jesiennymi kwiatami. Minęłam sadzawkę dla kaczek, która w zimie funkcjonowała jako ślizgawka, i skierowałam się do miejsca, w którym parkowe trawniki przechodziły w gęstwinę górskich drzew i krzewów. Kilka spacerujących na słońcu osób pozdrowiło mnie, kiedy się mijaliśmy, ale przez większość czasu byłam sama. Żałowałam, że nie mam psa, dzięki któremu mniej bym się wyróżniała. Może powinnam zasugerować to Sally i Simonowi. Szczeniaczek ze schroniska, który potrzebował domu, bo ktoś go porzucił - to by mi się podobało. Problem w tym, że mieliśmy tu zostać tylko rok - za krótko. To byłoby nie w porządku wobec psa.

Szłam w górę wzdłuż ścieżki, mając nadzieję, że dotrę do punktu widokowego, który zaznaczony był na mapie przy wejściu do parku i opatrzony intrygującą etykietą „miasta duchów”. Zanim wspięłam się na skalisty ustęp ze wspaniałym widokiem na Wrickenridge i resztę doliny, bolały mnie już mięśnie nóg. Etykieta nie kłamała: na szczycie znajdowały się porzucone drewniane budynki, stojące wzdłuż czegoś, co kiedyś było ulicą. Przypominały mi plan filmowy po skończonych zdjęciach. Przeczytałam tabliczkę wbity w ziemię:

Osada powstała w czasie gorączki złota w 1873 roku, kiedy w rzece Eyrie odkryto pierwszą grudkę złota. Została porzucona w 1877 roku. Siedmiu górników zginęło, kiedy wiosną] 876 roku zapadła się kopalnia Eagle.

W ciągu zaledwie czterech lat górnicy stworzyli cały zespół domów mieszkalnych, saloonów, sklepów i stajni. Większość domów z poczerńiałego drewna straciła swoje dachy, ale niektóre wciąż pokryte były cyną, która ogłuszająco skrzypiała na wietrze. Pordzewiałe łańcuchy zwisały nad krawędzią zbocza, bujając się nad dzikimi złotymi kwiatami czepiającymi się skał, jakby wyśmiewały się ze straconych złudzeń pionierów. Tworzyłyby doskonałe tło dla prawdziwie przerażającej historii - *Zemsta poszukiwaczy złota* czy czegoś takiego. Już słyszałam mrozący krew w żyłach temat, wykorzystujący samotne dzwonięcie łańcuchów i głucho wycie wiatru w porzuconych budynkach.

To miejsce było smutne. Nie chciałam myśleć o górnikach zakopanych gdzieś we wnętrzu gór, przygniecionych tonami kamieni. Pokręciłam się trochę wśród domów, po czym usiadłam ze skrzyżowanymi nogami na ławce, żałując że przed wspinaczką nie kupiłam coca-coli i batonika czekoladowego. Kolorado było takie ogromne - i kompletnie obce dla Anglika. Na zboczach gór unosiła się mgła, odcinając oświetlone słońcem szczyty od ciemnozielonego podnóża jak wytarty gumką fragment rysunku. Śledziłam żółtą ciężarówkę jadącą główną drogą na wschód. Cienie rzucane przez chmury przesuwały się po polach, przykrywając stodoły i dachy, przyćmiewając blask wody w sadzawce, po czym popłynęły dalej, zostawiając sadzawkę niczym jasne oko wpatrujące się w górę. Tego mglistego poranka niebo nad szczytami było jasnoniebieskiego kolo-

ru. Spróbowałam wyobrazić sobie ludzi, którzy tam mieszkali, z twarzami wpatrzonymi w skały zamiast w niebo, wypatrujących błysku złota. Czy któryś z nich został tutaj i przeniósł się do Wrinckenridge? Czy chodziłam do szkoły z potomkami ludzi, którzy przybyli tu w czasie szalejącej gorączki złota?

Za mną trzasnęła gałąź. Z bijącym sercem i głową pełną duchów odwróciłam się i zobaczyłam Zeda Benedicta. Zatrzymał się w miejscu, w którym ścieżka wychodziła spośród drzew. Wyglądał na zmęczonego i miał cienie pod oczami - nie było ich tam w zeszłym tygodniu. Włosy miał zmierzwiłone, jakby bez przerwy przeczesywał je palcami.

- Świetnie, właśnie tego potrzebowałam - stwierdził sarkastycznie, cofając się.

Te słowa nie poprawiłyby poczucia własnej wartości u żadnej dziewczyny. Wstałam.

- Idę sobie.

- Nie trzeba. Wrócę później.

- I tak miałam już wracać do domu.

Nie ruszył się z miejsca, wciąż się we mnie wpatrując. Ogarnęło mnie dziwne wrażenie, że Zed coś ze mnie wyciąga, jakby między nami była jakaś nić, którą on nawija na szpulkę.

Zadrzałam i zamknęłam oczy, wyciągając rękę z dłonią zwróconą w jego kierunku. Zakręciło mi się w głowie.

- Proszę, nie rób tego.

- Czego?

- Nie patrz tak na mnie. - Zapłonęłam wściekłym rumieńcem. Teraz pomyśli, że jestem całkiem nienormalna. W końcu tylko sobie tę nić wyobraziłam. Odwróciłam się

na pięcie i ruszyłam w kierunku najbliższego budynku, zostawiając mu ławkę, ale on poszedł za mną.

- Jak mam na ciebie nie patrzeć? - spytał, odsuwając nogą na bok leżącą mu na drodze deskę. Cały dom jęknął; jeden silny podmuch wiatru i na pewno zawali nam się na głowy.

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Ruszyłam dalej, w kierunku pozbawionego framugi okna wychodzącego na dolinę. - Zapomnij o tym.

- Hej, mówię do ciebie. - Złapał mnie za rękę, ale wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. - Słuchaj... Sky, prawda? - Uniósł oczy do góry, jakby szukał odpowiedzi, nie bardzo wierząc w to, co zamierza zrobić. - Muszę ci coś powiedzieć.

Wiatr dostał się pod okap, a blaszany dach zaskrzypiał. Nagle dotarło do mnie, jak daleko byliśmy od innych ludzi. Zed puścił moją rękę. Potarłam miejsce, w którym jego palce wbiły mi się w skórę.

Zed zmarszczył brwi, jakby rozmowa ze mną budziła w nim niechęć, ale zmusił się, by się odezwać.

- Jest coś, o czym musisz wiedzieć. -Co?

- Bądź ostrożna po zmroku. Nie wychodź sama.

- Co masz na myśli?

- Wczoraj wieczorem widziałem... Słuchaj, po prostu uważaj, OK?

Nie, nie OK. Ten chłopak był niebezpieczny.

- O tak, widać, że muszę.

Co takiego? Chyba nie powiedziałam tego na głos? Zaklął i w złości kopnął popsuty kilof. Łańcuch zahuścił się w przód i w tył. Przypominał mi ciało kołyszące się

na szafocie. Objęłam się ramionami, próbując wydać się jeszcze mniejszą. To moja wina. Zrobiłam coś - nie wiem tylko co - co go rozwścieczyło.

- Nie, nie zrobiłaś! - powiedział ostro. - To nie twoja wina, słyszysz? - I dodał, cichszym głosem. - A ty pewnie potwornie się mnie boisz, co?

Zamarłam.

- W porządku. Pójdę sobie. - Odwrócił się gwałtownie i odszedł, znikając między pustymi budynkami i klnąc pod nosem.

Miłe spotkanie, nie ma co.

Po trzech tygodniach od rozpoczęcia semestru liceum wydawało mi się całkiem przyjemnym miejscem, gdyby nie towarzyszące mi dziwne uczucie, jakie pozostawiło ostrzeżenie Zeda. O co mu chodziło? I co takiego zobaczył? Jak to mogło mieć cokolwiek wspólnego ze mną i moimi wieczornymi wyjściami? Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałam, to wzbudzić niezdrowe zainteresowanie jakiegoś chuligana.

Próbowałam o tym zapomnieć. Miałam mnóstwo innych spraw. Przeżyłam niemiłe chwile z powodu uczniów, którzy dokuczali mi z powodu mojego akcentu i nieznaności amerykańskich zwyczajów, ale w gruncie rzeczy wszyscy byli mili. Kilka dziewczyn, z którymi chodziłam na lekcje wiedzy o społeczeństwie, wśród nich cheerliderka Sheena - po cichu ochrzciłam je mianem Zon Wampirów z powodu ich upodobania do krwistoczerwonego lakieru do paznokci - dla żartu ukradło mi identyfikator. Podśledzały, jak narzekam Tinie, że moje zdjęcie jest beznadziejne. Niestety Drakuletki zgodziły się ze mną i przezwały mnie „blond króliczkiem”. Okropnie mnie

to zdenerwowało, ale Tina poradziła mi, żebym puściła to płazem, bo jeśli zrobię aferę, przewisko na pewno do mnie przylgnie. Ugryzłam się więc w język i od tej pory trzymałam identyfikator głęboko schowany.

- W przyszłym tygodniu mamy dzień sportów. Juniorzy mogą pojechać na rafting - oznajmił Nelson pewnego piątkowego popołudnia, kiedy odprowadzał mnie do domu, po drodze do swojej babci, której miał naprawić kosiarkę. - Chcesz iść z nami?

Zmarszczyłam nos, wyobrażając sobie Robinsona Cruzoe związującego razem kłody drzewa.

- Rafting, to znaczy, że będziemy budować tratwę? Nelson wybuchnął śmiechem.

- Nie, nie jesteśmy skautami, Sky. Nie, chodzi mi o nurkowanie w spienionej wodzie rzeki Eyrie, ściskaniu wiosła aż zbieleją ci kostki i wysokiej dawce adrenaliny. Wyobraź sobie dmuchaną łódkę z miejscem na sześć albo siedem osób. Kapitan siedzi z tyłu przy sterze, a my z wiosłami po dwóch stronach łódki, ledwie trzymając się w miejscu, porwani przez prąd. Musisz tego spróbować, jeśli chcesz uważać się za mieszkańkę Kolorado.

Wow, amerykańskie liceum jednak w niczym nie przypominało angielskiego college'u - to było coś! Oczyma duszy już widziałam, jak pewnie nawiguję w dół spienionej rzeki, by ocalić dziecko/psa/rannego człowieka, przy akompaniamencie wspinającej się na coraz wyższe tonacje, pełnej napięcia muzyki smyczkowej...

Tak, jasne.

- Są zajęcia dla początkujących?

- Nie, wyślą cię od razu najtrudniejszym szlakiem bez kamizelki ratunkowej i bez przewodnika. - Widząc mój

wyraz twarzy, Nelson parsknął śmiechem. - Oczywiście, że są, głuptasie. Spodoba ci się.

To mogłam zrobić: zacząć od podstaw i przeskoczyć na poziom bohatera, kiedy już dowiem się, o co chodzi.

- Dobra. Czy mam wziąć coś ze sobą? Pokręcił głową.

- Nie, tylko ubierz się wygodnie. Sky, pewnie nie mogłabyś spytać Tiny, czy nie przyłączyłaby się do nas?

Natychmiast nabrałam podejrzeń.

- Czemu sam jej nie zapytasz?

- Pomyśli, że się w niej podkochuję. Uśmiechnęłam się.

- A nie jest tak?

Podrapał się po karku, zakłopotany.

- Tak, ale jeszcze nie chcę, żeby o tym wiedziała.

W dniu spływu niebo było nieco zachmurzone, góry ciemnoszare, a wiatr silny. Powietrze było chłodne, czasem nawet popadywało. Założyłam najcieplejszą kurtkę, moją ulubioną, z napisem „Klub Kajakarski Richmond” z przodu. Uznałam to za zabawne, jako że Eyrie w niczym nie przypominała Tamizy. Minibus podskakiwał na pełnej wybojów drodze prowadzącej do szkoły raftingu. Pierwsze żółte liście spadały z osik i wpadały do rzeki, gdzie natychmiast znikwały pod wodą. Miałam nadzieję, że to nie zapowiedź czekającego mnie losu.

Kiedy przyjechaliśmy, recepcjonista rozdał nam kaski, wodoodporne buty i kamizelki ratunkowe. Potem zebraliśmy się na brzegu, żeby posłuchać wprowadzenia wygłaszanego przez poważnego mężczyznę o długich, ciemnych włosach. Miał surowy profil północnoamerykańskiego

Indianina, szerokie czoło i oczy, które zdawały się dużo starsze niż on sam. Była to twarz stworzona do tego, by ją rysować albo, jeszcze lepiej, rzeźbić. Gdybym miała stworzyć dla niego melodię, byłaby niespokojna i pełna skargi, jak południowoamerykańskie fletnie - muzyka dzikich ostępów.

- Świetnie - będzie z nami pan Benedict. To ojciec Zeda i Yvesa. Jest najlepszy - wyszeptała Tina. - Na wodzie radzi sobie jak nikt inny.

Nie mogłam się skupić. Kiedy naprawdę stanęłam nad spienioną rzeką, moje pragnienie, żeby popłynąć z jej prądem, zaczęło słabnąć.

Słyszając nasze szeptanie, pan Benedict obdarzył nas karcącym spojrzeniem, a ja przez krótką chwilę dostrzegłam otaczające go kolory - srebrzyste jak słońce i ośnieżone szczyty.

Nie, tylko nie to - pomyślałam, czując dziwne zawroty głowy. Nie chciałam widzieć kolorów - nie zamierzałam pozwolić im wrócić. Zamknęłam oczy i przełknęłam ślinę, urywając połączenie.

- Dziewczeta - powiedział pan Benedict cichym głosem, który i tak dało się słyszeć mimo huku wody - może zechciałybyście posłuchać. Mówię o bardzo ważnych zasadach bezpieczeństwa.

- Wszystko w porządku? - wyszeptała Tina. - Pozieleniałaś na twarzy.

- Ja tylko... to nerwy.

- Wszystko będzie w porządku, nie ma się czego bać. Od tej pory słuchałam każdego słowa pana Benedicta, ale żadnego z nich nie udało mi się zapamiętać.

Skończył swój miniwykład, podkreślając konieczność bezwzględnego słuchania poleceń.

- Niektórzy z was mówili, że są zainteresowani kajakarstwem. Dobrze pamiętam?

Neil, którego pamiętałam z lekcji wuefu, podniósł rękę.

- Moi synowie są teraz na kajakach. Dam im znać, że chcesz wziąć lekcje.

Pan Benedict wskazał górny bieg rzeki, gdzie widać było kilka pasiastych tyczek zawieszonych nad kanałem. Trzy czerwone kajaki pędziły z prądem. Nie byłam w stanie dojrzeć, kto w nich jest, ale wszyscy kajakarze byli wyraźnie utalentowani. Poruszali się po rzece ruchami przypominającymi taniec baletowy, robiąc piruety i obroty, które sprawiały, że serce podchodziło mi do gardła. Jeden z kajakarzy wystrzelił przed pozostałych. Zdawał się mieć lekką przewagę nad pozostałymi, jakby był zdolny przewidzieć następny wir i zmianę prądu na ułamek sekundy przedtem. Przeplłynął pod czerwono-białym znakiem końca trasy i zamachał wiosłem w powietrzu, śmiejąc się z pozostawionych w tyle braci.

To był Zed. Jakżeby inaczej.

Jak zahipnotyzowani patrzyliśmy, jak pozostałe kajaki wpływają do przystani. Zed już był na brzegu i wychodził z kajaka, kiedy dołączyli do niego jego bracia. Po hałaśliwej kłótni, w której kilkakrotnie powtarzały się słowa „nie fair”, najwyższy z braci podniósł Zeda i wrzucił go do wody. Zed zniknął pod powierzchnią - ale przy brzegu woda była spokojna, więc Zed po prostu wypłynął z powrotem. Złapał brata i wciągnął go za sobą. Z tego, jak spokojnie jego brat wpadł do wody, zgadłam, że się tego spodziewał. Na brzegu został tylko Yves, ale i on został porządnie ochlapany, zanim podał braciom rękę i pomógł im wyjść. Cała trójka ze śmiechem opadła na brzeg, łapiąc

oddech. Dziwnie było widzieć Zeda szczęśliwym; nauczyłam się spodziewać się po nim tylko ponurych spojrzeń.

- To moi młodszy synowie - powiedział pan Benedict, wzruszając ramionami.

Jakby na odgłos przez nich tylko słyszanego gwizdka, bracia Benedict odwrócili się i spojrzeli w naszą stronę.

- Przygotuj pontony, tato, dołączę do was, kiedy się przebiorę!
- krzyknął najwyższy. - Zed weźmie kajaka.

- To Xav - powiedziała Tina. - W tym roku skończył szkołę.

- Jaki on jest, jak Zed czy jak Yves?

- Co masz na myśli?

Ruszyliśmy za resztą grupy, która skierowała się do przystani.

- Wrogi czy przyjazny? Wydaje mi się, że Zed za coś mnie nie lubi.

Tina zmarszczyła brwi.

- Zed nie lubi wielu osób, ale zazwyczaj nie są to dziewczyny.
Co ci zrobił?

- On... to trudno wyjaśnić. Kiedy mnie widzi - chociaż to się rzadko zdarza - wydaje się bardzo zirytowany. Tina, czy to przeze mnie? Zrobiłam coś nie tak? Czy to dlatego, że nie rozumiem, jak to wszystko działa?

- No cóż, doszły mnie złośliwe plotki, że zamiast kawy wolisz pić herbatę.

- Tina, ja pytam serio! Położyła mi rękę na ramieniu.

- Nie, Sky, jesteś w porządku. Jeśli on ma z tobą problem, to jest to właśnie jego problem, nie twój. Nie martw się tym. Zed już od kilku tygodni zachowuje się dziwnie

- jest jeszcze bardziej agresywny i arogancki - wszyscy to zauważyli.

Nasza rozmowa skończyła się na tym, bo musiałyśmy wysłuchać instrukcji pana Benedicta na temat tego, kto gdzie usiądzie.

- Rzeka ma wysoki poziom z powodu weekendowych deszczów. Potrzebujemy najmniejszych i najlżejszych osób w środku, żeby nie zostały zmyte do wody.

- To będziesz ty, Sky, złotko - powiedział Nelson, popychając mnie do przodu.

- Jeden z moich synów usiądzie z wiosłem z przodu, a ty - wskazał na Nelsona - siądziesz z drugiej strony. Pozostałe dwie dziewczyny usiądą z tyłu, obok mnie. - Skinął na Tinę i drugą dziewczynę z naszego liceum. Obu wręczył wiosła; tylko ja go nie dostałam, jako że musiałam siedzieć w środku.

Podszedł do nas Zed. Przebrał się z mokrego kombinezonu i włożył szorty i kamizelkę ratunkową.

- Xav i Yves zajmą się kajakarzem - oznajmił Zed. Jego ojciec zmarszczył brwi.

- Myślałem, że to twoje zadanie.

- Tak, no cóż, wiedziałem, że on będzie robił problemy. Yves lepiej sobie z nim poradzi.

Wtedy właśnie stwierdziłam, że Wilkołak musiał przegapić lekcje diabolicznego wdzięku w ramach swojego treningu na antybohatera.

Pan Benedict wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć -nawet sporo - ale powstrzymał się ze względu na nas.

Zajęliśmy miejsca w pontonie. Nasze umiejscowienie miało ten nieszczęśliwy skutek, że siedziałam obok Zeda. Po mojej drugiej stronie miałam Nelsona. Zed zdawał się

umyślnie na mnie nie patrzeć - zostałam Panną Sky-Niewidzialną.

- Dziewczyna z przodu, pośrodku - Sky, prawda? Odwróciłam się i zobaczyłam, że wołał mnie pan Benedict.

- Tak, proszę pana?

- Jeśli woda będzie bardzo wzburzona, złap swoich sąsiadów za ręce. Dziewczyny koło mnie, upewnijcie się, że kiedy zacznie nami rzucać, wasze stopy będą w otworach na palce na dnie pontonu. Dzięki temu nie wpadniecie do wody.

Nelson stęknął z niesmakiem.

- Chłopakami się nie martwi, co? Zed go usłyszał.

- Bo myśli, że mężczyźni powinni radzić sobie sami. Masz z tym jakiś problem?

Nelson pokręcił głową, zrozumiawszy przytyk.

- Nie.

Sally bardzo by się to spodobało - pomyślałam. Jako zdeklarowana feministka, uznałaby pana Benedicta za dinozaura. Zed też nie zrobiłby na niej najlepszego wrażenia.

Pan Benedict odepchnął ponton od przystani. Kilka mocniejszych uderzeń wiosłem przez Zeda i Nelsona wyprowadziło nas na środek rzeki. Od tej pory wiosła służyły głównie do sterowania, bo na tym odcinku można było płynąć tylko w jednym kierunku - bardzo szybko w dół rzeki. Pan Benedict wykrzykiwał instrukcje i kręcił sterem z tyłu pontonu. Ja trzymałam się siedzenia, powstrzymując wrzask, kiedy ponton okręcił się wokół skały wystającej z wody. Kiedy ją minęliśmy, zobaczyłam, co było przed nami.

- O Boże. Nie wyjdziemy z tego żywi!

Woda wyglądała, jakby pod nią znajdował się gigantyczny mikser, który kręcił się na najwyższych obrotach. Piana pryskała w powietrze, skały przecinały powierzchnię w nieregularnych odstępach, sprawiając, że mijanie ich było prawie niemożliwe. Wiele razy widziałam, co dzieje się z żółtkami w mikserze - za kilka sekund to samo miało stać się z nami.

Nagle ponton gwałtownie wyskoczył do góry. Wrzasnęłam. Nelson roześmiał się głośno, zawołał: „Juhuu!”, machając wiosłem, żeby odpychać się od kamieni. Po mojej drugiej stronie Zed ze spokojem robił to samo, nie okazując żadnych oznak podniecenia ani strachu i nie dając poznać, że choćby zauważył, że ogarnia mnie mały atak paniki.

- Diabelski Garnek wygląda na rozbrykany! - krzyknął pan Benedict przez ramię. - Trzymajcie nas pośrodku, chłopcy.

Przewężenie, o którym mówił, wyglądało na bardziej niż rozbrykane. „Rozbrykane” mogą być niesforne źrebięta hasające na słońcu w wiosenny poranek; to był rozwścieczony jesienny niedźwiedź w morderczym szale, gromadzący na zimę dodatkowe zapasy tłuszczu. Ponton pełen ludzi wydał mi się idealnym menu dla niego.

W głowie słyszałam już temat ze *Szczęk*.

Ponton wpłynął w przewężenie. Przód natychmiast znalazł się pod powierzchnią, a my zostaliśmy spryskani lodowatą wodą. Tina wrzasnęła, ale kiedy się wynurzyliśmy, zaczęła się śmiać. Rzucano nami na wszystkie strony. Wpadłam na Nelsona, potem na Zeda. Złapałam Nelsona pod ramię, ale nie ośmieliłam się zrobić tego samego

z drugą ręką. Zed wyglądał niedostępnie. Nelson ścisnął mnie za rękę, chcąc dodać mi odwagi.

- Dobrze się bawisz? - wykrzyknął. Jego twarz ociekała wodą.

- Świetnie, chociaż mam wrażenie, że mogę umrzeć w każdej chwili! - odkrzyknęłam.

W tym momencie prąd zepchnął nas w bok i przód pontonu zaklinował się między dwiema skałami. Do środka nalała się woda.

- Odepchnę nas! - zawołał pan Benedict. - Wszyscy na prawą stronę!

Uczył nas tego manewru na brzegu - polegał na gromadzeniu się po jednej stronie pontonu, tak żeby ten do połowy uniósł się nad wodę. Utknęłam zgnieciona między Nelsonem i Zedem. Trzonek wiosła Nelsona zaciskał mi się pod brodą.

- Na lewo!

Na rozkaz rzuciliśmy się na drugą stronę. Ponton zaczynał się wyswobadzać.

- Na swoje miejsca!

Kiedy posłusznie przesuwałam się na swoje miejsce, Zed nagle objął mnie w pól i przewrócił na pokład, twarzą w dół, w głęboką po kostki wodę.

- Trzymaj się, bo spadniesz! - wrzasnął mi do ucha.

Z wodą w nosie, spanikowałam i wyrwałam mu się, dokładnie w chwili, kiedy prąd poniósł ponton dalej. Zostałam rozplaszczona na pokładzie, po czym rzuciło mną w stronę burty. Nie trzymałam się niczego, więc straciłam kontakt z pontonem i uderzyłam plecami w wodę.

Zimno - spieniona rzeka - krzyki - gwizdki. Gwałtownie wypłynęłam na powierzchnię. Ponton był już dziesięć metrów za mną, a ja, jak liść osiki, płynęłam w dół Garnka.

Płyn z prądem). Rozkaz przebił się do mojego mózgu -głos przypominał Zeda.

Nie miałam innego wyboru jak dać się ponieść prądowi, próbując leżeć na wodzie tak płasko, jak się dało, żeby nogami nie uderzać w schowane pod wodą skały. Zawadziłam o coś głową; mój hełm zderzył się z kamieniem. Wreszcie zostałam wyrzucona na zewnątrz wiru. Przytrzymałam się kamienia. Moje palce przypominały zamrożone białe węże na jego powierzchni.

- Boże, Sky, wszystko w porządku?! - krzyknęła Tina. Pan Benedict podprowadził ponton do mnie, żeby Zed i Nelson mogli wydostać mnie z wody. Ledwo dysząc, leżałam na plecach na dnie pontonu.

Zed sprawdził szybko, czy nie jestem ranna.

- Nic jej nie jest. Trochę się tylko podrapała.

Resztę spływu ukończyliśmy przybici. Wszelka radość odpłynęła razem ze mną. Było mi zimno, byłam odrętwiała i zła.

Gdyby Zed mnie nie popchnął, nic by mi się nie stało.

Pan Benedict skierował nas do przystani, gdzie czekały jeep i przyczepka, mające zabrać ponton z powrotem w górę rzeki. Wsiadłam na brzeg, nie patrząc na Zeda.

Na ładzie Tina uściskała mnie mocno.

- Sky, na pewno wszystko w porządku? Uśmiechnęłam się z przymusem.

- Tak. Kto w ogóle wpadł na ten cudowny pomysł? To miał być tydzień pod tytułem „zabijmy obcokrajowca”?

- Myślałam, że cię nie zobaczę.

- Wiesz, Tina, że nie jestem stworzona do tych zajęć na świeżym powietrzu, które tak kochacie w Kolorado.

- Ależ jesteś. Po prostu miałaś pecha.

Pan Benedict i Zed skończyli załadowywać ponton i wrócili do nas.

- Wszystko w porządku, Sky? - spytał pan Benedict. Skinęłam głową, nie ufając swojemu głosowi.

- Co się stało? - Pytanie skierowane było do Zeda. Ja odpowiedziałam pierwsza.

- On mnie przewrócił — przez niego przestałam się trzymać!

- Zdałem sobie sprawę, co się stanie - próbowałem ją ostrzec - odparł Zed.

Spojrzałam na niego ze złością.

- To się stało przez ciebie.

- Chciałem temu zapobiec. Nie powinienem był ci pomagać - odpowiedział, marszcząc brwi i patrząc na mnie lodowato.

- Tak, nie powinienem był - wtedy może nie zamarzałabym na śmierć!

- Dość! - Pan Benedict nas rozdzielił. - Sky, wsiądź do jeepa, zanim zrobi ci się jeszcze zimniej. Zed, pozwól na słówko.

Owinięta w ręczniki, obserwowałam, jak ojciec i syn kontynuują dyskusję, aż Zed odszedł ze złością, kierując się w stronę lasu.

Pan Benedict usiadł na siedzeniu kierowcy.

- Przykro mi, Sky.

- Nic się nie stało, proszę pana. Nie wiem czemu, ale pana syn chyba mnie nie lubi. - Zerknęłam na Tinę, jakby

chcąc jej powiedzieć: „A nie mówiłam”. - Nie potrzebuję przeprosin. Może Zed mógłby po prostu trzymać się ode mnie z daleka. Nie lubię, kiedy ktoś czepia się mnie bez powodu.

- Jeśli ci to pomoże, w tej chwili Zed ma dużo na głowie - odparł pan Benedict, śledząc wzrokiem swojego syna. - Zbyt wiele od niego wymagam. Daj mu szansę, żeby to sobie ułożył.

- Rozumiesz, o co mi chodziło? - spytałam szeptem Tinę.

- Tak, widzę. Co się właściwie stało?

- Nie wiem, naprawdę. - Tak bardzo potrzebowałam jej rady; dla mnie, bezradnego ucznia, szybko stała się jak Obi-Wan. Miałam nadzieję, że rozumie chłopców, a przynajmniej Zeda, lepiej niż ja.

- To było dziwne.

Deszcz zaczął padać na dobre i wycieraczki kiwały się z lewa na prawo. Nienawidzi mnie, wcale nie, nienawidzi mnie, wcale nie...

- Nie chodziłaś za nim, prawda? - spytała Tina po chwili.

- Nie, oczywiście, że nie. - Przemilczałam, ile razy rozglądałam się za nim w szkole. Nie musiała znać szczegółów mojej żalostnej obsesji. Dzisiejszy dzień mnie z niej wyleczył.

- Nie byłabyś pierwsza. Mnóstwo dziewczyn rzucało się na niego z nadzieją, że je wybierze.

- Były głupie.

- Po tym, co powiedział, muszę się z tobą zgodzić. W tym chłopaku jest wiele złości. Nie chciałam być blisko, kiedy wybuchnie.

Spędziłam wieczór i większość nocy, rozważając ostrzeżenie Tiny, przetransponowując je w głowie tak, by pasowało do jej nowej roli w moim wewnętrznym scenariuszu komiksowym: *wiele siły jest w nim, ale chłopak ma wiele gniewu w sobie*. Dobra rada, Obi-Tino. Nie dam sobie rady z Zedem. Lepiej zostawić Wilkołaka, żeby przeżuwał swoje własne urazy. Trochę to lekceważyłam, ale jednak część mnie instynktownie cofała się przed takimi gwałtownymi emocjami jak jego. Wiedziałam, że potrafią boleć. Miałam nieprzyjemne przeczucie, że kiedyś żyłam zbyt blisko kogoś, kto łatwo wpadał w szał. Kogoś sprzed czasu, kiedy mnie znaleziono. Wiedziałam, że ostre słowa przechodzą w pięści i siniaki. Wobec tego byłam na siebie wściekła. Musiałam być królową idiotów, żeby pomyśleć, że usłyszałam głos Zeda, kiedy byłam w niebezpieczeństwie. Musiałam wziąć się w garść i zostawić w spokoju wszystko, co dotyczy Zeda.

Moje dobre intencje były wciąż niewzruszone, kiedy następnego dnia przechodziłam z Tiną przez szkolny parking. Do czasu, aż zobaczyłam spojrzenie, które rzu-

cił mi Zed. Stał z pozostałymi chłopakami przy motocyklach, z założonymi rękami, przypatrując się wchodzącym do szkoły uczniom. Kiedy zobaczył, że idę, zmierzył mnie wzrokiem, po czym, jakby postanowiwszy, że nie spełniam jego oczekiwań, odwrócił się.

- Nie zwracaj na niego uwagi - wymamrotała Tina, dostrzegając naszą wymianę spojrzeń.

Jak mogłam to zrobić? Miałam ochotę podejść do niego i go spoliczkować, ale bądźmy szczerzy, nie należę do osób dość odważnych, żeby robić takie sceny. Byłam pewna, że stchórzyłabym w pół drogi. Obiecałam sobie, że dam sobie z tym spokój.

No dalej, zrób to - mówiła do mnie moja złość. Jesteś dziewczyną czy szarą myszką? Szarą myszką, za każdym razem.

Za każdym, z wyjątkiem tego. W Zedzie Benedykcie było coś, co zadziało jak zapalka przytknięta do lontu, tak że znalazłam się na granicy wybuchu.

- Zaczekaj chwilę, Tina.

Zanim zdałam sobie z tego sprawę, zmieniłam kierunek i ruszyłam w kierunku Zeda. Przeżywałam moment jak z piosenek Arethy Franklin - *Sisters are doin it for themselves* rozbrzmiewało w mojej głowie, dodając mi szalonej odwagi, żeby zmniejszyć dzielącą nas odległość. Intencja skryta za moją rozwścieczoną szarżą musiała stać się widoczna dla reszty uczniów, bo widziałam, że odwracają głowy w moją stronę.

- Masz ze mną jakiś problem? - O rany, naprawdę to powiedziałam?

- Co? - Zed wsadził rękę do kieszeni i włożył ciemne okulary, tak że teraz patrzyłam na siebie odbijającą się

w jego szklach. Czterech pozostałych chłopaków patrzyło na mnie, uśmiechając się z wyższością i czekając, aż Zed mnie wykończy.

- Przez ciebie prawie się wczoraj utopiłam, a ty przedstawiłeś to tak, jakby to była moja wina.

Popatrzył na mnie w milczeniu, pewnie mając zamiar mnie onieśmielić. To *prawie* podziałało.

- To, co się stało wczoraj w pontonie, to przede wszystkim twoja wina. - Aretha mnie opuszczała; jej głos przypominał szept.

-*Moja wina?* - spytał, jakby nie dowierzając, że ktoś ośmiela się mówić mu takie rzeczy prosto w twarz.

- Nie mam pojęcia o raftingu, to ty jesteś specjalistą, więc zastanów się, kto z nas miał rację.

- Kim jest ta rozwścieczona laska, Zed? - spytał jeden z jego przyjaciół.

- Nikim - odparł, wzruszając ramionami. Poczułam przytyk. Zabolęło.

- Nie jestem nikim. Przynajmniej nie jestem aroganckim dupkiem, który na wszystkich patrzy z góry. - *Zamknij się, Sky, zamknij się.* Musiałam mieć zamiary samobójcze.

Jego przyjaciele zahuczeli.

- Zed, ale ci dopiekła - powiedział jeden z nich, o zaczesanych do tyłu rudych włosach i przypatrzył mi się z nowym zainteresowaniem.

- Tak, ona jest niezwykła. - Zed wzruszył ramionami i skinął głową w kierunku szkoły. - Biegnij na lekcje, Mała Mi.

Zebrawszy całą godność, na jaką mnie było stać, przycisnęłam książki do piersi i pomaszerowałam do szkoły z Tiną u boku.

- Co to było? - spytała zdumiona, dotykając mojego czoła, żeby sprawdzić, czy nie mam temperatury.

Wypuściłam powietrze. Nie wiedziałam nawet, że je wstrzymywałam.

- To byłam ja, kiedy jestem wściekła. Byłam przekonująca?

- Yyy... trochę.

- Aż tak źle?

- Nie, byłaś świetna! - Nie wydawała się zbyt przekonana. - Zed sam się o to prosił. Ale lepiej naucz się chować, kiedy widzisz, że się zbliża; nie będzie zadowolony, że zaatakowałaś go przy jego kumplach.

Ukryłam twarz w dłoniach.

- Zrobiłam to, prawda?

- Tak, zrobiłaś. Zed nie jest przyzwyczajony do tego, żeby dziewczyny go krytykowały - z reguły za bardzo go podziwiają. Wiesz, że jest najprzystojniejszym chłopakiem we Wickenridge, prawda?

- No cóż, nie umówiłabym się z nim nawet, gdyby był ostatnim człowiekiem na ziemi.

- Au, to okrutne!

- Nie, to uczciwe.

Tina poklepała mnie pocieszająco po rękę.

- Nie martw się. Nie spojrzysz na ciebie nawet za milion lat.

Po tej rozmowie obserwowałam korytarze, jakbym była żołnierzem na terytorium wroga, żebym mogła się schować, gdybym zobaczyła Zeda. Przynajmniej teraz miałam grupę przyjaciół, między którymi mogłam się ukryć, gdyby postanowił wziąć odwet - za pomocą szyderstw - za mój wybuch. Pierwsza była oczywiście Obi-Tina, ale Zoe, która

ze swoim poczuciem humoru pasowałyby do roli nieco złośliwej Catwoman, wraz z prawdziwym Człowiekiem-Gumą Nelsonem również byli częścią mojego gangu. Bronili mnie przed Żonami Wampirów, Sheeną i spółką, które wciąż mi dokuczały. Częściowo, jak sądzę, dlatego że wyczuwały, że jestem bezbronna. A one lubiły utoczyć krwi. Wieść o scenie na parkingu musiała się rozejść i ludzie doszli do zrozumiałego skądinąd wniosku, że mam w sobie coś z szaleńca. Tina, Zoe i Nelson byli jedynymi osobami, które stały pomiędzy mną a życiem na marginesie, wśród niedopasowanych. Widziałam ich w wyobraźni, moich trzech obrońców, jak z założonymi rękoma stoją jak tarcza, która broni mnie przed złem. Ich płaszcze łopotały na wietrze, w tle grała heroiczna muzyka i... cięcie.

Naprawdę muszę częściej wychodzić. Te sny na jawie opanowywały każdą część mojego życia.

W ostatni piątek września, gdy Tina podwoziła mnie do szkoły samochodem, poczęstowała mnie niemiłą wiadomością:

- Wszyscy musimy grać w piłkę nożną? Chłopcy i dziewczyny? - spytałam ją, przerażona na samą myśl.

- Tak, to tradycja. Juniorzy rozgrywają mecz co roku przed pierwszym śniegiem, czyli w pierwszy poniedziałek października. To ma budować ducha drużyny czy coś takiego. - Tina zrobiła balona z gumy i pozwoliła mu pęknąć. - I ujawnić trenerowi ukryte talenty. Ja uważam, że za tym wszystkim kryje się pan Joe - pewnie już wiesz, że to on ma w szkole prawdziwą władzę. Lubi wykorzystywać tę okazję i udawać, że jest trenerem.

Tina nie wydawała się zbyt przejęta perspektywą meczu, w przeciwieństwie do mnie.

- To gorsze niż zabieg dentystyczny. - Obronnie przycisnęłam rękę do piersi.

- Czemu? Myślałam, że Angole lubią piłkę nożną. Spodziewamy się po tobie wielkich rzeczy.

- Jestem beznadziejna w sportach. Tina roześmiała się.

- A to pech.

Ublągawszy mojego tatę, żeby wyjaśnił mi przepis o spalonym, doszłam do wniosku, że czeka mnie kolejna katastrofa. Nie miałam jednak wyjścia. Całemu rocznikowi - setce uczniów - oznajmiono, że mają się stawić w poniedziałek na trybunach. Komputer wylosował tych, którzy mieli stworzyć drużyny. Pan Joe, błędnie zakładając, że nowa Angielka poczuje się tu lepiej, uprawiając swój sport narodowy, mianował mnie kapitanem drużyny B, co oznaczało, że jako pierwsi będziemy grać przeciwko drużynie A. Zgadnijcie, kto był jej kapitanem?

- OK, Zed, wygrywasz losowanie. - Pan Joe schował monetę i dmuchnął w gwizdek. Naprawdę wczułem się w swoją rolę - w kieszeni koszulki miał nawet jeden z tych malutkich notesików. - Po piętnaście minut z każdej strony. Powodzenia! - Przechodząc, poklepał mnie po ramieniu. - Teraz masz szansę zabłysnąć, Sky. Niech Anglia będzie z ciebie dumna!

Byłam pewna, że to miejsce od tej pory będzie powracać w moich koszmarach: rzędy i rzędy ludzi patrzących na nas z trybun, i ja, niemająca pojęcia, co robić. To było jak sen, w którym wychodzi się nago na ulicę.

Potworne upokorzenie. Na mojej wewnętrznej playliście Duffy zaczęła błagać o litość.

- OK, pani kapitan - powiedział Nelson, szczerząc do mnie zęby. - Gdzie mamy być?

Jedyną pozycją, którą dobrze znałam, była pozycja środkowego napastnika i bramkarza. Strzelcem zrobiłam Nelsona, a siebie ustawiłam na bramce.

- Jesteś pewna? - spytała Sheena. - Czy nie jesteś, no wiesz, nieco za niska na obrońcę?

- Nie, nie. Tutaj mi najlepiej. - To znaczy, tu nie może mi się stać krzywda. - Pozostali... yyy... podzielcie się pozycjami - róbcie to, w czym jesteście najlepsi.

Kiedy piłka weszła do gry, odkryłam, że poważnie się pomyliłam. Zapomniałam, że kiedy przeciwnicy za kapitana mają gracza, który robi miazgę z twojej linii obrony - której połowa zna grę równie słabo jak ty - wówczas bramkarz nagle ma ręce pełne roboty.

Po dziesięciu minutach przegrywaliśmy 5:0. Moja drużyna zaczęła mamrotać pod nosem. Gdyby strzelcy z drużyny Zeda zostawili mnie na chwilę w spokoju, wykopałabym dziurę w bramce i się tam schowała.

Po pierwszej połowie przegrywaliśmy z nimi niebotyczną ilością dziewięciu goli. Przepuściłam ich dziesięć, ale Nelson dokonał cudu i raz strzelił bramkę. Moja drużyna zgromadziła się dookoła mnie, niczym zionąca pragnieniem linczu tłuszcza.

- Jakaś taktyka? - spytała szyderczo Sheena.

Poprosić meteoryt, żeby spadł na boisko i zrównał moją bramkę z ziemią? Zginać od zarazy? Przestań, Sky, to nie pomaga.

-Yyy... świetnie, dobra robota, Nelson, świetny gol. Strzelaj ich więcej, proszę.

- To wszystko? To twoja taktyka? *Więcej goli, proszę?*

-Sheena popatrzyła na swoje paznokcie. - O kurczę, złamałam jednego. Myślicie, że pozwolą mi się wycofać z powodu kontuzji?

- Nie grałam w futbol - to znaczy w piłkę nożną -u siebie. Nie chciałam być kapitanem. Przepraszam. -Wzruszyłam żałośnie ramionami.

- To takie poniżające - burknął Neil, który do tej pory zawsze był dla mnie dość miły. - Pan Joe obiecał nam, że będziesz świetna.

Zaczynałam mieć ochotę się rozplakać.

-Więc się pomylił, prawda? Oczekiwać ode mnie, że będę dobra w futbolu, to jak spodziewać się, że wszyscy Walijszczyki będą potrafili śpiewać. - Moja drużyna spojrzała na mnie nierozumiejącym wzrokiem. OK, a więc nie słyszeli o Walii. - Po prostu przestańcie przepuszczać ich tutaj z piłką, wtedy nie będę musiała bronić tyłu strzałów.

- Bronić! - krzyknęła Sheena prześmiewcze - Nie obroniłaś ani jednego. A jeśli to zrobisz, zjem swoje tenisówki.

Gwizdek odezwał się po raz drugi. Powędrowałam boiskiem w stronę mojej bramki, ale zatrzymał mnie Zed.

- O co chodzi? - rzuciłam. - Znów chcesz mi wypominać, że jestem beznadziejna? Nie ma potrzeby, moja drużyna już to zrobiła.

Popatrzył ponad moją głowę.

- Nie, Sky, chciałem ci tylko powiedzieć, że grasz teraz na drugiej połowie.

Jejku, naprawdę zaraz się rozplączę. Potarłam pięścią oczy i obróciłam się na pięcie, żeby odejść na drugi koniec boiska. Musiałam przebiec między rzędami kpiących twarzy.

Zamrugalam. Drużyna Zeda otoczona była malinowo-różową poświatą rozbawienia. Moja miała szarą aurę podbitą czerwienią. Naprawdę to widziałam czy sobie wyobrażałam? Przestań!

Czasem naprawdę przypominam wariatkę.

Masakra - przepraszam: gra - trwała, aż stała się niezręczna dla wszystkich, nawet dla widzów. Nie udało mi się obronić ani jednego gola. Wtedy Sheena przewróciła Zeda w polu karnym i musiałam obronić rzut karny. Okrzyki i śmiechy z trybun stały się głośniejsze, kiedy wszyscy zdali sobie sprawę, że zbliża się klasyczna scena z filmu o nastolatkach: Zed, najlepszy gracz z naszego rocznika, przeciwko utalentowanej inaczej cudzoziemce.

- Dalej, Sky, dasz radę! - wrzasnęła Tina z trybun.

Nie, nie dam, ale tak krzyczy prawdziwa przyjaciółka.

Stałam pośrodku cholernej bramki i patrzyłam na Zeda. Ku mojemu zdumieniu, nie wydawał się triumfować; wyglądał raczej, jakby trochę mi współczuł. A więc byłam aż tak żalosna. Uważnie ustawił piłkę na miejscu i zerknął na mnie.

Rzuć się na lewo.

Znowu jego głos w mojej głowie. Jestem stuknięta. Potarłam oczy, próbując oczyścić umysł.

Zed patrzył mi w oczy. *Rzuć się na lewo.*

Co u diabła? Zaszłam tak daleko, że miałam halucynacje? Nie miałam żadnej szansy obronić tego strzału, więc mogłam przynajmniej wykonać widowiskowy, chociaż

niepotrzebny, skok. Może stracę przytomność na miejscu starajmy się szukać pozytywnych stron. Zed zrobił rozbieg, kopnął, a ja rzuciłam się na lewą stronę.

Uff! Piłka uderzyła mnie prosto w żołądek. Z bólu zwinęłam się wokół niej.

Rozległy się przeraźliwie głośne wiwaty - nawet ze strony drużyny Zeda.

- Nie wierzę - obroniła! - podskoczyła Tina i wykonała z Zoe taniec zwycięstwa.

Przed moimi oczyma pojawiła się czyjaś ręka.

- Wszystko OK? Zed.

- Obroniłam to.

- Tak, widzieliśmy. - Uśmiechnął się krzywo i pomógł mi wstać.

- Pomogłeś mi?

- Czemu miałbym to robić? - Odwrócił się, znów stając się opryskliwym Zedem z czasów naszego pierwszego spotkania. Świetnie.

Dzięki, o wszechmocny.

Rozzłoszczona, zadziałałam instynktownie i wysłałam myśl tą samą drogą, którą usłyszałam jego głos. Jakbym uderzyła go kijem w głowę. Zed zatoczył się, odwrócił i popatrzył na mnie - nie byłam w stanie stwierdzić, czy był przerażony, czy zachwycony. Zamarłam. Byłam jak ogłuszona, jakbym właśnie otarła się o siatkę pod napięciem. Zdusiłam opanowujące mnie emocje. Przecież nie usłyszał mojej uwagi? To było po prostu... niemożliwe.

Pan Joe wbiegł pomiędzy nas, dmuchając w swój mały gwizdek.

- Dobra robota, Sky. Wiedziałem, że to potrafisz. Została jedna minuta - piłka wraca do gry.

I tak przegraliśmy. 25:1.

W przebieralni dla dziewcząt w zamyśleniu bawiłam się sznurowadłami butów. Nie miałam ochoty iść pod prysznic, kiedy wokół kręciło się tylu ludzi. Podeszło do mnie kilka dziewczyn, żeby skomentować to, co zaszło na boisku. Większość z nich uznała to, że przypadkowo obroniłam strzał Zeda Benedicta, za powód do wielkiego rozbawienia. Ten jeden wyczyn zamazał mój tragiczny występ na bramce. Przyjaciółki Sheeny dokuczały jej, mówiąc, że teraz będzie musiała zjeść pieczone tenisówki na obiad.

Tina podeszła mnie od tyłu i klepnęła w plecy.

- Pokazałaś Zedowi, gdzie jego miejsce! Nigdy nie otrząśnie się z tej porażki.

- Może.

Ale co się właściwie stało - skąd jego głos w mojej głowie? Naprawdę miałam wrażenie, że do mnie mówi - czy to się nazywa telepatia? Nie wierzyłam w takie bzdury. Ani w kolory. To były - jakiego to słowa używał mój psychiatra? - projekcje. Tak, projekcje.

- Myślisz, że wybiorą mnie do drużyny - zażartowałam, starając się, żeby Tina nie zauważyła mojego roztargnienia.

- Tak, na pewno - kiedy piekło zamarznie. Ale może przyjdzie do ciebie trener drużyny gimnastycznej. Kiedy chcesz, jesteś szybka jak błyskawica. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko zbiegał z boiska. - Wcisnęła swój strój do torby. - Jest coś między tobą i Zedem, o czym po-

winnam wiedzieć? Coś więcej niż nienawiść od pierwszego wejrzenia?

- Nie. - Zdjęłam adidasy.

- Nie wydawał się rozzłoszczony, że obroniłaś karnego. Patrzył na ciebie przez wszystkie pozostałe mecze.

- Naprawdę? Nie zauważyłam. - Marny był ze mnie kłamca.

- Może teraz cię lubi.

- Nieprawda.

- Prawda. Jesteśmy w pierwszej klasie czy co?

- Nie wiem, ja nigdy nie byłam.

- To wiele wyjaśnia. Musisz nadrobić mnóstwo dziecinnych zachowań. - Popchnęła mnie w kierunku pryszniców. - Pospiesz się. Chcę wrócić do domu przed maturą.

Przez następnych kilka dni cierpiałam z powodu statusu gwiazdy, na jaki zasłużyłam moją szczęśliwą obroną. Nelson uważał to za przezabawne i nigdy nie tracił okazji, żeby zażartować z mojej popularności

-Przejdźcie, obywatele Wrickenridge, przejście dla najgorętszego nowego nabytku kobiecej piłki nożnej" - Biegł tyłem przede mną, kiedy z Tiną i Zoe szłam na lekcję nauk ścisłych.

- Nelson, błagam - wyszeptałam, świadoma śmiechów dookoła.

Tina zrobiła to lepiej: trąciła go pod żebra jednym ze swoich paznokci.

- Daj spokój, Nelson.

- Jesteś jej agentką, Tinko?

- Tak, i ona nie udzieli ci wywiadu.

- Okrutna z ciebie kobieta.

- Nie mylisz się. A teraz odsuń się.

-Już mnie nie ma. - Nelson odwrócił się i pobiegł na swoją lekcję.

- Ten chłopak jest nie do zniesienia - stwierdziła Tina.

- On myśli, że jest zabawny.

- Jest - mniej więcej w połowie przypadków - odezwała się Zoe, w zamyśleniu kręcąc w palcach kosmyk swoich prostych jak struna włosów. - Zawsze uważałam, że dokucza Tinie dlatego, że bardzo ją lubi.

- Powtórz to i zgiń - ostrzegła Tina.

- Podobasz mu się od czwartej klasy i dobrze o tym wiesz.

- Nie chcę tego słuchać. Nie słucham cię. - Tina machnęła na Zoe ręką.

Zoe uznała, że wygrała tę wymianę zdań, i porzuciła temat.

- To co, Sky, idziesz z nami jutro na mecz baseballa? Gramy z Aspen.

- Jeśli przyjdę, obiecujecie, że powiecie mi, o co w tym chodzi?

Zoe jęknęła.

- Nie mów, że nie znasz zasad baseballa. Gdzie ty mieszkałaś całe życie? Pod ziemią?

Roześmiałam się.

- Nie. W Richmond.

Tina trąciła Zoe łokciem, żeby dała mi spokój.

- Pewnie, wszystko ci wyjaśnimy, Sky. Baseball jest fajny. Zoe spojrzała znacząco na Tinę.

- Wiesz, Zed gra w naszej drużynie.

Udałam, że interesuje mnie ulotka przypięta na tablicy przed laboratorium.

- Mogłam się tego domyślić.

- Dodatkowy powód, żeby pójść na mecz.

- Czyżby? - spytałam niedbale.

- Tak mówią.

- Wydawało mi się, że to raczej powód, żeby tam nie iść. Zoe zachichotała.

- Mnie bardziej podoba się Yves - te słodkie okulary i poważna mina mnie rozczulają. Jest jak Harry Potter, tylko przystojniejszy.

Roześmiałam się, tak jak spodziewała się Zoe, ale jednocześnie myślałam gorączkowo. Czy wszyscy plotkowali o mnie i Zedzie? Czemu? Byliśmy najmniej prawdopodobną ewentualną parą w całej szkole. Tylko dlatego, że pomógł mi na oczach całego rocznika i patrzył na mnie przez resztę dnia...

- Patrzcie, kto tu jest! - zapięła Tina, trącając mnie pod żebra.

Wróg na dwunastej. Zed właśnie wychodził z laboratorium, pogrążony w rozmowie z innym chłopakiem. Spróbowałam wojskowej techniki kamuflażu i ukryłam się za Tiną.

- Cześć, Zed - odezwała się Zoe sztucznie dziewczęcym głosem.

Zazgrzytałam zębami z zakłopotania. Przez nią będziemy wyglądać jak kolejne podkochujące się w nim dziewczyny.

- O, cześć. - Wzrok Zeda przesunął się po naszej grupce, po czym wrócił do mnie, ledwie widocznej między Tiną a ścianą. Zed pozwolił, żeby jego kolega poszedł dalej, a sam zatrzymał się przed nami. - Nie miałem okazji, żeby ci pogratulować, Sky. Świetnie obroniłaś ten strzał.

Niech go diabli - on się ze mnie śmiał.

- Tak, to było niewiarygodne - stwierdziłam ironicznie.

- Powtarzam wszystkim, że miałaś szczęście - stwierdził i założył mi pasek torby z powrotem na ramię.

Poczułam skurcz w żołądku. Ten gest był dziwnie terytorialny. Co się dzieje? Zed Benedict jest dla mnie *miły*.

- A ja twierdzę, że ktoś mi pomógł. - Obdarzyłam go najtwardszym z moich spojrzeń. W co on grał? Czy naprawdę powiedział mi, co zrobić? To, że nie mogłam odróżnić rzeczywistości od tego, co sobie wyobraziłam, doprowadzało mnie do szaleństwa.

- Przejrzeliśmy cię, Zed: wszyscy wiemy, że nie podkręciłeś piłki, jak zwykle to robisz. - Tina uśmiechnęła się do mnie, zmartwiona. Nie umknął jej niedbały gest, jakim dotknął paska od mojej torby.

Zed podniósł ręce w geście poddania.

- Chciałem tylko uśpić czujność Sky. Następnym razem nie będę dla niej tak łagodny.

Zoe zahuczała, zachwycona flirtującym podtekstem w naszej rozmowie, który nie podobał się mnie i Tinie.

- Niemożliwe. Zed Benedict, stworzyłeś sobie wizerunek najbardziej złośliwego chłopaka w roczniku, ale już wiemy, że uwielbiasz bezbronne małe blondynki o niewinnym spojrzeniu.

- Zoe! - zaprotestowałam. Jej uwaga zbyt przypominała przezwisko z króliczkiem, żeby mogła mi się podobać. - Nie rób ze mnie słodkiej idiotki.

- Miss Wdzięku pokazuje temperament! Wiedziałam, że gdzieś go jednak chowasz - odparła Zoe, zafascynowana moją irytacją.

- Też byś taka była, gdybyś musiała żyć z wyglądem takim jak mój. Nikt nie traktuje mnie poważnie.

Wszyscy troje parsknęli śmiechem, co tylko jeszcze bardziej mnie zirytowało.

- Więc jestem śmieszna, tak?

- Przepraszamy, Sky. - Tina wyciągnęła rękę, żeby mnie zatrzymać, gdybym chciała odejść. - Ale wyglądałaś tak wojowniczo, kiedy to powiedziałaś...

- O tak, byłaś przerażająca - dodała Zoe, powstrzymując śmiech. - Jak Bambi z uzi.

- I tak dla pewności, nikt z nas nie uważa, że jesteś idiotką - powiedziała Tina. - Prawda?

- Zdecydowanie nie - potwierdziła Zoe.

- Ale muszę się zgodzić z Zoe - stwierdził Zed, przybierając poważny wyraz twarzy. - Bycie złośliwym nie wychodzi ci tak dobrze jak mnie. Może powinienem cię tego nauczyć. Uważaj na siebie, dobrze? - Pogłaskał mnie lekko po rękę i odszedł, zostawiając mnie z trzepoczącym w piersi sercem.

- O rany, ale on ma zgrabny tyłek - westchnęła Zoe, przyglądając mu się.

- Nie mów o jego tyłku - powiedziałam, rozzłoszczona. To znowu je rozzłoszczyło. - I przestańcie się ze mnie śmiać! - Czy on znów mnie ostrzegął?

- Postaramy się, ale to trudne, kiedy mówisz takie rzeczy. - Tina trąciła mnie łokciem. - Powiedz, że to twój tyłek, to przestaniemy na niego patrzeć, prawda, Zoe?

- No, może będę patrzeć, ale przestanę o nim mówić - odparła Zoe, szczerząc zęby i nie zwracając uwagi na to, że reszta klasy wchodzi już do laboratorium. Dokuczanie mi było znacznie ciekawsze niż cokolwiek, co miał do zaoferowania nauczyciel biologii.

- To nie jest mój tyłek - jęknęłam.

- Ale myślę, że mógłby być twój. Zdecydowanie wokół ciebie krąży. - Zoe założyła torbę na ramię.

Tina odsunęła się, żeby Zoe mogła wejść do środka, po czym powiedziała szeptem:

-Tylko żartowałyśmy, Sky, ale poważnie, wydaje mi się że Zed ma wobec ciebie jakieś plany. Nigdy nie widziałam żeby był tak miły dla jakiejś dziewczyny.

Zerknęłam w stronę korytarza, żeby upewnić się, że sobie poszedł.

- Zauważyłaś? . -Trudno to przeoczyć. Kiedy ostatnio widziałam was razem, omal nie doszło do przelewu krwi.

-Tak ale on wciąż zachowuje się jak arogancki typ. - A czasem nie. - Pociągnęła za pasek od mojej torby, dając mi do zrozumienia, co ma na myśli. - Do tej pory trzymał się od ciebie z daleka. Żałuję, że tak me zostało. On nie jest w twoim typie. Zmarszczyłam brwi.

- A kto jest w moim typie?

-Pewnie inny Bambi. - Uśmiechnęła się, kiedy jęknęłam - To znaczy ktoś, kto będzie miły. Wydaje mi się, że spodobałby ci się romans, długie spacerunki i róże – cos w tym guście.

- A Zed taki nie jest?

- Chyba nie muszę ci tego mówić. Może byłby w porządku dla dziewczyny o grubej skorupie, ale ty jesteś raczej miękka jak żelki, prawda?

Naprawdę taka jestem?

- Może. Nie jestem pewna, jaka jestem naprawdę.

- Będiesz ostrożna? To samo powiedział Zed.

- Nie wiem, co myśleć. Zed nie może oczekiwać, że zakocham się w nim po tym, jak mnie potraktował.

- Pamiętaj o tym.

- Nie mam pewności, że chodzi mu o mnie.

Tina zerknęła na zegarek i pociągnęła mnie do klasy.

- Nie masz?

Szybko zorientowałam się, że liceum Wrickenridge ma obsesję na punkcie sportu. Nie mówię nawet o absurdalnym zespole cheerliderek; chodziło o coś głębszego niż tylko dziwne pragnienie noszenia krótkich spódniczek i potrząsania pomponami. Przede wszystkim spodziewano się po nas, że wszyscy przyjdziemy kibicować naszej drużynie, nawet jeśli nie byliśmy w jej składzie. Zupełnie inaczej niż w Anglii - tam nawet nie wiedziałam, czy w moim college'u istniała jakaś drużyna.

- OK, a więc w baseballu chodzi o to, jak szybko uda się włączyć całą drużynę do gry i jak dużo baz uda się zaliczyć, kiedy się atakuje? - powtórzyłam, biorąc dużą garść popcornu. Ojciec Zoe obsługiwał stoisko z przekąskami Komitetu Rodzicielskiego, więc dostałyśmy podwójną porcję i dodatkowe napoje. - Drużyny zmieniają się, kiedy w grze jest już czterech zawodników.

Tina założyła ciemne okulary i wyciągnęła nogi. Na tej wysokości było dość chłodno, ale słońce świeciło bardzo mocno.

- Właśnie tak.

- A noszą te dziwaczne stroje bo...? - pomyślałam, że nawet Zed nie najlepiej wyglądał w długich białych spodenkach. Wszyscy gracze przypominali nastolatki na jakimś dziwnym pizama party.

- Taka jest tradycja.

- Dla ochrony - sprzeciwiła się Zoe - okazało się, że ma fioła na punkcie baseballa. Miała nawet własną rękawicę. - Muszą chronić skórę, kiedy wślizgiem zdobywają bazę.

Drużyny kręciły się po boisku. Aspen właśnie wyeliminowało naszego pałkarza.

- A Zed jest naszym najlepszym graczem?

- Mógłby nim być, ale jest trochę nierówny. Doprowadza trenera do szaleństwa. - Zoe siorbnęła swoją lemoniadę. - Wszyscy jego bracia, poza moim cudownym Yvesem, byli w drużynie, kiedy chodzili do Wrickenridge, ale żaden z nich nie chciał sportowego stypendium. Trener Carter próbuje przekonać do tego Zeda - to jego ostatnia szansa na Benedicta - ale Zed nie chce się zaangażować.

- Hmm. - Obserwowałam, jak Zed trzyma w dłoni piłkę. Twarz miał skoncentrowaną, ale jednocześnie zamyśloną, jakby słyszał melodię, której nie słyszał nikt inny. W swoim pierwszym rzucie błyskawicznie posłał piłkę prosto za pałkarza. Widzowie wydali ryk aprobaty.

- Jest w dobrej formie - stwierdziła Zoe.

- Cześć, dziewczyny! - Nelson opadł na siedzenie koło Tiny, uszczypnąwszy ją, kiedy przechodził.

-Rany, Nelson, przez ciebie rozsypałam popcorn! -jęknęła.

- Pomogę ci go pozbierać - zaproponował, wpatrując się w jej kolana.

- Nie. - Szybko otrzepała nogi z ziarenek.

- Popsułaś mi zabawę.

- A to mi poprawiło samopoczucie.

Nelson westchnął dramatycznie, po czym oparł się wygodnie i zaczął oglądać mecz. Od czasu naszej rozmowy w sali do muzyki czułam do niego dużo sympatii i miałam nadzieję, że jego długotrwałe zabiegi, by zdobyć uczucie Tiny, zakończą się sukcesem. Tina nie zachęcała go do tego zanadto.

- Zed ma dziś dobry dzień - zauważył Nelson, kiedy pierwszy pałkarz został zbity.

- O tak. - Tina nieuważnie poczęstowała go garścią popcornu, zbyt zaabsorbowana grą, by pamiętać, że jest na niego obrażona.

- Wciąż patrzy na tę część trybun między boiskami, prawda? - Nelson upił łyk z puszkii Tiny.

- Zastanawiam się dlaczego - stwierdziła Zoe niewinnie, ale jej chichot popsuł efekt.

- On nawet nie wie, że tu jestem. - Zarumieniłam się, kiedy zdałam sobie sprawę, że w ten sposób przyznałam, że jestem powodem jego zainteresowania.

Nelson skrzyżował nogi obok nóg Tiny.

- On wie, złotko, on wie.

- Poczekaj chwilę. - Zoe zrobiła mi zdjęcie telefonem. - Chcę zatrzymać tę chwilę dla potomności. Dziewczyna, która przykuła uwagę wielkiego Zeda. Żadnej z nas, miejscowych, to się nie udało. - Pokazała mi zdjęcie do aprobaty; skorzystała z aplikacji, żeby dodać mi koronę na głowie, ale wciąż wyglądałam tylko trochę lepiej niż na szkolnym identyfikatorze. - On umawia się tylko z dziewczynami spoza miasta. Wydaje mi się, że tam jest jedna z jego byłych, Hannah coś tam, kapitan cheerliderek drużyny Aspen.

Poczułam kompletnie irracjonalne uczucie zazdrości. Dziewczyna miała cudowne, długie nogi i burzę lśniących, kasztanowych włosów - całkowite przeciwieństwo mnie. Kibicowanie, które uznałam za ośmieszające, w jej wykonaniu było bardzo seksowne. Miałam tylko nadzieję, że Zed tego nie zauważył.

Oczywiście, że tak. W końcu był facetem, no nie? Może sobie na nią patrzeć, ile chce.

Tina, Nelson i Zoe wciąż dyskutowali o moim życiu miłosnym, podczas gdy ja zagubiłam się w moich snach na jawie.

- To, że jest z Anglii, a nie z nudnego Wrickenridge, jest prawdopodobnie wystarczająco egzotyczne dla Zeda -spekulowała Tina.

Po raz pierwszy ktoś zasugerował, że moje angielskie pochodzenie jest zaletą. Próbowałam wtopić się w otoczenie, ale może wyróżnianie się było jednak pozytywne?

- Myślę, że lepiej by było, gdyby zostawił Sky w spokoju

- stwierdził Nelson, odkrywając swoją opiekuńczą stronę.

Teraz, kiedy poznałam go lepiej, rozważałam obsadzenie go w roli Doktora Obrońcy.

Tina skinęła głową.

- Tak, lepiej sprzymierzmy się przeciwko niemu i trzymajmy ją z dala od niego.

Zoe trąciła ją swoim programem.

- Co takiego? Mielibyśmy popsuć zabawę? Pomyśl tylko

- Zed umawiający się z dziewczyną z Wrickenridge. To byłaby najbardziej ekscytująca rzecz, która się tu wydarzyła od czasów gorączki złota.

- A ty nigdy nie przesadzasz - odparła Tina śmiertelnie poważnie.

- Nigdy!

- Przepraszam, ale ja tu jestem, wiecie? Miło, że planujecie moje życie miłosne albo jego brak, ale może ja też mam swoje zdanie - odezwałam się, na wpół rozbawiona, na wpół zrozpaczona.

Tina poczęstowała mnie popcornem.

- I jaka ona jest?

- Tak naprawdę nie mam pojęcia - ale pracuję nad odpowiedzią. Jak już mówiłam, Zed i ja nigdy nie będziemy razem. Ja go nawet nie lubię.

Zoe przewróciła oczami.

- Sky, nie musisz go lubić. Musisz się tylko z nim umówić - raz albo dwa wystarczy. To ustawi twoją reputację na resztę życia.

- Co takiego? Mam go wykorzystać?

- O tak.

- Zoe, to okropne.

- Wiem. Niezła jestem, co?

Kibice wydali okrzyk podekscytowania, kiedy do gry wszedł drugi gracz.

Zoe skoczyła na nogi i wykonała mały taniec zwycięstwa.

- Może ten chłopak ma swoje wady, ale jest przystojny jak nie wiem co! Trener się zabije, jeśli nie uda mu się przekonać go do stypendium.

Nelson gwizdnął.

- Zed musi je przyjąć: jest za dobry, żeby zmarnować swój talent.

Ale wówczas coś się zmieniło. Dostrzegłam to w wyrazie twarzy Zeda. Jego zamyślane spojrzenie wyostrzyło się, sprawiając, że stał się bardziej obecny, bardziej jak inni zawodnicy. Jego rzuty ze wspaniałych stały się po prostu bardzo dobre. Następnemu pałkarzowi udało się go prawie wyeliminować. Uczniowie Wrickenridge jęknęli.

- On zawsze to robi - poskarżyła się Zoe - zachodzi tak daleko, a potem się wycofuje. Prawie pokonał Aspen, a teraz...

A teraz Aspen odzyskiwało przewagę. Zed wzruszył ramionami, po czym zwolnił miejsce koledze z drużyny, pozostawiając mu honor skończenia z Aspen.

Mógł to zrobić. Czułam to w kościach. Zed mógł ich wykończyć, ale wolał się wycofać. Jak powiedziała Zoe, to mogło doprowadzić do rozpaczy.

- Czemu on to robi? - zastanowiłam się głośno.

- Co robi? - Tina zmieniła program i wrzuciła go do kosza. - Cofa się przed rzezią?

Pokiwałam głową.

- Traci zainteresowanie. Może mu na tym nie zależy. Nauczyciele wciąż mu powtarzają, że jest zbyt arogancki, żeby popracować nad swoją nierównością.

- Może.

Ale nie byłam tego pewna. Grał dobrze, ale jestem pewna, że było tam dodatkowe dno, o którym inni nie wiedzieli. On celowo nie grał tak dobrze, jak by mógł. Chciałabym wiedzieć, dlaczego.

Wrickneridge pokonało Aspen, ale bohaterem meczu został członek przeciwnej drużyny. Zed wmieszał się w tłum dookoła kapitanów, nie szukając niczyjej uwagi. Przyjął entuzjastyczny uścisk od Hannah o długich nogach, ale prędko się z niego wyswobodził i zaczął ścisnąć ręce przeciwnej drużyny. Ja sama grałam tylko po to, by być częścią czegoś - dlatego wolałam orkiestrę od gry solowej - ale jego niechęć, by się wyróżnić, uderzyła mnie, jako nienaturalna. Mógłby być solistą, ale wybierał drugie skrzypce.

- Odwieźć cię do domu? - zaproponowała Tina. - Podwożę Zoe i Nelsona.

Pozostali mieszkali na przeciwnym końcu miasta, a Tina zawsze podwoziła mnie do szkoły i odwoziła do domu. Poza tym miała tylko dwa miejsca - nie tylko byłoby nam ciasno, ale byłoby to nielegalne. Poza tym nie zaszkodziłoby, gdyby podwoziła najpierw Zoe, a potem została sama z Nelsonem...

- Nie trzeba. Przejdę się. Muszę zrobić zakupy dla Sally.

- OK. Do zobaczenia jutro.

Samochody stały w kolejce przy wyjeździe z parkingu. Odsunęłam się, by przepuścić autobus z drużyną Aspen, który jechał szerokim łukiem, żeby skręcić w ulicę. Kiedy przejechał, ruszyłam przed siebie, zostawiając za sobą tłum. Im dalej szłam, tym było ciszej. Minęła mnie pani Hoffman, jadąca w dół wzgórza - Bezlitosny Sędzia wyruszający na misję, w poczuciu własnej ważności świecąca delikatnie na niebiesko. Przetarłam oczy i, na szczęście, pani Hoffman znów wyglądała zwyczajnie. Pomachała do mnie, ale na szczęście była po drugiej stronie chodnika i nie musiałam zatrzymywać się na pogawędkę. Mechanik Kingsley minął mnie swoją ciężarówką i zatrąbił na przywitanie.

W sklepie Leanne, dobrze zbudowana sprzedawczyni, którą od czasu zajścia z sosem koperkowym zdążyłam lepiej poznać, pakując moje zakupy, przemaglowała mnie z przebiegu meczu. Wciąż mnie zaskakiwało, jak bardzo miejscowych obchodzi los szkolnej drużyny. Traktowali ją, jakby chodziło o Manchester United, a nie o grupkę nastoletnich amatorów.

- Jak ci się podoba szkoła? - Leanne ostrożnie zapakowała jajka na samą górę torby.

- Jest w porządku. - Złapałam z półki nowy komiks i wrzuciłam go do koszyka. Moi rodzice gardzili komiksami - pewnie dlatego ja tak bardzo je lubiłam.

- Słyszałam o tobie miłe rzeczy, Sky. Masz reputację niezwykle uroczej osoby. Pani Hoffman bardzo cię polubiła.

Tak, na niebiesko, jeśli wierzyć mojemu szurniętemu mózgowi.

- Och, ona jest... no...

- Nie do powstrzymania. Jak pocisk samosterujący. Ale lepiej, żeby była po twojej stronie niż przeciwko tobie - stwierdziła Leanne rozsądnie, po czym wypchnęła mnie ze sklepu. - Wracaj do domu, zanim zrobi się ciemno, słyszysz?

Cienie kładły się na drodze, jak ogromne plamy atramentu wsiąkające w ziemię. Było mi zimno w mojej lekkiej kurtce, więc przyspieszyłam kroku. Wrickenridge było podatne na nagłe zmiany pogody - tak to już jest w górskich miejscowościach. Było to podobne do mieszkania w Richmond w sąsiedztwie pewnego staruszka, który był bardzo kłótliwym człowiekiem. Nigdy nie wiedziałam, kiedy jego nastrój się zmieni - w jednej chwili obdarzał mnie dobrodusznym uśmiechem, w drugiej obsypywał mnie gradem obelg. W tej chwili zaczął padać deszcz ze śniegiem, pokrywając chodnik płatami wielkości monety, przez co zrobiło się bardzo ślisko.

Kiedy skręciłam w spokojną uliczkę, usłyszałam, że ktoś za mną biegnie. Pewnie tylko ktoś uprawiał jogging, ale i tak puls przyspieszył mi ze zdenerwowania. W Londynie byłabym bardzo przejęta, ale Wrickenridge nie wyda-

wało się miejscem, po którym grasowaliby bandyci. Ścisnęłam rączki torby z zakupami, planując w razie potrzeby użyć jej jako broni.

- Sky! - Czyjaś ręka złapała mnie za ramię. Z wrzaskiem zamachnęłam się torbą - i zobaczyłam, że stoi za mną Zed. Złapał torbę, zanim zdążyła go uderzyć.

- Przez ciebie omal nie dostałam zawału! - Przycisnęłam rękę do serca.

- Przepraszam. Myślałem, że mówiłem ci, żebyś uważała, kiedy wracasz do domu po ciemku.

- Chcesz powiedzieć, że może napaść na mnie jakiś chłopak i przerazić mnie na śmierć?

Uśmiechnął się nieznacznie, przypominając mi o swoim alter ego - Wilkołaku.

- Nigdy nic nie wiadomo. W górach mieszkają różni ludzie.

- No cóż, z pewnością udowodniłeś, że masz rację. Uśmiech stał się szerszy.

- Daj mi to, poniosę. - Zabrał mi torbę z ręki. - Odprowadzę cię do domu.

Co się dzieje? Przeszedł przeszczep charakteru?

- Nie trzeba.

- Ale ja chcę.

- I zawsze dostajesz to, czego chcesz?

- Prawie zawsze.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. W głowie szukałam bezpiecznych tematów, ale wszystko, co przychodziło mi na myśl, wydawało się nudne. Nie czułam się pewnie tak blisko niego po tym, co sobie na jego temat wyobrażałam - nie byłam pewna, czy zamierza mnie poturbować, czy będzie miły.

On pierwszy przerwał ciszę.

- To kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, że jesteś sawantką?

Świetny początek rozmowy.

- Czym jestem?

Zatrzymał mnie pod lampą uliczną. Płatki śniegu z deszczem przefruwały przez pole światła, po czym znikwały w ciemnościach. Zed podniósł kołnierz mojej kurtki.

- Musisz zdawać sobie sprawę, że to niesamowite. -Utkwił we mnie oczy o intrygującym kolorze, nie pasującym do jego latynoskiej urody. Umieściłabym je gdzieś pomiędzy niebieskim a zielonym. Barwa rzeki Eyrie w słoneczny dzień.

Nie rozumiałam, co chciały mi powiedzieć.

- Co jest niesamowite?

Roześmiał się głębokim, gardłowym śmiechem.

- Rozumiem. Chcesz mnie ukarać za to, że zachowywałem się jak dupek. Ale musisz zrozumieć, że nie wiedziałem, że to ty. Myślałem, że ostrzegam jakąś lekkomyślną Angielkę przed zbirami.

Odsunęłam jego ręce od mojego kołnierza.

- O czym ty mówisz?

- Kilka dni przed tym, jak spotkaliśmy się w mieście duchów, miałem widzenie - ty też je miewasz?

Ta rozmowa była więcej niż dziwna. Potrząsnęłam głową.

- Ty biegłaś ciemną ulicą, były tam noże, krzyki i krew. Musiałem cię ostrzec, na wszelki wypadek.

OK. Myślałam, że to ja mam problem ze sobą, ale on był naprawdę nienormalny. Muszę trzymać się od niego z daleka.

- Um... Zed, dzięki, że się o mnie martwisz, ale teraz muszę już wracać do domu.

- Jasne, nie ma mowy. Sky, jesteś moją przeznaczoną, moim partnerem - nie możesz tak po prostu sobie pójść.

- Nie mogę?

- Musiałaś też to poczuć. Wiedziałem to od razu, kiedy mi odpowiedziałaś - miałem wrażenie, jakby uniosła się jakaś mgła. Naprawdę cię *widziałem*. - Przesunął palcem po moim policzku. Zadrżałam. - Wiesz, jakie mieliśmy szanse na to, że się odnajdziemy?

- Hej! Jak mnie nazwałeś? Przeznaczoną?

- Tak. - Uśmiechnął się i przyciągnął mnie bliżej. - Już nie będziemy żyć niepełnym życiem. Zabrało mi kilka dni, zanim otrząsnąłem się z wrażenia. Chciałem z tobą porozmawiać, zanim oznajmię tę wiadomość mojej rodzinie.

Musiał się ze mnie nabijać. Położyłam ręce na jego piersi i odepchnęłam go.

- Zed, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Ale jeśli spodziewasz się, że... nie wiem, czego się spodziewasz, ale to się nie stanie. Nie lubisz mnie, a ja nie lubię ciebie. Daj sobie spokój.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- *Daj sobie spokój?* Sawanci czekają całe życie, żeby znaleźć swoją połowę, a ty myślisz, że mogę po prostu dać sobie spokój?

- Czemu nie? Ja nawet nie wiem, kim są sawanci! Uderzył się w pierś.

- Ja nim jestem. - Tknął mnie palcem. - Ty też. Twój dar, Sky - to dzięki niemu jesteś sawantką. To chyba rozumiesz.

Wymyślałam różne głupoty, ale to było coś, na co nigdy bym nie wpadła. Cofnęłam się o krok.

- Oddaj mi torbę, proszę.

- Co? To wszystko? Dokonaliśmy najbardziej oszałamiającego odkrycia w życiu, a ty zamierzasz pójść do domu?

Rozejrzałam się szybko, mając nadzieję, że kogoś zobaczę. Choćby panią Hoffman. A najlepiej moich rodziców.

- No... tak. Na to wygląda.

- Nie możesz!

- Tylko popatrz.

Wyjęłam mu torbę z ręki i przebiegłam kilka ostatnich metrów do domu.

- Sky, nie możesz tego zignorować! - Stał pod latarnią ze śniegiem we włosach, z rękoma zaciśniętymi w pięści. - Jesteś moja - musisz być.

- Nie. Nie muszę. Zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Tej nocy nie mogłam spać. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się między mną a Zedem. Arom gancki dupek. Myślał, że może po prostu oznajmić, że jestem jego, a ja rzucę się w jego ramiona. Mógł mi się podobać, ale to nie oznaczało, że go lubię. Był oziębły, gwałtowny i nieuprzejmy. Zdominowałby mnie w pięć minut, gdybym była na tyle głupia, żeby się z nim umówić.

A co do historyjki o przeznaczonych - no cóż, to było dziwaczne.

I kto to jest sawant, do cholery?

Wstałam z łóżka i włożyłam szlafrok, zbyt zdenerwowana, żeby leżeć w łóżku i wciąż od nowa odtwarzać w myślach naszą rozmowę. Nie rozumiałam wielu rzeczy, ale byłam zbyt przestraszona, żeby prosić o wyjaśnienie. Ta historia o widzeniu przyprawiła mnie o gęsią skórkę -i prawie mu uwierzyłam. Ale nie chciałam zmieniać swojego życia tylko dlatego, że jakiemuś chłopakowi przyśniło się, że coś może mi się stać. I co dalej? Powiedziałyby, że mam ubierać się tylko na pomarańczowo albo że może przejechać mnie autobus? Poszłabym do szkoły, wyglą-

dając jak mandarynka, tylko dlatego, że on mi tak kazał? Nie, to wszystko była intryga, uknuta po to, żebym robiła to, co on chce. To znaczy co?

Poczułam mrowienie na karku. Rosło we mnie przekonanie, że nie jestem sama. Zdenerwowana, podeszłam do okna i gwałtownie odsłoniłam zasłonę, w głowie słysząc głośną, psychodeliczną muzykę.

Matko Boska! - Serce podeszło mi do gardła. Stałam twarzą w twarz z Zedem. Musiałam dosłownie ugryźć się w język, żeby nie wrzasnąć. Zed wspiał się na jabłoń i siedział okrakiem na gałęzi przed moim oknem.

- Co ty tu robisz? - wysyczałam. - Zejdź i idź sobie.

- Zaproś mnie do środka. - Przesunął się do przodu na gałęzi.

- Przestań - natychmiast zejdź! - Spanikowana, zaczęłam się zastanawiać, czy powinnam zawołać Simona.

- Nie, nie wołaj taty. Muszę z tobą porozmawiać. Zamachałam rękami.

- Idź sobie! Nie chcę ciebie tutaj.

- Wiem. - Zrezygnował z pomysłu wchodzenia siłą do mojego pokoju. - Sky, czemu nie wiesz, że jesteś sa-wantką?

Rozważyłam zatrzaśnięcie okna na tę dziwną parodię sceny z *Romea i Julii*.

- Nie mogę odpowiedzieć, kiedy nie rozumiem pytania.

- Słyszałaś, jak do ciebie mówię - w twojej głowie. Ty nie poszłaś po prostu za moją podpowiedzią. Usłyszałaś moje słowa.

-Ja...

Odpowiedziałaś mi.

Popatrzyłam na niego. Znowu to robił - czy to się nazywało telepatia? Nie, nie, to tylko projekcje - to się nie dzieje naprawdę.

- Wszyscy sawanci to potrafią.

- Ja nic nie słyszę. I nie rozumiem, o czym mówisz.

- Widzę i muszę wiedzieć, dlaczego.

Byłam zagubiona. Jediną strategią, jaka przyszła mi na myśl, było zaprzeczanie. Musiałam pozbyć się go z mojej jabłoni.

- Jestem pewna, że to fascynujące, ale jest późno, a ja chcę spać. Więc... dobranoc, Zed. Porozmawiamy później.

- Czyli nigdy.

- Nawet mnie nie wysłuchasz? - Skrzyżował ramiona.

- Czemu miałabym to zrobić?

- Bo jesteś moją przeznaczoną.

- Przestań. Nie rozumiem cię. Jesteś dla mnie nikim. Jesteś nieuprzejmy, oziębły, nawet mnie nie lubisz i wykorzystywałeś każdą okazję, żeby mnie krytykować.

Wsadził ręce do kieszeni.

- A więc takie masz o mnie zdanie? Skinęłam głową.

- Może to jest, czy ja wiem, twoja najnowsza intryga, która ma na celu upokorzenie mnie - to udawanie, że mnie chcesz.

- Naprawdę mnie nie lubisz, co? - Roześmiał się głucho.

- Wspaniale, moja przeznaczona zupełnie mnie nie rozumie.

Założyłam ręce, by ukryć, że cała się trzęsę.

- Co tu jest do rozumienia? Drani dość łatwo przejrzeć. Sfrustrowany moimi powtarzającymi się odpowiedziami, wykonał ruch w moim kierunku.

Cofnęłam się o krok.

- Zejdź z mojego drzewa. - Trzęsącym się palcem wskazałam na bramę.

Ku mojemu zaskoczeniu nie odmówił, tylko przypatrzył się mojej twarzy, po czym skinął głową.

- Dobrze. Ale to nie koniec, Sky. Musimy porozmawiać.

- Wynoś się.

- Idę sobie. - Z tymi słowy zeskoczył na ziemię i zniknął w ciemnościach.

Wydałam pełen ulgi szloch i zatrzasnęłam okno, po czym opadłam na łóżko. Owinęłam się ciasno kołdrą i zwinęłam w kłębek, zastanawiając się, co tak naprawdę mi się przytrafiło.

I co zamierzam z tym zrobić.

Tej nocy znów przyśnił mi się ten sen, ale tym razem było w nim więcej szczegółów. Przypomnił mi się głód -przez wiele dni nie miałam do jedzenia nic poza chipsami i czekoladą. Było mi od nich niedobrze. Miałam brudne kolana i włosy potargane na tym boku, na którym lubiłam leżeć w nocy. Drapało mnie w gardle, a wargi miałam opuchnięte po wewnętrznej stronie, tam gdzie zostały rozcięte. Siedziałam na krawędzi trawnika. Wewnątrz nie czułam nic, tylko strach, wzbierające w żołądku uczucie paniki, które mogłam pokonać, tylko licząc stokrotki. Były takie białe, nawet w ciemnościach, ze złożonymi płatkami, świeciły na tle trawy. Obejmowałam kolana, próbując zamknąć się tak jak one.

Nie lubiłam tamtego zapachu - psów, spalin i odpadów. I ogniska. Nienawidziłam ognia. Ryk autostrady trwał nieustająco; silniki warczały wściekle, dokądś pędziły; nie było tu miejsca dla zagubionej, małej dziewczynki.

Czekałam.

Potem sen się zmienił. Tym razem nie przyszła do mnie kobieta w chustce na głowie, tylko Zed. Staął nade mną i wyciągnął rękę.

- Jesteś moja - powiedział. - Przyszedłem, żeby cię zażądać.

Obudziłam się z bijącym sercem, kiedy zza gór wstawało słońce.

Następnych kilka dni w szkole przypominało powolną torturę. W porównaniu do pierwszych tygodni, w czasie których rzadko go widywałam, teraz natykałam się na Zeda na każdym rogu. Czułam jego ponure spojrzenie, kiedy przechodziłam przez jadalnię albo przez korytarz. Błagałam Tinę, żeby podwoziła mnie do domu i nawet odwiedzałam panią Hoffman, kiedy wracałam, żeby nie być sama w domu. Zed zrobił ze mnie więźnia. Co innego było marzyć z daleka o Wilkołaku, a co innego zorientować się, że cię namierzył.

W sobotę wcześniej rano rozległo się pukanie do drzwi. Simon i Sally wciąż spali, więc poszłam otworzyć, z kubkiem herbaty w dłoni, spodziewając się, że to jakaś dostawa do pracowni.

Za drzwiami stał Zed z wielkim bukietem kwiatów w ręku. Wyciągnął go do mnie, zanim zdążyłam zatrzaskać przed nim drzwi.

- Zacznijmy od początku. - Wyciągnął rękę. - Cześć. Jestem Zed Benedict, a ty?

Mocowałam się z kwiatami - były w moich ulubionych kolorach, purpurowym i niebieskim.

- No dalej, to łatwa część: „Jestem Sky Bright i jestem z Anglii” - powiedział to z tak śmiesznym akcentem, że część moich oporów ustąpiła i miałam ochotę parsknąć śmiechem.

- Ja tak nie mówię.

- Pewnie, że tak. No dalej.

- Cześć. Jestem Sky Bright. Jestem z Richmond, w Anglii.

- A teraz mówisz: „Ojej, jakie piękne kwiaty. Może wejdiesz i napijesz się filiżanki herbaty?”.

Ten akcent musi zniknąć. Zerknęłam przez ramię, zastanawiając się, czy Sally albo Simon nie zejść na dół.

- Śpią. - Zed skinął głową w kierunku wejścia. - No więc?

- No cóż, to są piękne kwiaty. - Może naprawdę musimy porozmawiać. Tutaj lepiej niż w szkole. Odsunęłam się na bok. - Kawy? - Nie wydawał się osobą, której mogłaby smakować herbatka PG Tips.

- Skoro nalegasz. - Uśmiechnął się, nieco nerwowo jak na niego, i wszedł do środka.

- Chodź do kuchni. - Zająłam się włączaniem czajnika i szukaniem wazonu na kwiaty. - Po co przyszedłeś?

- Czy to nie oczywiste? Popsułem sprawę. Chcę cię przeprosić.

Wsadziłam kwiaty do wody.

- To dobry początek. - Właściwie po raz pierwszy dostałam od kogoś kwiaty. Za dnia byłam mniej zdenerwowana, wiedząc, że moi rodzice są na górze. Dam sobie radę z tą rozmową, jeśli faktycznie chce mnie przeprosić. Tina prawdopodobnie uznałaby to za rzecz godną pokazania w wiadomościach, gdyby wiedziała, że wielki Zed Benedict zniżył się do przeproszenia jakiejś dziewczyny.

Zed bawił się ekspresem francuskim.

- Jak to działa?

Wyjęłam mu go z rąk i pokazałam, jak dużo kawy trzeba wsypać.

- Nie czujesz się pewnie w kuchni?

- Mam samych braci - odpowiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. - Mamy ekspres do kawy - świetnie sobie radzi z filtrowaniem kawy.

- I nazywa się twoja mama. Roześmiał się.

- Nie ma mowy. Wszyscy w domu jej nadskakują.

OK, jest w porządku. Prowadzimy normalną rozmowę o zwyczajnych sprawach.

Zed sięgnął po kubek i usiadł przy barku śniadaniowym.

- Powiedz mi coś o sobie. Ja gram na perkusji i na gitarze. A ty?

- Pianino, saksofon, gitara.

- Widzisz, możemy rozmawiać tak, że cię nie przerażam.

-Tak... - Zerknęłam na niego; obserwował mnie jak

niedźwiedź przykucnięty nad przereblem, w gotowości, żeby wyłowić łososa. - A ty... lubisz każdą muzykę czy tylko jazz?

- Każdą, ale chcę mieć możliwość improwizacji. - Poklepał miejsce na ławie koło siebie. Usiadłam, utrzymując odstęp między nami. - Lubię odciąć się od tego, co powinno być w utworze. Dla mnie to jak wolny skok z nutami zamiast spadochronu.

- Ja też to lubię.

- To muzyka muzyków. Nie tak bezpośrednia, jak inne rodzaje, ale warto się w nią zaangażować. - Spojrzał na mnie, jakby dając do zrozumienia, że za tymi słowami kry-

je się inne, głębsze znaczenie. - Chcę powiedzieć, że musisz być naprawdę pewna siebie, żeby odważyć się na solową improwizację i nie zrobić z siebie głupka. Każdy może się pomylić, kiedy za szybko się na coś decyduje.

- Pewnie tak.

- Naprawdę nie wiedziałaś.

O Boże, znów miał zamiar mówić o tych sawantach. Pokręcił głową.

- I nie masz pojęcia, dlaczego cię wtedy ostrzegałem. Myślisz, że próbowałem cię przestraszyć.

- A nie próbowałeś? Mówiłeś coś o nożach i krwi.

- Nie chciałem, żebyś to tak odebrała. - Musnął kciukiem swoją dłoń zaciśniętą na stole między nami. - Zabawnie tak z tobą siedzieć. Dostaję od ciebie tyle informacji, jakbyś nadawała na wszystkich częstotliwościach.

Zmarszczyłam brwi.

- To znaczy?

Wyciągnął swoje długie nogi, delikatnie trącając moje.

- Trudno to wyjaśnić. Przepraszam, że byłem niemiły.

- Niemiły? Myślałam, że to po prostu reakcja alergiczna na Angielki niewielkich rozmiarów.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Taka właśnie jesteś?

- No... tak. - Spuściłam wzrok. - Wciąż czekam na ten okres gwałtownego wzrostu, który Sally obiecuje mi, od kiedy skończyłam czternaście lat.

- Masz idealny wzrost. Pochodzę z rodziny sekwoi. Bonsai to miła odmiana.

Bonsai! Gdybym znała go lepiej, dostałby za to kuksańca. Ale byłam zbyt nieśmiała i udałam, że tego nie usłyszałam.

- Więc nie zamierzasz wyjaśnić, o co ci chodziło?

- Nie dzisiaj. Już raz to popsulem; nie zamierzam ryzykować po raz drugi i za bardzo się spieszyć. To zbyt ważne. - Wziął moją rękę i uderzył się nią pod żebra. - Proszę -zasłużyłem na to.

- Jesteś nienormalny.

- Tak, to właśnie ja. - Ale nadal nie wyjaśnił, skąd wiedział, że to właśnie chciałam zrobić.

Zed puścił moją rękę.

- OK, teraz sobie pójdę. Nie chcę kusić losu. Miło było cię poznać, Sky. Do zobaczenia.

Nie ufałam temu nawróconemu chuliganowi, ale Zed najwyraźniej nie zamierzał na tym skończyć. W poniedziałek po szkole czekał na mnie przy samochodzie Tyny.

- Cześć, Tina, jak leci?

Tina popatrzyła na niego, a potem na mnie i uniosła brwi.

- W porządku, Zed. A u ciebie?

- Świetnie. Sky, jedziemy do domu? - spytał, wyciągając do mnie kask.

- Tina mnie podwozi.

- Jestem pewien, że nie będzie jej przeszkadzało, jeśli ja to zrobię. Chcę być pewien, że Sky dotrze do domu, Tina, zgadzasz się?

Tina wyglądała, jakby nie chciała się zgodzić, między innymi dlatego, że ufała Zedowi nie bardziej niż ja.

- Obiecałam Sky, że ją odwiozę. Zed podał mi kask.

- Proszę?

Zed Benedict powiedział „proszę”. Piekło zamarzło. I proponował, że spełni jedną z moich osobistych fantazji: być

podwieziona ze szkoły do domu na motocyklu. Wiedziałam, że to trochę stereotypowe, ale i tak było super.

- Sky? - spytała Tina, zaniepokojona. Stwierdziłam, że takie uniżenie powinno być wynagrodzone.

- W porządku. Dzięki, Tina. Pojadę z Zedem. - Wzięłam kask.

- Jeśli jesteś pewna. - Związała dredy w kucyk. To znaczyło, że czuje się niezręcznie.

Nie byłam pewna.

- Do zobaczenia jutro.

- Jasne. - Jej ostatnie spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że wydobędzie ze mnie wszystko, co wydarzy się, kiedy nas zostawi.

Zed poprowadził mnie do swojego motocykla. Przyciągaliśmy dość dużo zdumionych spojrzeń przechodzących uczniów.

- Nigdy przedtem nie jeździłam motocyklem - przyznałam, kiedy usiadłam za nim.

- Po prostu mocno się trzymaj.

Nie widziałam jego twarzy, ale mogłabym przysiąc, że się uśmiecha. Przesunęłam się do przodu i objęłam go w pasie, nogami muskając jego biodra. Wyjechał z parkingu i skręcił pod górę. Kiedy dodał prędkości, objęłam go mocniej. Poczulałam krótkie dotknięcie jego ręki na mojej, jakby chciał dodać mi otuchy.

- Wszystko w porządku? -Tak.

- Chcesz pojechać trochę dalej? Mogę zabrać cię w góry. Jeszcze przez pół godziny będzie jasno.

- Może tylko kawałek.

Minał przecznice prowadzącą do mojego domu i pojechał prosto. Droga przeszła w górską serpentynę. Było tu niewiele domów, tylko kilka domków myśliwskich i parę samotnych chatek. Przed nami na horyzoncie zachodziło słońce, oświetlając wszystko złotym światłem, które mimo niskiej temperatury dawało złudzenie ciepła.

Zed zaparkował motor, pomógł mi zejść i przez kilka minut pozwolił mi w spokoju podziwiać widoki. W zacienionych miejscach nadal trzymał nocny przymrozek. Liście o białych krawędziach trzeszczały pod nogami. Widziałam miejsca odległe o całe mile - góry, których obecność ignorowałam przez cały dzień, z całą siłą wracały do mojej świadomości, przypominając mi o tym, jak mało znaczę w porównaniu z nimi.

- Jak ci minął dzień, Sky?

Takie zwyczajne pytanie z ust Zeda mnie zaskoczyło: czyżby Wilkołak zmieniał się w pieska kanapowego? Chyba nie. Trudno było mu zaufać, kiedy zachowywał się tak normalnie.

- W porządku. Komponowałam sobie w porze lunchu.

- Widziałem cię przy pianinie.

- I nie wszedłeś do środka?

Roześmiał się i wyciągnął ręce w geście obronnym.

- Jestem ostrożny. Bardzo, bardzo ostrożny. Boję się ciebie.

- Mnie?

- Tylko pomyśl. Atakujesz mnie na parkingu w obecności moich kolegów, bronisz mój najlepszy strzał, wyganiaasz ze swojej jabłoni - o tak, jesteś przerażająca.

Uśmiechnęłam się.

- Podoba mi się to.

Super-Sky.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Chyba nie zgadł, o czym pomyślałam?

- Ale najbardziej przeraża mnie to, że tak wiele zależy od naszej relacji, a ty nawet o tym nie wiesz.

Westchnęłam głęboko.

- OK, Zed, spróbuj mi to jeszcze raz wyjaśnić. Tym razem cię wysłucham.

Skinął głową.

- Pewnie nie wiesz nic o sawantach?

- Więcej wiem o piłce nożnej. Wybuchnął śmiechem.

- W takim razie na początek podam ci tylko podstawowe informacje. Usiądźmy na chwilę. - Podniósł mnie, żebym mogła usiąść na przewróconym pniu drzewa, a sam oparł się o niego, tak że nasze twarze były na tym samym poziomie. Nie byliśmy tak blisko siebie od czasu spływu. Nagle zdałam sobie sprawę, że jego oczy uważnie mi się przypatrują. Miałam wrażenie, jakby to jego palce dotykały mojej skóry. - Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć? Bo jeśli ci powiem, będę musiał cię poprosić, żebyś utrzymała to w tajemnicy, dla bezpieczeństwa mojej rodziny.

- Komu miałabym powiedzieć? - spytałam bez tchu.

- Nie mam pojęcia. Może jakiemuś tabloidowi. Może Oprah. Komisji Kongresu - wymienił z kpiącym wyrazem twarzy.

- Yyy, nie, nie i stanowczo nie - odparłam ze śmiechem, odliczając na palcach.

- No to OK. - Uśmiechnął się i odgarnął mi kosmyk włosów z czoła. Miał w sobie coś niezwykle intensywnego, jakby nieustannie trzymał się na wodzy. Trochę zdenerwo-

wana, spróbowałam nabrać do tego dystansu przy pomocy jednej z moich sztuczek i przeobrazić to spotkanie w jedną z historyjek komiksowych, ale odkryłam, że nie potrafię. Zed sprawił, że musiałam zostać tu i teraz, całkowicie skupiona na nim. Kolory - jego włosy, oczy, ubrania - nie były krzykliwe, ale subtelnie skrzyły się wieloma odcieniami. W mojej głowie świat przełączył się na inną rozdzielczość.

- Sawanci. Ja jestem jednym z nich. Cała moja rodzina to sawanci, ale ja dostałem większą dawkę, bo jestem siódmym synem. Moja mama też jest siódmym dzieckiem w rodzinie.

- I wy macie gorzej?

Mogłam policzyć każdą rzęsę obramiającą jego piękne oczy.

- Tak. Efekt się potęguje. Dar sawantów jest jak dodatkowy bieg w samochodzie. Sprawia, że możesz jechać szybciej i dalej niż normalni ludzie.

-Aha. OK.

Ręką zataczał delikatne koła na moim kolanie, żeby mnie uspokoić.

- To znaczy, że możemy rozmawiać ze sobą telepatycznie. Ludzie, którzy nie mają genu sawantów, odbiorą to jako wrażenie, impuls, ale nie usłyszą głosu. Myślałem, że tak właśnie będzie, kiedy mówiłem do ciebie na boisku. Byłem zaskoczony, że mnie zrozumiałaś - a właściwie zszokowany.

- Dlaczego?

- Dlatego że to znaczyło, że ty też masz zdolność telepatii. A kiedy przeznaczony mówi coś w ten sposób do swojego partnera, to jakby w budynku zapaliły się wszystkie światła. Zapaliłaś mnie jak Vegas.

- Rozumiem. - Nie chciałam uwierzyć w ani jedno jego słowo, ale pamiętałam jego głos, który mówił mi, żebym dała unieść się prądowi, kiedy wypadłam z pontonu. Ale to musiał być przypadek - nie było innej możliwości.

Oparł swoją głowę o moją. Wykonałam ruch, żeby się odsunąć, ale dotknął palcami mojego karku i zatrzymał mnie delikatnie.

- Nie, nie odsuwaj się. Jest coś jeszcze.

Ciepło jego ręki przeniknęło mnie i odprężyło moje napięte mięśnie.

- Tego się spodziewałam.

- Kiedy masz urodziny?

A jaki to ma z tym wszystkim związek?

- Mmm... pierwszego marca. Czemu pytasz? Pokręcił głową.

- Coś tu nie pasuje.

- To dzień, w którym zostałam adoptowana.

- Aha, rozumiem. To dlatego. - Przesunął palcami po moich plecach i opuścił rękę na moją, złożoną na podołku. Zostaliśmy tak przez chwilę, w ciszy. Poczułam cień - czyjaś obecność w moim umyśle.

- Tak, to ja - powiedział. - Tylko sprawdzam. Pokręciłam głową.

- To niemożliwe, ja to sobie wyobrażam. Westchnął ciężko.

- Tylko sprawdzam fakty. Nie mogę pomylić się w czymś takim, jak moja przeznaczona. - Odsunął się. Wrażenie jego obecności osłabło, zostawiając mnie samą. - Teraz rozumiem. Przeszłaś przez ciemność, prawda?

Co miałam odpowiedzieć?

- Nie wiesz, kim są twoi biologiczni rodzice?

- Nie. - Znów byłam zdenerwowana. Moje nerwy kłębiły się we mnie jak robaki w zepsutym jabłku. Dowiadywał się o mnie za dużo. Dopuszczanie ludzi do siebie bolało - to musiało się skończyć.

- I nigdy nie wiedziałaś, że masz dar.

- To dlatego, że go nie mam. Jestem zwyczajna. Żadnych dodatkowych biegów - poklepałam się po głowie.

- Bo o nich nie wiesz. Ale one tam są. Widzisz, Sky, kiedy rodzi się sawant, gdzieś na ziemi, mniej więcej w tym samym czasie, rodzi się jego druga połowa. Może w domu obok, a może tysiąc mil od niego. - Splótł swoje palce z moimi. - Masz połowę naszych umiejętności, a ja drugą. Razem tworzymy całość. Razem jesteśmy dużo potężniejsi.

Przewróciłam oczami.

- Brzmi uroczo, jak piękna bajeczka, ale to nie może być prawda.

- Nie uroczo. Pomyśl: szansa, że spotkasz swoją drugą połowę, jest nikła. Większość z nas jest skazana na życie ze świadomością, że czeka na nich coś lepszego, ale nie mogą tego znaleźć. Moi rodzice należą do szczęśliwców; odnaleźli się dzięki mędrcom z rodziny mojego ojca, który miał dar znajdowania. Żaden z moich braci nie zlokalizował jeszcze swojej partnerki i każdy z nich się z tym zмага. To przygnębiające wiedzieć, że mogłoby się mieć więcej. Dlatego się pospieszyłem. Byłem jak wygłodniały człowiek na widok uczyty.

- A jeśli nigdy nie spotkają swoich przeznaczonych?

- To może skończyć się różnie - rozpaczą, złością, akceptacją. W miarę upływu lat staje się to coraz trudniejsze. Ja jeszcze nie zacząłem się tak naprawdę martwić. Jestem niewiarygodnie szczęśliwy, że ominęła mnie ta cała walka.

Nie chciałam wierzyć w jego historyjkę, wybrałam więc unik.

- Dla mnie to proste. Nie możecie uruchomić serwisu na facebooku albo innej stronie? I problem z głowy.

Uśmiechnął się kpiąco.

- Jakbyśmy o tym nie pomyśleli. Ale to nie chodzi tylko o urodziny, ale o to, kiedy nastąpiło poczęcie - to stwarza dużo więcej wariacji. Pomyśl, jak wielu ludzi na świecie rodzi się w dniu twoich urodzin albo bardzo blisko niego. Potem dodaj wcześniaki i dzieci urodzone po czasie. Musiałabyś odsiać tysiące osób. Sawanci są rzadkością - na każde dziesięć tysięcy ludzi rodzi się jeden. I nie każdy sawant mieszka w takim kraju jak ten, gdzie komputer jest w każdym domu. Może nawet nie mówić tym samym językiem.

- No tak, rozumiem. - Tak jakby, jeśli zamierzam kupić tę całą bajeczkę, a nie zamierzam.

Ujął mnie delikatnie pod brodę.

-Ale wbrew wszelkim oczekiwaniom, odnalazłem cię. Na boisku do piłki nożnej. Sky Bright z Richmond w Anglii. To było takie dziwne.

- Co to wszystko znaczy?

- To znaczy, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Na całe życie.

- Żartujesz? Pokręcił głową.

- Ale ja przyjechałam tu tylko na rok.

- Tylko na rok?

- Taki jest plan.

- A potem co? Wracasz do Anglii?

Wzruszyłam ramionami, udając spokój, którego nie czułam.

- Nie wiem. To zależy od Sally i Simona. Będzie trudno, bo *zaliczą* jeden rok tutaj, a w Anglii program jest zupełnie inny. Nie chcę zaczynać wszystkiego od nowa.

- Więc wymyślimy coś, żebyś została. Albo pojedę za tobą do Anglii.

- Naprawdę? - Byłam wyraźnie świadoma, że jego palce znowu splotły się z moimi. Nigdy nie wyobrażałam sobie, jak by to było trzymać się z chłopakiem za ręce. Było to miłe, ale jednocześnie trochę się tego bałam.

- No pewnie. To poważna sprawa. - Ścisnął mnie za rękę. - Żebyś nie uciekła gdzieś w dal.

- To znaczy?

Uniósł moją rękę i wsadził ją do kieszeni swojej kurtki. Palcami wciąż obejmował moje i pochylił się ku mnie, żeby spojrzeć na ten sam widok.

- Myślałem, że możesz się mnie trochę obawiać na początku, zanim lepiej mnie poznasz. Miłego mnie, nie mnie - dupka.

- Obawiać się?

- Wilkołak, pamiętasz? Ustawiaś mnie po stronie ciemności; widziałem to w twoich myślach.

Wiedział o Wilkołaku? Może zabijcie mnie od razu.

- Nie ma mowy, to słodkie. Wydałam z siebie jęk upokorzenia. Zachichotał. Był zachwycony moim zakłopotaniem, niech go diabli.

- Wiem, że czasem trudno jest ze mną rozmawiać - na przykład wtedy, kiedy spotkaliśmy się w mieście duchów... Przechodzę przez... - pokręcił głową. - Mam trudny okres. I czasami to wszystko mnie *przerasta*. Zbyt wiele ode mnie zależy.

OK, nie wierzyłam w przeznaczonych, ale nie mogłam zlekceważyć faktu, że Zed miał niespotykaną umiejętność odczytywania moich myśli.

- Nie wymyśliłeś tego? Ty coś robisz, prawda? - Myślałam o tym, że zdaje się wiedzieć, co powiem, zanim to powiem.

- Robię wiele rzeczy. - Słońce schowało się za horyzontem, a miodowe światło przybrało barwę starego złota. - Chciałbym zrobić coś z tobą, Sky. Jeśli będziesz chciała. Źle zrobiłem, że pospieszyłem się z nazywaniem cię moją przeznaczoną - musisz dojść do tego razem ze mną. W końcu mamy całe życie, żeby to ułożyć.

Przełknęłam ślinę. Tina mnie przed tym ostrzegła. Co mogło być bardziej kuszące niż chłopak, który mówił ci, że jesteś dla niego stworzona? To właśnie robili źli chłopcy, żeby nabrać te biedne dziewczyny w powieściach, prawda? Ale teraz nie byłam w stanie o tym myśleć; myślałam tylko o Zedzie, który patrzył na mnie taki... pełen nadziei.

- Jakie rzeczy?

Łagodnie przesunął dłonią po moim ramieniu i złapał mnie za drugą rękę.

- Wybrać się na przejażdżkę. Uśmiechnęłam się nieśmiało.

- Właśnie to zrobiliśmy.

- A więc mamy już pierwszą rzecz z listy. Potem możemy pójść do kina w Aspen albo na kolację we Wrickenridge, żeby wszyscy patrzyli się na nas przez cały wieczór.

- Kino brzmi nieźle.

- Ze mną?

Spojrzałam na niego.

- Mogę zaryzykować. Raz. Ale wciąż nie bardzo cię lubię.

- Rozumiem. - Skinął poważnie głową, ale jego oczy się uśmiechały.

- A ta historia o przeznaczonych - nie wierzę w to. Nie zostawia pola do wyboru. To jak zaaranżowane małżeństwo.

Skrzywił się.

- W takim razie na chwilę to zostawimy. Jeden krok na raz. Umówisz się ze mną?

Co powinnam odpowiedzieć? Lubiłam tego Zeda, tego, który przyniósł mi kwiaty i strzelał łatwe gole, żeby nowa dziewczyna w szkole nie czuła się upokorzona, ale nie zapomniałam złego, niebezpiecznego Wilkołaka. - OK, dam ci szansę.

Uniósł moje palce do swoich ust, uszczypnął je żartobliwie i puścił.

- A więc randka.

Spędziłam kilka następnych dni, zadrezczając się, czy podjęłam właściwą decyzję. Byłam oczywiście przejęta, że Zed zaprosił mnie na randkę. Zostałam zmanipulowana, żeby się zgodzić, to prawda, ale nie byłabym kobietą, gdyby nie pochlebiało mi jego zainteresowanie. Jak powiedziała kiedyś Zoe, każda żyjąca kobieta chciałaby zostać zaproszona na randkę przez któregoś z Benedictów. Mimo to nie chciałam podzielić się tą nowiną z moimi najbliższymi koleżankami, głównie dlatego, że nie mogłam uwierzyć, że to prawda. Podejrzywałam nawet, że wypowiedzenie tego głośno sprawi, że to zniknie, jak karoca Kopciuszka o północy. Martwiłam się też tym, co powiedziałyby Tina. Pewnie byłoby to coś w rodzaju: „czy ty postradałaś zmysły?”. Bałam się, że jeśli jej o tym powiem, przekona mnie, że Zed mną manipuluje, że wykorzysta mnie i porzuci, jak przystało na złego chłopaka. Chciałam wierzyć w nowego Zeda, w to, że źle go zrozumiałam, że potrafił być uprzejmy, że mieliśmy ze sobą coś wspólnego i że z czasem znajdziemy tego więcej. Ale musiałam też uwzględnić inne rzeczy: historię o sawantach

(czy to w ogóle była prawda?) i tę o przeznaczonych, na punkcie której miał bzika. Najbardziej obawiałam się, że on tylko udaje, że mnie lubi, bo potrzebuje mnie w sposób, którego nie mogłam jeszcze pojąć.

Mama zauważyła moje roztargnienie, ale nie zgadła jego przyczyny.

- Sky, czy ty mnie słuchasz?

- Yyy... tak? - zaryzykowałam.

- Nieprawda.

- OK, nie słuchałam. Co mówiłaś?

- Ze powinniśmy kupić ci coś wyjątkowego na otwarcie. - Sally ze znanstwem przyjrzała się ograniczonej zawartości mojej szafy. - To o to się martwisz, prawda? To cię gryzie.

-No...

- Zgadzam się: nie masz nic, co mogłabyś włożyć. Musimy kupić ci coś nowego.

Centrum Sztuk miało zaznaczyć swoje oficjalne otwarcie eleganckim przyjęciem. Spodziewano się wszystkich mieszkańców Wrickenridge - w końcu nie było wielkiej konkurencji w dziedzinie rozrywki aż do rozpoczęcia sezonu narciarskiego. A jeśli Sally myślała, że nie mam odpowiedniego stroju, to miałam kłopoty: Zed też tam będzie.

- Chciałabym, ale gdzie możemy zrobić zakupy? Nie dam rady jechać aż do Denver.

- Pani Hoffman... Jęknęłam.

- ...powiedziała, że zna bardzo dobry butik w Aspen, tylko czterdzieści pięć minut stąd międzystanówką.

W końcu Simon pojechał z nami, stwierdziwszy, że od kiedy tu przyjechaliśmy, nie spędzamy wystarczająco

dużo czasu razem jako rodzina. Zaprosił nas na lunch do włoskiej restauracji, po czym ulotnił się, podczas gdy ja i Sally poszłyśmy do butiku.

- Może ja też kupiłabym sobie coś nowego - powiedziała Sally, tęsknie przeglądając rzędy sukienek.

- Och, teraz wychodzi na jaw twój chytry plan! - zażartowałam, zdejmując z wieszaka elegancką, czerwoną sukienkę. - Nie chodziło o mnie, tylko o ciebie. Przymierz tę.

Po trzydziestu minutach niezdecydowania wybrałyśmy dwie sukienki o cenach, które Sally próbowała zignorować. Aspen przyjmowało bogatych narciarzy, między innymi gwiazdy Hollywood, więc wszystko miało odpowiednie ceny.

- To inwestycja - powiedziała, wyciągając kartę kredytową. - Twoja będzie pasować na ten bal letni.

- Bal maturalny - poprawiłam ją. - I myślę, że od rodziców oczekuje się, że wykosztują się wtedy na nową sukienkę. To tradycja.

- W takim razie będę musiała sprzedać więcej obrazów.

- Zamknęła oczy i podpisała rachunek.

Chichotałyśmy jak szalone konspiratorki, kiedy przygotowowałyśmy się na przyjęcie.

- Nie mów Simonowi o butach - ostrzegła mnie Sally.

- Nie rozumie potrzeby noszenia pasujących do ubrań.

-Przygryzła wargę. - Były potwornie drogie, prawda?

- Gdzie są moje dziewczyny? - zawołał Simon z dołu.

-Spóźnimy się!

Sally pierwsza zeszła po schodach, przybierając wdzięczne pozy w swojej obcisłej, czerwonej sukni. Simon rozdziawił usta.

- Dobrze wyglądam? - spytała, marszcząc czoło.

- Zmieniłem zdanie. Zostańmy w domu. - Uśmiechnął się szeroko, przesuając ręką po jej odzianych w satynę plecach. - Mam nadzieję, że Sky ma na sobie coś mniej wydekoltowanego. Będę musiał odganiać od niej chłopaków, jeśli wygląda podobnie do ciebie.

Zaprezentowałam mu się do oceny. Wybrałam suknię bez ramiączek w kolorze niezapominajek, która kończyła się tuż nad kolanami. Rozpuściłam włosy, pozwalając lokom opadać na plecy, i przytrzymałam je z przodu dwoma ozdobnymi grzebykami.

Simon pokręcił głową.

- Chyba nie dam rady. Dziewczyny, do pokojów. Roześmiałyśmy się, wzięłyśmy go pod rękę i wyprowadziłyśmy do samochodu.

- Spójrz na siebie! W tym garniturze wyglądasz oszałamiająco jak James Bond! - powiedziałam, poprawiając mu muszkę. Brał sobie za punkt honoru noszenie prawdziwej muszki, więc za każdym razem musiałyśmy mu ją wiązać. - Sally i ja będziemy odpierać dziewczyny kanapkami i mieszadełkami do drinków.

- Liczę na waszą pomoc - odparł, mrugając do mnie we wstecznym lusterku.

Linia dachu Centrum Sztuk Rodenheima odpowiadała szczytom gór poza nim i przecięta była na dwoje szklaną piramidą oświetloną kaskadą niebieskiego światła. W mroźną noc, taką jak ta, bryła kontrastowała zjawiskowo z usianym gwiazdami niebem. Mogłaby wręcz stać się celem statku kosmicznego podróżującego przez Kwadrant Alfa. Przez szklaną fasadę dostrzegłam, że przyjęcie na dobre się już rozpoczęło. Pan Keneally wystroił się na

tę okazję i przygrywał lekką muzykę na pianinie w foyer. Obsługa poruszała się w tłumie z tacami pełnymi przekąsek, od sushi po ostre meksykańskie sosy.

Tina zajmowała się witaniem gości. Nawet nie zwróciła uwagi na plakietki z naszymi nazwiskami.

- Wow - po prostu wow! - zawołała, patrząc na nasze małe trio.

- Nieźle się wyszykowałyście!

- Większości ludzi wystarczy odpowiednia dawka karty kredytowej - odparła z uśmiechem Sally.

- A twoje buty!

- Nie mów nic o butach - syknęła Sally.

- Co się stało? - spytał Simon.

- Nic, kochanie.

- Nie potrzebujesz pomocy? - spytałam Tinę z nadzieją, zastanawiając się, czy uda mi się oszczędzić sobie przykrego obowiązku prowadzenia rozmów towarzyskich i posiedzieć tutaj przez resztę wieczoru.

Ale Tina mnie odpędziła.

- Ani mi się waż, Sky! I tak zaraz kończę dyżur. Znajdę cię.

Simon już poszedł dalej w poszukiwaniu kelnera roznoszącego napoje. Dorwał wodę gazowaną dla mnie i dwa kieliszki białego wina dla siebie i Sally.

Dwie minuty później straciłam rodziców z oczu. Sally została złapaną przez reporterami miejscowej gazety z Aspen, a Simon zapomniał, że nie przepada za takimi przyjęciami, i pograżył się w dyskusji na temat Hockneya z poważnym młodym studentem z Denver. Nie wiedziałam, co mam robić, więc krążyłam bez celu, zamieniając kilka słów ze znajomymi, ale nigdzie nie zatrzymałam się na dłużej.

- To jest coś, co warto zobaczyć! - zawołała Zoe, zlizując sos z palców. Popchnęła mnie w stronę drzwi. - Przyszedł cały klan Benedictów - to rzadkość.

A więc to byli ci słynni Benedictowie. Teraz, kiedy zobaczyłam ich w wieczorowych kreacjach, zrozumiałam, czemu ludzie mówili, że mogą powodować kłopoty. Wyglądali jak drużyna superbohaterów, chociaż komisja nie zdecydowała jeszcze, czy byli po dobrej, czy po złej stronie. Moje spojrzenie skupiło się na Zedzie, który wyglądał świetnie w czarnej koszuli i spodniach od garnituru w tym samym kolorze.

Po prostu w spodniach - usłyszałam w mojej głowie. Miałam wrażenie, że powiedział to z uśmiechem.

Nie chcę nic o nich wiedzieć.

Nie?

Jak mógł sprawić, że się rumienię, będąc po drugiej stronie sali? I w ogóle jak to możliwe, że on ze mną rozmawia? *Wynoś się z mojej głowy.*

Nie mogę tego przerwać, kiedy już zacząłem. Mówił ci ktoś, że w tej sukience możesz spowodować wypadek na drodze?

To dobrze czy źle? Byłam szalona - odpowiadałam bezcielesnemu głosowi.

Dobrze. Bardzo, bardzo dobrze.

Nieświadoma naszej konwersacji, Zoe zachichotała.

- Ojej, Zed patrzy na ciebie, jakby miał zamiar cię zjeść! Uspokój się, moje serce!

Odwróciłam się do niego plecami, próbując odzyskać pozory spokoju.

- Wcale nie.

- To nie na mnie patrzy. Trudno. Zostają jeszcze Trace, Uriel, Victor, Will, Xavier i mój Yves do podziwiania.

Czyż oni nie są... - wykonała gest ręką, jakby zabrakło jej słów.

- Który jest który?

- Xavier jest najwyższy. Świeżo po liceum. Uprawia narciarstwo. Mógłby dostać się do drużyny olimpijskiej, jeśli się przyłoży. Trace jest chyba policjantem w Denver. To ten spokojny i pewny siebie, wygląda, jakby mógł połknąć brzytwę bez mrugnięcia okiem. Uriel jest w college'u, studiuje medycynę sądową. Will to ten duży i barczysty. Też jest w college'u, ale nie jestem pewna, co studiuje. Lubi pożartować i jest bardziej opanowany niż reszta. Hmm, kto mi został?

- Victor.

Zoe uderzyła się w pierś.

- Och, Victor. Bardzo tajemniczy. Ostatnio wyjechał z miasta, ale nikt nie wie, co robi. Plotka głosi, że mieszka z Tracem w Denver, ale ja w to nie wierzę. Myślę, że jest szpiegiem albo kimś podobnym.

- Jak zapamiętujesz, kto jest kto?

- To proste, Trace - twardziel; Uriel - ultrainteligentny; Victor... yyy... wielce tajemniczy...

- Oszukujesz.

Zoe wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

- Will, wariat; Xav, sporty eks-tremalne; Yves, pyyyy-cha; a Zeda zostawiam tobie. - Zanuciła na melodię piosenki o alfabecie. - Gdyby wykorzystywali Benedictów, żeby uczyć alfabetu, my dziewczyny na pewno słuchałybyśmy uważniej.

Roześmiałam się.

- Ciekawe, czemu wszyscy przyjechali tu w ten weekend?

- Może któreś z nich ma urodziny? Państwo Benedict są bardzo mili - czasem trochę dziwaczni, ale zawsze mili, kiedy wpada się do nich z wizytą. - Upiła trochę swojego napoju.

- Spotkałam pana Benedicta na spływie.

- Jest super, prawda? Dziwne tylko, że ktoś tak zdolny jak pan Benedict chciałby spędzić życie, obsługując kolejkę linową. Powinnaś zobaczyć ich bibliotekę - pełna książek w rodzaju tych, które moja siostra czyta w collegeu, filozoficznych i tak dalej!

- Może po prostu lubią pracę na powietrzu.

- Może. - Trąciła mnie. - Ale tu idzie ktoś, kto teraz na pewno nie chce być na powietrzu.

Zed zostawił swoich braci i szedł w naszym kierunku.

- Cześć, Zoe, cześć, Sky. - Uśmiechnął się do nas.

- Zed. - Zoe pomachała do Yvesa, który patrzył na nią z drugiego końca sali. - Wszyscy w komplecie?

- Sprawy rodzinne. Pięknie wyglądacie.

Zoe rozumiała język ciała i, jako prawdziwa dama, postanowiła nas zostawić. Odrzuciła długie włosy na ramiona i zadzwoniła bransoletkami.

- Dzięki, Zed. Ty też wyglądasz nieźle. Pójdę pogadać z Yvesem. Na razie.

I odeszła, zostawiając nas samych w naszym kącie. Zed stał przede mną, zasłaniając mi resztę pomieszczenia, tak że miałam wrażenie, że jesteśmy tu sami.

- Cześć - powiedział cicho.

- Myślałam, że już się przywitaliśmy. - Ależ ten chłopak był gorący.

- Przywitałem się z tobą i z Zoe. Teraz witam się tylko z tobą.

- Och. - Przygryzłam wargę, żeby się nie roześmiać. -Cześć.
 - Nie żartowałem, kiedy mówiłem, że wyglądasz cudownie. -
- Wyciągnął rękę i odgarnął mi loki za ucho. -A skąd te loki?
- W szkole noszę je związane. Potrafią być denerwujące.
 - Podobają mi się rozpuszczone.
 - No cóż, ty nie musisz ich co wieczór rozczesywać.
 - Będę szczęśliwy, jeśli pozwolisz mi sobie pomóc. -Och.
 - Tak, och. - Roześmiał się i objął mnie ramieniem.
 - Przejdziemy się?
 - Musimy?
 - Tak. Chciałbym ci przedstawić moich rodziców.
 - Powiedziałaś im? - Nie wierzyłam w jego historyjkę o przeznaczonych, ale jeśli on w to wierzył, zastanawiałam się, co z tym zrobił.
 - Nie, chcę, żebyś była szczęśliwa z tego powodu, kiedy im powiemy. Będą nie do zniesienia, kiedy się dowiedzą.
- Czy to był prawdziwy powód, czy on po prostu się mną bawił, wymyślał historyjkę, żeby mnie poderwać? Nie wiedziałam, czy mogę zaufać swojej intuicji, jeśli chodzi o niego.
- A twoi bracia? Też ich poznam?
 - Możesz pogadać z Yvesem, bo już go znasz i nie da się tego naprawić, ale wolałbym, żebyś trzymała się z daleka od reszty.
 - Czemu? Nie spodobał im się?
 - Jak mogłabyś się komuś nie spodobać? - Pogłaskał mnie po ramieniu, powodując, że dostałam gęsiejszą skórki.
 - Nie o to chodzi. Po prostu zaczną opowiadać ci kłopot-

liwe historie na mój temat i nigdy więcej się do mnie nie odezwiesz.

- To chyba niemożliwe.

Spojrzał na mnie z czułym uśmiechem.

- Nie, też tak sędę.

Zatrzymaliśmy się przy panu Keneallym i dołączyliśmy się do braw, kiedy skończył utwór. Pan Keneally uklonił się publiczności, po czym zmarszczył brwi, kiedy zobaczył mnie w towarzystwie Zeda.

- Może coś zagrasz, Sky? - spytał, wyraźnie sądząc, że to dobry sposób, by nas rozdzielić.

- Nie, dziękuję, proszę pana. Nie dzisiaj. Zed zacisnął rękę na moim ramieniu.

- Może przynieść panu coś do picia? Pan Keneally odsunął się, zaskoczony.

- To bardzo miło z twojej strony. - Ponownie nam się przyjrzał. - Cieszę się, że ona ma na ciebie taki dobry wpływ.

- Za wcześnie to oceniać - wymamrotałam.

- Napiję się czegoś gazowanego - coca-coli.

- Zaraz wracam. - Zed puścił mnie i zanurkował w tłumie, by złapać kelnera. Nawet zabawnie było patrzeć, jak próbuje zrobić na mnie wrażenie, pokazując, że potrafi być uprzejmy, jeśli się postara.

Pan Keneally wyraźnie zastanawiał się, jak poruszyć trudny temat. Przełożył nuty.

- Aklimatyzujesz się, Sky?

- Tak, dziękuję.

- Wszyscy są dla ciebie mili?

- Tak, proszę pana.

- Jeśli będziesz miała jakieś... yyy... problemy, wiesz, że mamy szkolnego pedagoga, prawda? - Mistrz Muzyki

rzucający mi się na ratunek - chociaż nie sądziłam, że był gotowy, by bezpośrednio zmierzyć się z Wilkołakiem.

- Tak, pan Joe mówił mi o tym. Ale wszystko w porządku. Naprawdę.

Wrócił Zed.

- Coca-cola dla pana. Idziemy, Sky?

- Tak. Do widzenia panu.

Pan Keneally obdarzył mnie zmartwionym uśmiechem.

- Dziękuję za colę, Zed. - Usiadł i zaczął grać marsz żałobny Mahlera.

- Jakaś wiadomość dla mnie? - wyszeptał Zed.

- Albo dla mnie. Ludzie nie mogą zrozumieć, czemu jesteśmy razem.

- Nie rozumieją, czemu jest ze mną najpiękniejsza dziewczyna na sali? Więc nie mają wyobraźni. - Roześmiał się, kiedy zobaczył, że znowu się zarumieniłam. Kciukiem pogłaskał mnie po policzku. - Jesteś wcieloną słodyczą, wiesz?

- Mam nadzieję, że to komplement.

- Miał nim być. Wiedziałem o tym nawet wtedy, kiedy cię ostrzegałem - no wiesz, przed wychodzeniem po zmroku. Posłuchałaś, prawda?

Skinęłam głową, niepewna, co robić. Wydawał się podchodzić do tego poważnie.

Uśmiechnął się i połaskotał mnie po szyi kosmykiem moich włosów.

- Byłem urażony, że musiałem to zrobić z powodu mojego snu - on mnie nadal niepokoi - ale nawet wtedy dotarło do mnie, że jesteś całkiem ładna.

- Nie pokazałeś tego po sobie.

Jego wargi ułożyły się w kpiący uśmiech.

- No wiesz, muszę dbać o swój wizerunek. Myślę, że zakochałem się w tobie tego dnia na parkingu. Nic bardziej sexy niż wściekła kobieta.

Tak bardzo chciałam, żeby mówił prawdę, ale miałam wątpliwości.

- Ładna, sexy? Nie jestem taka.

- Ależ jesteś. Jeśli ja jestem kamertonem, to ty doskonałym a, które wprawia mnie w drgania.

Zaczynałam się denerwować.

- Zed, przestań!

- Co się stało, nie lubisz komplementów?

- Oczywiście, że lubię, tylko nie wiem, co z nimi zrobić.

- Powiedz po prostu: „Ależ dziękuję, Zed, to najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam”.

- Przestań mówić z tym fałszywym angielskim akcentem - to ci nie wychodzi!

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, co przyciągnęło spojrzenia w naszym kierunku. Wziął mnie za rękę i pocałował mnie we wnętrze dłoni.

- Jesteś fantastyczna. Wiesz, nie rozumiem, czemu tak późno pojałem, jaka jesteś.

Nie byłam gotowa na rozmowę o uczuciach; musiałam utrzymać praktyczny ton.

- Te twoje sny - zawsze się sprawdzają? Zmarszczył brwi.

- W taki czy inny sposób. Nie martw się, nie pozwolę, żeby coś ci się stało. Będę się o ciebie troszczył, Sky.

Nie wiedziałam, co mogę powiedzieć na temat tak nieokreślonego zagrożenia, ale trochę mnie przestraszył. Zmieniłam temat.

-Wiesz, Tina uważa, że nie jesteś w moim typie. -Wskazałam na drugi koniec sali na Tinę, która rozmawiała z Sally. Wyglądała oszałamiająco w swojej długiej, zielonej sukni. Nelson stał tuż przy niej - nie umknęło jego uwadze, że Tina przyciągała dziś wieczorem wiele zachwyconych spojrzeń.

- Ach tak? - Zed wyglądał na rozbawionego. - A jaki jest twój typ?

- Zdaniem Tiny czy moim?

- Twoim.

Uśmiechnęłam się w kierunku swoich nowych butów, zanim ośmieliłam się na niego zerknąć. Byłam bardzo zdenerwowana, ale i tak to powiedziałam.

- W tej chwili mój typ jest wysoki, arogancki, zły, ale gdzieś głęboko bardzo miły.

- Nie, nie znam nikogo takiego. - Jego oczy błyszczały.

- Sky, prawda? Jak się masz? - przerwał nam pan Benedict, biorąc moją rękę w swoją dużą dłoń i przytrzymując ją przez chwilę. Uścisk miał ciepły i zdecydowany, ręce miał szorstkie od ciężkiej pracy. Jeśli był zaskoczony, że widzi mnie ze swoim synem po naszej ostatniej rozmowie w jego obecności, nie okazał tego. Ale miałam wrażenie, że jego twarz rzadko zdradzała, co myśli. Żona była jego całkowitym przeciwieństwem: pełna energii, o dużych, ciemnych oczach i twarzy odbijającej jej emocje; ciało trzymała w gotowości jak tancerka flamenco. To po niej jej synowie odziedziczyli latynoską urodę. Ze sposobu, w jaki pan Benedict obejmował jej ramiona, widać było, że razem posiadają specjalny rodzaj energii i że wciąż są sobą nawzajem zauroczeni.

- Sky. - Karla przerwała moją analizę; uśmiechnęła się i poklepała mnie po ręce.

- Bardzo mi miło, pani Benedict.

- Nasz syn przeprosił cię już za to, jak odezwał się do ciebie nad rzeką?

Zerknęłam na niego.

- Na swój sposób.

- Widzę, że go rozumiesz. Tak się cieszę. To dla niego trudne.

- Pani Benedict delikatnie dotknęła mojego policzka, po czym jej wzrok odpłynął, a ona cała znalazła się jakby za mgłą. - Ale ty - ty też to widziałaś - przeżyłaś, to jeszcze gorsze. Tak mi przykro.

Moje serce na chwilę przestało bić.

- Mamo - ostrzegł Zed. - Przestań. Odwróciła się do niego.

- Nie poradzę nic na to, że to widzę.

- Wiesz, że to nieprawda - jęknął.

- Tak wiele smutku w tak młodym wieku.

- Karla, Sky jest tutaj, żeby dobrze się bawić. - Pan Benedict odsunął ode mnie swoją żonę. - Odwiedź nas kiedyś, Sky. Zawsze będziesz mile widziana.

Miałam ochotę uciec. Ci ludzie sprawiali, że znów *widziałam* różne rzeczy. Nie mogłam. Zdusiłam w sobie te uczucia - kolory - zamknęłam je na kłódkę w skrzyni gdzieś głęboko w środku. Co ja tu robiłam, i to z Zedem Benedictem? Kogo chciałam oszukać? Nie dawałam sobie rady w związkach - nie powinnam była nawet próbować.

- Przepraszam cię za to. - Zed, skrepowany, poprawił sobie kołnierzyk. - Może wyjdziemy na dwór?

- Ona jest jak ty. - Czułam, że zaczynam się trząść. - Czytała mnie - wyciągała ze mnie za dużo, tak jak ty.

- Już dobrze. - Przysunął się bliżej, żeby zasłonić mnie przed resztą gości. - Nie myśl o tym.

- Czy ja jestem jakąś otwartą książką?

- To nie tak. Nie tylko ty.

- Chyba chcę wrócić do domu.

- Odwiozę cię.

-Nie, dziękuję. Poproszę Tinę, żeby mnie odwiozła. - W tej chwili nie chciałam być obok żadnego Benedicta.

- To nie w porządku. Jeśli chcesz iść, to ja muszę cię odwieźć. Jestem za ciebie odpowiedzialny. Muszę dbać, żebyś była bezpieczna.

W tej chwili z nim nie czułam się bezpieczna. Wręcz przeciwnie. Odsunęłam się.

- Po prostu zostaw mnie w spokoju. Proszę.

Tina musiała obserwować mnie przez cały wieczór, bo w jednej chwili znalazła się przy mnie.

- Co się dzieje, Sky?

- Ja... nie czuję się dobrze. Zed stanął pomiędzy nami.

- Właśnie miałem odwieźć ją do domu.

- Ja ją zawiozę - odparła szybko Tina.

- Nie trzeba. Jest ze mną. Nic się jej nie stanie. - Był zły, że chciałam przed nim uciec, czułam to.

- Sky? - zwróciła się do mnie Tina.

Objęłam się ramionami. Łatwiej było się nie kłócić. Chciałam tylko jak najszybciej wrócić do domu, nawet jeśli oznaczało to, że spędzę kilka minut w samochodzie z Zedem.

- Zed mnie zawiezie. Pójdę uprzedzić rodziców.

Czułam się roztrzęsiona i moi rodzice musieli coś dostrzec i stwierdzić, że lepiej będzie mi w domu. Simon zmierzył Zeda chłodnym wzrokiem, zanim się zgodził.

- Twój tata dobrze to robi - stwierdził Zed, zapalając silnik w rodzinnym jeepie.

- Co? - Nagle poczułam się zmęczona - pusta. Pozwoliłam, żeby głowa opadła mi na szybę.

- Mierzy chłopaków wzrokiem. Dawał mi znać, że jeśli tknę choćby palcem jego małą córeczkę, już jestem martwy.

Zaśmiałam się krótko.

- To prawda, czasem jest nadopiekuńczy. - Zupełnie jak Zed.

Na tym rozmowa się urwała. Z lusterka w samochodzie zwisał kryształ, który łapał światło, huśtając się szybko w przód i w tył.

- Czemu mówisz do nich po imieniu? - spytał, próbując wyjechać z błotnistej drogi, którą przejechaliśmy.

- Jestem z nimi od dziesiątego roku życia. Zgodziliśmy się, że lepiej będziemy się czuli, zwracając się do siebie po imieniu. Oni uznali, że są za starzy, żeby zaczynać jako mama i tata.

- Ty się zgodziłaś czy oni zaproponowali? - Miał rację. Ja chciałam nazywać ich mamą i tatą, desperacko pragnęłam być jak inne dzieciaki, ale to nie był ich styl.

- Mnie to nie przeszkadzało. Nie drażył tematu.

- Moja mama tak się czasem zachowuje. Co mogę powiedzieć? Przepraszam.

- To nie twoja wina.

- To ja cię do nich przyprowadziłem. Powinienem był jej przerwać. Nie przejmuj się tym, co powiedziała.

-To po prostu... nie jest miłe, myśleć, że ktoś potrafi odczytać coś na twój temat.

- Nie musisz mi tego mówić - mieszkam z nią pod jednym dachem.

- Widzi też coś na twój temat? - To sprawiło, że poczułam się lepiej.

- O tak. Bycie Benedictem to nie przelewki.

Zatrzymaliśmy się przed domem. Tylko lampa na ganku się świeciła. Nie miałam wielkiej ochoty wchodzić do środka sama, ale nie chciałam, żeby Zed pomyślał, że zapraszam go z innego powodu.

- Więc zostaliśmy w samochodzie. Jeden mały krok na raz - powiedział miękko, po czym pochylił się ku mnie i przysunął swoje usta do moich, i pocałował mnie, nieprawdopodobnie miękko. Miałam wrażenie, że stanowimy jedno, a wszystkie bariery ustępują pod jego delikatną perswazją. Z oporem odsunął się, dużo za wcześnie. - Gdzie twój tata? Już jestem martwy?

- Wspominałeś, że mój tata mówił coś o palcu. Nie tknąłeś mnie przecież palcem. - Mój głos wydał mi się odległy. Panika ustąpiła i zaczęłam czerpać przyjemność z bycia tu i teraz - z Zedem. Jak powiedział, czułam się przy nim doskonale.

- To prawda. - Położył ręce na moich ramionach i przesunął je po mojej skórze. - Przepraszam, musiałem to zrobić. Ta sukienka powinna być zakazana.

- Hmm. - Zed Benedict mnie całował - czy to mogła być prawda?

- Tak, bardzo, bardzo cię lubię, Sky. Ale jeśli teraz nie przestanę, twój tata naprawdę mnie zabije i to będzie koniec pięknej przyjaźni. - Pocałował mnie po raz ostatni i odsunął się, po czym przeszedł na moją stronę samochodu, żeby pomóc mi wysiąść. - Tylko wejdę i zapalę światła.

- Dziękuję. Nie lubię wchodzić do pustego domu.
- Wiem. - Zed wziął ode mnie klucze i otworzył drzwi.
Czekałam w holu, podczas gdy on zrobił obchód po pokojach.
Wreszcie stanął na ganku, dzwoniąc kluczami.
- Nie podoba mi się, że zostawiam cię samą. Obiecuj, że nie
będziesz wychodzić.
- Obiecuję.
- Jesteś pewna, że dasz sobie radę?
- Tak, wszystko w porządku.
- Jeszcze raz przepraszam za moją mamę. Jeśli cię to pocieszy,
jej siostra, moja ciotka Loretta, jest jeszcze gorsza.
- Naprawdę?
- Tak. Trudno to sobie wyobrazić, co? Trzymaj się z dala od
naszego domu w czasie Święta Dziękczynienia - razem są nie do
powstrzymania. - Przyciągnął mnie do siebie i pocałował mnie w
czubek nosa. - Dobranoc, Sky.
- Dobranoc.
Zatrzymał rękę na moim policzku, ale się odsunął.
- Upewnij się, że zamkniesz za mną drzwi. Zrobiłam, jak
powiedział, i poszłam na górę, żeby się przebrać. Kiedy
wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, że jeszcze nie odjechał.
Siedział w samochodzie przed domem, na straży, aż przyjechali
moi rodzice. Poważnie traktował fakt, że coś mi grozi - było to
jednocześnie niepokojące i dziwnie dodawało mi otuchy.
Przynajmniej tej nocy nie musiałam się bać.

Pierwszy śnieg spadł w połowie października. Lasy wyglądały niewiarygodnie: liście mieniły się mnóstwem kolorów, jak papierki od cukierków Quality Street. Sally i Simon spędzali większość czasu z palcami ubrudzonymi farbą i powtarzali podekscytowani o wyzwaniu, przed jakim stają, malując *al fresco*. Kiedy tacy byli, to, mimo iż się starali, często zapominali o codziennych sprawach. Na przykład o spotkaniu z nauczycielami i o tym, kiedy ostatnio widzieli swoją córkę w porze posiłku. Czasem czułam się przez to samotna. Przynajmniej teraz miałam w domu pianino, które dotrzymywało mi towarzystwa. Ale w Richmond ich studio mieściło się na strychu; tutaj było o milę od domu, w centrum.

W ten sposób ominął ich minidramat, którego stałam się bohaterką.

Maszyna plotkarska liceum we Wricckenridge pracowała pełną parą nad sagą o Zedzie Benedikcie i Sky Bright. Byłam zdecydowana twierdzić, że to tylko „chodzenie”; Zed miał swoje plany: bronić mnie i być moim przeznaczonym - ale ja odmawiałam rozmowy z nim na ten temat. To

wszystko składało się na burzliwy okres. Ale z chłopakiem takim jak Zed czego innego można się spodziewać? Związek z nim nigdy nie zapowiadał się na spokojną żeglugę.

Tina podrzuciła mnie na róg mojej ulicy. Denerwowała mnie rozmowami o Zedzie, bo nie chciała mi wierzyć. Mówiłam jej, że od czasu, kiedy Zed postanowił rozpocząć nowy rozdział i przekonać mnie, że nasz związek jest dobrym pomysłem, był wciąż dla mnie bardzo dobry.

- To nie jest typ chłopaka z sąsiedztwa, który całuje cię na progu i odchodzi - upierała się.

- No cóż, właśnie tak zrobił. - Zaczynałam mieć jej dość. - Jest dużo miłszy, niż się wydaje. - Przynajmniej myślałam, że tak jest.

- Tak, bo ciebie chce.

Złapałam się za włosy i pociągnęłam je mocno, zamiast krzyknąć. Wszyscy, począwszy od moich kolegów po nauczycieli, przepowiadali, że z mojego związku z Zedem wyniknie jakaś katastrofa. Byli zdecydowani obsadzić go w roli zbójcy, a mnie nierozgarniętej panny, która wkrótce znajdzie się w opałach. Nelson wciąż był zmartwiony i mamrotał groźnie pod nosem, co zrobi Zedowi, jeśli coś mi się stanie. Od różnych nauczycielek otrzymywałam zawołowane rady o tym, żebym nie szła dalej, niż sama będę chciała. Mnie samą opanowywało dość pesymistycznych myśli; słyszenie ich z ust innych podkopywało moją pewność siebie.

- Znowu sama, Sky? - zawołała pani Hoffman, kiedy wróciłam ze szkoły.

- Chyba tak.

- Chcesz wejść na chwilę? Upiekłam babeczki.

- Dziękuję, ale yyy... mam pracę domową.

- To przyniosę ci kilka.
- Byłoby bardzo miło.

Opanowałam już sztukę radzenia sobie z panią Hoffman. Nigdy nie należało jej odwiedzać, jeśli nie miało się godziny do stracenia. Nie dawało się przerwać rozmowy z nią, choćby ktoś wiercił się jak Houdini w za ciasnych łańcuchach. Kiedy było się na własnym terytorium, było to trochę łatwiejsze. W dodatku pani Hoffman zawsze szanowała szkolne obowiązki, jeśli użyło się ich jako wymówki.

Pani Hoffman wyszła, kiedy wyjęłam podręczniki. Przeżuwając jedno z jej ciasteczek, weszłam na górę do sypialni, żeby skończyć pracę domową z historii.

Sky, wszystko w porządku?

Po tygodniach oporu wreszcie musiałam przyznać, że słyszałam go w mojej głowie. *Zed?* Wyjrzałam przez okno, na wpół spodziewając się zobaczyć jego samochód na ulicy. *Gdzie jesteś?*

W domu. Masz ochotę zajrzeć?

Jak ty...? Nie, czekaj: jak to możliwe, że ze sobą rozmawiamy, skoro jesteśmy tak daleko od siebie? Po prostu możemy. Wpadniesz?

Mam wybrać między siedzeniem w domu sama i stawieniem czoła rodzinie Zeda?

Mama jest w Denver. Yves na jakimś spotkaniu Młodych Einsteinów Roku. Jestem tylko ja, tata i Xav.

OK, wpadnę. Mieszkacie przy kolejce, tak? Myślę, że trafię. Zaczęłam schodzić po schodach, po drodze zdejmując kurtkę ze słupka przy poręczy schodów.

Nie! Nie chcę, żebyś wychodziła sama - ściemnia się. Przyjadę po ciebie.

Nie boję się ciemności. Aleja tak. Ustąp mi.

I przerwał rozmowę. Usiadłam na ostatnim schodku i pomasażowałam sobie skronie. Rozmawianie z Zedem z większej odległości wydawało się trudniejsze, bardziej męczące. Następna rzecz, o którą muszę go spytać.

Dziesięć minut później usłyszałam jego jeepa. Wsunęłam rękę w rękawę kurtki, złapałam klucze i wybiegłam z domu.

- Musiałeś złamać wszystkie przepisy, żeby tak szybko tu dojechać!

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Zadzwoń do ciebie z drogi.

- Nazywasz to dzwonieniem? - Wspięłam się na siedzenie pasażera i ruszyliśmy z powrotem przez miasteczko. - Mogłeś skorzystać z komórki, jak inni ludzie.

- Mamy tu kiepski zasięg - za dużo gór.

- To jedyny powód? Kąciki ust mu drgnęły.

- Nie. W ten sposób jesteś *bliżej*. Będę musiała się nad tym zastanowić.

- Rozmawiasz w ten sposób z kimś jeszcze?

- Z moją rodziną. Mamy najniższe rachunki telefoniczne w dolinie.

Roześmiałam się.

- A możesz rozmawiać ze swoimi braćmi w Denver? Oparł prawą rękę na moim siedzeniu, po drodze łaskocząc mnie w kark.

- Czemu te pytania?

- Przykro mi to mówić, Zed, ale to nie jest do końca normalne.

- Dla nas jest. - Skręcił w drogę prowadzącą do jego domu, biegnącą wzdłuż domków dla narciarzy. - Zatrzymam się na chwilę.

- Czemu? Coś się stało?

- Nic. Ale wątpię, żebyśmy mieli szansę być sami, kiedy przyjedziemy do domu, więc chciałem cię pocałować.

Odsunęłam się trochę.

- Zed, czy to wszystko prawda? To, że chcesz ze mną być?

Odpiał mój pas.

- Absolutnie tak. Jesteś wszystkim, czego chcę. Wszystkim, czego potrzebuję.

- Wciąż nie rozumiem.

Oparł swoją głowę o moją. Jego ciepły oddech muskał mi ucho.

- Wiem, że nie rozumiesz. Próbuję dać ci czas, pozwolić ci poznać mnie na tyle, żebyś mi zaufała i w to uwierzyła.

- A całowanie? Zaśmiał się.

- Muszę przyznać, że to robię dla siebie. Jestem trochę samolubny.

Spotkaliśmy tatę Zeda przed domem. Był w roboczym ubraniu i nioś skrzynkę z narzędziami; coś w sposobie, w jaki się zachowywał, mówiło, że dokładnie wiedział, co robić z rękoma, jakby był urodzonym inżynierem. Dom Benedictów, drewniany i pełen zakamarków, pomalowany był na kolor lodów waniliowych i znajdował się tuż obok dolnej stacji kolejki linowej na krańcu miasta.

- Tu jesteś, Zed. - Pan Benedict wytarł poplamione olejem ręce w szmatę. - Widziałem, jak jedziesz.

Z jakiegoś powodu Zed wyglądał na zirytowanego.

- Tato!

- Wiesz, że nie możemy tego kontrolować, jeśli się na tym nie koncentrujemy. Zapominasz się osłaniać. Sky, miło cię znów widzieć. Chyba nie zostaliśmy sobie właściwie przedstawieni. Jestem Saul Benedict.

Xavier wybiegł z domu.

- Cześć!

- Nie, ty też - jęknął Zed.

- Czemu?

- Tata *widział* mnie i Sky.

Xavier podniósł ręce w obronnym geście.

- Jestem niewinny. Nie byłem w twojej głowie, ale mogę się domyślić, co się tam działo.

- Nie zaczynaj - ostrzegł go Zed.

- Co to znaczy, że nie był w twojej głowie? - zapytałam podejrzliwie.

Wszyscy trzej zrobili dziwne miny. Mogłabym przysiąc, że szyja Saula zrobiła się czerwona.

- *Rozmawiałeś* z nim, kiedy jechaliśmy?

- Niezupełnie.

- Ona o tym wie? - spytał Saul cicho. - Jak? Zed wzruszył ramionami.

- To się po prostu stało. Słyszałeś, co mama o niej mówiła: jest mostem. Trudno przez niego nie przejść.

Mostem? A to co znowu?

Saul gestem zaprosił mnie do domu.

- Mój syn rozmawiał z tobą w twojej głowie?

- Yyy... możliwe.

- Nikomu o tym nie mówiłaś?

- No nie. Pomyśleliby, że jestem stuknięta. Wyglądał, jakby mu ulżyło.

- Wolimy, żeby ludzie o tym nie wiedzieli, więc byłbym wdzięczny, gdybyś zatrzymała to dla siebie.

- W porządku.

- Nie przeszkadza ci to?

- Przeszkadza, ale bardziej to, że Zed zdaje się wiedzieć, o czym myślę, zanim sama zdam sobie z tego sprawę. - Nie wspominając o przeznaczonych.

Wokół oczu Saula pojawiły się drobne zmarszczki - jakby bezgłośny śmiech.

- Tak, wszyscy tak się czujemy przy Zedzie. Nigdy nie wierzył w historyjkę o Świętym Mikołaju, nawet kiedy był malutki. Ale można się nauczyć z tym żyć.

Dom był bardzo przytulny: stanowił eklektyczną mieszankę przedmiotów z całego świata, z naciskiem na Amerykę Łacińską, rozsianych po wszystkich pokojach. Czułam, że ta rodzina żyje ze sobą w zgodzie. Zajrzałam za róg i ujrzałam górę sprzętu narciarskiego zalegającego w pomieszczeniu gospodarczym.

- Wow.

- Tak, lubimy jeździć na nartach, chociaż Zed woli deskę - powiedział Saul z uśmiechem.

- Wróg publiczny numer jeden - skomentował Xavier, udając, że strzela do swojego brata.

- Deskarze i narciarze nie lubią się nawzajem?

- Nie zawsze - odparł Saul. - Jeździsz na nartach? Zed musiał odczytać odpowiedź w mojej głowie.

- Nie jeździsz?

- Anglia nie jest znana z dużych opadów śniegu.

- Tato, mamy sytuację kryzysową. Intensywne lekcje rekomendowane od pierwszego śniegu.

- Masz to jak w banku. - Saul skinął głową niczym biznesmen.

- Nie wydaje mi się, że bym była w tym dobra. Trzej Benedictowie wymienili spojrzenia. Xavier prychnął śmiechem.

- Taak, racja.

To było dziwne - zdecydowanie działały się tu rzeczy, których nie rozumiałam.

- Co wy robicie?

- Tylko patrzymy w przyszłość, Sky - odparł Saul. - Wejdźcie do kuchni. Karla zostawiła dla nas pizzę.

W czasie przygotowań do obiadu było więcej dziwacznych chwil. Zaczęło się normalnie, ale potem wszystko zaczęło tracić na rzeczywistości. Saul stanął przy zlewie i okazało się, że potrafi przygotowywać niezłe sałatki. Xavier uznał, że nawet Zed nie może zepsuć pizzy i pozwolił mu zająć się piecykiem.

- Jego problemem jest to, że widzi, że jedzenie już się spaliło, i nie chce mu się temu zapobiec. - Xavier postawił nogę na krześle i pomasaował mięśnie łydki. - Jak wyjdzie ta? - spytał brata.

A to co miało znaczyć?

- Ta będzie najlepsza ze wszystkich - odparł Zed z pewnością, wkładając blachę do kuchenki.

- A więc, Sky, jak ci się podoba w szkole? Inni uczniowie pewnie są nie do zniesienia? - Xavier rzucił preclem w młodszego brata.

- Jest w porządku. Chociaż byłam przyzwyczajona do czego innego.

- Tak, ale Wickenridge jest dużo lepsze niż wiele innych liceów. Większości uczniów udaje się potem robić to, co chcą.

Poczęstowałam się przekąskami leżącymi na stole między nami.

- A ty? Mówiono mi, że jesteś dobry w slalomie gigancie. I to na poziomie olimpijskim.

Wzruszył ramionami.

- Możliwe - ale raczej aż tak się w to nie zaangażuję.

- To dlatego, że widzisz, jak przegrywasz, i nie chcesz tego zmienić?

- Au! - Roześmiał się. - Hej, Zed, twoja dziewczyna jest złośliwa! Mści się na mnie za to, że śmiałem się z twojego gotowania.

- I dobrze. - Zed skinął głową z aprobatą. - Nie słuchaj jego gadania, Sky. Umiem gotować.

- Tak, tak jak Sky potrafi jeździć na nartach. Cytryna wysunęła się z miski z owocami i uderzyła Xa-

viera prosto w nos. Podskoczyłam na krześle. -Co u...!

- Zed! - zawołał Saul ostrzegawczo. - Mamy gościa. Wciąż nie wierzyłam w to, co przed chwilą zobaczyłam.

- Macie jakiegoś, jak to się nazywa, poltergeista?

- Coś w tym guście. - Xavier pomasażował się po nosie.

- Czy ktoś zamierza mi to wyjaśnić?

- Nie ja. O czym to mówiliśmy, zanim przerwała nam ta bezczelna latająca cytryna? - Rzucił ją w kierunku Zeda, ale w połowie drogi upadła z powrotem do miski. - Idiota - wymamrotał Xavier.

-Yyy... mówiliśmy o tym, jak jeździsz na nartach. -Zerknęłam na Zeda, ale on gwizdał niewinnie, sprząając blat kuchenny. Zbyt niewinnie.

- Ach tak. No cóż, raczej nie zostanę zawodowym narciarzem. Zbyt wiele rzeczy chcę w życiu robić.

-Wyobrażam to sobie. - Ale nie byłam pewna, czy mówi szczerze. Miałam wrażenie, że to tylko wymówka.

- Zakończę karierę jako mistrz juniorów Kolorado i odejdę niepokonany.

- I nigdy nie dasz nam o tym zapomnieć - dodał Zed. Coś dziwnego stało się w tym momencie z cytryną: eksplodowała.

- Chłopcy! - Saul zastukał w kontuar.

- Przepraszamy - zaintonowali natychmiast, a Xavier wstał, żeby posprzątać.

-I nikt mi nic nie wyjaśni? - spytałam. Nie rozumiałam tych Benedictów, ale w tej chwili miałam raczej ochotę się rozeźmiać.

- Nie ja. On ci powie - odparł Xavier, rzucając szmatą w Zeda.

- Później. - Nagle rzucił się w kierunku kuchenki. - Rany, Zed, pizza się spaliła! A mówiłeś, że będzie najlepsza jak dotąd. - Złapał rękawice kuchenne i wyjął lekko poczerniałą pizzę.

Zed powąchał ją.

- Bo jest. Tylko trochę przypalona. Jestem coraz lepszy. Xavier walnął go prosto w głowę.

- Jaki pożytek z tego, że wiesz wszystko, jeśli nie potrafisz nawet zrobić pizzy?

- Codziennie zadaję sobie to pytanie - odpowiedział Zed pogodnie i wyjął nóż do pizzy.

Po obiedzie Zed zaproponował mi spacer po lesie wzdłuż szlaku narciarskiego, żeby spalić cały topiony żółty ser.

-Xav ma dyżur sprząający, bo ja gotowałem, więc mamy wolne - wyjaśnił, podając mi kurtkę.

- Gotowałeś? Jesteś pewien?

- No dobra, przypalałem jedzenie.

Wziął mnie za rękę i wyprowadził tylnymi drzwiami. Dom właściwie nie miał ogrodu, tylko ogrodzenie przy końcu trasy narciarskiej i stacji kolejki. Nie było stąd widać szczytu góry, tylko strome, porośnięte lasem zbocze wspinające się ponad stację kolejki. Jodły rosły tak blisko siebie, że zdawały się tworzyć dywan. Odetchnęłam głęboko, czując w nozdrzach zimne, suche powietrze, przez które moja skóra wydawała się napięta. W głowie czułam lekkie zawroty, które złożyłam na karb wysokości.

- W górę czy na dół? - spytał Zed, wskazując na zbocze. Lepiej mieć najgorsze za sobą.

- Najpierw w górę.

- Dobry wybór. Mam ulubione miejsce, które chciałbym ci pokazać.

Przechodziliśmy pod drzewami. Większość śniegu, który spadł wcześniej w ciągu dnia, opadła już z gałęzi i rozpuściła się, ukazując ciemnozielone igły i te jaśniejsze, modrzewiowe. Powietrze było rześkie i przejrzyste jak kryształ; gwiazdy odcinały się w nim ostro na tle nieba niczym punkciki światła. Szliśmy powoli, torując sobie drogę pod drzewami. Nieco wyżej natrafiliśmy na zasypany śnieżny, które przesunęły się w dół zbocza, w miarę jak zbliżała się zima.

- Śnieg nie utrzymuje się niżej przed Świętem Dziękczynienia - wyjaśnił Zed.

Idąc, trzymaliśmy się za ręce. Zed delikatnie masował moją dłoń przez rękawiczkę. Pomyślałam, że to dziwnie

urocze, że ten chłopak, mający opinię najtwardszego orzecha we Wrickenridge, wydawał się zadowolony z takiego spaceru. Był intrygujący w swoich sprzecznościach.

Chyba że, oczywiście, Tina miała rację, a on był taki, bo wiedział, że ja tego bym chciała. Super, Sky, ty to potrafisz zepsuć piękną chwilę.

Śnieg sięgał nam teraz do kostek, a moje buty do chodzenia po dolinach nie najlepiej radziły sobie z ochroną stóp przed przemoczeniem.

- Powinam była na to wpaść - wymamrotałam, strącając grudkę lodu z czubka płóciennych trampek, zanim zdążył się rozpuścić.

- Niestety, nie jestem najlepszy w przewidywaniu takich praktycznych rzeczy - przepraszam. Powinienem był ci powiedzieć, żebyś włożyła lepsze buty.

Ten chłopak był czasem dziwny.

- No dobra, to jakimi zdolnościami nadprzyrodzonymi dysponujesz, poza telepatią?

- Różnymi, ale przede wszystkim widzę przyszłość. - Zatrzymał się w wyjątkowo pięknym miejscu, na leśnej polanie, gdzie śnieg był głęboki i nietknięty. - Zrobimy anioła?

Wspomniał o przewidywaniu przyszłości tak niedbale, że wciąż nie mogłam się pozbierać.

- Ty rób. Nie pozwól, żebym popsuła ci zabawę. Uśmiechnął się i położył się w głębokim śniegu, po czym pomachał rękoma i nogami, żeby wyźłobić kształt anioła.

- No dalej, wiem, że to zrobisz.

- Czemu, bo to widziałeś?

- Nie, bo zamierzam zrobić to.

Usiadł szybko i pociągnął mnie w dół, do siebie, zanim zdążyłam się wyrwać.

No cóż, skoro już tam byłam, oczywiście musiałam zrobić anioła. Leżąc na plecach i patrząc w niebo na gwiazdy, próbowałam nie pozwolić, żeby moje zmartwienia związane z byciem sawantką i czyhającym na mnie niebezpieczeństwem zatruły oszałamiające piękno nocnego lasu. Czułam leżącego obok mnie Zeda, czekającego, aż wykonam następny krok w jego stronę.

- No dobrze, co takiego widzisz? - spytałam.

- Nie wszystko i nie przez cały czas. „Nie widzę” przyszłości mojej rodziny albo widzę rzadko. Jesteśmy zbyt bliscy - zbyt wiele jest zmiennych i zakłóceń.

- Czy oni robią to samo?

- Na szczęście tylko mama. - Usiadł i otrzepał śnieg z rąk. - Pozostali mają inne dary.

- Widziałeś moją przyszłość? W tym widzeniu? Potarł ręką twarz.

- Możliwe. Ale jeśli powiem ci, co widziałem, bieg wydarzeń może się zmienić albo właśnie przez to - wszystko może się wydarzyć - nie wiem tego na pewno. Moje widzenia stają się bardziej precyzyjne, im bliższe są wydarzenia. Na pewno potrafię przewidzieć, że coś wydarzy się, sekundę albo dwie wcześniej, zanim to się stanie. A i tak wszystko potrafi przybrać inny obrót. Tak jak na spływie - przez moją interwencję pomogłem ci, bo próbowałem powstrzymać bieg wydarzeń.

- Więc nie powiesz mi, czy będę dobrą narciarką? Pokręcił głową i poklepał mnie po głowie.

- Nie, nawet tego nie.

- Dobrze, wołałabym nie wiedzieć.

Powiew wiatru poruszył gałęziami. Pod drzewami robiło się coraz ciemniej.

- Jak to jest? Jak możesz znieść to, że tyle wiesz? - spytałam miękko. Na wiele sposobów był moim przeciwieństwem: wiedziałam tak mało o sobie, o swojej przeszłości. On wiedział zbyt wiele o przyszłości.

Zed wstał i pomógł mi się podnieść.

- Przez większość czasu to jest jak przekleństwo. Wiem, co powiedzą inni, jak skończy się film, jaki będzie wynik meczu. Moi bracia niezupełnie to rozumieją albo nie chcą zastanawiać się nad tym, jak to jest. Wszyscy musimy radzić sobie ze swoimi darami.

Nic dziwnego, że nie potrafił wytrzymać w szkole. Zawsze był o krok przed innymi, wiedział, więc musiało mu przeszkadzać okropne poczucie bezsensowności wysiłków. Wiedział, że nie może zmienić biegu wydarzeń, na przykład zapobiec przypaleniu pizzy. Głowa bolała mnie od samego myślenia.

- To wszystko jest strasznie dziwne. Otoczył mnie ramieniem i przysunął do siebie.

- Tak, rozumiem. Ale chciałbym, żebyś zrozumiała. Widzisz, Sky, to jest jak, no nie wiem, trochę jak być w windzie z muzyką. Gra sobie w tle, a ty nawet jej nie słyszysz, chyba że się na niej skupisz. Ale od czasu do czasu to jest jak fanfary. Widzę sceny przed oczami. Nie zawsze znam ludzi, których widzę, nie zawsze rozumiem, o co chodzi. Przynajmniej do czasu. Mogę spróbować coś zmienić, ale zazwyczaj wszystko i tak się staje w sposób, jakiego nie przewidziałem. Próbuję to blokować - przez jakiś czas potrafię - ale kiedy o tym zapomnę, wszystko wraca.

Stwierdziłam, że brzmi to bardziej jak przekleństwo niż jak dar. Kiedy dostroi się na odbiór, będzie zawsze trochę do przodu przed innymi.

I nagle coś do mnie dotarło.

- Ty oszuście! - Traciłam go pod żebro. - Nic dziwnego, że jesteś niepokonany, kiedy rzucasz albo strzelasz gole!

-Tak, to ma swoje zalety. - Odwrócił się do mnie i uśmiechnął drwiąco. - Pomogło ci to, prawda? Przypomniałam sobie, jak obroniłam strzał. -Och.

- No właśnie, och. Poświęciłem dla ciebie swój rekord trafionych strzałów.

- Nieprawda - strzeliłeś dwadzieścia kilka goli.

- Nie no, naprawdę. Co ludzie będą pamiętać z tego meczu? Że strzeliłem mnóstwo goli czy to, że ty obroniłaś jednego? Nigdy tego nie odrobuję.

- Idiota. - Pacnęłam go.

Miał czelność się ze mnie śmiać.

- Dość tego. Muszę odwrócić twoją uwagę, zanim znowu mnie uderzysz.

Pochylił się, żeby mnie pocałować, ale nagle zanurkował i przewrócił mnie na plecy. Pięć stóp nad nami z pnia drzewa prysnęły odłamki kory. Jednocześnie usłyszałam dźwięk przypominający strzał z rury wydechowej.

Zed zaciągnął mnie za przewrócony pniak i wepchnął mnie pod niego, zasłaniając mnie swoim ciałem. Zaklął.

- To się nie miało dziać!

- Zejdź ze mnie! Co to było? - Spróbowałam wstać.

- Leż. - Znowu zaklął, jeszcze bardziej wyraziście. -Ktoś do nas strzelił. Dam znać tacie i Xavierowi.

Leżałam cicho pod nim, serce waliło mi w piersi jak oszalałe.

Trzask! Drugi strzał trafił w pień niedaleko od naszych głów.

Zed ześlizgnął się ze mnie.

- Musimy się stąd ruszyć! Przetocz się na drugą stronę pnia i biegnij do tej wysokiej sosny.

- Czemu nie krzykniemy, żeby dać znać, że strzelają do ludzi?

- Ten ktoś nie poluje na zwierzęta, Sky, tylko na nas. Biegnij!

Przecisnęłam się pod pniakiem, podniosłam się i pobiegłam. Słyszałam Zeda tuż za mną, potem trzeci strzał, po czym Zed złapał mnie od tyłu i uderzył łokciem w oko, upadając. Czwarty strzał uderzył w drzewo przed nami dokładnie na poziomie, na którym przed chwilą była moja głowa.

- Cholera. Przepraszam - powiedział Zed. Przed oczyma widziałam gwiazdy. - Znowu zobaczyłem ten za późno.

Lepiej ogłuszona niż martwa.

Tak. Ale i tak przepraszam. Leż i nie ruszaj się. Tata i Xav polują na naszego zamachowca. Myślę, że jest ich więcej niż jeden.

- Co takiego? - Uniósł nieco głowę, żeby na mnie spojrzeć. - Skąd wiesz?

- Nie wiem. Po prostu ich czuję.

Zed nie zakwestionował mojego instynktu i przekazał wiadomość ojcu.

- Powiedziałem, żeby uważał. - Zed wciąż mnie osłaniał, nie chcąc, bym znalazła się na linii ognia. - To może być pułapka, żeby go wywabić. Musimy wracać do domu. Za tym wzniesieniem jest strumień. Jeśli się tam dostaniemy, będziemy osłonięci i zawrócimy do domu. OK?

- OK. Jak tam dojdziemy? Zed uśmiechnął się.

- Sky, jesteś niesamowita. Większość ludzi dawno straciłaby głowę. Będziemy się czołgać. Jak jaszczurki. Pójdę pierwszy.

Przeczołgał się kawałek na brzuchu, po czym ześlizgnął się na drugą stronę i zniknął. Ruszyłam za nim, starając się nie myśleć o tym, jak by to było dostać pocisk w plecy. Było zbyt ciemno, żeby zobaczyć, co jest po drugiej stronie, więc musiałam mu zaufać. Głową naprzód ześlizgnęłam się ze zbocza, przetoczyłam i wylądowałam pupą w lodowatej wodzie.

Tędy - powiedział Zed.

Zed poprowadził mnie w dół płytkiego strumienia, który wpadał do rzeki Eyrie. Trzymaliśmy się nisko. Zed miał na sobie buty górskie, ale moje płócienne trampki ślizgały się na kamieniach i wciąż się potykałam.

Trzymaj się mojej kurtki - powiedział. - *Już niedaleko.* Strumień zrobił się głębszy, a brzeg obniżył się tak, że mogliśmy wyczołgać się z rowu, na trawiaste zbocze przed domem.

- Czujesz coś? - spytał Zed.

- Nie. A ty?

- Nic nie widzę. Biegniemy do domu. - Ścisnął mnie za rękę. - Na trzy. Raz - dwa - trzy!

Chlupocząc butami, wystrzeliłam przez otwartą przestrzeń w kierunku drzwi frontowych. Usłyszałam, jak w drzwiach przekręca się zamek, chociaż Zed nawet go nie dotknął.

- Co z twoim tatą i Xavierem? - wydyszałam.

Na chwilę zawiesił wzrok, łącząc się z resztą rodziny.

- W porządku, ale zgubili zamachowców. Miałaś rację, było ich dwóch. Uciekli z miasta nieoznakowanym SUV-em.

Czarnym, z zaciemnionymi szybami. W górach są takich tysiące. Tata powiedział, żebyśmy się stąd nie ruszali, aż wróci. Pokaż mi to oko.

Zed zaprowadził mnie do łazienki i posadził na krawędzi wanny. Kiedy grzebał w apteczce, zdałam sobie sprawę, że się trzęsie.

Położyłam mu rękę na ramieniu.

- Już dobrze.

- Wcale nie. - Rozerwał paczkę waty, rozsypując ją po szafce.

- Powinniśmy być tu bezpieczni. - Trząśł się raczej z wściekłości niż pod wpływem szoku.

- Czemu nie mielibyście być bezpieczni? Co się dzieje, Zed? Nie wydajesz się zaskoczony, że ktoś do ciebie strzelał.

Zaśmiał się głucho.

- To ma swój potworny sens, Sky. - Zmoczył myjkę i przyłożył mi ją do oka. Zimno złagodziło nieco ból. - Przytrzymaj ją sobie. - Potem oczyścił moje ranki i zadrapania wacikiem. - Zdaję sobie sprawę, że chciałabyś wiedzieć czemu, ale lepiej dla ciebie i dla nas, jeśli nie będziesz tego wiedziała.

- I mam się na to zgodzić? Idę z tobą na spacer, strzelają do mnie, a ja mam się nie zastanawiać dlaczego? Mogę żyć z wybuchającymi cytrynami i całą resztą, ale to co innego. Prawie zginąłeś.

Przyłożył myjkę z powrotem do mojego policzka, bo ją upuściłam.

- Wiem, że jesteś na mnie zła.

- Nie jestem na ciebie zła! Jestem zła na ludzi, którzy próbowali nas zabić! Wezwałeś policję?

- Tak, tata się tym zajmuje. Przyjadą tutaj. Pewnie będą chcieli z tobą porozmawiać. - Odsunął myjkę i gwizdnął. - Świetnie, jak na pierwszą randkę: podbiłem ci oko.

To mną wstrząsnęło.

- To była randka? Zaprosiłeś mnie tutaj na randkę, a ja o tym nie wiedziałam?

- Tak, no cóż, niewielu chłopaków zabiera dziewczyny na polowanie z nimi w roli kaczek w ramach pierwszej randki. Musisz mi przyznać punkty za styl.

Jeszcze nie przetrzymałam pierwszej informacji.

- To była randka? - powtórzyłam.

Przytulił mnie do siebie, tak że moja głowa dotykała jego piersi.

- To była randka - powiedzmy, że chciałem, żebyś mnie lepiej poznała w moim naturalnym środowisku. Ale potrafię to zrobić lepiej, naprawdę.

- Tak? To co dalej, walka gladiatorów?

- Niezły pomysł. - Potargał moje włosy. - Dzięki, że zachowałeś zimną krew.

- Dziękuję, że nas z tego wyciągnąłeś.

- Zed? Sky? Nic wam nie jest? - zawołał Saul z holu.

- Tutaj, tato. Mnie nic nie jest. Sky jest trochę poturbowana, ale nic wielkiego.

Saul stanął w drzwiach z twarzą pełną niepokoju.

- Co się stało? Nie widziałeś niebezpieczeństwa, Zed?

- Tak, pewnie, że widziałem. Pomyślałem sobie: „Zabiorę moją dziewczynę na spacer, żeby ktoś ją zabił”. Jasne, że nie widziałem. Ty też go nie wyczułeś.

- Przepraszam, głupie pytanie. Vick już tu jedzie. Wezwałem twoją mamę i Yvesa. Tracę też będzie tu najszybciej, jak się da.

- Kto to był?

- Nie wiem. We wtorek dwóch Kellych poszło siedzieć. To mógł być odwet. Ale nie powinni byli wiedzieć, gdzie nas znaleźć.

Odwróciłam się w objęciach Zeda, żeby spojrzeć na Saula.

- Kto to są Kelly?

Saul zobaczył właśnie moją twarz.

- Sky, jesteś ranna! Xav, chodź tutaj.

Łazienka zaczynała się robić zatłoczona, tylu Benedictów się nade mną kręciło.

- Nic mi nie jest. Chcę tylko wyjaśnień. Xav przybiegł prędko.

- Nie jest dobrze. Czuję, jakby jej twarz stała w ogniu.

Otworzyłam usta, żeby zaprzeczyć.

- Nie warto, Sky. Czuję to, co ty. Odbicie twojego bólu.

- Wyciągnął rękę i przyłożył czubek palca do siniaka.

Poczułam mrowienie w prawym policzku.

- Co robisz?

- Próbuję zrobić coś, żebyś jutro nie wyglądała jak panda.

- Zabrał palec. - To mój dar.

Ostrożnie pomacałam się po twarzy. Chociaż czułam siniak, ból stał się mniej intensywny.

- I tak będziesz miała siniaka. Nie zdążyłem pozbyć się całego. Ból znika szybko, ale siniaki dużo wolniej - będziesz go czuła przynajmniej jeszcze przez kwadrans.

- Lepiej odwieźmy Sky do domu. Im dalej stąd będzie, tym lepiej. - Saul wyprowadził nas z łazienki.

- A policja nie będzie chciała jej przesłuchać? - Zed podał mi parę suchych skarpetek z kosza z czystą bielizną.

- Vick się tym zajmuje. Uważa, że nie powinniśmy angażować lokalnej policji; jego ludzie się tym zajmą. Jeśli będzie chciał z nią porozmawiać, może przyjechać do niej.

Kolejny wątek do rozwikłania.

- A kim są jego ludzie? - Zdjęłam buty, żeby rozetrzeć przemarznięte stopy.

-FBI.

- To jak CIA - szpieczy i takie tam?

- Nie, niezupełnie. Federalne Biuro Śledcze zajmuje się przestępstwami, które przekraczają granice stanów. Wielkimi przekrętami. Noszą zwykłe ubrania. To raczej agenci, nie policja.

Zdjęłam gumkę z rozwiązującego się warkocza i zebrałam włosy w kucyk.

- Zoe zawsze powtarza, że Victor to tajemniczy facet. Saul zerknął na Zeda, wyraźnie niezadowolony, że tyle się o nich dowiaduję.

- Ale im mniej wiadomo o jego drugim życiu, tym lepiej, jasne?

- Kolejny sekret rodziny Benedictów?

- Robi się ich coraz więcej, prawda? - Saul rzucił Zedo-wi kluczyki. - Zawieź Sky do domu na motorze - ale nie jedź prostą drogą. Nie chcesz nikogo na nią naprowadzić.

- Mógłbyś zawieźć mnie do studia moich rodziców, oni mnie odwiozą.

- Dobry pomysł. Zed, przeproś w moim imieniu państwa Bright, że nie zapewniłem ich córce bezpieczeństwa.

- Co mam im powiedzieć? - spytał Zed, wyprowadzając mnie z domu.

Saul podrapał się po karku.

- Victor im to wyjaśni. Będzie wiedział, co i jak dużo im powiedzieć. Na razie powiedz, że napadł was jakiś szaleniec. Poproś, żeby trzymali to w sekrecie, zanim nie zajmą się tym władze. Zgadzasz się na to, Sky?

Kiwnęłam głową.

- Dobrze. Świetnie się zachowałam. - Saul pocałował mnie w czubek głowy i przytulił swojego syna. - Dzięki

Bogu, że skończyło się tylko na podbitym oku. I dziękuję, Sky, że masz do nas tyle cierpliwości.

Wsiadłam na motor za Zedem, chwytając się jego kurtki zamiast pasa bezpieczeństwa.

- Pojedziemy bocznymi drogami, które okrążają Wrickenridge i prowadzą na twoją stronę miasta - uprzedził.

- Na wszelki wypadek.

Tak zwane boczne drogi okazały się niczym więcej jak zwykłymi ścieżkami. Żeby łatwiej to znieść, wróciłam do zwyczaju odtwarzania jazdy w mojej głowie jako komiksu: reflektory przebijające mrok - zdumiony jeleni odskakujący z drogi - motor omijający przewrócone drzewo

- dziewczyna kurczowo trzymająca się chłopaka. Muzyka powinna być złowieszcza i natarczywa - może heavy metal... Ale to nie działało - niebezpieczeństwo było zbyt realne; nie potrafiłam go oddalić przy pomocy historyjki obrazkowej, nie wówczas, kiedy byłam jednym z głównych bohaterów.

Zanim dojechaliśmy do Centrum Sztuk, czułam się brudna i roztrzęsiona i znowu rozboleła mnie głowa.

- Czy potrafisz zrobić coś takiego jak Xavier? - spytałam, zdjawszy kask, żeby pomacać kącik oka.

- Nie, ale mogę kupić ci coś w aptece.

- Nie trzeba.

Zed wypuścił powietrze, zbierając się na odwagę.

- Chodźmy; czas spotkać się z twoim tatą.

Podbite oko było wystarczająco złym wstępem, ale wiadomość, że strzelał do nas w lesie jakiś szaleniec, przelała czarę.

- Sky! - zawodziła Sally. Jej głos odbijał się echem od czystych, białych ścian studia na poddaszu Centrum

Sztuk. - Gdzie myśmy cię przywieźli? Coś takiego nigdy nie stałoby się w Richmond!

- Może mi pani nie uwierzyć, proszę pani - oparł Zed uprzejmie - ale tutaj też zazwyczaj się to nie zdarza.

- Nie wyjdiesz z domu, póki nie złapią tego szaleńca! - powiedziała Sally, głaszcząc mnie po policzku i obmacując siniaka.

- I czemu nie powiedziałaś nam, że wychodzisz dzisiaj wieczorem, Sky? - Simon patrzył na Zeda z otwartą wrogością, co nie było zaskakujące, jako że Zed wyglądał dość złowrogo w czarnym kombinezonie motocyklowym. Ale ja uznałam pytanie Simona za śmieszne, biorąc pod uwagę, że oni prawie nie bywali w domu. Rola surowego ojca nie pasowała do wyluzowanego artysty, jakim był, ale dla mnie zawsze udawało mu się zrobić wyjątek. W jego opinii zawsze powinnam mieć dziesięć lat, nie szesnaście.

- To była spontaniczna decyzja. Poszłam tylko na kolację. Myślałam, że wrócę do domu przed wami.

Twój tata mierzy mnie teraz do trumny - powiedział Zed. *Nieprawda.*

Dochodzą do mnie fragmenty wizji - wszystkie bolesne i przekreślające moje szanse na zostanie ojcem.

- Masz szlaban, Sky, za to, że wyszłaś bez pozwolenia - warknął Simon. Wyraźnie wczuwał się teraz w rolę surowego ojca.

- Co?! To nie fair! *Przesadza, bo się o ciebie boi. To i tak nie fair.*

- Przepraszam, proszę pana, to moja wina, że Sky wyszła dziś wieczorem. To ja ją zaprosiłem. - Zed próbował stworzyć pole siłowe między mną a złością Simona.

Ale surowy ojciec je zburzył.

- Może i tak, ale moja córka musi nauczyć się odpowiedzialności za swoje decyzje. Szlaban. Przez dwa tygodnie.

- Simon! - zaprotestowałam, zakłopotana, że Zed się temu przygląda.

- Nie zmuszaj mnie, żebym go przedłużył, młoda damo! Dobranoc, Zed.

Zed ścisnął moją rękę. *Przepraszam. On i tak mnie nie słucha. Lepiej wróć do domu.*

Wyszedł, po czym usłyszałam, jak na zewnątrz motor z rykiem budzi się do życia. Wilkołak usuwa się z pola rażenia. Wielkie dzięki. Skrzyżowałam ręce na piersi, tupiąc nogą tak, jak kot macha ogonem, kiedy jest rozwścieczony. Jeśli Simon bawił się w surowego ojca, ja byłam Super-Wściekłą Sky.

- Oczekujesz ode mnie, że będę siedzieć w domu, podczas gdy ty i Sally się tu bawicie, ale nie chcecie, żebym ja bawiła się z przyjaciółmi! - wybuchłam. - To nie fair!

- Nie pyskuj, Sky. - Simon wrzucił pędzle do zlewu i odkręcił wodę tak mocno, że opryskała mu sweter.

- Mówisz tak, bo wiesz, że nie masz racji! Nie narzekałam, kiedy pokłóciłeś się z panem Ozawą w poniedziałek - to było *take* zawstydzające. Nie wiedziałam, co mu powiedzieć. Ja nie daję wam szlabanu za to, że jesteście beznadziejnymi rodzicami.

Simon rzucił Sally zakłopotane spojrzenie.

- Zadzwoń do pana Ozawy, żeby go przeprosić.

- Wiem, że adoptowaliście mnie późno, ale czasami wydaje mi się, że zapominacie, że tu jestem. - Pożałowałam tych słów, kiedy tylko je wypowiedziałam.

- Nie mów tak! - Sally przyłożyła rękę do ust, a w oczach zabłyśły jej łzy. Poczułam się karłem.

- Więc to już za wiele - ciągnęłam. Moja dziura zrobiła się głęboka i musiałam kopać dalej. - To za wiele, że zwracacie mi uwagę, że nie daję wam znać, co robię. Przez większość czasu nie mam zielonego pojęcia, gdzie wy jesteście, i jestem pewna, że nawet nie zdajecie sobie z tego sprawy!

- To nie to samo - rzucił Simon, teraz zły na mnie, że sprawiłam Sally przykrość. Jemu pewnie też. Wiem, że tak. - Cztery tygodnie.

Nie wiem, co mnie napadło. Normalnie potrzeba wiele, żeby mnie rozzłościć, ale ktoś do mnie strzelał, Benedicto-wie kazali mi trzymać mnóstwo rzeczy w tajemnicy, miałam podbite oko, a Simon zmienił się w kogoś, przez kogo żałosna kara szlabanu uważana była za właściwą reakcję.

- Przestań pieprzyć głupoty!

- Nie mów tak do mnie!

- Uch! Za bardzo amerykańskie? No cóż, to wy mnie przywieźliście do tego cholernego kraju! Nie prosiłam, żeby ktoś do mnie strzelał! Mam tego dość - i was też! -Wypadłam na zewnątrz i zatrzęsnęłam za sobą drzwi. Byłam wściekła na niego - i na siebie. Ruszyłam drogą przed siebie, kopiąc pustą puszkę i klnąc z każdym jej brzęknięciem. Żadna muzyka nie towarzyszyła temu wyjściu, chyba że liczyć chęć walenia pokrywami od koszy na śmieci za muzykę.

Słyszałam, że ktoś za mną biegnie.

- Kochanie! - To była Sally. Złapała mnie i mocno przytuliła. - Musisz zrozumieć, że twój tata się o ciebie boi. Wciąż jesteś jego małą dziewczynką. Nie jest przyzwyczajony do tego, że widzi cię z takim dorosłym chłopakiem. I na pewno nie chce, żeby stała ci się krzywda z rąk jakiegoś narwańca biegającego po lesie.

Nieszczęśliwa z powodu wszystkiego, co wydarzyło się przez ostatnie kilka godzin, wybuchłam płaczem.

- Przepraszam, Sally. Nie miałam tego na myśli - mówię o tych beznadziejnych rodzicach.

- Wiem, kochanie. Ale jesteśmy beznadziejni. Założę się, że w tym tygodniu nie zjadłaś porządnego obiadu. Wiem o tym.

- Nie jesteście beznadziejni. A ja jestem okropną córką. Wzięliście mnie do siebie, wytrzymywaliście ze mną, a ja...

Potrząsnęła mną.

- A ty dałaś nam sto razy więcej, niż my kiedykolwiek daliśmy tobie. I nigdy, nawet przez chwilę nie zapomnieliśmy, że cię mamy, nawet kiedy zapominamy o bożym świecie. Daj Simonowi szansę, żeby się uspokoił, a jestem pewna, że nawet cię przeprosi.

- Bałam się, Sally. Oni do nas strzelali.

- Wiem, kochanie.

- Zed był naprawdę świetny. Wiedział, co robić.

- To miły chłopak.

- Lubię go.

- Wydaje mi się, że nawet więcej, niż lubisz. Pociągnęłam nosem, szukając chusteczki. Nie miałam

pojęcia, co do niego czuję - nie rozumiałam, o co chodzi z sawantami, i nie wierzyłam, że ktokolwiek mógłby mnie chcieć tak bardzo, jak twierdził Zed. Dopiero uczyłam się mu ufać.

- Bądź ostrożna, Sky. Jesteś taka wrażliwa. Taki chłopak jak on może cię przytłoczyć, jeśli za bardzo się w nim zakochasz.

- Jaki chłopak? - Czemu wszyscy myśleli, że potrafią stwierdzić, jaki jest Zed?

Sally westchnęła i zaprowadziła mnie do samochodu.

- Jest przystojny i z tego, co słyszałam, trochę nieobliczalny. Niewielu ludzi zostaje ze swoimi szkolnymi miłościami - to część przygotowania do życia.

- Byliśmy tylko na jednej randce.

- No właśnie. Więc nie pozwól, żeby twoja wyobraźnia cię poniosła. Trzymaj go na dystans, a nie przestanie być tobą zainteresowany.

To właśnie jego zainteresowanie było problemem -to ja traktowałam to wszystko lekko. Ale taka była moja mama - przejmowała się sercem, kiedy latały pociski.

- A to co, porady sercowe w wykonaniu doktor Sally Bright?

- Czy naprawdę musimy znowu o tym rozmawiać? Myślałam, że przedyskutowałyśmy to, kiedy miałaś dwanaście lat - zażartowała.

- Nie, nie, dzięki, wystarczą mi fakty.

- Więc ufam, że zastosujesz je w praktyce.

- Ty mi ufasz, ale Simon nie. Westchnęła.

- Nie, on zawsze był wobec ciebie trochę nadopiekuń-czy, może też dlatego, że tyle wycierpiałaś, zanim do nas przyszłaś. Gdyby mógł zamknąć cię w wieży, wykopać rów, zrobić pole minowe i otoczyć to drutem kolczastym, zrobiłby to.

- Więc pewnie mam szczęście, że to tylko szlaban.

- O tak. Może uda mi się go przekonać do dwóch tygodni, ale myślę, że możemy powiedzieć na pewno, że masz szlaban.

Trzeci z najstarszych braci Benedict, Victor, odwiedził nas, kiedy już spaliśmy. Słyszałam, jak Simon klął, kiedy szukał szlafroka do zarzucenia na koszulkę i szorty. Sally przyszła mnie obudzić.

- Jeszcze nie śpisz?

- Nie. Co się dzieje?

- FBI jest w kuchni. Chcą z nami porozmawiać. Victor przyszedł ze współpracowniczką. Miał proste,

długie, ciemne włosy związane w kucyk. Ubrany był w szykowny czarny garnitur i srebrny krawat. Podobnie jak jego ojciec miał spokojną aurę, jakby niewiele rzeczy mogło go zaskoczyć. Jego koleżanka zrobiła na mnie wrażenie bardziej nerwowej. Stukała pisakiem w notes elektroniczny. Twarz o jastrzębich rysach ukryta w cieniu, krótkie, brązowe włosy zaczesane za uszy.

- Sky. - Victor wyciągnął do mnie rękę i poprowadził na krzesło naprzeciwko siebie. Dziwnie było patrzeć - zachowywał się tak, jakby to on rządził w naszej kuchni. Sally i Simon ustąpili mu bez szemrania i trzymali się z boku, podczas gdy on prowadził show.

- Będzie ci przeszkadzało, jeśli będziemy to nagrywać? -
Wskazał na dyktafon leżący na stole.

Zerknęłam na Simona, który pokręcił głową.

- W porządku. Nie przeszkadza mi to. Victor wcisnął guzik.

- Początek nagrania. Zdarzenie siedem, siedem, osiem kreska dziesięć. Wywiad czwarty. W pokoju obecni są agenci Victor Benedict i Anya Kowalski oraz świadek, Sky Bright, niepełnoletnia. Świadcowi towarzyszą rodzice, Simon i Sally Bright.

A niech to - brzmiało jak jakiś proces.

- Czy zrobiłam coś złego? - spytałam, trąc płamę po herbacie na blacie stołu.

Wyraz twarzy Victora złagodniał, pokręcił głową.

- Poza tym, że umówiłaś się z moim głupim bratem, raczej nie. Sky, masz szesnaście lat, prawda? Jaka jest twoja data urodzenia?

-Yyy...

Wtrąciła się Sally.

- Nikt nie zna dokładnej daty jej urodzin, bo straciła swoich biologicznych rodziców, kiedy miała sześć lat. Na jej urodziny wybraliśmy dzień, w którym ją adoptowaliśmy - pierwszy marca.

Agentka o jastrzębich rysach zrobiła notatkę.

- Aha - odparł Victor, mierząc mnie wzrokiem. - A teraz, Sky, chciałbym, żebyś opowiedziała nam własnymi słowami, co się stało tego wieczoru w lesie, najbardziej szczegółowo, jak potrafisz.

Bawiąc się poniewierającymi się na stole okruchami cukru, przeżyłam ten wieczór jeszcze raz na potrzeby przesłuchania, oglądając go w głowie jak jedną z moich histo-

ryjek, klatka po klatce. Pomięłam tylko to, że przez jakiś czas Zed i ja używaliśmy telepatii. Och, i pocałunek. Uznałam, że o tym nie muszą wiedzieć.

- Zed powiedział, że to ty zdałaś sobie sprawę, że napastników jest więcej niż jeden. Skąd to wiedziałaś? -Przerwała pani Kowalski, kiedy dotarłam do tego punktu opowieści.

Zastanowiłam się, czy powinnam zmyślić, że usłyszałam hałas albo zobaczyłam drugą osobę, ale postanowiłam, że lepiej, jeśli będę trzymać się prawdy.

- Po prostu to poczułam - taki instynkt.

- Sky zawsze miała niezawodny instynkt - dodała Sally, nadgorliwie próbując pomóc władzom w ich przesłuchaniu. - Pamiętasz, Simon, że nigdy nie lubiła tego nauczyciela, którego dla niej znaleźliśmy? Okazało się, że był zamieszany w stłuczkę i uciekł z miejsca wypadku.

Zapomniałam o tym - to było tak dawno temu. Pan Bagshot sprawiał, że wpadałam w panikę i czułam się winna, kiedy byłam z nim w jednym pokoju, jakby jego emocje wylewały się i opanowywały mnie.

- Interesujące. - Victor splótł palce. - A więc nic nie zobaczyłaś, tylko poczułaś?

- Tak. - Pomasowałam sobie skronie. Ból głowy wrócił. Victor sięgnął do kieszeni i wyciągnął saszetkę z aspiryną.

- Zed prosił, żeby ci to przekazać. Powiedział, że zapomnisz ją wziąć.

Zobaczył to, a nie przewidział, że będą do nas strzelać, kiedy pójdziemy na spacer? To jasnowidzenie było nieznośnie wyrywkowe. Łyknęłam tabletkę i popiłam ją wodą, po czym skończyłam opowiadanie.

-Złapaliście człowieka, który to zrobił? - spytał Simon. On i Sally byli bladzi; nie znali szczegółów tego, co się stało, ani tego, jak blisko byłam pocisków.

- Nie, proszę pana.

- Macie podejrzenia, kto to był?

- Jeszcze nie.

- Czy Sky jest w niebezpieczeństwie?

- Nie mamy powodów, by tak sądzić. - Victor zamilkł na chwilę. - Powiem wam coś w zaufaniu; musicie zrozumieć, żeby upewnić się, że Sky jest bezpieczna, ale muszę was prosić, żebyście zatrzymali to dla siebie.

Przez jedną okropną chwilę zastanawiałam się, czy zamierzał powiedzieć moim rodzicom o tej sprawie z sawantami. Nigdy by mu nie uwierzyli.

- Może nam pan zaufać - zapewnił Simon.

- Moja rodzina jest tutaj w ramach programu ochrony świadków prowadzonego przez FBI. Obawiamy się, że wiadomość o ich miejscu zamieszkania przeciekła do wspólników ludzi, których pomogli wsadzić do więzienia. Atak był skierowany na nich, nie na państwa córkę, więc sądzimy, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, tak długo jak będzie trzymać się od nas z daleka.

- Och. - Sally opadła na krzesło jak ponton, z którego spuszczone powietrze. - To okropne, musicie żyć pod taką presją.

Simon odgadł następny krok.

- Zamierzacie się przenieść, skoro wasze miejsce zamieszkania już nie jest tajemnicą?

- Mamy nadzieję, że nie będzie to potrzebne. Wszyscy staramy się być mało zauważalni...

Zakończę karierę jako mistrz juniorów Kolorado i odejdę niepokonany - powiedział Xavier. Nie chciał stać się zbyt znany poza granicą stanu. Zed unikał robienia więcej niż tylko dobrego wrażenia w rozgrywkach baseballowych, nie chcąc przyciągać uwagi.

- Ale za wcześnie o tym mówić. Poza tym trudno znów przenosić się całą rodziną. Wolelibyśmy poradzić sobie z tym zagrożeniem, powstrzymać je i wtedy zdecydować, co dalej.

Narysowałam kółko czubkiem palca.

- A jeśli macie przeciek w FBI, musicie go zatkać, zanim się przeniesiecie, inaczej kłopoty pójną za wami.

Victor spojrzał na mnie uważnie.

- Sprytna z ciebie dziewczyna.

- Mam rację, prawda?

- Tak. Łatwiej nam się bronić w miejscu, które znamy, dopóki nie będziemy pewni, że jest już bezpiecznie.

- Rozumiem.

Victor wstał i schował dyktafon do kieszeni. -Tak, rozumiesz, prawda? Jesteś urocza, nasz ojciec mówił prawdę. Dziękuję za pomoc.

- Żaden problem, agencie Benedict - odparł Simon i odprowadził ich do drzwi.

Sally usiadła obok mnie przy stole. Simon usiadł po mojej drugiej stronie i wziął mnie za rękę.

- No cóż - powiedział.

- Tak. - Oparłam głowę o jego ramię, wybaczywszy mu wcześniejszą kłótnię.

- Przepraszam, Sky, ale nie możemy pozwolić ci widywać tego chłopaka poza szkołą ani nikogo z jego rodziny, aż się ta sprawa wyjaśni.

- To niesprawiedliwe.

- Tak, kochanie. Przykro mi.

Nie mogąc widywać się z Zedem w czasie wolnym, nie mogłam doczekać się, żeby spotkać się z nim w szkole i dowiedzieć się, co się stanie z jego rodziną. Czułam się zagubiona, kiedy przez następnych kilka dni nie pojawił się na lekcjach. Martwiłam się okropnie, a w dodatku musiałam pokazywać się innym z podbitym z niewyjaśnionych przyczyn okiem. Było to strasznie zawstydzające - aż miałam ochotę schować się w jakimś kącie.

- O rety, Sky, zaczęłaś ćwiczyć boks? - zawołał głośno Nelson, widząc mnie na szkolnym korytarzu.

Spróbowałam zasłonić swoje oko puklami włosów.

- Nie.

Pozostali uczniowie patrzyli na mnie, jakbym była jakimś eksponatem. *Zabawna dziewczyna z podbitym okiem*, tutaj, tutaj!

- Więc jak to się stało?

Przyspieszyłam kroku, mając nadzieję, że dotrę do klasy, zanim on to ze mnie wydobędzie.

- Hej, Sky, mnie możesz powiedzieć. - Nelson złapał mnie za rękę. Już nie żartował, był poważny. - Ktoś cię skrzywdził?

Odrzuciłam włosy z twarzy i popatrzyłam mu prosto w oczy.

- Wczoraj nadziałam się na łokieć. -Czyj?

- Zeda. Nic wielkiego.

- Jak to nic wielkiego! Chyba żartujesz! Gdzie on jest? - Nelson wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć. - Wie-

działem, że nie będzie z tego nic dobrego. Powinien bardziej na ciebie uważać.

- Nic się nie stało.

- Stało się, Sky. Zed nie jest odpowiednim chłopakiem dla ciebie.

- To był wypadek.

-Więc jak to się stało? - Oparł się ręką o framugę drzwi, zagradzając mi przejście. - Jak wpadłaś na jego łokieć?

Co miałam powiedzieć? Że strzelał do nas morderca? Równie dobrze mogłam wystrzelić pudło z fajerwerkami na apelu całej szkoły.

- Ganiałiśmy się po lesie i przewróciłam się na niego. Nelson, wpuść mnie. Wystarczy, że wyglądam głupio, nie chcę się jeszcze spóźnić.

Nelson opuścił rękę.

-Ale jestem z tobą, pamiętasz? Może to był wypadek, ale nie widzę, żeby on sprawdzał, czy dobrze się czujesz. Porozmawiam sobie z nim.

-Nie.

- Nie możesz mi zabronić, Sky, skarbie.

A więc teraz mogłam bać się czegoś jeszcze: że Nelson rozerwie Zeda na strzępy w mylnym przekonaniu, że mnie w ten sposób broni.

Zed pokazał się w szkole dwa dni później. Victor przywiózł jego i Yvesa do szkoły w eleganckim priusie z przyciemnianymi szybami i wysadził tuż przy drzwiach. Zobaczyłam, jak wbiegają do środka, tylko dlatego, że także się spóźniłam. Musiałam funkcjonować w „czasie Simona”, który upierał się, że będzie zawoził mnie na lekcje. A Simon nie zaczynał się zbierać aż do momentu, w którym

musiał być gdzieś indziej - może było to w porządku dla artystów, ale nie dla uczniów.

Widząc, jak Zed i Yves biegną od samochodu do drzwi wejściowych, pomyślałam, że Benedictowie wyglądają na zmęczonych, ale poza tym chyba nic im nie jest.

Zed.

Usłyszał moje wołanie z umysłu do umysłu i rozejrzał się, ale Yves złapał go pod jedną rękę, a Victor pod drugą i pociągnęli go do środka.

Później cię znajdę - odpowiedział.

Ale ja potrzebowałam go teraz. Musiałam przełknąć mój zawód i wyjaśnić panu Joemu, dlaczego drugi dzień z rzędu spóźniłam się na sprawdzanie listy.

W czasie przerwy ukryłam się w bibliotece. Na zewnątrz padał śnieg i wszyscy zostaliśmy w środku, rozproszeni po całej szkole, w poszukiwaniu schronienia. W bibliotece wybrałam dział ze słownikami i encyklopediami, licząc na to, że tam przyciągnę mniej spojrzeń. Moje oko wciąż stanowiło wielokolorowy powód do wstydu. Od czasu, kiedy przez chwilę widziałam Zeda dziś rano, miałam okropne przeczucie, że może moje uczucia dla niego znacznie wyprzedzały jego uczucia w stosunku do mnie. Nie mogłam się pozbierać, wiedząc, że jego życie może być zagrożone, a on nawet nie odezwał się, żeby mi powiedzieć, czy wszystko w porządku. Wszystkie wiadomości, które wysyłałam mu w myślach, pozostały bez odpowiedzi. Wyglądało na to, że Zed jest jak chorągiewka na wietrze. Może ta historia o przeznaczonych była właśnie tym - stekiem bzdur, żeby zdobyć kilka pocałunków.

Ale Zed znalazł mnie w mojej kryjówce. Może zobaczył mnie tu, jeszcze zanim tu przyszedł. Usiadł naprzeciwko mnie i po prostu na mnie popatrzył.

Sky, przepraszam.

Hej, następna zaleta rozmów w myślach - nie tylko masz niskie rachunki telefoniczne, ale jeszcze nikt cię nie wyrzuci z biblioteki. Przysunęłam sobie tom encyklopedii od P do Q i udałam nagle zainteresowanie hasłem o pingwinach.

Jesteś na mnie zła?

Nie.

Więc czemu udajesz, że mnie nie widzisz?

Zerknęłam na niego. Nie spuszczał ze mnie wzroku. I -o rany, jaki on był przystojny. Miałam ochotę wtulić swoją twarz w jego ramię i mocno się przytulić.

Boli cię oko?

Nie, twój brat mi pomógł; tylko nadal wyglądam jak idiotka. Nie mogłam przyjść, zanim nie przeszukali okolicy. Domyśliłam się, że coś takiego się dzieje. Nie mogłam dać ci znać, bo w domu nie ma zasięgu. Przepraszam.

Nie przepraszaj. Rozumiem.

Naprawdę? Naprawdę rozumiesz, jakie to dla mnie trudne? Chciałem być z tobą - zostać z tobą wtedy. Pokłóciłaś się z tatą, prawda?

Tak, ale już się pogodziliśmy.

Przykro ci, że mnie nie było, żebym mógł oberwać za to podbite oko. Musiałaś mieć przez to ciężkie chwile. Nie ciężkie, ale było dziwnie. Nelson chce cię dopaść. Zasluguje na to. Ratowałeś mi życie.

Przed wszystkim nigdy nie powinnaś była znaleźć się w niebezpieczeństwie. Nie powinienem był wystawiać cię na takie ryzyko. Słuchaj, może pójdziemy gdzieś, gdzie będziemy mogli normalnie porozmawiać?

Nie wiem, czy to dobry pomysł.

Wyjął mi encyklopedię z rąk.

Pingwiny, takie fascynujące stworzenia, ale nie wiedziałem, że się nimi tak interesujesz. Na jakie zajęcia chodzisz? Na „Głupie stworzenia powinny trzymać się razem”. Odstawił książkę na półkę.

- Chodź ze mną.

- Dokąd?

- Do sali od muzyki. Zarezerwowałem jedną, na wszelki wypadek.

Zed objął mnie ramieniem i wyprowadził mnie z biblioteki, mierząc wzrokiem Sheenę i jej gang dziewczyn, które na nasz widok uśmiechnęły się ironicznie. Jedno jego spojrzenie i szybko odwróciły wzrok. Kiedy dotarliśmy do sali, najpierw sprawdził, czy jest pusta, po czym wciągnął mnie do środka i zamknął drzwi.

- Dużo lepiej. - Oparł mnie o drzwi i przytulił mnie. - Pozwól mi cię tak potrzymać przez chwilę. Nie miałem szansy nawet cię dotknąć, odkąd strzelali do nas ci mordercy.

Pozwoliłam mu się objąć, do głębi poruszona jego czułością. W jego uścisku było coś desperackiego - może oboje wiedzieliśmy, że mamy szczęście, że oddychamy, a co dopiero przytulamy się do siebie.

- Sky, nie zniósłbym, gdyby coś ci się stało - wyszeptał, bawiąc się moimi włosami, które nosiłam rozpuszczone, żeby przykryć siniaka.

- Czemu? A coś ma się stać? Widziałeś coś?

- Powiedziałem ci, nie mogę mówić ludziom za wiele o przyszłości. Mogłaby się przez to zmienić w coś, czego żadne z nas by nie chciało.

- Rozumiem, że moja nie wygląda za dobrze?

- Sky, proszę cię, nie wiem. Nie sądzisz, że coś bym zrobił, gdybym wiedział, co mogłoby pomóc? Najważniejsze, żebyś była bezpieczna.

To było takie frustrujące. Te wskazówki i zawołane ostrzeżenia doprowadzały mnie do szału. Bycie sawantem musi być do bani.

- Oj jest.

- Znowu to robisz: czytasz mi w myślach! Przestań. One są moje - prywatne. - Skrzyżowałam ręce na piersi i odsunęłam się od niego.

-To wygląda, jakbym wciąż cię przeproszał, ale naprawdę - przeproszam. Potrafię cię czytać lepiej niż innych ludzi - wszystko jakby wycieka z ciebie prosto do mojej głowy.

- A to ma mi poprawić samopoczucie? - W moim głosie pojawiła się histeryczna nuta.

- Nie, to tylko wyjaśnienie. Możesz nauczyć się tworzyć tarcze.

- Co takiego?

- To podstawowa część treningu sawantów. Kiedy masz taką rodzinę, szybko uczysz się osłaniać.

- Ale ja nie jestem sawantem.

- Jesteś. I myślę, że gdzieś głęboko też o tym wiesz. Złapałam się za włosy i zacisnęłam ręce w pięści.

- Przestań. Nie chcę tego słyszeć. - *Jesteś niedobra. Niedobra. I wciąż wszystkich unieszczęśliwiasz.* - Nieprawda! - Nie rozmawiałam już z Zedem, ale z głosami w mojej głowie.

- Sky. - Zed złapał mnie za ręce i odsunął je od moich skroni, po czym przysunął mnie do siebie. Jego ręce znów zaczęły mnie delikatnie głaskać, przeczesując moje włosy

i pozwalając, by znów opadły mi na plecy. - Jesteś piękna. I tak daleko ci do bycia niedobłą, jak nikomu innemu.

- Co ty widzisz - co wiesz o tym, skąd pochodzę? - spytałam cichutkim głosem. - Tylko o tym wspominałeś. Wiesz o mnie rzeczy, których ja nie wiem.

Westchnął głęboko.

- Nic wyraźnego. Widzenie przeszłości to bardziej dar Uriela niż mój.

Roześmiałam się żałośnie.

- Nie rozumiem tego źle, ale mam nadzieję, że nigdy go nie poznam.

Przez chwilę huśtał mnie w swoich ramionach. Czułam się, jakbyśmy tańczyli bez muzyki, poruszali się w tym samym rytmie.

- Chcesz wiedzieć, czemu się do ciebie nie odzywałem? Pokiwałam głową.

- Nie mogłem. Zostaliśmy odcięci. I mam jeszcze gorsze wieści.

- Co? Gorsze niż to, że jakiś maniak chce zamordować twoją rodzinę? Ja chciałam tylko wiedzieć, że nic wam nie jest. Chciałam wiedzieć, że nic *tobie* nie jest.

- Victor ogłosił dla nas czerwony alarm. To znaczy, że nie możemy komunikować się z nikim poza najbliższą rodziną.

Nie mogłam nie zadać sobie pytania, gdzie wobec tego byłam na jego liście priorytetów. W końcu twierdził, że jestem jego przeznaczoną.

- Nie wiemy, kto słucha naszych rozmów. Powiniennem być znaleźć sposób, żeby wysłać ci wiadomość, ale bałem się korzystać z telepatii.

- Czemu?

- To jest ta zła wiadomość. Podejrzewamy, że mordercy mają swojego sawanta. Nie powinni byli podejść nas z tak bliska. Dar mojego taty to wyczuwanie niebezpieczeństwa. Powinien był wiedzieć, że oni gdzieś się tu kręcą, chyba że osłaniał ich potężny sawant. Można podsłuchiwać telepatię tak samo jak rozmowy, jeśli ma się dar. Nie chciałem, żeby coś, co zrobię, zdradziło im jakieś informacje o tobie.

- A więc nie tylko twoja rodzina posługuje się telepatią?

- Nie, znamy wiele takich osób - ale pewnie o wielu nie wiemy. Można obrócić dar w zło tak łatwo, jak skorzystać z niego, by czynić dobro. Pokusa jest silna, zwłaszcza dla tych, którzy nie znajdują równowagi w swoim przeznaczonym. - Potarł policzkiem o moje włosy. - Ty jesteś moją równowagą, Sky. Zanim cię spotkałem, groziło mi, że zacznę się staczać. Nie potrafię wyrazić, co to znaczy, że ocalałaś mnie od tej szarej egzystencji.

- Staczałaś się?

- I to jak. Bez ciebie nie jestem miłym człowiekiem. Zaczynało mnie kusić, żeby korzystać z mojego daru, by dostać to, co chcę. Nieważne, jak bardzo nieuczciwie i czy działało się to kosztem innych ludzi. - Skrzywił się. Wyraźnie źle czuł się z tym, co mi o sobie mówił. - Dałaś mi wystarczająco dużo nadziei, żebym mógł się jej trzymać, aż będziesz gotowa, żeby odblokować swój dar. Kiedy to się stanie, nie ma szans, bym wrócił do tego, kim byłem.

- Ale jeszcze nie jesteś bezpieczny? - Nie zdawałam sobie sprawy, że to ja go powstrzymywałam. Jeśli coś się nie uda, a on straci równowagę, to będzie moja wina, że nie byłam wystarczająco odważna, żeby zbadać, co mam w sobie, prawda? - Co powinnam zrobić?

Pokręcił głową.

- Nic. Potrzebujesz czasu. Bardziej martwię się o to, żeby tobie było dobrze.

- Ale ja martwię się o ciebie.

- Dziękuję, ale lepiej, żebyś miała tyle przestrzeni, ile potrzebujesz. Musimy zrobić, co tylko będzie trzeba, żebyś była bezpieczna.

Mordercy-sawanci - czy to się działo naprawdę? Pociski były wystarczająco prawdziwe - w to nie wątpiłam.

- Myślisz, że ten sawant stał się zły?

- Tak, pracował z napastnikiem. Może nadal nas podsłuchuje - tego nie wiemy. Telepatię na odległość trudniej skierować do tej właściwej osoby. Nie spotkaliśmy się z tym wcześniej. Powinniśmy byli to przewidzieć.

Wyczułam, że jest dla siebie surowy, sfrustrowany, że nie ma dla mnie odpowiedzi.

- Co powinniście byli zrobić? Zostaliście w to wciągnięci, bo jesteście świadkami. Kiedy proces się skończy, zagrożenie także minie, prawda?

- Niezupełnie. - Przez chwilę wyglądał na zakłopotanego, dając mi znać, że nie był ze mną całkowicie szczery.

- Niezupełnie?!

- Nie jesteśmy tylko świadkami - jesteśmy śledczymi. Nie chodzi tylko o ten ostatni proces - moja rodzina połączyła swoje dary, żeby wsadzić do więzienia setki osób przez ostatnich kilka lat. Tym się zajmujemy.

- Czy to znaczy, że macie więcej wrogów?

- Gdyby wiedzieli, że stoimy za ich skazaniem - ale oni nie powinni się o tym dowiedzieć. Nasze informacje są wykorzystywane do tego, by pomóc władzom znaleźć dowody, które będą mogły przedstawić w sądzie. Nie gramy roli świadków, pracujemy za kulisami.

Zabrało mi chwilę, żeby dotarło do mnie to, co właśnie usłyszałam. Jego rodzina była czymś w rodzaju sekretnej broni stróżów prawa. Mierzyli się ze złem każdego dnia.

- Jak to robicie? Zamknął na chwilę oczy.

- Pracujemy razem - widzimy, co się stało.

- Widzicie to? Wszystkie te okropieństwa - zabójstwa, przestępstwa?

- Gdybyśmy nie wiedzieli, co się stało, byłoby gorzej. Czuliśmy się winni, gdybyśmy nie działali, żeby powstrzymać przestępstwa, jeśli jest to możliwe.

- Ale cierpicie z tego powodu. Wzruszył ramionami.

- Cóż to takiego w porównaniu z dobrem, które możemy zrobić?

Zdałam sobie sprawę, że Benedictowie byli odważni, gotowi do poświęceń i odkładali na bok swoje własne ambicje, żeby korzystać ze swoich umiejętności sawantów. Mogliby wyruszyć w świat i szukać swoich przeznaczonych, a zamiast tego ryzykowali wszystkim, żeby pomagać ofiarom przestępstw. Ale to także znaczyło, że nigdy nie będą normalni, nigdy nie będą mogli wyjść z cienia i wciąż będą musieli przeżywać okropne sceny z udziałem najgorszych przestępców. Wybrali najtrudniejszą drogę; ja nie miałam w sobie tyle szlachetności. Zbyt dużo swojego życia przeżyłam w cieniu. Nie mogłam tam wracać - nawet dla Zeda.

- Boję się, Zed.

- Wydaje mi się, że nie jesteś zagrożona, tak długo jak nikt nie widzi nas razem poza szkołą. Nie powiedziałem o tobie mojej rodzinie. Jedyne sposoby, w jaki mogę cię

ochronić, to trzymać się od ciebie z daleka. Gdyby zły sawant wiedział, że jesteś moją przeznaczoną, stałabyś się głównym celem.

- Nie to miałam na myśli. Boję się, że coś ci się stanie.

- Mamy wszystko pod kontrolą.

- Ale nadal będziecie musieli się ukrywać, prawda?

- Nie chcę o tym myśleć.

- Mogę jakoś pomóc? Czy w jakikolwiek sposób mogę ci w tym ulżyć?

Pokręcił głową.

- To oznaczałoby, że musisz uwolnić swój dar, a jak powiedziałem, nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł.

- Uwolnić swój dar? Co to znaczy? Wy sawanci mówicie zagadkami.

Roześmiał się.

- My sawanci mówimy, chciałaś powiedzieć. Gdyby twój dar został uwolniony, zapaliłabyś się tak jak ja, kiedy jestem z tobą.

Przysunęłam się bliżej niego i pogładziłam go palcami po piersi, mając wrażenie, że zostawiam za sobą ogniste ślady. Jego serce znów zaczęło normalnie bić.

- Ja już czuję się, jakbym miała puszczać iskry. Pocałował mnie we włosy. Był to tak czuły gest, że łzy stanęły mi w oczach.

- To dobrze - ale lepiej przestań to robić, bo oboje będziemy mieli kłopoty. - Złapał moje palce w swoją dłoń i przycisnął je do koszuli.

- Zed, czy to wszystko się dzieje naprawdę?

- O tak. Twój dar tylko czeka, żebyś po niego sięgnęła.

- Boję się tego.

Oparł brodę o czubek mojej głowy.

- Wiem. Ale ja poczekam - tak długo jak będziesz potrzebować. Chodź, usiądź mi na chwilę na kolanach.

Zaprowadził mnie do perkusji i usiadł na stołku.

- Mam usiąść na twoich kolanach tutaj? Spadnę.

- Nie, jeśli usiądziesz twarzą do mnie. Roześmiałam się, ale zabrzmiało to jakoś smutno.

- To szaleństwo.

- Może. Ale zamierzam się nim cieszyć.

Usiadłam na jego kolanach i oparłam głowę na jego piersi, otaczając go ramionami.

- Trzymaj się teraz, dobrze?

- Ho, ho!

Zed sięgnął po pałeczki i zaczął grać część perkusji do piosenki, którą po raz pierwszy wykonaliśmy razem jako zespół jazzowy. Ja nuciłam melodię.

- Przydałoby się pianino, ale nie chcę, żebyś się ruszała - szepnął mi do ucha.

- Możemy sobie to wyobrazić.

Rytm był wolny i hipnotyczny. Uspokajający. Zamknęłam oczy, słuchając, jak Zed zaczyna podśpiewywać słowa „Hallelujah”. Miał ładny głos - tenor o doskonałej tonacji.

- Będziesz tak siedzieć czy zaśpiewasz ze mną? - spytał.

- Posiedzę.

- Coś jest nie tak z twoim głosem?

- Nie śpiewam. Nigdy nie śpiewałam - przynajmniej od bardzo dawna.

- Tylko ja tu jestem. Nie będę się śmiał.

Przez całe życie unikałam śpiewania. Nie chciałam psuć tej magicznej chwili.

- Posłucham tylko.

- OK. Ale jeszcze ze mną zaśpiewasz.

Następne tygodnie były dla nas frustrujące. Udawało nam się ukradkiem spędzić kilka chwil sam na sam w szkole, ale nigdy nie mogliśmy być po prostu razem. Musieliśmy uważać, żeby inni uczniowie nie uznali nas za parę, na wypadek gdyby wieść o tym dotarła do tego, kto chciał zemścić się na rodzinie Zeda. Miałam poczucie winy, bo przez to musiałam okłamywać najbliższych przyjaciół na temat tego, co zaszło. I wciąż martwiłam się przepowiednią Zeda - a on był zły, bo nie mógł stać przy mnie, żeby mnie ochraniać, i robił się nerwowy, kiedy tylko znalazłam się poza domem po zmroku. Cała ta sytuacja powodowała w nas spory stres. O dwa zagrożenia za dużo.

- Coś zaszło między tobą a Zedem, Sky? - spytała Tina pewnego popołudnia, kiedy pomagałyśmy dekorować salę na Halloween.

Zawieszałam rząd dyniowych latarni nad tablicą.

- Nie.

- Wydawało się, że do czegoś dojdzie, aż przyszedł do szkoły z podbitym okiem. Stało się coś, o czym nam nie powiedziałaś?

Tak, niewiele.

- Co takiego?

Wzruszyła ramionami. Wydawała się zakłopotana.

- Nie uderzył cię czy coś takiego?

- Nie!

- Chodzi o to, że ci Benedictowie są trochę dziwni. Nikt ich tak naprawdę nie zna. Rozmawiamy o nich oczywiście, ale nie słyszałam, żeby umawiali się z kimś ze szkoły. Kto wie, jakie sekrety ukrywają?

Postanowiłam zwalczać pożar ogniem.

- Masz na myśli ich babcię wariatkę zamkniętą na strychu? Czy lalki voodoo powieszzone za szyję nad ciałami ich ofiar?

Tina poczerwieniała ze wstydu.

- Wcale tak nie myślałam.

- Zed nie bije swoich dziewczyn. Aż podskoczyła.

- A więc jesteś jego dziewczyną? Ups.

- Nieee. Tylko koleżanką.

- Muszę przyznać, że miło mi to słyszeć. - Tina rozciągnęła sztuczną sieć pajęczą nad tablicą z ogłoszeniami. - Słyszałaś, że Nelson pobił się z nim o to, co Zed ci zrobił?

-Nie!

- Tak, w przebieralni chłopców po zajęciach z koszykówki.

- Mówiłam mu, że to moja wina, nie Zeda!

- Nelson jest niemożliwie opiekuńczy. Musiałaś to zauważyć.

Myślę, że tak jak jego babcia chce mieć nas w ten sposób na oku.

- Nikomu nic się nie stało?

- Nie, trener ich rozdzielił. Kazał im obu zostać po lekcjach. A Zed znowu jest pod obserwacją i jest zagrożony zawieszeniem.

- Nie chciałam tego.

- Czego? Żeby chłopcy się o ciebie bili? Powinnaś się czuć wyróżniona.

- To idioci.

- Tak, po prostu chłopcy. Mają zachowania terytorialne.

Skrzyżowałam palce.

- Słuchaj, Zed i ja bardzo się lubimy, ale nic więcej.

-Przynajmniej do czasu, aż uporamy się ze śmiertelnym zagrożeniem.

- OK, rozumiem. Jesteś bezpieczna. - Ale widziałam, że Tina nie jest przekonana. - Chcesz iść z nami zbierać cukierki?

- Czy to nie jest dla małych dzieci?

- To nie znaczy, że my nie możemy też się pobawić. Przebieramy się, przechadzamy po ulicach, a potem idziemy do czyjegoś domu. Moja mama powiedziała, że w tym roku możemy iść do mnie.

- Jak się przebieracie?

- W różne fajne stroje. Za widzmy, ghule, lalki voodoo wiszące nad ciałem martwej babci na strychu i tak dalej.

- Superzabawa.

Ku mojemu zakłopotaniu Simonowi bardzo spodobał się pomysł zrobienia kostiumu na Halloween. W swojej sztuce często używał materiałów i kiedy opowiedziałam mu o akcji „cukierek albo psikus”, dał się ponieść wyobraźni. Przygotował dla mnie kostium kościotrupa, który świecił w białym świetle, a do tego bardzo przeko-

nującą maskę kościotrupa. Zrobił też kostiumy dla siebie i Sally.

- Nie myślicie chyba, że pójdziecie ze mną? - spytałam przerażona, kiedy położył maski na kuchennym stole w halloweenowy poranek.

- Oczywiście, że tak - odparł śmiertelnie poważnie, ale dostrzegłam uśmiech w jego oczach. - Wszystko, czego pragnie nastolatek: ciągnąć ze sobą swoich rodziców na imprezę u koleżanki w pierwsze wieczorne wyjście po szlabanie.

- Powiedz, że on żartuje! - zwróciłam się błagalnie do Sally.

- Oczywiście, że tak. Czytaliśmy trochę o amerykańskich zwyczajach w Halloween i zrozumieliśmy, że to nasz obowiązek jako prawych i szlachetnych obywateli Wrickenridge strzec drzwi w przerażających kostiumach i siać zepsucie zębów wśród młodszej części populacji.

- Zamierzacie tak przebrani dawać im cukierki?

- O tak. - Simon poklepał z uczuciem swoją maskę kościotrupa.

- Jak się cieszę, że mnie tu nie będzie.

Moi przyjaciele spotkali się przed sklepem spożywczym o siódmej. Tworzyli malowniczą grupkę wiedźm, duchów i zombie. Atmosfera była doskonała: ciemności, bezksiężycowe niebo i nawet mgła, co dodawało nastroju głułowej tematyce. Zoe włożyła fantastyczny strój wampirzycy z obszytym na czerwono płaszczem i białymi kłami. Tina wybrała przebranie czarnoksiężnika ze spiczastym kapeluszem i długim płaszczem oraz twarzą pomalowaną w srebrne gwiazdy. Nelson przyszedł przebrany za zombie - to było dla niego oczywiste. Ja czułam

się trochę skrepowana w moim obcisłym kostiumie kościotrupa.

Nelson podrapał mnie w czubek sztucznej czaszki.

- Puk, puk, kto tam?

- To ja, Sky. -Skykto?

- Zamknij się, Nelson. Roześmiał się.

- Wyglądasz świetnie. Skąd masz ten kostium? Wypożyczyłaś go?

Zdjęłam maskę.

- Nie, Simon go zrobił.

- Super.

- On i Sally siedzą w domu w podobnym przebraniu. Zaczął dla żartu ciągnąć mnie w stronę mojego domu.

- Żartujesz? Musimy tam iść. Dźgnęłam go pod zebra.

- Jeśli zasugerujesz to pozostałym, osobiście wyciągnę ci mózg przez uszy i nakarmię nim twoich kolegów zombie.

- Au! Świetna wizualnie groźba - podoba mi się W moim kostiumie zaczynało mi się robić zimno.

- Możemy iść, Tina?

- Tak, chodźmy.

Tina rozdała wszystkim latarenki w kształcie dyni zawieszona na tyczkach i ruszyliśmy przez ulice, przyglądając się zabawie. Mijały nas małe dzieci z rodzicami poprzebierane w dziwaczne kostiumy. Przerazająca nuta musiała rozpuścić się gdzieś po drodze, bo wydawało się absolutnie dopuszczalne przebrać się w ulubiony strój księżniczki, jeśli było się dziewczynką w wieku przedszkolnym, albo

w kostium Spider-Mana, jeśli było się chłopcem. Nacisk kładziony był raczej na „cukierek” niż na „psikus”. Zobaczyłam kilkoro starszych dzieciaków walczących ze sobą pistoletami na wodę, ale większość była zbyt zajęta objadaniem się tonami cukru, żeby powodować zniszczenie w domach, w których nikt ich niczym nie częstował.

Kiedy zbliżaliśmy się do domu Tiny, z mgły wyłonił się wilkołak i przyłączył się do naszej grupy. Na głowie miał całkowicie zakrywającą twarz maskę z włosami wystającymi z uszu, a na rękach parę włochatych łap. W każdą inną noc byłby to powód do paniki; w Halloween nikt nawet nie mrugnął okiem.

Wilkołak prześlizgnął się przez tłum i zbliżył się do mnie. Pochylił się i zawarczał mi w ucho.

- Zed? - podskoczyłam.

- Ciii. Nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, że tu jestem. I nie *myśl* do mnie, na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał.

Zaczęłam chichotać, absurdalnie zachwycona, że wymknął się z domu, żeby mnie zobaczyć.

- Ach, Wilkołaku, jesteś mistrzem przebrania i prześcigasz złych ludzi swoim sprytem.

- Pasuję tu, prawda? Wiedziałem, że będziesz po zmroku na dworze, więc oto jestem.

Nie potrzebowałam przypomnienia o czekającym nas prawdziwym horrorze, kiedy bawiłam się w straszenie, ale ucieszyłam się, że jest przy mnie.

Włochata łapa objęła mnie w pasie.

- Nie jestem pewien, czy podoba mi się ten twój kostium. Nie mogłaś włożyć płaszcza czy czegoś takiego?

- Bardzo mi zimno. Simon nie pomyślał o tym, kiedy go dla mnie robił.

Zed zdjął swój płaszcz i zarzucił mi go na ramiona.

- Twój *tata* go dla ciebie zrobił? Mówimy o tym samym człowieku, który chce cię zamknąć w wieży, aż skończysz trzydzieści lat? Zmienił mu się charakter, odkąd go ostatnio widziałem?

- To jest dzieło artystyczne. On nie myślał o tym, jak będzie w nim wyglądać jego córka, tylko starał się uzyskać właściwy kształt. On i Sally są w domu w identycznych przebraniach.

Zed zachichotał cicho.

- Powiedziałaś rodzicom, że wychodzisz? - spytałam.

- Nie, oni nadal myślą, że musimy sprowadzić wagoniki na dół. Ja robię coś przy rowerze w garażu. Xav mnie kryje.

- Jak zareagują? Zmarszczył czoło.

- Nie widzę - to trudno przewidzieć w przypadku rodziny. W domu sawantów jest tyle możliwości, że przyszłość robi się zamglona - to tak jak zakłócenia w komórce. To dziwne: zauważyłem, że im bliżej ciebie jestem, tym mniej widzę rzeczy, które dotyczą ciebie.

- Czy to znaczy, że mogę cię pokonać w karty?

- Możliwe. Ale mogę też nie być w stanie pomóc ci na bramce, więc to minus.

- Dla mnie w porządku. To nie było fajne wiedzieć, że cały czas coś widzisz. Czuję się, czy ja wiem, jak złapana w klatkę przez przyszłość.

- Tak, ja też tak wolę. Czuję się bardziej normalnie.

Dotarliśmy do domu Tiny. Nie oszczędziła na dekoracjach. W każdym oknie szczyrzyły się rzeźbione dynie, a ganek obwieszony był pajakami, nietoperzami i węzami.

Otworzyła nam jej mama przebrana za wiedźmę, z długimi, sztucznymi rzęsami i krwistoczerwonymi paznokciami. Na tyłach zobaczyłam starszych braci Tiny dorzucających gałęzi do ogniska w ogrodzie.

- Wejdzmy i zostańmy tu przez chwilę, a potem się wymknijmy - zaproponował Zed. - Bardzo bym chciał być z tobą sam chociaż przez godzinę. Nie znoszę tych kradzionych chwil w szkole, kiedy wciąż się denerwuję, że ktoś na nas wpadnie.

- OK, ale nie mogę się zmyć za wcześnie.

- W środku będę się od ciebie trzymał z daleka. Jeśli ktoś mnie rozpozna w tym kostiumie, nic sobie nie pomyśli. Tina mnie w końcu zaprosiła.

Impreza zgromadziła się w kuchni. Mama Tiny przygotowała ogromny garnek popcornu i zieloną galaretkę, którą musieliśmy nakarmić się z zawiązanymi oczami. Niewykonalne w masce kościotrupa, więc zdjęłam ją i przyłączyłam się do zabawy. Zed trzymał się z boku, z maską wilkołaka na twarzy.

Wylosowałam Nelsona jako mojego karmiciela, a Tina wykrzykiwała instrukcje. Oczywiście więcej galaretki wylądowało przez to na mnie niż w moich ustach.

- Fúj. Teraz będę musiała się umyć! - Pisnęłam, kiedy łyżeczka uderzyła mnie w szyję i galaretka wpadła mi za dekolt.

- Łowienie jabłek ustami! - zaproponowała Tina. - To powinno pomóc.

Okazałam się beznadziejna w łowieniu jabłek. Zoe była najlepsza.

- To przez to, że ma usta wielkie od gadania - wyjaśniła Tina i uchyliła się, kiedy Zoe prysnęła w nią wodą.

Musiałam być w domu o północy, więc jeśli chciałam spędzić trochę czasu z Zedem, musiałam wyjść stamtąd o dziesiątej trzydzieści.

-Jak dotrzesz do domu? - spytała Tina, wybierając piosenki na iPodzie, żeby zacząć tańce.

- Tak, ktoś mnie podwiezie.

- OK. Do zobaczenia jutro.

- Dziękuję za imprezę. Było cudownie. Roześmiała się.

- Uwielbiam, kiedy mówisz jak Angielka. *Było cudownie* - przedrzeźniła mnie. Zanosząc się śmiechem, złapała Nelsona i zaciągnęła go na środek kuchni, żeby zatańczyć.

Wyszłam na ganek, gdzie już czekał na mnie Zed.

- Gotowa? - spytał.

- Ho, ho! Dokąd idziemy?

- Może w twoją stronę. Na Main Street jest kawiarnia, powinna być otwarta.

- Czy to bezpieczne?

- Powinno być. Usiądziemy przy stoliku z tyłu. Chociaż doceniam możliwość wmieszania się w tłum, nie chcę siedzieć w tej masce przez cały wieczór.

Uniosłam maskę.

- Czy powinnam ją włożyć? Czuję się w niej głupio.

- Pomyśl, że ludzie zobaczą, kto przebrał się w kostium kościotrupa, jeśli jej nie włożysz.

- Celna uwaga. - Włożyłam maskę, ale nie mogłam powstrzymać śmiechu. - To nasza druga randka, prawda?

-Widzisz, mówiłem ci, że wymyślę coś lepszego. -Splótł swoje palce z moimi: włochate łapy ze szkieletem.

W kawiarni roіło się od rodziców, chcących ogrzać się i napić czegoś po tym, jak przez cały wieczór musieli włó-

czyć się za swoimi nadaktywnymi pociechami. Musieliśmy poczekać, aż zwolni się stolik na tyłach.

- Czego się napijesz? - spytał Zed.

- Gorącej czekolady ze wszystkimi dodatkami. Przyniósł mi wysoką szklankę po brzegi wypełnioną

bitą śmietaną i piankami marshmallow, z czekoladowym mieszadełkiem. Dla siebie wziął czarną kawę.

- Nie wiesz, co tracisz - westchnęłam w zachwycie, łyknąwszy rozpuszczoną piankę w czekoladowym syropie.

- Myślę, że mam równie dużo przyjemności z patrzenia na ciebie. - Upił łyk kawy. - Wiem, że to tania randka -przepraszam.

- Tak, znasz mnie: siedzę tutaj i liczę, jak dużo wydałeś. Następnym razem spodziewam się kawioru w pięciogwiazdkowej restauracji.

- Mogę przebiec się po burgera, jeśli jesteś głodna. Pociągnęłam go za łapę.

- Nie bądź głupi. Następnym razem ja stawiam. Niech będzie po równo.

Pogłaskał mnie po rękę, powodując, że poczułam ciepłe mrowienie w kręgosłupie.

- Nie przeszkadza mi, jeśli podzielimy rachunek, ale wolałbym płacić za ciebie. I chyba nie podobałoby mi się, gdybyś ty płaciła za mnie.

Roześmiałam się.

- Dorastałeś wśród jaskiniowców?

- Poznałaś mojego tatę i moich braci. Nie mam nic więcej do dodania.

Wracaliśmy przez dużo spokojniejsze ulice. Pokryte śniegiem góry lśniły w świetle księżyca. Gwiazdy wygląda-

ły jak płatki śniegu na czarnym niebie - tak odległe, a tak jasne.

- Przy nich czuję się taka mała - powiedziałam, wyobrażając sobie, ile mil dzieli nas od najbliższej z nich.

- Przykro mi to mówić, Sky ale jesteś mała. Uderzyłam go w żołądek, a on uprzejmie stęknął, chociaż wątpiłam, żeby choć trochę go to zabolalo.

- Słuchaj, przeżywam tu coś wielkiego - jedną z tych chwil, kiedy zastanawiasz się nad cudem wszechświata. Miej trochę szacunku.

Wyszczrzył zęby.

- To wyzwanie, kiedy masz na sobie kostium kościotrupa. Zdajesz sobie sprawę, że świecisz w blasku księżyca? Nigdy jeszcze nie umawiałem się z czymś takim na randki.

- A z kim się pan umawiał, panie Benedict? Tina mówi, że twoja rodzina nie umawia się z dziewczynami z Wri-ckenridge.

- To prawda. Ty jesteś wyjątkiem. Chodziłem z kilkoma dziewczynami - przeważnie z Aspen. - Objął mnie mocniej. - A ty?

Zarumieniłam się, żałując, że podjęłam ten temat.

- W Anglii przyjaciele umówili mnie raz z jednym chłopakiem. Kompletna katastrofa. Był w sobie tak zakochany, że aż niemożliwe.

- Byłaś mu potrzebna jako ozdobnik? -Co?

- Dla wizerunku.

- Pewnie tak. Umówiliśmy się dwa razy i miałam dość. Więc, jak widzisz, moje doświadczenie jest niewielkie.

- Nie mogę powiedzieć, że przykro mi z tego powodu. Podobało ci się na imprezie?

- Konkursy były głupie, ale śmieszne.

- Miałem nadzieję, że o nich wspomnisz. Szczególnie intryguje mnie, co stało się z tą galaretką. - Zaczął muskać nosem moją szyję. - Hmm. Tak, zdecydowanie nie zmyłaś całej.

- Zed! - Zaprotestowałam, ale słabo - jego zainteresowanie podobało mi się aż za bardzo.

- Ciii! Jestem zajęty.

Kiedy „czyszczenie”, jak je określił, zostało skończone, skręciliśmy w moją ulicę. Kiedy to zrobiliśmy, dwóch chłopaków przebranych za morderców z siekierami wybiegło z mgły, wrzeszcząc ile sił w płucach. Ręce mieli zakrwawione, a w głowy mieli wbite sztuczne noże. Jeden z nich miał też nóż w rękę.

- Następni do zmasakrowania! Zabić wilka! Zabić kościotrupa! - wrzasnął. - Do ataku! - Pobiegnął prosto na mnie; jego torebka z cukierkami pękła i cukierki rozsypały się na chodniku. Chłopak nie zwolnił; jego żądza krwi była bardzo przekonująca. Rzucił się na mnie z nożem, kiedy spróbowałam się uchylić. Krzyknęłam, trochę jednak przestraszona.

Zed oszalał. Złapał chłopaka za nadgarstek i wykręcił go tak, że nóż upadł z brzękiem na ziemię. Potem skoczył mu na plecy i przewrócił na ziemię, wykręcając mu ręce na plecach.

- Przestań, Zed! - krzyknęłam, ściągając maskę. - On nie chciał nam zrobić nic złego - to plastik!

Drugi chłopak skoczył na Zeda i pięści poszły w ruch. Cała trójka przetoczyła się po ziemi wśród sztucznej krwi i zgniecionych cukierków. Nie mogłam podejść bliżej, żeby odseparować chłopaków od Zeda. Moje krzyki i przekleństwa walczących sprowadziły sąsiadów.

Pani Hoffman wypadła przez drzwi.

- Policja! Wzywam policję! - I zniknęła w środku.

- Nie! Przestań, Zed - przestań!

Co gorsza, na ulicę wypadli moi rodzice, rozpoznawszy mój głos pośród innych.

- Sky, co się dzieje? - krzyknął Simon, biegnąc ku mnie.

- Simon, zrób coś, żeby przestali!

Simon wkroczył pomiędzy nich i złapał najmniejszego z chłopaków za nogawkę od spodni. Chłopak wynurzył się, wierzgając nogami, w momencie kiedy samochód policyjny skrzył w naszą ulicę. Rozległo się krótkie wycie syreny, po czym oślepiające reflektory oświetliły całą scenę. Dwóch innych sąsiadów dotarło na miejsce bójki, zanim policjanci wysiedli ze swoich samochodów; rozdzielili Zeda z drugim mordercą w przebraniu.

Policjant rzucił jedno spojrzenie na otaczający chaos i westchnął.

- Kto mi powie, o co poszło? - spytał, wyciągając notes. - Zed Benedict - ciebie znam; a to bliźniaki Gordano, prawda? A ta mała... panna kościotrup?

- Sky, Sky Bright. To moja córka - odparł Simon sztywno. - Ona się nie biła.

- Jesteście tą rodziną z Anglii, tak?

- Tak, proszę pana.

- Znam tych chłopaków - są porządni - powiedział policjant, patrząc na bliźniaków. - Nigdy nie było z nimi żadnych kłopotów. Kto to zaczął?

Wzrok policjanta przesunął się na Zeda i na mnie. Uznał, że wie, czyja to wina.

- On zaatakował Sky. - Zed otarł krew z rozbitej wargi.

- No i co z tego! Ja tylko udawałem: jest Halloween, pamiętasz? Zed wpadł w szal, panie oficerze. - Jeden z bliźniaków dotknął swoich żeber.

- Przenieśmy to na posterunek, chłopcy. Poproszę dyżurnego lekarza, żeby was obejrzał, i zadzwonię po waszych rodziców.

- O niee, panie oficerze! - jęknęli bliźniacy.

- Do samochodu.

Zed rzucił mi zrozpaczone spojrzenie. Nasza sekretna randka miała wyjść na jaw z wielkim hukiem.

- Co do ciebie, młoda damo, myślę, że będziemy potrzebować twojej wersji wydarzeń. Może twoi rodzice mogą cię przywieźć. Ja mam już ręce pełne maniakałnych zabójców i wilkołaków.

- Zawiozę ją - powiedział Simon krótko.

Świetnie. Randka numer dwa kończy się na posterunku.

Oficer Hussein nie pozwolił nam ze sobą rozmawiać do czasu, aż poznał nasze wersje wypadków. Nie ośmieliłam się zaryzykować telepatii, chociaż bardzo mnie kusiło. Ale Simon emanował taką wściekłością, że wątpiałam, żeby jakakolwiek wiadomość przedostała się przez tę chmurę burzową.

- Nie będę cię pytać, co robiłaś w jego towarzystwie zanim wrócimy do domu - warknął, wściekły, podczas gdy zawoził mnie na posterunek.

Nie mogłam się tego doczekać.

- Ale nie ujdzie ci to na sucho, Sky. Zawiodłaś nasze zaufanie. Prosił cię, żebyś trzymała się od niego z daleka dla własnego bezpieczeństwa.

Miał rację. Oczywiście miał rację. Ale przecież tego nie planowałam. Po prostu dałam się ponieść chwili. Myśleliśmy, że przedsięwzięliśmy wystarczające środki ostrożności i zwykła randka w kawiarni nie wydała nam się niczym nierozsądnym.

-1 nie spodziewałem się, że będę musiał spędzić wieczór, prowadząc cię na posterunek policji!

Objęłam rękoma kolana. W głowie mi szumiało.

- Staramy się wyrobić sobie dobrą opinię we Wrickenridge, Sky. Twoje wyczyny nam w tym nie pomagają. Pan Rodenheim może nas stąd odesłać, jeśli jego centrum na tym ucierpi.

Oparłam czoło na kolanach. Byłam niedobra. Simon spojrział na mnie, zaalarmowany moim milczeniem. Wyczuł, że coś jest nie tak.

- Cholera, skarbie, nie rób tego. - Zatrzymał samochód i pogłaskał mnie po głowie. - Ja się tylko o ciebie boję.

- Przepraszam.

- Czuję się jak potwór. Jestem zły, ale bardziej na tych chłopaków, którzy zachowali się jak idioci. Wiem, że nie miałaś z tym nic wspólnego. No proszę.

Spojrzałam na niego. Musiał dostrzec łzy w moich oczach.

- Ja tylko chciałam z nim być.

- Wiem, kochanie.

- Czy to źle?

- Nie, w zwyczajnych okolicznościach nie.

- Poszliśmy tylko do kawiarni. Mieliśmy maski na twarzach prawie przez cały czas, kiedy byliśmy na ulicy.

Simon wypuścił powietrze.

- O rany, znów mieć szesnaście lat. Zwykła kawa i lądujesz na posterunku.

- Zed jest zdenerwowany przez to, co stało się w lesie. Ci przebrani mordercy byli bardzo przekonujący, a ja krzyknęłam. Nie mogłam się powstrzymać. Zed myślał, że jestem w niebezpieczeństwie.

- Więc zareagował przesadnie. Rozumiem to, bo to też moja wada. Więc chodźmy sprawdzić, co możemy dla niego zrobić.

Zed siedział w poczekalni, ale oficer na służbie kazał mi przejść dalej i nie pozwolił mi zamienić z nim słowa. Zaprowadzono mnie do biura oficera Husseina, kiedy bliźniacy Gordano wychodzili w towarzystwie swojej matki. Żałowałam, że nie miałam czasu przebrać się z mojego kostiumu kościotrupa.

- To nie jej wina - wymamrotał jeden z bliźniaków.

- Co za hołota - stwierdziła pani Gordano, zadzierając nosa.

- Usiądź, Sky. - Oficer Hussein podsunął mi butelkę wody. - Myślę, że mamy już pełen obraz wydarzeń, ale opowiedz mi jeszcze swoją wersję.

Krótko streściłam przebieg wypadków od momentu wyjścia z kawiarni.

- Czego nie mogę zrozumieć - powiedział oficer, drapiąc się w zamyśleniu po piersi - miał za sobą mnóstwo pracy, a była dopiero północ - to czemu Zed nie widział, że to tylko żarty? To duży chłopak, bił się z chłopakiem o głowę niższym od siebie. Coś mi tu nie pasuje.

- Zed Benedict bronił swojej dziewczyny, panie oficerze - wtrącił się Simon, zaskakując mnie tym, że stanął w obronie Zeda. - Może był o głowę wyższy od tego młodego człowieka, ale Sky jest mniejsza od nich wszystkich razem. Zobaczył, że rzuca się na nią jakiś facet z nożem. Czasem nie myśli się jasno, kiedy się o kogoś boi.

- Czy komuś coś się stało? - spytałam. Oficer poklepał się po odznace.

- Nic poważnego. Benowi Gordano rusza się kilka zębów, ale dentysta powinien sobie z tym poradzić. Tylko to będzie kosztować.

- Może Zed mógłby zapłacić połowę? To wydaje się odpowiednią karą - zaproponował Simon.

Oficer Hussein wstał.

- Tak, pewnie ma pan rację. Nikogo nie musimy za to wpisywać do kartoteki.

Odprowadził nas do poczekalni. W tym czasie pojawiła się tam rodzina Zeda - jego rodzice, Xav, Yves i Victor -wszyscy się zjawili, a Zed wysłuchiwał właśnie kazania na temat wymykania się z domu i robienia burd na ulicach. Wyglądał bardziej na sfrustrowanego niż dręczonego poczuciem winy, jakby znów stał się Wilkołakiem z pierwszych dni naszej znajomości. Oficer Hussein zaklaskał w ręce, żeby przyciągnąć ich uwagę.

- W porządku, proszę państwa, skończmy z tą sprawą. Chcę porozmawiać z Zedem, a potem możecie iść. - Wziął Zeda ze sobą do pokoju, zostawiając mnie z Benedictami.

Victor podszedł do mnie.

- Mamo, tato, to pan Bright, ojciec Sky.

Nasi rodzice wymienili sztywne ukłony. Nie wydaje mi się, by Saul nadal uważał mnie za uroczą dziewczynę. Wyglądał bardziej, jakbym sprawiła im gorzki zawód. Tylko Xav i Yves uśmiechnęli się do mnie przyjaźnie.

- Fajny kostium - szepnął Xav. - Chcecie z tatą wylansować nową modę?

Yves podrapał się po brodzie.

- Fascynujące. Wiesz, że każda kość jest anatomicznie poprawna? Ktokolwiek zrobił ten strój, ma umysł lekarza.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, że Simon też się nie przebrał. Zarzucił na siebie płaszcz, ale nie dało się nie zauważyć wystających spod niego świecących kości.

Jęknęłam.

- Zabijcie mnie i pochowajcie.

- Wydaje mi się, że kostium kościotrupa oznacza, że ktoś już to zrobił - zażartował Yves.

- Ludzie będą o tym mówić - stwierdził Xav, błyskając oczami zza szkielek okularów.

- Cóż za pocieszająca myśl. Xav zatarł ręce.

- Tak, wszyscy będą mówić o tym, jak Zeda odwieziono na posterunek zakutego w kajdanki.

- Nie miał kajdanków.

- Ale został wsadzony do policyjnego auta. Poza tym, kajdanki ubarwiają historię. Oboje staniecie się dość niesławni. Myślę, że Zedowi spodoba się nowy dodatek do jego reputacji. - Xavier szarpnął rozplatający się koniec mojego francuskiego warkocza. - Nie martw się, Sky, i tak będę z tobą gadał.

- Dzięki. Jesteś bohaterem.

Nasze rozstanie z Benedictami przypominało wymianę więźniów wrogich obozów w jednym z filmów wojennych. Zed i ja byliśmy trzymeni z daleka od siebie, po czym odeskortowano nas do naszych samochodów. Twarz Zeda jakby poszarzała.

Czuję się, jakbym oberwał bez uprzedzenia. - Zaryzykował myśl, mimo iż ktoś mógł nas podsłuchiwać. - Me mogę odjechać bez przeprosin. Znowu.

Co się stało?

Straciłem głowę, przestałem nad sobą panować - wszystko dzięki mojemu cholernemu darowi. Wiesz, ja widziałem, co się stanie, kilka miesięcy temu. Widziałem, że ktoś zaatakuje cię z nożem. Nie zdawałem sobie sprawy, że on był sztuczny.

Ale to dobrze, prawda? Zagrożenie nie było prawdziwe.

Tak, ale teraz zmieniłaś moje wyimaginowane zagrożenie na to prawdziwe, ze strony morderców. Gratulacje i witamy w prawdziwym świecie rodziny Benedictów. Lepiej przestań rozmawiać. Tata dziwnie się na mnie patrzy.

Zed?

Tak?

Uważaj na siebie. Ty też. Kocham cię. Rozłączył się.

- Sky, wszystko w porządku? - spytał Simon, przekręcając kluczyk w stacyjce. - Wyglądasz blado.

Zed powiedział, że mnie kocha. Czy to było po prostu wtrącenie w rozmowie, czy naprawdę tak myślał?

- Nic mi nie jest. Tylko chce mi się spać. Simon ziewnął.

- Najpierw musimy odmeldować się szefowej.

Zed mnie kochał - może. Nie byłam pewna, czy chcę mu wierzyć. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłam, było się w kimś zakochać, bo gdzieś w głębi siebie pamiętałam, że miłość boli.

Nasz wielki plan udawania, że nie jesteśmy parą, został udaremniiony przez naszą wizytę na posterunku. Plotka była dla mnie zbyt gorąca, żebym mogła zgasić ją przy pomocy obojętności albo zaprzeczenia. Zed musiał zdać sobie z tego sprawę, bo przyszedł po mnie po mojej pierwszej lekcji, nawet nie zadając sobie trudu, by ukryć to, że wciąga mnie do pustej klasy.

- Wszystko w porządku? - Przytulił mnie. -Tak.

- Wszyscy dookoła opowiadają o tym przepięknym kościotrupie. Zdaje się, że musiał zgłosić się na komisariat z jakimś kretynem, który pobił parę drugoklasistów.

- Co powiedzieli twoi rodzice? Zaśmiał się głucho.

- Na pewno chcesz wiedzieć? Będę musiał odpracować opłatę za zęby Bena dodatkowymi obowiązkami i muszę pójść go przeprosić. Musiałem przysiąc, że nigdy więcej nie spotkam się z tobą w sekrecie. Przez nich czuję się, jakbym miał dziewięć lat. A ty?

- Było w porządku. Simon wini ciebie.

- Super.

Chciałam spytać Zeda, czy naprawdę to miał na myśli, kiedy powiedział, że mnie kocha, ale bałam się zadać pytanie. Przytulił mnie znowu. -Tak.

- Przestań podsłuchiwać, co się dzieje w mojej głowie. Zignorował moje protesty.

- Myślę, że wiedziałem to od chwili, kiedy zrobiłaś mi awanturę na parkingu, ale wczoraj wieczorem, kiedy zobaczyłem cię na posterunku, przebrana za kościotrupa, jak bronisz mnie przed policją, wiedziałem na pewno. - Spojrzał na mnie i ujął moją twarz w swoje dłonie. - Rozumiem, że wciąż nie akceptujesz pewnych rzeczy, o których ci mówię, ale jesteś dla mnie kimś więcej niż przypadkową dziewczyną, Sky. Czuję do ciebie tyle, że sam jestem tym przerażony. Ty jesteś... po prostu wszystkim - twój uśmiech, to, jak myślisz, jak wpadasz w zakłopotanie, kiedy się z tobą drocę, i twój upór.

Chciałam usłyszeć coś takiego, ale jednocześnie wcale nie: ależ to było pogmatwane!

- Zauważyłeś, że jestem uparta?

- Nie da się tego przeoczyć. Dla mnie jesteś tematem, który doskonale harmonizuje z moim. - Utkwił wzrok w moim spojrzeniu. - Jestem w tobie zakochany.

- Naprawdę?

Jego oczy pociemniały.

- Sky, nigdy dotąd się tak nie czułem i mnie to przeraża.

- Ojej... Hmm... Może powinieneś o tym zapomnieć. Nie najlepiej radzę sobie w związkach.

- Pewnie, że sobie radzisz. Po prostu potrzebujesz czasu, żeby się przyzwycząić. - Otoczył mnie ramionami, żebym mogła oprzeć o niego głowę i słuchać mocnego, spokojnego bicia jego serca.

Byłam taka zagubiona. Sawanci - przeznaczeni - widać było, że w tym wszystkim chodziło naprawdę o poważny związek. Spędziłam wiele lat, broniąc się przed tym, by dawać innym za wiele swojego serca; czy mogłam mu zaufać na tyle, by zaryzykować i odwzajemnić miłość? Co się stanie, jeśli się w nim zakocham i on mnie zrani? A jeśli coś mu się stanie?

- A co u was? Czy Victorowi udało się znaleźć tych, którzy na was polują, albo tych, co was zdradzili? - spytałam.

Zed oparł się o biurko, ustawiając mnie tak, że moje plecy opierały się o jego pierś, i otoczył mnie ramionami, a brodę oparł na mojej głowie.

- Victor myśli, że za tym wszystkim najprawdopodobniej stoi Daniel Kelly.

Odwróciłam się, by na niego spojrzeć.

- Hej, ja o nim słyszałam. Czy to ten, co buduje wieżowce?

- To tylko mała część tego, co robi. Obecnie buduje miasto w mieście w Las Vegas. To ogromny kompleks hoteli, kasyn i apartamentów. Ale robi to za brudne pieniądze - nie żeby ktokolwiek odważył się to powiedzieć, bo natychmiast zalałaby ich tona pozwów. Różni jego krewni kierują w różnych częściach jego imperium. Niektórzy z nich to po prostu przestępcy - nie lepsi od mafii. Kilku z nich złapaliśmy w Denver po tym, jak wykonali mokrą robotę. Uważamy, że na jego rozkaz, ale nie możemy tego udowodnić; ich skazano miesiąc temu za morderstwo - było wtedy o tym głośno.

- Pamiętam, jak mówiono o tym w szkole.

- Vick próbuje się dowiedzieć, czy opłacają sawanta, ale to bardzo trudne. Raczej nie będą rozmawiać z Benedictem, a jego własne wtyczki nic nie wiedzą. Kelly bardzo się na nas zawziął. Will i Uriel są w college'u w Denver, więc pilnują siebie nawzajem. Reszta ukrywa się w domu.

Splotłam swoje palce z jego.

- Jaki dar ma Will?

- Jest podobny do taty, potrafi wyczuwać kłopoty. Jest też świetny w telekinezji.

- Co to takiego?

- Przenoszenie przedmiotów.

- Na przykład cytryn.

- Tak. - Prychnął śmiechem. - Jestem w tym dużo lepszy od Xava.

W korytarzu zadzwonił dzwonek.

- Spóźnię się na matematykę.

- Jaka szkoda. Stęskniłem się za tobą.

- Będę musiała zostać po lekcjach.

- Ja też. Świetny pomysł.

- Nie ryzykujesz, że cię wyrzucą? Tina mówiła, że znowu masz kłopoty w szkole.

- Nie, nie odważą się. Wyślę cię do dyrektora w twoim kostiumie kościotrupa. Rany, uwielbiam to przebranie.

Kiedy do środka nie weszli inni uczniowie, zdaliśmy sobie sprawę, że mamy kolejną godzinę dla siebie.

- To może skończysz mi opowiadać o twojej rodzinie? Zed usiadł na parapecie i pomógł mi przysiąść koło siebie.

- Tak, najwyższy czas. Wszyscy potrafimy robić różne rzeczy, jak telepatia, ale każdy z nas ma jakiś główny dar. Wiesz już, że tata wyczuwa niebezpieczeństwo. Mama widzi przyszłość i potrafi czytać ludziom w myślach: jestem w tym do niej podobny. Razem moi rodzice trzymają straż wokół domu - to część ich połączonej siły jako przeznaczonych. Trace czyta przedmioty. Kiedy czegoś dotknie, widzi osobę albo zdarzenie, które to gdzieś sprowadziło.

- To przydatne dla policjanta.

- Też tak uważamy. Mógł być tym albo archeologiem. Uriel, chyba ci o nim wspominałem, widzi przeszłość. Victor potrafi manipulować ludzkimi myślami...

- Co takiego?!

- Tak, przekazuje emocje i myśli. Nie jest to najprzyjemniejsze, kiedy okazuje się, że zgadzasz się pozmywać po obiedzie, chociaż powinna być jego kolej. Xav potrafi leczyć. A Yves przekazuje energię, potrafi sprawić, żeby przedmioty wybuchały, zapalały się i tak dalej.

- O rany! Yves wygląda na... takiego przyjaznego i pilnego ucznia.

- Był przerażający, kiedy był mały, tak mówi mama, ale teraz potrafi to kontrolować.

- Jak to możliwe, że twoja rodzina potrafi takie rzeczy?

- Po prostu tak jest. To jakbym zapytał, czemu masz niebieskie oczy?

Jego pytanie było jak kubeł zimnej wody.

- Pewnie musiałam je odziedziczyć po moich biologicznych rodzicach, ale przecież tego nie wiem. Porzucili mnie.

- Przepraszam, to było głupie. Widziałem coś na ten temat w twoich wspomnieniach.

- Sally i Simon nie mogli mieć dzieci, więc wzięli mnie do siebie, chociaż wszyscy inni uważali, że jestem zbyt zaburzona, żeby mnie adoptować. Nie mówiłam nic przez cztery lata, aż oni mnie uratowali. Mieli dość cierpliwości, żeby wydobyć mnie z mojej skorupy.

- Są wyjątkowi.

- To prawda.

- W najważniejszym aspekcie to są twoi prawdziwi rodzice - widzę niektóre ich cechy u ciebie.

- Na przykład?

- Jesteś tak miła dla innych, jak twoja mama, a ten upór jest po twoim racie.

- To dobrze. - Podobało mi się, że mogłam odziedziczyć charakter Simona. - Jest typowym człowiekiem z Yorkshire. Byłoby mu miło, gdyby usłyszał, że coś mi przekazał.

- Nie powinnaś bać się tego, co odziedziczyłaś po twoich biologicznych rodzicach. Nie widzę nic, czego mogłabyś się wstydzić, kiedy na ciebie patrzę.

- Tylko nie patrz zbyt uważnie. - Skrzyżowałam ręce.

- Wydaje mi się, że przynajmniej jedno z nich musiało być sawantem. - Chwytał jeden z moich loków i zaczął się nim bawić.

- Moja rodzina pochodzi od sawantów z obu stron. Rodzice mojego taty są po części Ute - to plemię Indian Północnoamerykańskich. Mama mówi, że płynie

w niej krew cygańska, kropla irlandzkiej gdzieś po drodze i duża dawka krwi meksykańskiej. Powiedziałbym, że byliśmy skazani od urodzenia.

- Tak to działa?

- Tak. Moi rodzice są aktywnymi działaczami w Sieci Sawantów - to rodzaj www dla tych, którzy mają dar. Dar mamy pomaga sprawdzić tych, którzy dołączają, i upewnić się, że są ku temu powody.

- Więc źli nie powinni aplikować? Pokręcił głową.

- Poza tym nie chcą. W sieci chodzi o wykorzystywanie daru dla dobra innych. Utrzymujemy nasze istnienie w tajemnicy, żebyśmy mogli żyć życiem jak najbardziej zbliżonym do normalnego, ale to nas nie powstrzymuje przed pomaganiem tam, gdzie możemy.

- I naprawdę myślisz, że ja też jestem sawantką?

- Oczywiście.

- Ale ja nie potrafię poruszać przedmiotów.

- A próbowałaś?

- No nie. Nie wiedziałabym, co robić. Wydaje mi się, że kiedyś widziałam coś - chyba nazywacie to aurą - ale teraz już nie widzę. - W każdym razie się do tego nie przyznaję.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, trzymając się za ręce i wyglądając przez okno. Niebo zasnuwane było ciężkimi, szarymi chmurami. Zaczął padać śnieg. Gęste płatki pod wpływem porywu wiatru padały prawie poziomo, by po chwili, kiedy wiatr słabł, spokojnie opadać na ziemię.

- To jest to - stwierdził Zed. - Pierwszy prawdziwy śnieg. Chciałbym bardzo nauczyć cię jeździć na nartach, ale nie powinnaś pokazywać się ze mną na zewnątrz. To zbyt niebezpieczne.

- Tak, to pewnie nie byłby najlepszy pomysł.
- Powinnaś poprosić Tinę, żeby cię nauczyła, jest całkiem niezła.

- Może to zrobię. Ale ona będzie się ze mnie śmiać.

- Oj tak. - Znowu to robił - widział przyszłość.

- Ale i tak nic nie będzie tak upokarzające jak kostium kościotrupa.

- Nie odrzucaj tego kostiumu. Zamierzam go zachować i będę cię błagać, żebyś zakładała go na specjalne okazje.

W myślach kopnęłam się w kostkę. Nie powinnam zakochiwać się w tym chłopaku, a tymczasem miałam ochotę zwinąć się w kłębek, schować się w nim i nigdy go nie zostawiać.

- Nauczysz mnie się osłaniać? Nie chcę, żeby twoja rodzina czytała każdą myśl, jaka przejdzie mi przez głowę.

Otoczył mnie ramieniem.

- Nie, tego nie chcemy. Niektóre z nich czasem przechwytyję. Na przykład tę kiedy... - Wyszepiał mi resztę do ucha, powodując, że umarłam z zakłopotania.

- Tarcza - potrzebuję tarczy - powiedziałam, kiedy przestały mnie palić policzki.

Roześmiał się.

- OK. Technika jest prosta, ale wymaga ćwiczeń. Najlepiej korzystać z wizualizacji. Wyobraź sobie ściany budynku i jak się w nich chowasz, trzymasz emocje, wrażenia i myśli bezpiecznie za murami.

- Jakie to mają być ściany?

- Są twoje - ty decydujesz.

Zamknęłam oczy i przypomniałam sobie tapetę w moim pokoju. Turkusowe.

- Dobrze.

- Widzisz to co ja?

- Echo tego. Kiedy ktoś się osłania, widzę cień, pustą przestrzeń. Twoja ma bladoniebieski kolor.

- Jak ściany mojego pokoju.

- Świetnie. Są bezpieczne i znajome. Kiedy postawisz je między sobą i kimś, kto cię słucha, powinno mu być trudno się przez nie przedostać. Ale trzeba nad tym pracować -a wszyscy czasem o tym zapominamy.

- Ten sawant, który pracuje dla morderców - czy zapomniał o swojej tarczy?

Zed pokręcił głową.

- Właśnie dlatego wiemy, że jest w tym dobry i bardzo potężny. To, albo już go nie ma, ale to wątpliwe.

- Spróbują jeszcze raz?

- Tak sądzimy. Mamy nadzieję, bo teraz, kiedy się ich spodziewamy, mamy szansę ich złapać, a oni mogą się przewrócić o wtyczkę w FBI. Ale skoro wiesz, co się święci, będziesz ostrożna, obiecujesz? - Pogłaskał mnie delikatnie po grzbiecie ręki, powodując, że przebiegł mnie dreszcz.

- Obiecuję.

- Nikomu o tobie nie mówię, nawet mojej rodzinie. Jesteś zbyt cenna, żeby cię narażać w tej sytuacji.

Tina nie mogła zrozumieć, czemu nie proszę Zeda, żeby nauczył mnie jeździć na nartach.

- Twój chłopak jest najlepszym narciarzem w okolicy, a poza tym ja wciąż jestem zła na ciebie, że nie powiedziałaś mi prawdy, i ty prosisz, żebym cię nauczyła?

- Właśnie tak. - Wzięłam skrobaczkę i pomogłam jej odśnieżyć szybę w jej samochodzie stojącym na szkolnym parkingu.

- Czemu?

- Bo według Zeda sama jesteś gwiazdą stoku. Jesteś moim Obi-Wanem, a ja twoim wiernym uczniem.

Aż zajaśniała na tę pochwałę.

- Dzięki. Nie sądziłam, że Zed zauważa takie dziewczyny jak ja.

- Nie jest taki, jak myślisz. Nie jest tak niedostępny, jak się wydaje. Po prostu ma... problem, żeby się odprężyć w obecności innych ludzi. - I przez większość czasu jest zbyt zestresowany badaniem najgroźniejszych przestępstw dla FBI, ale tego nie musiała wiedzieć. - A nasi rodzice nie są zbyt zadowoleni, że spędzamy razem czas - nie od czasu, kiedy skończyliśmy na posterunku.

- O Boże, zupełnie jak w *West Side Story*

Nie uznałam tego za zbyt trafne porównanie. Jeśli dobrze sobie przypominałam ten musical, żadne z bohaterów nie było ścigane przez morderców obdarzonych percepcją pozasensoryczną.

- Dobrze, nauczę cię - zgodziła się Tina. - Poza tym która dziewczyna chciałaby upadać na pupę przed chłopakiem, na którym chce zrobić wrażenie?

Właściwie to miała rację. Może lepiej, żebym uczyła się od niej.

- Mądrość przez ciebie przemawia, Obi-Tina. Roześmiała się.

- Nic z tego - to ja mogę mówić na wspak - nie, obie się pomyliłyśmy - to ten mały zielony stworek, Yoda.

Pacnęłam się w czoło.

- Masz rację. Więc ja mam tylko się dąsać i robić złe rzeczy, podczas gdy ty będziesz próbować mnie czegoś nauczyć.

- Spróbuj zachowywać się bardziej jak Lukę niż Anna-kin - rezultat będzie lepszy. Zabiorę cię w niedzielę rano, jeśli chcesz - po kościele. Kończymy o jedenastej, więc podjadę po ciebie piętnaście po.

- Super.

- Masz sprzęt?

- Nie. Czego potrzebuję?

- Nie martw się. Przywiozę ci mój stary kombinezon - wyrosłam z niego lata temu. Możesz wypożyczyć narty w sklepie sportowym.

- Nie mogę się doczekać.

- Myślisz, że okażesz się urodzoną narciarką?

- No...

- Pewnie, że tak. Niech moc będzie z tobą, Sky.

Nie byłam urodzoną narciarką - raczej jej kompletnym przeciwieństwem. Ale przewracanie się przychodziło mi zupełnie naturalnie. Musiałam popracować nad swoją równowagą. Przedtem Tina porównała mnie do Bambi, ale dzisiaj czułam się dokładnie tak jak on, kiedy pierwszy raz stawał na nogach, a one rozjeżdżały mu się na wszystkie strony.

- Nie masz czasem takich marzeń - wydyszałam, wypluwając śnieg po jednym z moich ostatnich upadków na twarz - w których próbujesz czegoś nowego i okazuje się, że masz ku temu ukryty talent?

Tina poklepała mnie pocieszająco po plecach.

- Bez przerwy.

- Tylko że tu tak się nie dzieje.

Wciąż byłyśmy u podnóża oślej łączki. Widziałam, jak kolejka krąży w tę i z powrotem, zabierając bardziej do-

świadczonych narciarzy na sam szczyt. Xav sprzedawał bilety. Dzień był idealny na narty - niebo było jasnoniebieskie, śnieg błyszczał obiecująco, szczyty wzywały. Góry wydawały się zupełnie niewinne, jakby staruszka Pogoda siedziała w bujanym fotelu i kiwała się delikatnie, nie planując żadnych złośliwych zmian nastroju. Tina złapała moje spojrzenie.

- Zed jest pewnie na górze. Pan Benedict płaci chłopakom, kiedy pracują w weekendy.

Przynajmniej nie było go tu, żeby oglądał moją porażkę. Już i tak dostarczałam dość rozrywki Xavierowi.

- OK, jeszcze raz. Pamiętaj, Sky, to tylko twoja pierwsza lekcja.

Obserwowałam z poczuciem desperacji, jak mała czterolatka przefrunęła obok nas na mininartach. Nawet nie używała kijków.

- Nie możesz się z nimi porównywać. Oni mają bliżej do ziemi i w tym wieku są niezniszczalni. Jeszcze raz. Tak, właśnie tak. Trzymaj narty równolegle. Nie, nie, nie pozwól, żeby się rozjechały!

- Au. - Moje uda krzyczały w niemym proteście, kiedy prawie zrobiłam szpagat.

- Było dobrze - znacznie lepiej.

- Lepiej niż kiedy?

- Niż ostatnim razem. Dość na dzisiaj?

- O tak.

- Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli raz zjadę sobie z góry?

- Oczywiście, że nie.

- Mogłabyś pojechać ze mną.

- Żartujesz?

- Możesz zjechać na dół kolejką. Spodoba ci się widok z góry.

Uśmiechnęłam się, zadowolona, że Tina oswaja się z myślą, iż chodzę z Zedem. Zaprzestała ciągłych ostrzeżeń i zmniejszyła kwalifikację zagrożenia z „kryzysu” na „żółty alarm”.

- Mogę tak zrobić.

Z nartami na ramionach dobrnęliśmy do kolejki po bilety na górę. Xav otworzył szeroko oczy, kiedy zobaczył mnie przy kasie. Rzucił Tinie spojrzenie pełne paniki.

- Sky, kochana, nie uważasz, że to trochę za wcześnie na zjazd z góry? - spytał.

- Nie, właśnie jestem w nastroju - odparłam, przybierając poważny wyraz twarzy.

- Tina, musisz ją od tego odwieść. Ona się zabije.

- Nie denerwuj się, Xav. Sky myśli, że ma ukryty talent. Xav przykrył bilety ręką.

- Nie sprzedam ci biletu, Sky. Przewróciłam oczami.

- Na litość boską, Xav, nie jestem aż tak głupia. Chcę się tylko przejechać na górę. To Tina ma zamiar zjechać na dół.

Xavier roześmiał się z ulgą.

- Świetnie. W takim razie nic nie płacisz. Ale na wszelki wypadek, zostaw mi swoje narty.

Tina pokazała mi swój bilet okresowy i wsiadliśmy do wagonika. Widok był niezwykły. Przez sekundę zawisliśmy nad dachem domu Benedictów, po czym ruszyliśmy w górę po linie, ocierając się o czubki modrzewiów, aż i one zostały w tyle, a my zaczęliśmy huśtać się nad przepaścią. Pod nami narciarze wielkości mrówek szusowali w lewo i w prawo - stąd jazda na nartach wydawała się taka prosta. Dziesięć minut później wysiadliśmy na stacji na szczycie. Zed był zajęty wyprawianiem wagonika na dół - było tam tylko kilku turystów takich jak ja, więc uznałam, że nie zajmie mi to dużo czasu.

- Kup sobie kawę - powiedziała Tina, popychając mnie w kierunku stoiska. - Spotkamy się na dole przy kolejce za pół godziny.

- OK. Baw się dobrze.

Tina zapięła narty i spuściła się w dół czarnego szlaku.

- Proszę kawę z mlekiem i pączka - poprosiłam obsługującego stoisko mężczyznę o świecącej twarzy.

- Nie jeździsz na nartach, kochana? - spytał, podając mi moją słodką bułkę w białej torebce.

- To mój pierwszy raz na nartach. Jestem do niczego. Roześmiał się.

- Ja też. Dlatego tylko podaję kawę.

- Ile płacę?

- Na mój koszt - żeby uczcić twój pierwszy dzień na nartach.

- Dziękuję.

Zed podbiegł do mnie z tyłu i objął mnie w pasie, po czym uniósł mnie w powietrze przy akompaniamencie moich pisków.

- Jak ci poszło?

- Jestem do niczego.

- Tak, tak myślałem. - Okręcił mnie w kółko. - Mam tylko minutę, zanim przyjedzie następny wagonik. Wystarczy, żeby spróbować tego, co masz w tej torbie.

- To twoja dziewczyna, Zed? - spytał sprzedawca.

- Tak, Jose.

- Czemu najlepsze są zawsze zajęte? No cóż. - Podał mi styropianowy kubek i mrugnął do mnie.

Zed zabrał mnie do swojej kabiny na końcu trasy kolejki. Słysząc tam było skrzypienie i jęczenie kółek biegnących po linie. Obserwowałam twarz Zeda, który sprawdzał coś na panelu kontrolnym - szerokość jego pleców, kiedy wyciągnął rękę, żeby poprawić coś na wyświetlaczu, napinające się mięśnie rąk. Przedtem nie rozumiałam, czemu moje koleżanki w starej szkole spędzały tyle czasu na podziwianiu chłopców; teraz bez reszty przyłączyłam się do zabawy. Czy ten cudowny chłopak naprawdę był mój? Trudno było uwierzyć, że mam tyle szczęścia.

- Skąd wiesz, gdzie jest wagonik? - spytałam, kiedy Zed jak gdyby nigdy nic nagryzł mojego pączka. - Hej!

Wybuchnął śmiechem i przytrzymał torebkę poza moim zasięgiem, wskazując na wyświetlacz. Była tam seria światełek, które kolejno gasły, kiedy wagonik przechodził przez poszczególne punkty. - Tutaj widać, że mam cztery minuty.

Podskoczyłam i wyrwałam mu swojego pączka, po czym zaczęłam wyjadać dżem.

- Lubisz słodczy?

- Zauważyłeś?

- Gorąca czekolada ze wszystkimi dodatkami trochę mi podpowiedziała.

Ugryzłam pączka i podałam mu go z powrotem.

- Możesz skończyć.

Pożarł go natychmiast, po czym upił łyk kawy.

- Faj! Mleko. Powinienem był się domyślić. Muszę się pozbyć tego smaku. - Poklepał się po policzku, zerkając na monitor. - Już wiem! - Pochylił się i lekko ugryzł mnie w usta. Poczułam, że moje ciało się przechyla, jakby dziwny ciężar kazał mi przytulić się mocno do niego albo upaść mu pod nogi. Zed wydał pomruk zadowolenia i pocałował mnie mocniej.

Przerwał nam przyjazd następnej grupy narciarzy. Niestety składała się ona głównie z dzieciaków z liceum, które waliły w drzwi wagonika i gwizdały, widząc, co dzieje się w kabinie.

- Hej, Zed, przestań się obściskować i wypuść nas! -krzyknęła dziewczyna, z którą chodziłam na przedmioty ściśle.

- Spokój, chłopaku! - szczerknął chłopak z klasy maturalnej.

- Już dobra, dobra - odpowiedział Zed i postawił mnie z powrotem na nogi. Wyglądał bardziej na zadowolonego niż zawstydzonego, podczas gdy moja twarz odkrywała nowe odcienie czerwieni.

Kiedy narciarze zjechali w dół wybranych przez siebie szlaków, zostałam z Zedem na następne dziesięć minut, po czym złapałam wagonik jadący na dół.

- Dziękuję, że przyjechałaś - powiedział Zed, zamykając za mną drzwi. - Wciąż masz trochę cukru na ustach. - Pocałował mnie delikatnie, po czym poprawił mi kurtkę.

- Hmm, myślę, że będę musiała cię jeszcze odwiedzić. Wydaje mi się, że będę częściej jeździć kolejką niż na nartach.

- Uważaj na siebie.

- Postaram się. Ty też.

Tina regularnie dawała mi lekcje jazdy, tak że w weekend przed Świętem Dziękczynienia potrafiłam już stoczyć się po oślej łączce i przewrócić się dopiero, kiedy dotarłam na dół.

- Juhuu! - Tina wykonała mały taniec w miejscu, kiedy tego dokonałam. - Rycerze Jedi uważajcie!

Wypięłam narty.

- Chyba jeszcze nie stanowię dużego zagrożenia dla Imperium.

-To dopiero początek - nie przesadzaj. - Tina zarzuciła sobie narty na ramiona. Ta niedziela była bardziej zachmurzona, niż kiedy po raz pierwszy wybrałyśmy się na stok. Szczyt kolejki był niewidoczny, a pogoda miała ponury nastrój. Stałyśmy w kolejce po bilety. Tym razem kasę obsługiwał Saul.

- Cześć, Tina, cześć, Sky. - Przepuścił Tinę przez bramkę obrotową, ale ja nie przeszłam. Saul zablokował bramkę. - Nie ma sensu, żebyś wjeżdżała dziś na górę, Sky. Xav dziś pracuje. Dałem Zedowi dzień wolny, żeby pojeździł na desce.

- Och, rozumiem.

Kolejka już ruszała. Tina pomachała do mnie.

- Poczekaj tutaj. Zaraz będę na dole. Pogoda jest zbyt brzydka, żeby to przedłużać.

Usunęłam się z drogi. Ostatnia osoba z kolejki weszła do środka.

- Nie da się rozdzielić ciebie i Zeda, co? - spytał Saul, siadając obok mnie na ławce w poczekalni, kiedy kolejka rozpoczęła podróż w górę.

- Chyba nie. - Zaczęłam rysować coś w śniegu. Miałam dziwne uczucie, że Saul jest wobec mnie podejrzliwy.

- Nie chcemy, żeby coś wam się stało. - Wyciągnął swoje długie nogi, przypominając mi swojego syna.

- Wiem. Na razie jest spokój, prawda?

- Tak. Nie wiemy, co o tym myśleć. Chciałbym wierzyć, że zagrożenie minęło, ale mój umysł mówi mi co innego.

- Przyczaili się?

- Tak przypuszczam. Przepraszam, że zostałam w to wmieszana. Ci ludzie wiedzą, że jeśli dostaną jedną osobę z mojej rodziny, osłabiają nas wszystkich. - Patrzył na góry ze stanowczym wyrazem twarzy. Stwierdziłam, że ma szlachetny profil. Wyczuwałam, że Saul należy do otaczającego nas pejzażu tak, jak niewielu innych tutejszych mieszkańców. Był do niego doskonale dostrojony, stanowił część melodii. Człowiek Gór - stojący jak bariera między swoją rodziną i niebezpieczeństwem. - Victor uważa, że nie ma dla nich znaczenia, kogo skrzywdzą - ciągnął Saul - jeśli okaleczą pozostałych emocjonalnie, nie będziemy mogli funkcjonować jako drużyna. Zabroniłem wychodzić wszystkim, nie tylko Zedowi. Ale długo tak nie wytrzymamy. Nasza praca jest ciężka i chłopcy potrzebują wolności, żeby pozbyć się napięcia i zapomnieć. Nie zrobią tego, jeśli nie będą mogli zachowywać się naturalnie.

- Wiem o zamknięciu, Zed mi o tym powiedział. Ale czy jest bezpieczny, kiedy jeździ na desce? A Xav jest na górze sam.

Saul strzepnął pyłek ze szwu dżinsów.

- Nie martw się o chłopców. Wprowadziliśmy środki ostrożności. Teraz, kiedy jesteśmy pewni, że sawant korzysta z tarczy, wiemy, czego szukać. Wtedy w lesie, no cóż, można by powiedzieć, że wzięli nas z zaskoczenia. To się nie powtórzy. A ty, uważasz na siebie?

- Tak. Nie wychodzę sama. Sally i Simon wiedzą, żeby nie ufać ludziom, których nie rozpoznajemy.

- To dobrze. Nie pozwól sobie na chwilę nieostrożności. - Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy. Między nami wisiały niewypowiedziane słowa.

- Zed wam powiedział, prawda? Saul wziął mnie za rękę i uścisnął ją.

- Karla i ja wiemy. Nie mogliśmy być bardziej szczęśliwi. Nie uszło naszej uwagi, że naszemu synowi przydarzyło się coś fantastycznego. Dla twojego bezpieczeństwa, dla Zeda i dla innych uważamy, że Zed ma rację, trzymając to w tajemnicy.

- Dla innych?

- Sky, nie wiem, czy rozumiesz, w jakiej sytuacji się znalazłaś. Jesteś teraz dla Zeda najważniejsza, tak jak Karla dla mnie. Gdyby pozostali się dowiedzieli, byłoby im ciężko. Uznaliby, że to nie w porządku, że najmłodszemu z nich przeznaczona spada z nieba, podczas gdy oni wciąż muszą szukać swoich. Będą się cieszyć, ale nie byłiby ludźmi, gdyby nie byli też zazdrośni.

- Nie chcę, żeby przeze mnie wasza rodzina miała problemy.

Poklepał mnie po ręce.

- Wiem. Daj nam czas, żebyśmy przez to przeszli, a chłopcy z pewnością powitają cię jako jedną z nas.

-Ale ja nie wiem jeszcze, czy tego chcę. Dopiero się z Zedem poznajemy. Nie wybiegam myślami poza najbliższe tygodnie.

Saul uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Nie martw się, Sky, wszystko się ułoży w odpowiednim czasie. Nie wzięłaś pod uwagę, że pracują nad tym Bóg i natura; poczujesz to, co trzeba, kiedy będziesz gotowa.

Miałam nadzieję, że miał rację. Moje uczucia do Zeda były coraz głębsze, ale na pewno nie pozwalały mi myśleć o związaniu się z nim na całe życie, a tego właśnie się po mnie spodziewano. Znałam siebie dość dobrze, by zdawać sobie sprawę, że wycofam się natychmiast, jeśli ktoś będzie mnie poganiał. Jak do tej pory Zed zdawał się to rozumieć, ale jak długo będzie jeszcze cierpliwy?

Byłam bardzo zawiedziona, że nie zobaczyłam się z nim tego popołudnia, mimo że zostałam na dole, aż zjechali prawie wszyscy narciarze. Tina przyjechała pierwsza, rozzłoszczona na jakiegoś deskarza, który prawie zderzył się z nią na stoku.

- Nie Zed? - spytałam z niepokojem.

- Nie, tylko jakiś bezmózgi idiota o nadmuchanym ego, znany jako Nelson. Próbował zrobić na mnie wrażenie - mówiła, wrzucając sprzęt do bagażnika. - Jedziemy do domu?

- Tak, dziękuję. A więc Nelson jeszcze cię nie przekonał? Tina zatrzymała się przy drzwiach od strony kierowcy.

- Do czego? Że jesteśmy dla siebie stworzeni? Daj spokój!

OK: to nie dawało dużej nadziei, ale umiałam rozpoznać, kiedy ktoś był w złym nastroju, i uznałam, że lepiej nie bronić Nelsona, kiedy Tina była wściekła. Usiadłam po stronie pasażera. Tina przekręciła kluczyk, a samochód wykonał kilka prób, żeby się uruchomić.

- Rany. Źle brzmi. Dzisiaj rano pracował bez zarzutu. -Tina przełączyła bieg na wsteczny. - Kupa złomu.

- Wnioskuje z tego, że twój ulubiony brat został odwołany?

- O tak.

Potoczyłyśmy się z powrotem do miasta, przy każdym światłach mając denerwujące przeczucie, że samochód zatrzyma się na zawsze.

- Jesteś gotowa do pchania? - zażartowała Tina ponuro. Dotarliśmy do Main Street, kiedy instalacja elektryczna odmówiła posłuszeństwa.

- Tina, myślę, że powinnaś zabrać go do mechanika.

- Tak, też doszłam do tego wniosku. - Skreśliła na parking stacji benzynowej. Tylko dystrybutory działały; warsztat w weekend był zamknięty. Kingsley, który pracował jako mechanik, obsługiwał kasę, ale wyszedł, kiedy usłyszał potrzebujący pomocy silnik.

- Podnieś maskę, kochana - powiedział Tinie. Zerknął do środka i podrapał się po głowie. - Wygląda na to, że poszedł alternator.

To by wyjaśniało - właściwie nic.

Kingsley musiał dostrzec nasz brak zrozumienia.

- To on ładuje akumulator. Bez niego akumulator siada i kończy się tak. - Wskazał na samochód.

- Zepsutym samochodem. - Tina kopnęła oponę.

- Czasowo zepsutym, to nie jest śmiertelne. Naprawię ci go jutro.

- Dzięki, Kingsley.

- Przeprowadzę go do warsztatu. Możesz bezpiecznie zostawić narty w środku.

Po przekazaniu samochodu w pewne ręce Kingsleya zostałyśmy bez środka transportu.

- Cudownie - stwierdziła Tina, rozgoryczona. Znałam na to lekarstwo.

- Stawiam potrójnego czekoladowego muffina. Tina natychmiast się rozpogodziła.

- Właśnie tego mi trzeba. Dobra z ciebie przyjaciółka, Sky.

Przysiadłyśmy na chwilę w kawiarni. Udało mi się złagodzić oburzenie Tiny na Nelsona, podkreślając, że był tylko zbyt gorliwy, ale nie złośliwy w swoich próbach przyciągnięcia jej uwagi.

- Pewnie tak, ale czasem zachowuje się jak duże dziecko - burknęła Tina. - Czemu nie może dorosnąć?

- Może jest właśnie na stromej drodze do dorosłości. Tina prychnęła.

- Hej, kto się teraz bawi w Yodę?

Przybrałam wyraz twarzy najbardziej przypominający pomarszczonego staruszka.

- Nelson, miły on jest; szansę dać mu musisz. Tina wybuchnęła śmiechem.

- Daj spokój. Yoda nie miał angielskiego akcentu! Uniosłam brew.

- Chcesz powiedzieć, że poza tym jesteśmy jak dwie krople wody?

- Jeśli przyjmujesz krytykę.

- Rany, nie znoszę wysokich dziewczyn.

Po wyjściu z kawiarni musiałyśmy się rozdzielić. Robiło się ciemno. Na Main Street zapaliły się latarnie, przez co odniosłam wrażenie, że poza ich zasięgiem zrobiło się jeszcze ciemniej.

- Dzięki za lekcję i przykro mi z powodu samochodu.
-Zapięłam zamek w kurtce.

- Zdarza się. Muszę sprawdzić, czy mogę wziąć dodatkowe godziny w sklepie, żeby zapłacić za naprawę. Na razie.

Sięgnęłam do kieszeni po telefon, żeby uprzedzić Sally i Simona, że wracam do domu.

- Sally? Samochód Tiny się popsuł. Idę do domu z Main Street. - Słysząc było cichą muzykę w tle, kiedy głos Sally odpowiedział: „Jesteś sama?”.

- Tak, wiem. To nie najlepsze rozwiązanie. Możesz spotkać się ze mną w połowie drogi? Nie chcę iść do domu sama.

- Wychodzę. Spotkamy się przy sklepie. Pilnuj się innych ludzi.

- Dobrze. Poczekam na ciebie w środku. Wsunęłam telefon do tylnej kieszeni. Między kawiarnią

a sklepem było około pięciuset metrów i musiałam przejść przez skrzyżowanie ze światłami. Spacer sprawiał mi przyjemność, bo ulica była dobrze oświetlona i zawsze kręciło się po niej dużo ludzi. Ruszając pod górę, zastanawiałam się, jak radzi sobie Zed. Pewnie przestał już jeździć na desce, bo robiło się ciemno. Czy jego tata powiedział mu, że miałam ogromną nadzieję go zobaczyć?

Prawie dotarłam do skrzyżowania, kiedy usłyszałam, że biegnie za mną jakiś człowiek. Zerknęłam za siebie. Duży. Zarośnięty. Głowę miał prawie całkiem wygoloną, poza długim kucykiem z kręconych włosów z tyłu. Przesunęłam się na bok, żeby go przepuścić.

- Hej, chyba coś upuściłaś. - Podał mi brązową, skórzaną portmonetkę.

- Nie, nie, to nie moja. - Mocniej ścisnęłam moją torbę. Dobrze wiedziałam, że mój czerwony portfel był schowany głęboko w środku.

Uśmiechnął się do mnie przepraszająco.

- A to dziwne - bo jest w środku twoje zdjęcie.

- To niemożliwe. - Zdziwiona, wzięłam od niego portmonetkę i otworzyłam ją. Spojrzała na mnie moja twarz. Byłam z Zedem na szkolnym podwórku - zdjęcie musiano zrobić z ukrycia. Kieszeń na banknoty była pełna dolarów - więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek miałam. - Nie rozumiem. - Zerknęłam na mężczyznę z kucykiem. Coś było nie tak. Cofnęłam się, wcisnąwszy mu portmonetkę do ręki. - To nie moje.

- Ależ tak, Sky. Skąd znał moje imię?

- Nie, naprawdę nie. Zaczęłam biec.

- Hej, nie chcesz pieniędzy? - zawołał, biegnąc za mną. Dotarłam na róg, ale ruch był tak duży, że nie dałabym rady przebiec, nie ryzykując wypadku. Moje zawahanie pozwoliło mu mnie dogonić. Dopadł do mnie i poczułam, że wbija mi coś w zębra.

-Więc pozwól, że ci wyjaśnię, złotko. Wsiądziesz ze mną do samochodu, nie przyciągając niczyjej uwagi.

Zaczerpnęłam powietrza, żeby krzyknąć, odsuwając się od jego ręki.

- Zrób to, a strzelę. - Potrząsnął czymś, co okazało się pistoletem wycelowanym w mój bok.

Czarny SUV z przyciemnianymi szybami zatrzymał się przy nas z piskiem opon.

- Wsiadaj.

To stało się tak szybko, tak nagle, że nie zdążyłam pomyśleć o ucieczce. Mężczyzna wepchnął mnie na tylne siedzenie, przyginając mi głowę w dół, po czym zamknął za nami drzwi. Samochód ruszył przed siebie.

Zed! - krzyknęłam w głowie.

- Używa telepatii - powiedział mężczyzna na przednim siedzeniu, obok kierowcy. Miał około trzydziestki, krótkie rude włosy i mnóstwo piegów.

Sky? Co się dzieje? - Zed odpowiedział natychmiast.

- To dobrze. Niech wie, że cię mamy, złotko. Powiedz mu, żeby cię uratował. - Pasażer z przodu miał silny irlandzki akcent.

Natychmiast zablokowałam połączenie z Zedem. Chcieli mnie użyć, żeby wywabić Benedictów.

- Zablokowała go - poinformował rudowłosy mężczyzna.

Oprych na tylnym siedzeniu złapał mnie za kark. Zdołałam dostrzec moją mamą czekającą na mnie przy sklepie. Wyciągała z kieszeni telefon. Ten w mojej kieszeni zadzwonił.

- Czy to on? - spytał oprych. - No dalej, odbierz.

Mógłby nie pozwolić mi rozmawiać, gdybym powiedziała mu, że to moja mama. Wyciągnęłam telefon z kieszeni kombinezonu, ale on wyrwał mi go i wcisnął „odbierz”.

- Mamy ją. Wiesz, czego chcemy. Oko za oko, ząb za ząb, dwóch Benedictów za dwóch naszych. - Rozłączył się, po czym wyrzucił telefon przez okno. - Kto potrzebuje telepatii? To załatwi sprawę.

- To nie był on - to... to była moja mama. - Zaczynałam się trząść. Szok i ogłuszenie przechodziły w obezwładniający strach.

- Co za różnica. - Wzruszył ramionami. - Niech ona zawiadomi Benedictów.

Słyszałam brzęczenie głosów, próbujących do mnie dotrzeć - nie tylko Zeda, ale innych członków jego rodziny.

Nie mogłam powstrzymać się przed odpowiedzią. *Pomocy! Proszę!*

Ale nagle hałas ustał i zapanowała cisza.

- Pozwoliłem jej wysłać jedną chwytającą za serce prośbę. - Rudowłosa mężczyzna pomasaował czoło. - Ale ci Benedictowie walą w tarczę. Musimy wydostać się stąd jak najdalej.

A więc to on był sawantem.

- To okrutne, O'Halloran. Pozwalasz im usłyszeć jej ostatnie słowa i urywasz połączenie? - Zbir roześmiał się głośno.

- Tak, też uważam, że to było wzruszające. Łzy same napływają do oczu, co nie? - Odwrócił się i mrugnął do mnie. - Nie bój się, kochanieńka, przyjdą po ciebie. Benedictowie nie pozwolą zginąć jednemu ze swoich.

Zwinęłam się w kulkę, objęłam kolana rękoma i spróbowałam stworzyć między mną a nimi tyle dystansu, ile potrafiłam. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się na przebiciu się przez tarczę.

- Przestań! - warknął O'Halloran.

Otworzyłam oczy. O'Halloran patrzył na mnie wrogo w lusterku. Moje próby wywarły na niego wpływ, ale zbyt mało znałam sztukę sawantów, żeby wiedzieć, jak to wykorzystać.

- Powiem Gatorowi, żeby cię ogłuszył, jeśli spróbujesz jeszcze raz - ostrzegł O'Halloran.

- Co ona robi? - spytał Gator, ten z kucykiem.

O'Halloran znów pomasaował sobie skronie. Mój zamach na jego tarczę i próby Benedictów dawały mu się we znaki.

- Mamy tu małą sawantkę. Nie mam pojęcia, czemu nie wie, co zrobić ze swoją mocą, ale coś jest w niej zamknięte. Jest telepatką.

Zbir wyglądał teraz na zaniepokojonego.

- Co jeszcze robi?

O'Halloran skwitował mnie wzruszeniem ramion.

- Nic, z tego, co widzę. Nie martw się, nie zrobi ci krzywdy.

Gator bał się sawantów? To było nas dwoje. Ale warto było o tym wiedzieć - nie żebym potrafiła to w tej chwili wykorzystać. O'Halloran miał rację: w świecie sawantów byłam małym dzieckiem. Jeśli miałam zamiar wydostać się z tej sytuacji, musiałam szybko dorosnąć.

Jechaliśmy przez ponad godzinę. Z mrożącego krew w żyłach przerażenia przeszłam w stan całkowitego braku nadziei. Byliśmy zbyt daleko od Wrickenridge, żeby ktokolwiek mógł nas dogonić.

- Dokąd mnie zabieracie? - spytałam.

Gator zdawał się zaskoczony tym, że się odezwałam. Miałam wrażenie, że byłam dla nich tylko środkiem do celu - dorwania Benedictów - i że nikt w samochodzie nie uważał mnie za osobę.

- Mam jej powiedzieć? - spytał O'Hallorana.

Sawant skinął głową. Jechał w milczeniu, prowadząc bitwę na niewidocznym froncie, kiedy Benedictowie desperacko próbowali przebić się przez jego tarczę.

- Cóż, skarbie, zabieramy cię do szefa. - Gator wyjął paczkę gumy do żucia z kieszeni koszuli i zaproponował mi jedną. Pokręciłam głową.

- Kto jest waszym szefem?

- Wkrótce się dowiesz.

- Gdzie on jest?

- Tam, gdzie wylądował ten samolot. - Wskazał w kierunku maszyny czekającej na nas na pasie startowym małego, prowincjonalnego lotniska.

- Lecimy samolotem?

- Do Vegas nie pójdziemy na piechotę. Zatrzymaliśmy się przy samolocie. Gator wyciągnął

mnie z samochodu i wtargał po prowadzących do maszyny schodkach. Kiedy tylko SUV opustoszał, samolot wystartował i skierował się na południe.

Moj pokój znajdował się na ostatnim piętrze na wprost ukończonego hotelu-wieżowca na jednej z ulic Las Vegas, znanej jako the Strip. Znałam nasze położenie, bo nikt nie starał się powstrzymać mnie przed wyglądaniem przez wysokie na całą ścianę okno. Światła z kasyn oświetlały niebo - neonowe palmy, piramidy, kolejki górskie, wszystko lśniło złudną obietnicą. Za tą cienką warstwą szaleństwa, za mrugającymi światłami przedmieść była pustynia, ciemna, ale jednocześnie jakaś czystsza. Oparłam czoło o zimną szybę, próbując uspokoić kłębiące się we mnie emocje. Kręciło mi się od nich w głowie.

Po długim locie wylądowaliśmy na lotnisku i znów zapakowano mnie do czarnego samochodu, tym razem do limuzyny. Moja nadzieja wymknięcia się Gatorowi i O'Halloranowi na końcu podróży znikła, kiedy wjechaliśmy na podziemny parking i zostałam przetransportowana prywatną windą do hotelu, a następnie szybko przeprowadzona do luksusowego apartamentu. Potem zostawiono mnie w pokoju samą i powiedziano, żebym poszła spać.

Moja rola na razie się skończyła - wyjaśnił mi O'Halloran i poradził, żebym odpoczęła.

Odpoczęła? Kopnęłam biały skórzany fotel stojący przy oknie. Pięć gwiazdek nie powodowało, że ten pokój przestawał być więzieniem. Mogli sobie zabrać swój płaski telewizor, jacuzzi, łóżko z baldachimem i wsadzić sobie... no cóż, miałam kilka kreatywnych propozycji co do tego, gdzie.

Ponieważ nikt nie zrobił mi żadnej krzywdy, mniej martwiłam się w tej chwili własnym losem. Najbardziej dręczyła mnie myśl, że Zed i moi rodzice muszą przechodzić przez piekło. Musiałam dać im znać, że nic mi nie jest. Już sprawdziłam telefon - nie zdziwiło mnie, że nie było w nim sygnału. Drzwi były zamknięte, a na tej wysokości nie mogłam przyciągnąć uwagi żadnego żywego stworzenia poza ptakami. Pozostawała telepatia. Zed nigdy nie odpowiedział mi na pytanie, czy może rozmawiać ze swoimi braćmi w Denver, ale udało mu się skontaktować ze mną z odległości kilku mil, która dzieliła nasze domy. Czy udałoby mi się porozumieć z nim z odległości setek mil między Kolorado i Nevadą? Nie byłam nawet całkowicie pewna, jak daleko od siebie jesteśmy.

Pomasowałam sobie głowę, przypominając sobie ból, jaki czułam, kiedy odbierałam „lokalne” połączenia. I trzeba było pamiętać o O'Halloranie. Czy nadal utrzymywał tarczę, kiedy byliśmy już poza zasięgiem? Wiedział, że mam małą moc jako sawantka, więc prawdopodobnie nie spodziewał się po mnie tak ambitnych prób. Jeśli jednak mimo wszystko dbał o bezpieczeństwo i wykryłby moje niezdarne starania, byłby wściekły i mógłby mnie ukarać.

Gdzieś w oddali wystrzeliły sztuczne ognie, część nocnego programu rozrywkowego w którymś z innych hoteli przy

kasynach. Mój nazywał się Fortune Teller. W oknach budynku po drugiej stronie ulicy widziałam kryształową kulę obracającą się na dachu. Hotel był tylko częściowo skończony. Dźwigi w kształcie litery „T” czuwały nad pozostałą częścią: biura, apartamenty i sklepy czekały na koniec kryzysu, żeby ich szkielety można było oblec w coś bardziej atrakcyjnego niż żelazne dźwigary. Na zagruzowanym placu budowy po prawej stronie, na usypiskach, zaczynały rosnać chwasty. Widać było, że budowa została zamrożona dość dawno -mimo wybranej przez siebie nazwy, właściciel hotelu tego nie przewidział. Przydałby mu się sawant, który udzieliłby mu wskazówek.

Objęłam się rękoma, tęskniąc za Zedem tak bardzo, że aż mnie to zaskoczyło. W przeciwieństwie do mojego chłopaka, ja nie wiedziałam, co kryje przyszłość. Postanowiłam zaryzykować rozzłoszczenie O'Hallorana, aby móc zmniejszyć ryzyko. Czekałam na moment, kiedy powinien już spać. Zerknęłam na zegarek. Była północ. Zdecydowałam, że poczekam do rana, zanim wykonam jakiś ruch.

Odwróciłam się od okna i przyjrzałam się mojemu pokojowi, szukając czegoś, co mogłoby mi się przydać. Już wcześniej musiałam zdjąć mój kombinezon narciarski, bo było mi w nim za gorąco. Włożyłam hotelowy szlafrok, ale bardzo chciałam się w coś przebrać - ubrana tylko w rajstopy i koszulkę czułam się niepewnie. Na jednej z poduszek leżała złożona w kostkę koszula nocna. Rozłożyłam ją: miała na sobie logo hotelu i wyglądała jak coś, co można było kupić w sklepie z prezentami. Zastanawiając się, czy ktoś pomyślał o tym, by kupić ich więcej, otworzyłam szafę i znalazłam stos koszulek i szortów. Czy to znaczyło, że spodziewali się, że spędzę tu trochę czasu?

To było dla mnie za wiele. Czułam się obco i nie mogłam się skoncentrować. Cudowne, wyostrzone postrzeganie, które towarzyszyło mi, kiedy byłam blisko Zeda, rozpadło się, wrzucając mnie z powrotem w moje stare komiksowe nawyki. Kolory stały się wyblakłe, obraz poszatkowany. Dopóki nie rozdzieliły nas tysiące mil, nie docierało do mnie, że bliskość Zeda zaczęłam uważać za coś naturalnego. Nawet jeśli nie mogliśmy spędzać razem dużo czasu, miałam pewność, że jest gdzieś niedaleko. Był dla mnie oparciem i sprawiał, że wszystko, czego dowiadywałam się o sawantach, było w jakiś sposób mniej przerażające. Teraz stałam się otwarta na wszystkie obawy i nieprawdopodobne pomysły na temat tego, co ma nastąpić. To Zed był moją tarczą, nie to, co próbowałam stworzyć w swojej głowie.

Nie dostrzegałam tego, ale przez cały ten czas zachowywał się jak mój przeznaczony, chociaż ja go za takiego nie uznawałam. Teraz było za późno, żeby mu o tym powiedzieć.

A może wcale nie. Może uda mi się z nim porozmawiać.

Zaczynałam czuć się wyczerpana. Oczy zachodziły mi mgłą i musiałam złapać się drzwi szafy, bo się zachwiałam. Jeśli chciałam mieć energię potrzebną do wykonania planu, potrzebowałam się przespać. Nawet kilka godzin dobrze by mi zrobiło. Szybko przebrałam się w koszulę nocną, ustawiłam budzik na zegarze przy łóżku i schowałam się pod satynową pościel.

Neonowe światła wciąż pulsowały na zewnątrz, kiedy alarm wyrwał mnie ze snu trzy godziny później. Helikopter policyjny przez krótką chwilę zawisł nad hotelem, po czym odleciał na północ. Na ulicach pode mną samochody i taksówki hotelowe wciąż krążyły po ulicy Strip, bo hazardziści nie mieli ochoty - a może nie potrafili - przestać

grać nawet w środku nocy. Przemyłam oczy zimną wodą, żeby oprzytomnieć.

OK. Czas spróbować szczęścia i sprawdzić, czy O'Halloran poszedł spać. Musiałam mieć nadzieję, że uczestnictwo w porwaniu wystarczająco go zmęczyło.

Zed?

Nic. Zbadałam ciemność w mojej głowie, wyczuwając brak wytlumiającego koca, który przeszkadzał mi w samochodzie. To dało mi nadzieję, że O'Halloran opuścił tarczę.

Zed? Słyszysz mnie?

Żadnej odpowiedzi. Przycisnęłam palce do skroni. Skup się. Może Zed też spał?

Nie, niemożliwe. Nie spałby, wiedząc, że zostałam porwana. Próbowaliby usłyszeć choć krótkie słowo ode mnie. Może to, czego próbowałam, było niemożliwe?

Przez chwilę przemierzałam pokój. Palce zatapiały mi się w puszystym dywanie.

A może po prostu nie wiedziałam, co robię? Przypomniałam sobie to, co Zed opowiadał mi o telepatii, to, że skontaktował się ze mną mimo woli. Powiedział, że jestem mostem.

Może to miało działać jak ochrona, tylko na odwrót? Może trzeba było się otworzyć i zbudować połączenie, a nie zamykać się i tworzyć bariery?

Spróbowałam jeszcze raz, wyobrażając sobie, że tworzę lekki, łukowaty most między moim umysłem a umysłem Zeda. Widziałam to w wyobraźni jak rysunek wychodzący poza ramkę komiksu, łamiący konwencje, żeby zbliżyć się do następnego okienka.

Po godzinie powodującego migrenę myślenia poczułam zmianę, subtelny przepływ energii w drugą stronę.

Zed?

Sky? Jego myśli brzmiały niewyraźnie, zbliżały się ku mnie i oddalały jak pajęczka nic tańcząca na wietrze. Jestem w Vegas.

Jego szok był wyraźny. Me możesz... Jak to możliwe, że... mnie... z Vegas?

Sam mi to wytłumacz. Jesteś sawantem, pamiętasz? ...cud...

Nic mi nie jest. Trzymają mnie na ostatnim piętrze hotelu Fortune Teller.

Nie... ciebie. Urywa się... Fortune Teller. Ostatnie piętro.

Moja głowa pękała z bólu, tyle kosztowało ją utrzymywanie mostu, ale byłam zdeterminowana przekazać wiadomość.

Me... ciebie.

Nie słyszał mnie. Powtórzyłam, gdzie jestem.

... kocham cię... po ciebie.

Niel

Łatwiej... bliżej.

Nie, nie, to pułapka. Most się zapadał. Czułam to, czułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła i jak pulsują mi skronie. Jeszcze tylko trochę. Też cię kocham, ale nie przyjeżdżaj. Właśnie tego chcę.

Sky! Poczuję, że połączenie się urywa, próbowałam zapamiętać moje ostatnie słowa.

- Zed. - Leżałam na podłodze, pot spływał mi po plecach i czułam nudności. Na rękach i kolanach poczołgałam się do łazienki i zwymiotowałam. Chociaż cała się trzęsłam, poczułam się lepiej. Wspięłam się na łóżko, upadłam twarzą na poduszki i straciłam przytomność.

Obudziłam się na dobre dopiero koło południa. Przez barwione szyby niebo wydawało się bladoniebieskie. Małe chmurki przecinały doskonały błękit. Cała byłam odrętwiała. Umyłam zęby hotelową szczoteczką i pastą i ubrałam się. Czułam się dziwnie, nosząc szorty i koszulkę z krótkim rękawem w środku zimy, ale klimatyzacja w hotelu sprawiała, że wewnątrz zawsze było lato. W brzuchu mi zaburczało. Sprawdziłam zawartość minibarku i poczęstowałam się czekoladowym ciastkiem i butelką coca-coli, po czym usiadłam i czekałam. Byłam w środku wielkiego zamieszania, ale wszystko było dziwnie spokojne. Jak w oku cyklonu.

Nie ośmieliłam się znów zaryzykować kontaktowania się z Zedem. O'Halloran pewnie już wstał, a ja nie wiedziałam wystarczająco dużo o rozbijaniu tarczy, żeby tego próbować. Miałam tylko nadzieję, że Zed zrozumiał, że prosiłam go, by nie rzucał mi się na ratunek. Żeby mnie stąd wydostać, potrzebny był plan, a nie drugi zakładnik.

Rozległo się pukanie do drzwi. Nie spodziewałam się takiego zachowania po moich porywaczach. Potem drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Gator z tacą w rękach.

- Wstań i zaświeć, słoneczko. Dobrze spałaś?

- Nie bardzo.

Nie zwracając uwagi na moją odpowiedź, Gator postawił tacę na stoliku przy oknie.

- Śniadanie. Jedz szybko. Szef chce cię zobaczyć.

Nie byłam pewna, czy uda mi się coś zjeść. Decydując, że nie warto go zniechęcać, odmawiając współpracy w tak małej sprawie, uniosłam pokrywę. Nie, nie przełknęłabym tych jajek. Zamiast tego upiłam trochę soku pomarańczowego i skubnęłam tost. Gator nie wyszedł z pokoju. Stał przy oknie i udawał, że strzela do ptaków latających nad budynkiem, częstując mnie widokiem swojego kucyka, który związał skórzanym sznurkiem. Wydawał się być w wesołym nastroju, zupełnie niezdenerwowany faktem, że uczestniczył w porwaniu. Wtedy dotarło do mnie, że ktokolwiek się za tym krył, musiał kontrolować cały ten hotel, inaczej Gator nie byłby tak spokojny, przetrzymując mnie tutaj.

- Już się najadłam, dziękuję. - Wstałam. Fakt, że miałam spotkać się z szefem twarzą w twarz, nie wróżył dobrze temu, jaką rolę dla mnie przewidziano. Próbowałam wymyślić scenariusz, w którym nie zabijają mnie na końcu, żebym nie zdradziła ich tożsamości, i nie potrafiłam.

- Dobra, chodźmy. - Złapał mnie mocno za przedramię i wyprowadził na korytarz. Skręciliśmy w lewo, minęliśmy windę i weszliśmy do holu. Przez oszronione szyby widziałam ludzi siedzących wokół stołu konferencyjnego. Gator zapukał, poczekał, aż zapali się zielone światło, po czym wszedł ze mną do środka.

Strach wyostrzył mi widzenie. Staralam się zapamiętać tak wiele informacji, jak to było możliwe, na wypadek gdyby

jakimś cudem udało się mnie uwolnić. Przy stole siedziały trzy osoby. Mój wzrok przyciągnęła najstarsza z nich: mężczyzna z ufarbowanymi na czarno włosami i podejrzaną opalenizną pisał coś zawzięcie na swoim smartfonie. Jego garnitur wyraźnie pochodził od znanego projektanta, ale jego krawat raczej nie: w odcieniu pomarańczy, gryzł się z barwą jego skóry. Zajmował miejsce u szczytu stołu. Po jednej jego stronie siedział inny mężczyzna, po drugiej -kobieta. Podobieństwo rodzinne było wystarczająco silne, żebym zgadła, że są jego dziećmi albo bliskimi krewnymi.

- Oto ona, panie Kelly. Zaczekam na zewnątrz. - Gator popchnął mnie lekko w kierunku stołu i wyszedł.

Pan Kelly przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, zetknąwszy razem palce obu rąk. Pozostali wyraźnie czekali, aż on wykona pierwszy ruch, przez co zostałam zostawiona własnemu losowi. Wiedziałam tylko, że Benedictowie pomogli skazać dwóch członków rodziny Kellych. Z jego pewnej siebie postawy wywnioskowałam, że patrzę na słynnego Daniela Kelly'ego we własnej osobie, głowę biznesowego imperium, mężczyznę, którego twarz pojawiała się na stronach poświęconych gospodarce częściej niż twarze Donalda Trumpa i Richarda Bransona razem.

- Podejdź tutaj - skinął na mnie Kelly.

Z wahaniem okrążyłam stół i podeszłam do niego.

- O'Halloran powiedział mi, że jesteś sawantką.

- Nie wiem. - Włożyłam ręce do kieszeni, żeby ukryć fakt, że się trzęsą.

- Jesteś. Widzę to. Doprawdy, szkoda, że zostałeś w to zamieszana. - Rzucił mi przepraszający uśmiech, ukazując niewiarygodnie proste zęby.

Mężczyzna po jego prawej ręce poruszył się.

- Tato, jesteś pewien, że Benedictowie będą chcieli oddać swoich w zamian za nią?

- O tak, spróbują. Nie będą potrafili się powstrzymać, żeby nie ochronić takiej niewinnej istoty jak ona.

Młodszy Kelly nalał kawy do filiżanki.

- A policja? Na pewno już ich zawiadomili.

- Nigdy nie uda im się do nas dotrzeć. A ona powie im dokładnie to, co jej każemy. - Pan Kelly odchylił się w krześle. - Fascynujące. W jej umyśle jest tyle ciemnych miejsc.

Odsunęłam się, przerażona. On w jakiś sposób czytał mi w myślach. Zed powiedział, że zawsze zdradzam zbyt wiele drugiemu sawantowi. Zaczęłam stawiać mury tak szybko, jak potrafiłam.

Kelly leniwie zabębnił palcami po stole.

- Turkusowy. Co za dziewczęcy kolor, prawda?

- Nie są bardzo mocne - skomentowała młoda kobieta; wyglądem przypominała dzikiego kota, oswojonego, ale równie niebezpiecznego. - Mogę je dla ciebie zburzyć, tato.

- Och, nie, nie chcę jej jeszcze łamać.

Mój świat się załamał. Benedictowie myśleli, że zamieszany w to był tylko jeden sawant; czego się nie spodziewali, to tego, że rodzina Kellych miała moc podobną do ich własnej. Nagle wszystko stało się dużo bardziej skomplikowane.

- Zastanawiasz się, co zamierzam z tobą zrobić, prawda, Sky?

- Kelly wyciągnął do mnie rękę. Jego twarz wyrażała niezadowolenie. Wyglądał, jakby spotkał go wielki zawód i jakby chciał, żeby inni cierpieli razem z nim.

Wolałabym dotknąć węża, więc nie wyjęłam rąk z kieszeni.

- Nie zabijemy cię, jeśli tego się obawiasz. Nie jesteś naszym wrogiem. - Opuścił rękę. - Jestem biznesmenem, nie mordercą.

- Więc co ze mną zrobicie?

Pan Kelly wstał i obciągnął marynarkę. Zbliżył się do mnie i obszedł mnie dookoła, oceniając niczym krytyk sztuki nową pracę. Jego obecność działała mi na nerwy jak nieharmonijna muzyka.

- Zostaniesz moją bardzo dobrą przyjaciółką, Sky. Powiedz policjantom, że ani ja, ani moja rodzina nie mieliśmy nic wspólnego z twoim porwaniem. To dwóch chłopaków Benedictów porwało cię dla swoich obrzydliwych, diabelskich celów. - Uśmiechnął się z satysfakcją.

- Wiesz, jak łatwo sawanci potrafią się pomylić - zbyt wielka moc i zbyt mała, by utrzymać ich w ryzach. Fakt, że zginęli, próbując powstrzymać twoją ucieczkę, nie jest tragedią, a pozwala oszczędzić amerykańskim podatnikom pieniądze, które zostałyby wydane na ich dożywotni pobyt w więzieniu.

- Podoba mi się to - skomentował młody mężczyzna.

- Myślę, że zniesławienie będzie lepsze niż po prostu zabicie ich.

- Tak myślałem, że ci się to spodoba, Sean. Mówiłem ci, że możesz zaufać mi, że wymyślę właściwą zapłatę za twoich wujów.

Popatrzyłam na nich z rozdziawionymi ustami.

- Oszałeliście! Nic, co powiecie ani zrobicie nie przekona mnie, żebym powiedziała policji takie kłamstwo, nawet jeśli będziecie mi grozić! I nigdy nie pozwolę wam zabić Zeda albo... jego braci! Nigdy!

Pan Kelly uznał moją złość za zabawną.

- Co za urocza młoda cudzoziemka! Syczy i pluje jak rozwścieczony kotek i jest równie groźna jak on. - Roześmiał się.
- Oczywiście, że powiesz to, co ci każe, Sky. Widzisz, to mój dar. Zapamiętasz to, co będę chciał, żebyś pamiętała. Ludzie tak robią, wiesz, na przykład strażnicy więzienni, którzy wkrótce wypuszczą moich braci na wolność, przekonani, że dostali taki rozkaz od gubernatora. Nie ma sensu stawiać oporu. Jestem dobry w naginaniu ludzi do mojej woli. Zbudowałem na tym mój majątek, a ty nic tu nie zmienisz.

O Boże, on był jak Victor. Ale czy naprawdę mógł zmusić mnie do tego, żebym powiedziała albo zrobiła coś, co zupełnie nie pasowało do mojego charakteru? Rozumiałam, że mógł sprawić, żeby para strażników źle zinterpretowała własne obowiązki, ale sfabrykowanie tak skomplikowanego kłamstwa, które w sposób oczywisty przeczyło faktom, z pewnością mu się nie uda. Czy mogę zapomnieć się tak bardzo, żeby zdradzić Zeda? Mojego przeznaczonego?

Prędko zatrzęsłam tę myśl głęboko za murami. Kelly nie może dowiedzieć się, kim jest dla mnie Zed - wykorzysta tę słabość bezlitośnie, wiedząc, co sawanci potrafią zrobić dla swojej drugiej połowy.

Po prostu genialnie, Sky - skarciłam samą siebie. - Idealna pora, żeby zaakceptować, że Zed jest twoim przeznaczonym.

Przedtem tylko się bałam; teraz byłam przerażona. -Widzę, że zaczynasz wierzyć, że potrafię to zrobić.

- Kelly schował swój smartfon z powrotem do kieszeni.

- Nie martw się: nie będziesz cierpieć. Będziesz przekonana, że mówisz prawdę. Jestem oczywiście zmuszony

trzymać cię w pobliżu, żeby być pewnym, że będziesz śpiewać tę samą piosnkę przez mniej więcej rok, aż wszyscy o tym zapomną, ale już my o to zadbamy, prawda, Mario? Młoda kobieta skinęła głową.

- Tak, tatusiu. Myślę, że możemy znaleźć dla niej posadę pokojówki w jednym z hoteli, kiedy porzuci liceum, żeby zamieszkać w Vegas. Niestety, wspomnienia z Wrickenridge będą dla niej zbyt bolesne, by chciała tam wrócić.

- Ale moi rodzice... - To było gorsze niż najgorszy nocny koszmar.

Kelly roześmiał się nieszczerze.

- Poczują, że zawiedli i nie potrafili cię ochronić, a ja przekonam ich, że chcą dać ci przestrzeń, której według lekarzy potrzebujesz po takiej traumie. Wiemy wszystko o nich i o twojej adopcji - jak słaba jest twoja kondycja psychiczna. Jestem pewien, że będą zbyt zajęci swoją karierą, żeby długo się tym martwić, jeśli tylko powiesz im, jak bardzo jesteś szczęśliwa. A powiesz.

Skąd tyle o mnie wiedział?

- Zabieracie mi moje życie.

- To lepsze niż cię zabić, a to jedyna alternatywa. Sean podszedł do swojego ojca. Był od niego wyższy

o głowę, ale znacznie grubszy. Brzuch wylewał mu się poza cienki skórzany pasek, który przytrzymywał jego opadające spodnie. Górną wargę okalały mu wąsiki w stylu Zorra, co wyglądało śmiesznie u kogoś, kto był tylko o kilka lat starszy ode mnie. Zupełnie jakby ktoś namalował mu je dla żartu, kiedy spał, a on jeszcze tego nie zauważył.

- Mówisz, że ma w sobie ciemne miejsca? Kelly zmarszczył brwi.

- Czujesz to?

Sean złapał mnie za rękę, uniósł ją sobie do nosa i obwąchał moją dłoń z zamkniętymi oczami, jakby łowił słaby zapach perfum. Próbowałam mu się wyrwać, ale tylko wzmocnił uścisk.

- Tak, teraz czuję. Cudowne połączenie bólu i uczucia porzucenia.

Pod wpływem jego dotyku czułam, jak narasta we mnie panika; spokój, który starałam się utrzymać, był niszczonej jak zrywany z prezentu papier.

- Czemu mi jej nie oddasz? Sprawiłoby mi przyjemność wyssanie z niej emocji - czuję, że dostarczyłaby mi wielu godzin rozrywki.

Daniel Kelly uśmiechnął się wyrozumiale do syna.

- Czyżby jej energia emocjonalna była tak wielka? Sean pokiwał głową.

- Nigdy wcześniej nie czułem nic podobnego.

- Więc możesz ją wziąć, kiedy wykorzystamy ją do zwabienia Benedictów. Tylko utrzymuj ją w wystarczająco dobrym stanie, żeby przekonać jej rodzinę, że dziewczyna jest tutaj z własnej, nieprzymuszonej woli.

- Zajmę się tym. - Sean Kelly pocałował mnie we wnętrze dłoni i puścił ją. Wzdrygając się, wytarłam ją o szorty. - Hmm. - Oblizwał wargi. - Ty i ja poznamy się bardzo dobrze, moja droga.

- Kim ty jesteś? - Objęłam się ramionami i wycofałam pod okno. Chciałam wrzasnąć mu prosto w twarz, ale to tylko pokazałoby im, jak bardzo się bałam.

Maria Kelly niecierpliwie przewróciła oczami.

- Mój brat wydobywa z ludzi emocje - bawi go wyciąganie rzeczy z mózgow innych ludzi. Potrzebuję nowej pokojówki, tato, to nie fair. I nie będzie z tego żadnej

korzyści. Dziewczyna nie przyda się do niczego, jeśli Sean położy na niej ręce - dobrze o tym wiesz. Ostatnia trzymała się tylko miesiąc, zanim musieliśmy się jej pozbyć. - Jej głos zrobił się jękliwy.

- Wynagrodzę ci to, kochanie. - Daniel Kelly zakończył dyskusję jednym gestem dłoni. - A teraz dość tego: muszę popracować nad naszym gościem. Policja już jej szuka, a nasze źródła donoszą, że Benedictowie ruszyli się ze swojej bazy. Czas najwyższy, by wskazać władzom prawdziwych winnych. Chodź, Sky, jest coś, co chcę, żebyś zapamiętała. - Daniel Kelly rozejrzał się za mną, ale ja już biegłam. Nie ma mowy, żebym pokornie podporządkowała się jego manipulacji.

- Sean! - warknął pan Kelly.

Ale ja byłam szybsza niż ten pączek w maśle. Wypadłam przez drzwi i skoczyłam w kierunku windy, mając nadzieję, że któraś stoi na tym piętrze albo że znajdę klatkę schodową. Zapomniałam jednak, kto czekał na zewnątrz. Dotarłam ledwie do holu, zanim dopadł mnie Gator. Powalił mnie na ziemię, powodując, że zabrakło mi powietrza w płucach. Uderzyłam głową w kafelki, ale nadal kopałam i gryzłam, kiedy mnie podniósł. Przytrzymał mnie na odległość ramienia i potrząsnął mną.

- Przestań, skarbie. Zrób, co ci mówi szef, a nic ci się nie stanie.

Krew kapłała mi z rozcięcia z boku głowy. Świat poszarzał na krawędziach mojego widzenia.

- Przeprowadź ją tutaj - rozkazał Kelly. Gator zaciągnął mnie do sali konferencyjnej.

- Proszę się na nią nie złościć, panie Kelly - poprosił.
-Dziewczyna jest przestraszona.

- Wręcz przeciwnie, nie jestem zły; działa na naszą korzyść. - Kelly zerknął na błyszczący zegarek od Cartiera. - Kiedy dostarczymy ją policji pokrytą krwią, jest bardziej prawdopodobne, że jej uwierzą. A teraz posadź ją tu. Zaczynamy pracę. - Był tak obojętny, jakbym była tylko kolejnym nudnym punktem na długiej liście spotkań, przez który trzeba było przejść.

Spróbowałam się wyszarpnąć.

- Nie, zostawcie mnie!

Gator posadził mnie na krześle i przywiązał mnie do niego rozciągliwymi kajdankami. Nie zdołałam nawet otrzeć krwi z policzka - czułam, jak ścieka mi po nim i kapie na pierś. Cała się trzęsłam.

- Jest w szoku - stwierdziła Maria, z niesmakiem. - Nie uda ci się wtłoczyć jej za wiele do głowy, kiedy w niej nic nie ma.

Sean przysunął się do mnie, położył mi ręce na plecach i wziął głęboki oddech.

- Nieprawda. Urocze - strach, oburzenie i przerażone wyczekiwanie - wspaniała mieszanka.

Maria odtrąciła jego rękę.

- Nie rób tego. Eskalujesz jej emocje. Nie chcemy, żeby wpadła w katatonię.

- O nie, jest w niej zbyt wiele woli walki, żeby poszła tą drogą.

Gator przestąpił z nogi na nogę.

- Będzie pan jej robił to coś z mózgiem, panie Kelly? Biznesmen zerknął na niego.

- Tak. Czemu pytasz?

- To trochę nie w porządku - wymamrotał Gator. Maria odsunęła go.

- Nie bądź żałosny! Wiemy, że nienawidzisz naszej mocy, ale pamiętaj, kto ci płaci, Gator.

- Powinniście mi pozwolić po prostu zastrzelić paru Be-nedictów - burknął Gator.

- Nie trafiłeś - odparła Maria oschle. - Och, mam już tego dość. Tato, możemy kontynuować? Muszę dopilnować inwentaryzacji pościeli.

Daniel Kelly wziął mnie za rękę i mocno ją ścisnął. Czułam, jak narzuca mi swoją obecność i próbuje przejąć nade mną kontrolę. Zrobić fuzję. W pośpiechu stawiałam mury, wyobrażając sobie, jak układałam przy nich toaletkę, łóżko i wszystko, na czym zdołałam położyć ręce, żeby powstrzymać go przed przejściem przez moją tarczę. Mimo woli docierały do mnie przebłyski tego, co próbował zakorzenić w moim umyśle. Obraz Zeda i Xava wywabiających mnie na ulicę i więżących mnie w bagażniku starego samochodu. Trzymali mnie tam, udając, że przyłączają się do poszukiwań, po czym odjeżdżali ze mną pod nosem lokalnej policji. Przetrzytywali mnie w opuszczonym magazynie, wyśmiewali mnie za to, że uwierzyłam, że Zed mnie kocha, torturowali mnie...

Nie! Zatrzasnęłam drzwi przed tą sugestią. Benedictowie tego nie zrobili - nigdy nie zrobiliby tego nikomu. Pamiętaj, jaka jest prawda. Gator i O'Halloran. Samolot. Hotel. Myśl o tym, gdzie jesteś.

Benedictowie cię nienawidzą. Zed jest dla ciebie zbyt wspaniały - zbyt cool, zbyt przystojny - oczywiście, że to musiał być żart. Podejrzewałaś to. Wykorzystywał cię. On i Xav robią to dziewczynom od długiego czasu. Ktoś musiał ich powstrzymać, panie oficerze. Musiałam ich zastrzelić. Strzelałam z ich pistoletu.

Nie, nie, nie. Czułam, jak mój mózg ugina się pod jego natarciem. Nigdy nikogo nie zastrzeliłam.

Obraz pistoletu w mojej dłoni był silny, prawdziwy, aż po moje obgryzione paznokcie.

To nie ja. Zed i Xav wciąż żyli. Nie zastrzeliłam ich.

Otworzyłam oczy.

- Chcecie zastrzelić Zeda i jego brata?

Daniel Kelly nie potrafił ukryć zdumienia, że wymknęłam mu się spod kontroli. Przycisnął swój ciężki sygnet do mojego policzka, sprawiając, że łzy napłynęły mi do oczu.

- Może nie pociągniesz za spust, ale będziesz przekonana, że to zrobiłaś.

Obrazy znów wtargnęły do mojej głowy, jasnoczerwone, czarne jak atrament, wirujące barwy podstawowe. *Ciężar pistoletu w mojej dłoni. Zed zginął z mojej ręki. Xav także. Byłam morderczynią, chociaż zrobiłam to w samoobronie.*

Nie.

Tak. Tak się to stało. Myliłam się co do nich. Benedictowie byli chorą rodziną. Chcą tylko torturować tych, którzy wpadną im w ręce. Oni wszyscy są źli, źli i chorzy.

To było złe. Złe.

Zemdlałam.

Przez następnych kilka godzin, za każdym razem, kiedy odzyskiwałam przytomność, czułam się, jakby odłamki szkła wbijały się w mój mózg. Nie potrafiłam zebrać myśli. Miałam wrażenie, że odbyłam kilka sesji, w czasie których ciemne oczy Daniela Kellyego przepalały mi mózg i trzymały moją głowę w swoim uścisku. Czasem był też z nim Sean, upijając się moją rozpaczą i sprawiając, że wszystko

było jeszcze potworniejsze. Kelly zdawał się zły, że wciąż mu się opierałam. Ostatecznie jednak byłam już tak zagubiona, że mój mózg błagał mnie, bym wycofała się z walki i przyjęła za prawdę to, do czego mnie przekonywano.

- Opowiedz mi jeszcze raz, co się wydarzyło, Sky - rozkazał mi Kelly, jak mi się wydawało, po raz setny.

- Pan... pan mnie ocalił. - Wizja Kelly ego wchodzącego do szpitala, by dodać mi otuchy po krwawej jatce, w której wzięłam udział, pojawiła mi się przed oczyma. Pomógł moim rodzicom, załatwił nam prywatny pokój, zapłacił za ich zakwaterowanie. Był tak hojny dla biednej angielskiej rodziny, o której usłyszał w wiadomościach.

- Dobrze. A kto porwał cię z ulicy?

- Benedictowie. Są chorzy i źli. - Nie - tak. Nie wiedziałam. - Chcę do domu.

- *O nie, nie. Chcesz zostać tu, w Vegas, gdzie czujesz się bezpieczna.* - Obraz wtargnął do mojego umysłu: pokój o mocnych drzwiach i zakratowanych oknach, gdzie nikt nie mógł mnie dosięgnąć.

- Czuję się bezpieczna.

- *Z ludźmi, którzy ci pomogli. Sean był taki miły.*

- Miły. Gator był dla mnie miły. Przyniósł mi śniadanie. Prosił, żeby nie stała mi się krzywda.

- *Nie Gator. Mój syn, Sean. Pomoże ci wrócić do zdrowia* -Tak?

- *Tak, pozbawi cię tych wszystkich złych emocji.* Skinęłam głową. Podobało mi się to. Nie chciałam nic czuć.

Maria weszła do pokoju, a za nią O'Halloran i Gator.

- Jest już gotowa? To zabiera za dużo czasu. Benedictowie są już w mieście, a ten fałszywy dupek Victor

Benedict poprosił o nakaz przeszukania naszych hoteli i domu. Daniel Kelly uszczypnął mnie w policzek.

- Tak, myślę, że jest gotowa. Nieco zagubienia sprawi, że będzie bardziej przekonująca. Zawieźcie ją na miejsce i wyślijcie wiadomość do Benedictów, że znajdą ją w magazynie na starym lotnisku. Muszą wysłać tylko dwóch chłopaków, inaczej zerwiemy umowę.

- Nie przyjdą sami - pozostali im nie pozwolą.

- Spróbują zaaranżować to tak, że będzie wyglądało na to, że są sami - i to wystarczy. Pozostali będą zbyt daleko, żeby zapobiec temu, co się stanie. Sami zawiadomimy policję. Odrobina zamieszania związana z zaangażowaniem różnych służb jest dobra na wszystko.

Złapałam się za głowę. To nie miało sensu. Już przecież byłam na miejscu, prawda? Byłam w magazynie, wiedziałam, kto zginął. Miałam krew na rękach.

Maria uśmiechnęła się.

- Nasza mała sawantka ma mały problem z ułożeniem w głowie faktów.

- Nic jej nie będzie. Wszystko, co musi zrobić, to siedzieć tam z pistoletem w ręce, podczas gdy FBI i policja będą się kłócić, czemu wszystko tak się skończyło. O'Halloran, tłumisz telepatię?

Skinął głową.

- Będzie zagłuszona do momentu, kiedy zbliży się do któregoś z nich.

- Upewnijcie się, że zlikwidujecie ich szybko. Wsadźcie jej pistolet w ręce i zwieście, zanim przyjadą FBI i policja. Chcę, żeby zastanawiali się, co się tam, u diabła, stało.

- Jasne, szefie.

Kelly strzelił palcami.

- Po dzisiejszym dniu Sieć Sawantów będzie wiedziała, że nikt, kto zadziera z moimi ludźmi, nie wychodzi z tego bez szwanku. Na przyszłość zostawią nas w spokoju. A teraz, Sky, musimy się pożegnać. Spotkamy się znowu - po raz pierwszy - w szpitalu. *Kiedy powiem słowo, zapomnisz o wszystkim, co stało się od wczoraj, i będziesz pamiętać tylko to, co ci powiedziałem.*

Gator przeproszał mnie, kiedy wiązał moje nogi i sadzał mnie na środku pustego magazynu.

- Zrób tak, jak ci mówię, i będzie po wszystkim - powiedział, zakładając mi włosy za uszy.

Trzęsłam się, mimo iż ubrano mnie w mój kombinezon. Moje ciało zachowywało się, jakby miało gorączkę, którą starało się zbić. Nic nie wydawało mi się właściwe. Gator zajął stanowisko kilka stóp za mną, chowając się za stosem skrzyń. Słyszałam, jak sprawdza magazynek pistoletu.

Czy był tutaj, żeby mnie bronić? Nie mogłam sobie przypomnieć. Nie byłam nawet pewna, kim on był. Co się ze mną działo? Mój mózg sprawiał wrażenie, jakby był z waty.

Po upływie pewnego czasu, który mnie wydawał się wiekiem, rozległo się szuranie na drugim końcu magazynu. Przesuwne drzwi uchyliły się o kilka cali.

- To my. Przyszliśmy sami, tak jak chcieliście. - To był Xav Benedict. Mój wróg.

- Co zrobiliście Sky? Nic jej nie jest? - Jego brat, Zed. Znałam go chyba? Oczywiście, że go znałam. Był moim chłopakiem. Mówił, że mnie kocha.

On cię nie kocha - tylko się tobą bawi. Słowa pływały w moim umyśle, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, czemu tak pomyślałam.

Siedziałam cicho z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Sky? Odpowiedz, proszę! Odchodzę od zmysłów. Powiedz, czy nic ci nie jest.

Zed też był w mojej głowie. Nie miałam gdzie się schować. Nie mogłam się powstrzymać - wydałam cichy jęk.

- Xav, to ona! Zrobili jej krzywdę. Xav go zatrzymał.

- To pułapka, Zed. Robimy tak, jak uzgodniliśmy. Nie pokazali się nam.

- Powiedzcie, co chcecie w zamian za Sky, a będzie wasze - powiedział Zed niepewnym głosem.

To nie miało sensu. Przecież ich zastrzeliłam. Czemu tutaj są? Czemu musiałam wrócić, żeby znów przeżyć ten koszmar?

- Pokażcie się, a wam powiem - odparł Gator.

- Sęk w tym, że nie jesteśmy głupi. Możesz nam powiedzieć, kiedy jesteśmy tutaj.

- Jeśli nie wyjdziecie z rękoma do góry, twoja dziewczyna dostanie kulkę w głowę.

To nie tak miało być. To ja po szarpaninie z Zedem zdobyłam pistolet i zastrzeliłam obu Benedictów. Widziałam, jak to się stało - byłam tam w głowie.

- Zed? - odezwałam się cienkim, drżącym głosem.

- Sky? Trzymaj się, kochanie, wydostaniemy cię stąd.

Źle - wszystko źle. Moja pamięć była jak komiks, w którym brakowało kluczowych okienek. Benedictowie mnie skrzywdzili - tak, zrobili to. Trzymali mnie w bagażniku samochodu przez wiele godzin.

- Odejdź! - wykrztusiłam. Na przeciwległym końcu dostrzegłam ruch i czubki czyichś palców, osoby wynurzającej się zza skrzyni, za którą się schowała. To był Zed.

W moim mózgu eksplodowały sprzeczne emocje i obrazy - nienawiść, miłość, rozbawienie i cierpienie. Magazyn z bezbarwnego stał się wielokolorowy i pełen szczegółów.

Zed utkwiał we mnie spojrzenie.

- Nie patrz tak na mnie, kotku. Jestem tutaj. Pozwól mi porozmawiać z człowiekiem, który cię trzyma, i cię uwolnimy.

Podszedł o krok bliżej.

Jak dużo ich jest? Czy on ma pistolet? - w mojej głowie znowu rozległ się głos Zeda.

Ja nie strzelałam do ludzi. Obraz moich rąk trzymających pistolet pojawiał się i znikał jak światła neonów.

Co się z tobą dzieje, Sky? Widzę, co ty widzisz. Twój umysł jest wobec mnie jakiś inny.

- On ma pistolet - odparłam głośno. - Gator, nie strzelaj. Nie możemy. Ja już ich zabiłam, ale oni nie chcą umrzeć - wrócili.

- Cicho bądź, Sky - odparł Gator zza moich pleców. -A ty, podejdź tak, żebym cię widział. Jestem pewien, że wolisz, żebym miał na celowniku ciebie, a nie twoją dziewczynę.

Zed całkowicie wyszedł zza skrzyni. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie pożerać go wzrokiem; miałam wrażenie, jakby nieustannie zmieniał maski. Jedna ukazywała Zeda miłego i czulego, druga okrutnego i złego. Jego twarz to wyostrzała się, to rozmazywała mi się przed oczyma.

- A teraz twój brat. Chcę widzieć was obu. Podejdź bliżej do Sky. Nie chcesz zobaczyć, co jej zrobiliśmy? - zadrwił Gator.

Musiałam wybrać. W co wierzyłam? Miły Zed; okrutny Zed. Zed zrobił dwa kroki naprzód, trzymając dłonie nieruchomo w powietrzu.

- Nie chcecie jej. Nasz spór jest pomiędzy Kellym a Be-nedictami. Jej to nie dotyczy.

Co powinnam zrobić? W co wierzyć? *Sky ma dobry instynkt.* Tak powiedziała moja mama, prawda? Instynkt. Więcej niż instynkt. Umiałam czytać ludzi, wiedziałam, czy mają poczucie winy, umiałam odróżnić dobrych od złych. Wyparłam to, ale to wciąż gdzieś we mnie było, ukryte pod stertą bredni od czasu, gdy miałam sześć lat. Zamknęłam to w sobie. Ale teraz musiałam wydobyć mój dar.

Zamknęłam oczy, szukając w środku po omacku drzwi, które uwolniłyby moją moc. Otworzyłam umysł.

Moja zdolność postrzegania wydostała się przez dach. Wrażenia unoszące się w pomieszczeniu były niesamowite. Postrzegałam je jako smugi kolorów. Czerwony - podekscytowania i trochę czarnego strachu za moimi plecami; złoty blask miłości i zielony poczucia winy u Zeda.

Mój przeznaczony.

To przeświadczenie było we mnie, zakodowane tak głęboko jak kod DNA. Jak mogłam tego nie widzieć? Moje ciało znów dostroiło się do Zeda; doskonale dopasowanie, idealna harmonia.

Więc dlaczego on czuł się winny? Przyjrzałam się zielonej brawie: Zed czuł się okropnie, bo dopuścił do tego, by mnie porwano i żebym cierpiała zamiast niego. Chciał siedzieć tu na moim miejscu z zakrwawioną twarzą i ubraniem.

Nie wiedziałam, czemu mój umysł był jak jajecznicza, ale teraz przynajmniej wiedziałam, na czym stoję.

- Zed! - krzyknęłam. - Padnij.

Pistolet wystrzelił. Zed już był w ruchu, ostrzeżony przez swój dar przewidywania. Drugi strzał. Na krokwi siedział drugi strzelec - O'Halloran i próbował trafić w Xava stojącego przy drzwiach. Zamiast próbować się ukryć, Zed pobiegł do mnie. Krzyknęłam - w umyśle widząc tę wersję wydarzeń, w której on mnie zaatakował, a ja go zastrzeliłam. Ale ręce miałam puste. Żadnego pistoletu.

Victor. Czerwony alarm! Czerwony alarm! Xav nadawał wiadomość przez tarczę O'Hallorana z całą siłą, na jaką potrafił się zdobyć, na tak dużym zasięgu, że mógł go usłyszeć każdy telepata.

Zed rzucił się na mnie, siedzącą z podwiniętymi nogami i ściskającą kolana.

- Nie ruszaj się, Sky.

- Nie strzelajcie! - błagałam. - Proszę, nie! Wyczułam, jak agresja Gatora i jego determinacja, by

zabić, rozlewa się w powodzi czerwieni. Plecy Zeda oferowały prosty cel, a Gator wahał się tylko dlatego, że pocisk mógł przejść na wylot i zabić także mnie.

- Nie! - W przypiływie siły spowodowanym desperacją nogami odepchnęłam Zeda od siebie. Pocisk przeznaczony dla jego pleców uderzył w ziemię pomiędzy nami i odbił się od betonu. Potem rozpoczęło się piekło. Rozległo się więcej strzałów; agenci wyłamali drzwi i wpadli do środka, krzycząc, że są z FBI. Coś trafiło mnie w rękę. Poczulałam ból. Syreny, więcej krzyków. Policja. Popłakując, zwinęłam się w kulkę.

W tym zamieszaniu ktoś podczołgał się do mnie i przykucnął przy mnie. Zed. Klął, a po twarzy płynęły mu łzy. Zacisnął rękę na ranie na moim ramieniu.

Po jeszcze kilku pojedynczych wystrzałach strzelanina ucichła. Wyczułam, że dwóch osób nie ma już w pomieszczeniu - O'Hallorana i Gatora. Uciekli?

- Lekarza! - wrzasnął Zed. - Sky jest ranna.

Leżałam cicho, powstrzymując pragnienie wybuchnięcia płaczem. Nie, nie uciekli. Zostali zabici w wymianie ognia. Ich energia została unicestwiona.

Podbiegła do nas lekarka policyjna.

- Zajmę się nią - zwróciła się do Zeda.

Zed puścił moje ramię. Na rękach miał krew. Lekarka rozerwała mój rękaw.

- Wygląda na to, że to tylko draśnięcie. Może dostała rykoszetem.

- Oni nie żyją - wyszeptałam. Zed pogłaskał mnie po głowie.
-Tak.

- Co się ze mną stało?

Lekarka spojrzała na mnie znad mojej ręki.

- W głowę też dostałaś? - Wtedy zobaczyła, że mam krew we włosach. - A to kiedy się stało?

- Nie wiem. - Spojrzałam na Zeda. - Zamknąłeś mnie w bagażniku. Czemu mi to zrobiłeś?

Zed wyglądał na zszokowanego.

- Nie zrobiłem tego, Sky. Oni ci to zrobili? O Boże, kochanie, tak mi przykro.

- Muszę sprawdzić, czy nie ma wstrząśnienia mózgu - poinformowała lekarka. - Mów do niej. - Gestem przywołała sanitariuszy z noszami. Zed rozwiązał mi nogi.

- Zastrzeliłam cię - powiedziałam mu.

- Nie, Sky, nie zrobiłaś tego. Ci mężczyźni do nas strzelali, pamiętasz?

Poddałam się.

- Nie wiem, co mam myśleć.

- Tylko, że jesteś już bezpieczna.

Miałam wizję opalonego na pomarańczowo mężczyzny w garniturze, który przyjeżdża do szpitala, żeby mnie uratować. Kto to był?

Dwóch lekarzy przeniosło mnie na nosze. Zed wciąż trzymał mnie za zdrową rękę, kiedy wieziono mnie do karetki.

- Przepraszam, że cię zastrzeliłam - powiedziałam. - Ale mnie zaatakowałeś.

Czemu mój przeznaczony miałby mnie zaatakować? Pozostali Benedictowie zgromadzili się przy moich noszach. Byli źli, chyba dobrze pamiętam? Zed otarł mi krew z policzka.

- Nie atakowałem ciebie, a ty do mnie nie strzelałaś. Ostatnim z Benedictów, którego zobaczyłam, był Saul,

który patrzył z ponurą twarzą, jak wsadzają mnie do ambulansu. Zed spróbował wsiąść ze mną, ale ja pokręciłam głową.

- Zastrzeliłam go - wyjaśniłam poważnie lekarce. - Nie może ze mną jechać, on mnie nienawidzi.

- Przykro mi - zwróciła się kobieta do Zeda. - Twoja obecność ją denerwuje. Gdzie są jej rodzice?

- Zarezerwowali pokój w hotelu przy ulicy Strip - odparł Saul.

- Zawiadomię ich. Do którego szpitala ją zabieracie?

- Cedars.

- OK, zostanę, niech dojdzie do siebie, jeśli uważacie, że tak będzie lepiej - odparł Zed, z oporem puszcżając moją rękę. - Sally i Simon tam będą. Słyszysz, Sky?

Nie odpowiedziałam. Jeśli tylko dobrze pamiętałam, jedno z nas powinno nie żyć. Może to byłam ja. Zamknęłam oczy. Umysł miałam tak przeciążony, że musiałam na chwilę się wyłączyć. Potem straciłam przytomność.

To dźwięki pozwoliły mi się zorientować, że jestem w szpitalu. Nie otworzyłam oczu, ale słyszałam przyciszone odgłosy w pokoju - buczenie maszyny, ludzkie szepty. I zapachy - środka odkażającego, obcej pościeli i kwiatów. Przytomniejąc, zaczynałam czuć ból. Był przytłumiony przez lekarstwa, ale wciąż gdzieś się czaił. Moja ręka była zabandażowana, czułam też, że ciągnie mnie opatrunek na głowie i swędzą szwy. Powoli otworzyłam oczy. Światło było zbyt jaskrawe.

- Sky? - Sally w jednej chwili znalazła się przy mnie. -Chce ci się pić? Lekarze powiedzieli, że musisz pić. - Trzęsącą się ręką podała mi kubek.

- Daj jej chwilę, kochanie - powiedział Simon, podchodząc, by stanąć przy niej. - Dobrze się czujesz, Sky?

Pokiwałam głową. Nie chciałam mówić. W głowie wciąż miałam mętlik i mnóstwo sprzecznych obrazów. Nie mogłam stwierdzić, które są prawdziwe, a które wyobrażone.

Sally podtrzymała mi głowę i podsunęła mi kubek z wodą. Upiłam łyk.

- Lepiej? Możesz mówić? - spytała.

Za dużo głosów - mój, Zeda i jakiegoś człowieka, który mówił, że jest moim przyjacielem. Zamknęłam oczy i schowałam twarz w poduszkę.

- Simon! - zawołała Sally w rozpacz.

Nie chciałam sprawiać jej przykrości. Może jeśli udam, że mnie tu nie ma, Sally znów będzie szczęśliwa. To czasem działało.

- Sky jest w szoku, Sally - powiedział Simon uspokajająco. - Daj jej szansę.

- Ale ona nie była taka, odkąd ją do siebie wzięliśmy. Widzę to po jej oczach.

- Ciii, Sally. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Sky, daj sobie tyle czasu, ile potrzebujesz, słyszysz? Nikt nie będzie cię poganiał.

Sally usiadła na łóżku i wzięła moją rękę w swoją.

- Kochamy cię, Sky. Tego się trzymaj. Ale ja nie chciałam miłości. Ona bolała.

Simon włączył radio i nastawił stację, w której grali łagodną muzykę klasyczną. Popłynęła nade mną jak pieśczoła. Przez wszystkie lata spędzone w rodzinach zastępczych i domach dziecka słuchałam muzyki. Porozumiewałam się, tylko śpiewając dziwne, na wpół szalone piosenki, które sama wymyślałam, co doprowadziło moich opiekunów do wniosku, że jestem chora psychicznie. Pewnie byłam. Ale potem spotkałam Sally i Simona, a oni dostrzegli, że mogą coś dla mnie zrobić. Byli tacy cierpliwi, czekali, aż wynurzę się ze swojego milczenia, i stopniowo to robiłam. Od tamtej pory nie zaśpiewałam ani jednej zwrotki. Nie mogłam kazać im znów przez to przechodzić.

- Wszystko w porządku - wydyszałam. Mój mózg był jak śmietnik pełen fragmentów i kawałków.

- Dziękuję, kochanie - Sally ścisnęła mnie za rękę.
-Potrzebowałam to usłyszeć.

Simon bawił się kwiatami w wazonie i kilkakrotnie odchrząknął.

- Nie tylko my chcemy wiedzieć, jak się czujesz. Zed Benedict z rodziną czeka w holu dla odwiedzających.

Zed. Moje zagubienie wzrosło. Poczulałam przypływ paniki, jak kopnięcie prądem elektrycznym. Dowiedziałam się o nim czegoś ważnego, ale znowu zatrzęsnęłam tamte drzwi.

- Nie mogę.

- W porządku. Tylko pójdę i powiem im, że się obudziłaś, i wyjaśnię, że teraz nie możesz przyjmować gości. Obawiam się jednak, że policja chce z tobą porozmawiać. Ich musimy wpuścić.

- Nie wiem, co im powiedzieć.

- Po prostu prawdę.

Simon wyszedł, żeby podzielić się wieścią z Benedictami. Pokazałam Sally, że chcę usiąść. Teraz zauważyłam, że twarz miała napiętą i zmęczoną.

- Od jak dawna tu jestem?

- Byłaś nieprzytomna przez dwanaście godzin, Sky. Lekarze nie potrafili wyjaśnić, dlaczego. Bardzo się martwiliśmy.

Coś sprawiło, że uniosłam wzrok. Benedictowie wychodzili ze szpitala. Zed zwolnił w korytarzu przy oknie, przez które widać było mój pokój, i nasze oczy się spotkały. Poczulałam okropny ucisk w żołądku. Strach. Zed zatrzymał się i położył rękę na szybie, jakby chciał mnie dotknąć. Zacisnęłam pięści na pościeli. Głęboko w środku słyszałam donośne, uporczywe dzwonienie.
Dzbanek

z wodą przy łóżku zaczął się trząść, lampa na suficie zamrugła, dzwonek, którym wzywało się pielęgniarkę, spadł z szyny i rozbił się o podłogę. Twarz Zeda spochmurniała, a dźwięk stał się ostrzejszy. Nagle Saul podszedł do syna i powiedział mu coś cicho do ucha. Zed skinął głową, spojrzał na mnie ostatni raz i odszedł. Dźwięk ucichł i zniknął; wibracje ustały. Sally potarła ramiona.

- Dziwne. To musiało być trzęsienie ziemi. - Podniosła dzwonek i położyła go na miejscu. - Nie wiedziałam, że Vegas jest w strefie sejsmicznej.

Nie byłam w stanie stwierdzić, czy spowodowałam to ja, czy Zed. Czy był na mnie tak zły, że chciał mną potrząsnąć? A może to ja się bałam i próbowałam go odepchnąć?

Czując się otępiała, pozwoliłam, żeby Sally uczesała mi włosy i zaplotła je w warkocz.

- Nie będę cię pytać, co się stało, kochanie - powiedziała, uważając, żeby nie ciągnąć mnie za włosy przy ranie - bo będziesz musiała opowiedzieć to policji i FBI. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że cokolwiek się stało, to nie była twoja wina. Nikt nie będzie cię za nic winił.

- Dwóch mężczyzn zginęło, prawda? - Mój głos wydawał mi się odległy. Miałam wrażenie, że patrzę na siebie rozmawiającą z Sally, podczas gdy naprawdę schowałam się głęboko w środku, za tyłoma drzwiami i zamkami, żeby nikt mnie nie dosięgnął. Tylko tam czułam się bezpiecznie.

- Tak. Policja i FBI dotarli na miejsce w tym samym czasie na podstawie różnych doniesień - był potworny bałagan w komunikacji między nimi. Dwóch mężczyzn zginęło w wymianie ognia.

- Jeden z nich nazywał się Gator. Miał kręcone włosy związane w kucyk. Był dla mnie miły. - Nie potrafiłam sobie przypomnieć, dlaczego tak uważałam.

- W takim razie przykro mi, że zginął.

Rozległo się kasłanie przy drzwiach. Victor Benedict stał w przejściu z nieznanym mi człowiekiem w ciemnym garniturze.

- Możemy wejść? - Victor patrzył na mnie badawczo. Trzęsienie nie przeszło niezauważone, więc Victor wyglądał, jakby trochę się mnie *obawiał*, jakbym była uzbrojoną bombą.

- Proszę. - Sally wstała z łóżka i zrobiła im miejsce.

- Sky, to porucznik Farstein z wydziału policji Las Vegas. Ma do ciebie kilka pytań. Zgodzisz się z nim porozmawiać?

Skinęłam głową. Farstein, opalony mężczyzna w średnim wieku, o cienkich włosach, przysunął sobie krzesło.

- Panno Bright, jak się pani czuje? - spytał.

Upiłam łyk wody. Lubiłam go - mój instynkt mówił mi, że naprawdę obchodziła go ta sprawa.

- Trochę zagubiona.

- Tak, znam to uczucie. - Wyciągnął notes, żeby sprawdzić fakty. - Postawiłaś na nogi policję z dwóch stanów i FBI, ale cieszymy się, że jesteś bezpieczna i dobrze się czujesz. - Postukał w zamyśleniu w kartkę. - Może najlepiej byłoby zacząć od początku - opowiedz nam, jak doszło do porwania.

Zrobiłam wysiłek, żeby sobie przypomnieć.

- Robiło się ciemno. Jeździłam na nartach - no, więcej się przewracałam.

Victor uśmiechnął się, to przypomniało mi twarz Zeda, kiedy przybierała łagodniejszy wyraz.

- Tak, słyszałem, że zaczęłaś się uczyć.

- Samochód Tiny się zepsuł. Farstein sprawdził notatki.
- Mechanik odkrył, że ktoś grzebał w kablach od akumulatora.
- Och. - Pomasowałam czoło. Dalszy ciąg był pogmatwany. -
Potem Zed i Xav przekonali mnie, żebym wsiadła do samochodu.
Zamknęli mnie w bagażniku. Nie, nie, nie zrobili tego. -
Ucisnęłam nasadę nosa. - Widzę, jak to robią, ale mam wrażenie,
że coś jest nie tak.

- Sky - powiedział Victor nisko i z naciskiem. - Co widzisz?
Farstein mu przerwał.

- Chcesz powiedzieć, Sky, że dwóch braci Benedictów jest
odpowiedzialnych za twoje porwanie?

Coś przełączyło mi się w głowie. Obrazy przesuwają się
przede mną płynnie i bezboleśnie.

- Udawali, że są moimi przyjaciółmi, ale chcieli mnie
skrzywdzić.

- Wiesz, że to nieprawda, Sky. - Victor był wściekły, wargi
miał zaciśnięte.

Farstein uciszył go spojrzeniem.

- Agencie Benedict, nie powinien pan przerywać świadkowi.
A jako że jest pan związany z dwiema osobami, które ona
oskarża, proponuję, żeby wyszedł pan na zewnątrz i przysłał
partnera, który będzie bezstronny.

Victor podszedł do drzwi, odwracając się do nas plecami, ale
nie wyszedł.

- To, co mówi, jest niemożliwe. Byłem z moimi braćmi,
poruczniku; nie mieli nic wspólnego z jej porwaniem. -*Sky,*
czemu to powiedziałaś?

Spojrzałam w panice na Sally.

- On mówi do mnie w mojej głowie - powiedz mu, żeby przestał. - Przycisnęłam pięści do skroni. - To boli.

Sally wzięła mnie za rękę i stanęła między mną i Victorem.

- Panie Benedict, myślę, że lepiej będzie, jeśli pan sobie pójdzie; pana obecność niepokoi Sky.

Odwrociłam się do Farsteina ze łzami w oczach.

- Zastrzeliłam ich, prawda?

- Nie, Sky, nie jesteś odpowiedzialna za śmierć tych dwóch mężczyzn.

- Zed i Xav nie żyją?

Farstein rzucił Sally zaniepokojone spojrzenie.

- Nie - odparł ostrożnie - zginęło dwóch mężczyzn, którzy zajęli magazyn.

- Gator i O'Halloran - powtórzyłam, przypominając ich sobie. - Sawant.

- Kto taki? - spytał Farstein.

Który z nich, Sky? - spytał Victor ponaglająco.

- Idź sobie! - zawołałam, naciągając kołdrę na głowę. - Wynos się z mojej głowy.

Farstein westchnął i zamknął notes.

- Widzę, że wyrządzamy tu więcej szkody niż pożytku, pani Bright. Zostawimy Sky, niech odpocznie. Agencie Benedict, chcę z panem pomówić.

Victor skinął głową.

- Wyjdźmy na korytarz. Nie martw się, Sky. To wróci. Dwaj mężczyźni wyszli. Opuściłam kołdrę i ujrzałam

Sally przyglądającą mi się ze strachem w oczach.

- Ja oszalałam, prawda? - spytałam ją. - Nie mogę sobie nic przypomnieć - a to, co pamiętam, wydaje mi się nieprawdziwe.

Sally pogładziła mnie po ręce.

- Nie oszalałaś. Dochodzisz do siebie po traumie. To wymaga czasu. Sądzymy, że ludzie, którzy cię porwali, prawdopodobnie nie żyją. Zginęli w strzelaninie. Policja próbuje powiązać ze sobą różne wątki.

Żałowałam, że ktoś nie może powiązać luźnych wątków w mojej głowie. Moje myśli przypominały łopoczące na wietrze chorągiewki z jakiegoś porzuconego przyjęcia - nie miały celu ani kotwicy.

- Jeśli Zed i Xav mnie nie porwali, dlaczego myślę, że to zrobili?

Święto Dziękczynienia przyszło i minęło. W szpitalu jego jedynym znakiem był indyk na kolację. W głowie wciąż miałam mętlik. Mój umysł był jak plaża po przypływie, na której wszędzie porozrzucane są różne śmieci, wszystkie w kawałkach i nie na swoim miejscu. Byłam świadoma, że wewnątrz czuję ogromne emocje, ale nie potrafiłam ich nazwać. Nie wiedziałam, co jest prawdą, a co fałszem. Głęboko w środku coś uwolniłam, ale tego nie kontrolowałam - skutki były oplakane.

Zed i jego brat zostali oczyszczeni z zarzutów przez policję z Las Vegas. Więc czemu ich oskarżyłam? Dręczyły mnie wyrzuty sumienia z powodu tego, że ich w to wciągnęłam. Było mi tak wstyd, że nie chciałam ich widzieć. Wymogłam na rodzicach obietnicę, że ich do mnie nie wpuszczą. Nie byłam w stanie spojrzeć im w twarz. Nie mogłam jednak nie wpuścić Victora; kilkakrotnie odwiedził mnie z Farsteinem, żeby sprawdzić, czy przypominałam sobie coś jeszcze. Przeprosiłam Victora i policjanta za to, że źle zapamiętałam, ale nie byłabym zaskoczona, gdyby Victor mnie teraz nienawidził.

- To koszmary, panno Bright, nic innego - stwierdził Farstein praktycznym tonem. - Przeżyła pani okropne sceny i jest pani oszołomiona.

Był dla mnie miły, ale wiedziałam, że zaklasyfikował mnie jako bezużyteczną dla dalszego śledztwa. Wszyscy zgadzali się, że zostałam porwana, ale nikt nie potrafił udowodnić, że stał za tym ktoś inny poza dwoma mężczyznami, którzy zginęli w magazynie. Ja byłam kluczem do tej sprawy, ale nie otwierałam żadnych drzwi.

Na ostatnią wizytę Farstein przyniósł mi paczkę kart i bukiet kwiatów.

- Proszę, panno Bright. Mam nadzieję, że dzięki temu poczuje się pani lepiej. - Otworzył paczkę i przetasował. - Pewnie musi się tu pani strasznie nudzić. Moje miasto to dla większości ludzi przyjemne miejsce do odwiedzenia; przykro mi, że miała tu pani takie przykrości. - Rozdzielił karty i podał mi część.

Victor obserwował nas z wejścia do sali.

- Nie zamierzasz psuć dziewczyny, co, Farstein?

- Nie może wyjechać z Vegas, nie zagrawszy ani razu.

- Nie znam zbyt wielu gier - przyznałam.

- Więc zostanemy przy zgarniaczu.

- Jeśli wygram?

- Dostaniesz kwiaty.

- A jeśli przegram?

- I tak dostaniesz kwiaty, ale musisz dać mi jeden do butonierki.

Farstein wyszedł z goździkiem przypiętym do klapy garnituru.

Victor został. Przez chwilę wyglądał przez okno, wyraźnie niespokojny.

- Sky, czemu nie chcesz widzieć Zeda? Zamknęłam oczy.

- On jest naprawdę przybity. Nigdy go takim nie widziałem. Wiem, że obwinia się za to, co ci się stało, ale to poważnie nim zachwiało.

Nic nie odpowiedziałam.

- Martwię się o niego.

Victor nie należał do ludzi, którzy zwierzaliby się komuś spoza rodziny. Naprawdę musiał się martwić. Ale co mogłam zrobić? Ledwie znajdowałam w sobie dość odwagi, żeby rano otworzyć oczy.

- Wczoraj wdał się w bójkę. W bójkę?

- Nic mu nie jest?

- Pytasz, czy nie oberwał? Nie, to była bardziej bójka na słowa niż na pięści.

- Z kim?

- Z paroma chłopakami z Aspen. Sam się o to prosił, Sky. A w odpowiedzi na twoje pierwsze pytanie: nie jest z nim dobrze. On cierpi. Jakby krwawił w środku, tam, gdzie myśli, że nikt nie widzi.

- Przepraszam.

- Ale nie zamierzasz nic z tym zrobić? Poczułam łzy pod powiekami.

- Co chcesz, żebym zrobiła? Wyciągnął do mnie rękę.

- Przestań go odtrącać. Pomóż mu.

Przełknęłam ślinę. Victor miał w sobie coś bezwzględnego, co nie pozwoliłoby mi wymówić się przeżyтым szokiem - było to przerażające, ale jednocześnie stawiało przede mną wyzwanie.

- Ja... spróbuję.

Victor zacisnął rękę w pięść, po czym opuścił ją.

- Mam nadzieję, że to zrobisz, bo jeśli mojemu bratu stanie się coś złego, nie będę zadowolony.

- Czy to groźba?

- Nie, tylko prawda. - Potrząsnął głową z wyraźną irytacją. - Potrafisz przez to przejść, Sky. Zaczynaj patrzeć poza siebie - to ci pomoże wyzdrowieć.

Pod koniec listopada wypuszczono mnie ze szpitala, ale moi rodzice za radą lekarzy postanowili nie zabierać mnie prosto do domu.

- Zbyt wiele niepokojących asocjacji z Wrickenridge - poinformowała ich moja psychiatra, doktor Peters. - Sky potrzebuje odpoczynku i żadnego stresu. - Doktor poleciła im dom rekonwalescencyjny w Aspen. Zameldowano mnie tam i przydzielono mój własny pokój - mogliśmy sobie na to pozwolić tylko dzięki szczodrości anonimowego dobroczyńcy z Vegas, który usłyszał o mnie w wiadomościach.

- To wariatkowo, prawda? - spytałam Simona bez ogródek, kiedy Sally wkładała moje rzeczy do komody. Okna mojego pokoju wychodziły na zaśnieżony ogród. Widziałam przez nie dziewczynę krążącą wokół sadzawki, zagubioną we własnym świecie, do czasu, aż pielęgniarka przyszła zabrać ją do środka.

- To sanatorium - poprawił mnie Simon. - Nie jesteś jeszcze w stanie wrócić do szkoły, a nie stać nas na to, żeby dłużej przebywać w Vegas. To najlepsze, co zdołaliśmy znaleźć.

Sally wstała i przysunęła komodę bliżej do łóżka.

- Moglibyśmy wrócić do Anglii, Simon. Sky może poczuć się lepiej wśród starych przyjaciół.

Starych przyjaciół? Z niektórymi utrzymywałam kontakt na facebooku, ale jakoś dawna więź była coraz słabsza, im dłużej byłam daleko. Nic nie byłoby takie samo.

Simon objął mnie ramieniem.

- Jeśli będzie trzeba, zrobimy to, ale stopniowo, małymi krokami, OK?

- Mamy zajęcia w Centrum Sztuk - wyjaśniła Sally. - Ale jedno z nas będzie do ciebie przyjeżdżać codziennie. Chciałabyś zobaczyć się ze znajomymi z Wrickenridge?

Bawiłam się chwostem od zasłony.

- Co im powiedzieliście?

- Że masz traumę po porwaniu. Nic poważnego, ale potrzebujesz czasu, żeby dojść do siebie.

- Pomyślą, że jestem wariatką.

- Pomyślą, że cierpisz - a tak jest, widzimy to.

- Chciałabym zobaczyć Tinę i Zoe. Nelsona też, jeśli będzie chciał przyjść.

- A co z Zedem?

Oparłam głowę o chłodną szybę. Ten gest przywołał nagle wspomnienie - wysoka wieża, światła neonów. Zadrżałam.

- Co się stało, kochanie?

- Widzę teraz inne rzeczy - takie, które nie mają sensu.

- Mają związek z Zedem?

-Nie. - Nie miały. Teraz zdałam sobie z tego sprawę. Zeda tam nie było. A ja grałam na zwłokę. Obiecałam fetorowi, że spróbuję. Może jeśli zobaczę Zeda, pomoże mi to uporządkować myśli. - Zeda też bym zobaczyła - na chwilę.

Simon uśmiechnął się.

- Dobrze. Chłopak strasznie się o ciebie martwi i dzwoni do nas kilka razy dziennie, a nawet w nocy.

- Teraz inaczej o nim mówisz - wymamrotałam, nagle wyraźnie przypominając sobie, jak pokłóciliśmy się z jego powodu miesiąc temu. Czy Zed nie powiedział mi, że mnie kocha? Więc czemu odbierałam go jako swojego wroga?

- No cóż, nie można nie polubić kogoś, kto wszedł w pułapkę, żeby wydostać z niej swoją dziewczynę.

- Tak zrobił?

- Nie pamiętasz? Był z tobą, kiedy zostałam ranna.

- Tak, był, prawda?

Simon uściskał mnie pokrzepiająco.

- Widzisz, zaczynasz sobie przypominać.

Następne dni mijały w spokoju. Przeczytałam cały stos powieści i nie opuszczałam pokoju. Opiekowała się mną poczciwa kobieta pochodząca z Kalifornii, która miała wiele do powiedzenia na temat zimy w Kolorado. Odwiedzała mnie kilka razy w ciągu dnia, ale przeważnie zostawiała mnie samej sobie. Około piątej, zanim skończyła dyżur, zapukała do drzwi.

- Masz gości, skarbie. Przysłać ich?

Zamknęłam książkę, czując, jak moje serce zaczyna bić szybciej.

- Kto to jest? Sprawdziła listę.

- Tina Monterey, Zoe Stuart i Nelson Hoffman.

- Och. - Poczułam mieszaninę ulgi i rozczarowania.

-Oczywiście, proszę ich przysłać.

Tina pierwsza wsunęła głowę przez drzwi.

- Cześć.

Miałam wrażenie, że nie widziałam jej całe wieki. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęskniłam za burzą jej rudobrazowych dredów i krzykliwie pomalowanymi paznokciami.

- Wejdźcie. Nie ma tu dużo miejsca, ale możecie usiąść na łóżku. - Ja zostałam w krześle przy oknie z kolanami podciągniętymi pod brodę. Uśmiechnęłam się do nich niepewnie.

Zoe i Nelson weszli za Tiną. Wyglądali, jakby nie wiedzieli, jak się zachować.

Tina postawiła doniczkę z różowymi fiołkami alpejskimi na stoliku przy łóżku.

- To dla ciebie - powiedziała.

- Dzięki. -Więc...

- Co u was? - spytałam pospiesznie. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałam, było wyjaśnianie, że mózg mam całkowicie skołowany. - Jak szkoła?

- W porządku. Wszyscy się o ciebie martwili - byliśmy w szoku. Nic takiego nigdy wcześniej się we Wrickenridge nie wydarzyło.

Odwróciłam wzrok do okna.

- Pewnie nie.

- Pamiętam, jak żartowałam z tobą na ten temat niedługo po twoim przyjeździe - tak mi przykro, że musiałaś się przekonać, że nie miałam racji. A ty, no wiesz, jak się czujesz?

Roześmiałam się głucho.

- Rozejrzyj się, Tina. Jestem tutaj, no nie? Nelson wstał gwałtownie.

- Sky, gdybym mógł dopaść ludzi, którzy ci to zrobili, zabiłbym ich!

- Myślę, że oni już nie żyją. Przynajmniej tak sądzi policja.
Tina posadziła Nelsona z powrotem na łóżko.

- Przestań, Nelson. Pamiętaj, obiecaliśmy, że nie będziemy jej denerwować.

- Przepraszam, Sky. - Nelson objął Tinę ramieniem i pocałował ją w czubek głowy. - Dzięki.

Co to było? Nie mogłam powstrzymać uśmiechu - pierwszego, prawdziwego uśmiechu od dłuższego czasu.

- Hej, czy wy...?

Zoe przewróciła oczami i poczęstowała mnie gumą do żucia.

- Tak, że już bardziej nie można. Doprowadzają mnie do szału.
Musisz dojść do siebie, Sky, i pomóc mi nie zwariować w szkole.

- Dzięki Bogu, że Zoe zażartowała sobie z szaleństwa - dzięki temu poczułam się dużo bardziej normalnie.

- Kiedy, jak? - spytałam, naśladowując jeden z ulubionych gestów Tyny - była to słaba imitacja jej skinienia, bo brakowało mi długich paznokci, ale zawsze coś. - Szczegóły, siostró.

Tina spuściła wzrok, zakłopotana.

- Kiedy zostałam, no wiesz, *porwana*, Nelson był naprawdę super. Pomógł mi nie zwariować. Myślałam, że to moja wina - przez ten samochód i tak dalej.

Nelson pogłaskał ją po rękę.

- Tak, Tina zauważyła moją dobrą naturę.

- Tak się cieszę z waszego powodu. Zasługujecie na siebie - stwierdziłam.

Tina roześmiała się.

- To jakaś chińska klątwa?

- Nie, kretynko. - Rzuciłam w nią poduszką. - To komplement.

Zostali u mnie przez około godzinę. Tak długo, jak omijaliśmy temat mojego porwania, czułam się dobrze. Nie miałam problemów z przypomnieniem sobie różnych rzeczy o szkole, nie czułam bólu ani zagubienia. Zaczęłam prawie czuć się dawną sobą.

Tina zerknęła na zegarek i skinęła na pozostałych.

- Musimy już iść. O szóstej masz następną wizytę. Uściskałam ich po kolei.

- Dziękuję, że przyszliście odwiedzić biedną wariatkę.

- Sky, z czasem wszystko wróci do normy. Zajrzymy do ciebie pojutrze. Sally powiedziała, że będziesz tu przynajmniej do końca tego tygodnia.

Wzruszyłam ramionami. Czas zdawał się nie mieć dla mnie wielkiego znaczenia. Zostałam wytrącona z dawnego rytmu.

- Pewnie tak. Do zobaczenia.

Wyszli, po drodze witając się z kimś w korytarzu. Podeszłam do okna, żeby popatrzeć, jak odjeżdżają, ale z mojego pokoju nie było widać parkingu.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi.

Odwróciłam się, spodziewając się, że zobaczę Sally.

- Proszę.

Drzwi otworzyły się i przez próg przeszedł Zed. Zatrzymał się, niepewny, jak go przyjmę.

- Cześć.

Poczułam ucisk w gardle.

- Cz... cześć.

Zza pleców wyciągnął wielkie złote pudełko przewiązane czerwoną wstążką.

- Przynoszę w darze czekoladki.

- W takim razie lepiej usiądź. - Mój głos brzmiał spokojnie, ale w środku moje emocje szalały jak drzewa palmowe przed nadejściem huraganu. Nawałnica uczuć wracała.

Zed nie usiadł. Położył pudełko na łóżku, po czym podszedł do okna i stanął obok mnie.

- Ładny widok.

Zacisnęłam zęby, pilnując, żeby drzwi w mojej głowie były mocno zamknięte przed nawałnicą.

- Tak. My wariaci wychodzimy na zewnątrz rano. Mówiono mi, że w sadzie jest bałwan, który wygląda jak naczelna pielęgniarka. - Kiedy położyłam rękę na parapecie, moje palce drżały.

Ciepła dłoń przykryła moją, uspokajając drzenie.

- Nie jesteś wariatką.

Spróbowałam się roześmiać, ale mi to nie wyszło. Szybko otarłam łzę z policzka.

- Wszyscy mi to powtarzają, ale mam wrażenie, że mój mózg przypomina zimną jajecznicę.

- Wciąż jesteś w szoku. Pokręciłam głową.

- Nie, Zed, to coś więcej. Widzę rzeczy, które się nie wydarzyły. Mam w głowie te wszystkie okropne obrazy - o tobie i o Xavie. Ale wy tacy nie jesteście - jakaś część mnie to wie. I myślę, że was zabiłam. Budzę się zrana zimnym potem, myśląc, że mam w ręce pistolet. Nigdy w życiu nawet nie dotknęłam broni, więc skąd wiem, jak czuje się ktoś, kto kogoś zabił?

- Chodź tutaj. - Przyciągnął mnie do siebie, ale ja się cofnęłam.

- Nie, Zed, nie chcesz mnie dotykać. Jestem... złamana. *Jeszcze nie chcą jej łamać.* Boże, kto to powiedział?

Ale Zed nie chciał mnie słuchać i objął mnie mocno ramionami.

- Nie jesteś złamana, Sky. Nawet gdybyś była, wciąż bym cię chciał, ale nie jesteś. Nie wiem, czemu widzisz te wszystkie rzeczy, ale jeśli tak jest, to z jakiegoś powodu. Może ten zmarły sawant bawił się twoim umysłem? Zrobimy wszystko, żeby się dowiedzieć, i pomożemy ci. - Westchnął. - Ale Xav i ja nie byliśmy obok ciebie aż do chwili, kiedy znaleźliśmy cię w magazynie. Wierzysz w to?

Pokiwałam głową przytuloną do jego piersi.

- Myślę, że tak.

Przesuwał rękami po moich plecach, rozmasowując moje napięte mięśnie.

- Myślałem, że cię straciłem. Nie umiem powiedzieć, co to dla mnie znaczy, móc cię tak trzymać.

- Przyszedłeś po mnie, chociaż wiedziałeś, że mogą cię zastrzelić. - Tyle pamiętałam, dzięki Simonowi.

- Miałem kuloodporną kamizelkę.

- I tak mogłeś zginąć. Mogli wycelować w głowę.

Zed objął moją twarz rękoma i pogłaskał kciukiem dołeczek na moim policzku.

- Warto zapłacić taką cenę. Bez ciebie stałbym się najzimniejszym i najbardziej cynicznym człowiekiem na ziemi, jeszcze gorszym niż ci ludzie, którzy cię porwali.

- Nie wierzę w to.

- To prawda. Ty jesteś moją kotwicą, trzymasz mnie po właściwej stronie. Odkąd mnie odsunęłaś, dryfuję bez celu.

Opanowało mnie poczucie winy.

- Victor mi o tym mówił.

Zed zmarszczył brwi.

- Powiedziałem mu, żeby zostawił cię w spokoju.
- Martwi się o ciebie.
- Ale ty jesteś ważniejsza.
- Przepraszam, że nie chciałam cię widzieć. Było mi wstyd.
- Nie masz się czego wstydić.
- Pozwoliłam, żebyś cierpiał.
- Jestem dużym chłopcem, dam sobie radę.
- Wdałeś się w bójkę.
- Jestem też głupi.

Uśmiechnęłam się i potarłam nosem o jego koszulę.

- Nie jesteś głupi; cierpiałeś.
- To i tak głupie wyżywać się za to na braciach Frat, bo źle na mnie spojrzeli. - Zed westchnął na myśl o własnym zachowaniu, po czym zmienił temat. - Wiem, że jesteś teraz bardzo zagubiona, Sky, ale chcę, żebyś była pewna jednego: kocham cię i oddałbym za ciebie swoje życie, jeśli to mogłoby cię uratować.

W oczach zalśniły mi łzy.

- Wiem. Czułam to. Widziałam twoje emocje. To dzięki temu wiedziałam, że mój umysł kłamie.

Zed pocałował mnie w czoło.

- I myślę - ciągnęłam. - Że kiedy już się odnajdę, także poczuję, że cię kocham.
- Dobrze wiedzieć.

I tak staliśmy, patrząc, jak na niebie wschodzą gwiazdy, i modląc się, żeby jak najszybciej udało się wyjaśnić, czemu moje wspomnienia są tak pomieszane.

Sally i Simon zabrali mnie do domu na początku grudnia. Kilka osób wcześniej zaczęło świętowanie i już wywiesiło świąteczne lampki. Dom pani Hoffman był chmurą kolorów, dla której warto było zboczyć z głównej drogi. Nasz był ciemny, bez jednej świeczki czy bombki w zasięgu wzroku.

Simon otworzył drzwi.

- Teraz, kiedy wróciłaś, Sky, możemy zacząć dekorowanie.

- Co wybieramy, gustowną Starą Anglię czy krzykliwy Nowy Świat? - spytała Sally nieco zbyt radośnie.

Dostosowałam się, wiedząc, że oboje chcą myśleć, że czuję się lepiej, niż czułam się naprawdę.

- A mogę zawiesić w oknie dmuchanego Mikołaja?

- Oczywiście, jeśli tylko ja będę mogła postawić świecę renifera na dachu.

Błysk świateł - drzewo palmowe, kolejka górską. -Co takiego, kochanie? - spytał Simon, obejmując mnie ramieniem.

Ostatnio zdarzało mi się to bez przerwy: widziałam przebłyски różnych rzeczy - krzesła, samolotu, łóżka -z których nic nie rozumiałam.

- Nic. Tylko jeden z tych momentów. Rzuciłam walizkę na łóżko i usiadłam na nim, wpatrując się w ścianę. Turkusowa. Zupełnie zapomniałam, żeby ćwiczyć osłanianie się. Zed musiał bez przerwy odbierać moje myśli i uczucia, ale był zbyt uprzejmy, żeby mi o tym powiedzieć. Jakoś nie miałam energii, żeby podjąć ćwiczenia tam, gdzie je przerwałam. Zed powiedział, że skontaktowałam się z nim, kiedy byłam przetrzymywana przez mojego nieznanego porywacza. Twierdziłam, że jestem w Las Vegas, co on uznał za niemożliwe, aż do chwili, kiedy znalazł mnie w magazynie. Uważał, że próbowałam powiedzieć mu, gdzie dokładnie jestem, ale nie usłyszał większej części mojej wiadomości. Benedictowie zaczęli działać na podstawie tego, co udało mi się przekazać, i pojechali do Vegas, bo w tym mieście była główna siedziba Daniela Kelly'ego. Tego zbiegu okoliczności nie można było zignorować. Wciąż uważali, że Kelly był powiązany z moim porwaniem: Gator, mężczyzna, który zginął w magazynie, był zatrudniony przez korporację Kelly'ego, ale policji nie udało się połączyć porwania z głównym dyrektorem.

Victor był z tego powodu bardzo zły. Jakby tego było mało, dwóch Kellych, których Benedictowie pomogli wsadzić do więzienia, uciekło z niego kilka tygodni temu. Nikt nie wiedział, jak to zrobili.

- Sky, kolacja na stole! - zawołała Sally.

Zeszłam na dół i udawałam, że mam większy apetyt, niż miałam naprawdę. Sally zrobiła mój ulubiony makaron

i kupiła pudełko lodów. Wszyscy staraliśmy się, żeby ten wieczór zakończył się sukcesem. Bawiłam się moim spaghetti.

- Myślicie, że powinnam wrócić do szkoły?

Simon nalał Sally wino, po czym napełnił swój kieliszek.

- Jeszcze nie, kochanie. Właściwie, to... zastanawiałem się nad czymś.

- Hmm? - Sally spojrzała na niego, słysząc ostrożną nutę w jego głosie.

- Dzwoniła do mnie dzisiaj ta kobieta z Las Vegas -pani Toscana. Jest dyrektorem jednego z tych hoteli z kasynami. Okazuje się, że to ona jest tym tajemniczym ofiarodawcą, który zapłacił za twoje sanatorium.

- Och, jak to miło z jej strony.

- To samo jej powiedziałem. W każdym razie, pani Toscana słyszała o porwaniu i widziała w sieci nasze portfolio. Zastanawiała się, czy nie chcielibyśmy pracować dla niej, doradzać przy zakupach dzieł sztuki przez sieć hotelową. Mają hotele wszędzie - w Rzymie, Mediolanie, Madrycie, Tokio, Londynie i w całych Stanach. Kontrakt trwałby dłużej niż rok i pozwoliłyby Sky skończyć szkołę w jednym miejscu. Pani Toscana wspomniała, że w Las Vegas jest kilka doskonałych liceów. Nawet poleciła mi parę.

Sally obracała wino w kieliszku.

- Nie wiem, Simon. Jeśli mielibyśmy się gdzieś przenieść, wolałabym do Anglii. Wydaje mi się, że nasza amerykańska przygoda nie zakończyła się najlepiej. A Vegas -no cóż, nie wiążą się z nim przyjemne wspomnienia.

Simon nawinał spaghetti na widelec.

- Nic jej nie obiecałem. zaproponowała, żebyśmy dokładniej to omówili i poznali możliwości, zanim odrzucimy pomysł. Zaprosiła nas na weekend - Sky także. - Nabrał spaghetti do ust. - Muszę powiedzieć, że pensja, o której wspomniała, przekroczyła moje oczekiwania.

- Sky? Co ty o tym myślisz? - spytała Sally.

- Tak? Przepraszam, nie słuchałam.

- Potrzebujesz odpocząć od Wrickenridge?

- Chyba nie chcę się w tej chwili przeprowadzać.

- Dasz radę pójść do szkoły, wiedząc, że wszyscy słyszeli o tym, co ci się stało? Nie będziemy cię winić, jeśli będziesz chciała zacząć od nowa gdzie indziej.

- Mogę się nad tym zastanowić? Simon skinął głową.

- Oczywiście. Możemy pojechać tam i się rozejrzeć, do niczego się nie zobowiązując. To ci pomoże podjąć decyzję. W końcu tak naprawdę nie widziałaś Vegas, tylko szpital i ten... ten magazyn. Miasto może ci się spodobać.

- Może. - Odłożyłam myślenie o tym na później. W tej chwili mój umysł był zbyt zajęty przyzwyczajaniem się do tego, że jestem w domu, żeby rozważać przeprowadzkę.

Karla i Saul Benedictowie złożyli nam wizytę w niedzielę rano. Od naszego pierwszego spotkania nigdy nie czułam się swobodnie w obecności matki Zeda, ale tego dnia ona zachowywała się nienagannie. Niczym nie zdradzała, że czyta mi w myślach. Jak na ironię, nie przeszkadzałoby mi, gdyby ktoś powiedział mi teraz, co się dzieje w mojej głowie, bo ja nie miałam najmniejszego pojęcia. Przypomniałam sobie moją rozmowę z Saulem na temat mojego związku z ich synem. Czy wciąż będą tacy szczęśliwi,

przyjmując mnie do swojej rodziny teraz, kiedy wiedzieli, że sfiksowałam w Vegas?

Sally i Simon siedzieli ze mną w kuchni i zabawiali Be-nedictów. Nie było śladu po beztróskiej zabawie, jakiej doświadczyłam w domu Benedictów, kiedy wpadłam tam z wizytą. Rodzice wymienili kilka sztywnych żartów, porozmawiali o koncertach planowanych na święta i o dużym ruchu na stokach. Było mi smutno, że nie zagram na koncertach tak, jak planowałam. Próby toczyły się w szkole beze mnie. Wreszcie Saul przeszedł do celu wizyty i zwrócił się do mnie.

- Sky, dobrze widzieć cię z powrotem we Wrickenridge.

- Dziękuję, panie Benedict.

- Zed powtórzył nam, że mówiłaś, że masz fałszywe wspomnienia.

Spojrzałam w dół na swoje dłonie.

- Myślę, że możemy ci pomóc. Simon odchrząknął.

- Panie Benedict, cieszę się, że przyszli państwo do nas, ale załatwiliśmy Sky doskonałą lekarkę, która dba o jej leczenie. Nie sądzę, by należało się do tego mieszać.

- Tak by pewnie było w zwyczajnych okolicznościach -wtrącała się Karla. Jej ton zdradzał lekkie zniecierpliwienie. - Ale my uważamy, że problem Sky może wykraczać poza zakres zwykłej medycyny.

Spojrzenie, które wymienili Sally i Simon, było jasne. Podchodzili wrogo do wszelkich sugestii, które odbierałyby im kontrolę nad sytuacją; Benedictowie nie byli jedyną rodziną, która wiedziała, jak kończyć niewygodną rozmowę.

- Możliwe, ale Sky jest naszą córką i to my razem z nią zdecydujemy, co jest dla niej najlepsze. - Simon wstał,

wskazując, że jeśli o niego chodzi, kurtuazyjna wizyta dobiegła końca.

Saul nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Chcielibyśmy, żebyś spędziła trochę czasu z naszą rodziną, Sky. Kiedy zbierzemy się razem, możemy zrobić coś, żeby pomóc komuś w takiej sytuacji jak twoja.

Ta wizja mnie przerażała - ale wiedziałam także, że zwykle leczenie donikąd mnie nie zaprowadzi, mimo optymizmu Sally i Simona.

- To czas spędzony z państwa rodziną sprawił, że Sky jest teraz w takim stanie! - Simon nie krył więcej swojego gniewu. - Proszę posłuchać, panie Benedict...

- Proszę mówić mi Saul. Przeszliśmy razem zbyt wiele, żeby wciąż zachowywać się tak formalnie.

Simon westchnął, jakby zabrano mu wiatr z żagli.

- Saul, lubimy Zeda - to miły chłopak - ale Sky raczej nie będzie tu wystarczająco długo, żeby spędzić z wami ten czas. Proszę, zostawcie nas samych. Sky dość już przeszła w swoim krótkim życiu; nie dodawajcie jej więcej stresu, starając się ją przeciągnąć na waszą stronę.

Sally splotła razem palce i zacisnęła je.

- Od kiedy była małą dziewczynką, zawsze wiedzieliśmy, że umysł Sky jest bardzo wrażliwy. To nie wasza wina, ale okazuje się, że związek z waszą rodziną i wasza wyjątkowa sytuacja wyprowadziły ją z równowagi. Proszę, zostawcie ją w spokoju.

Kłótnia ciągnęła się nad moją głową. Czułam się prawie tak, jakby mnie tu nie było.

- Sally, proszę.

- Nic się nie dzieje, Sky. Nie ma się czego wstydzić.

- Wasza córka nas potrzebuje - powiedziała pani Benedict.

- Przykro mi, ale nie zgadzam się z tym. - Sally dołączyła do Simona stojącego przy drzwiach, wyraźnie pokazując, o co jej chodzi. - Wiemy, co jest dla Sky najlepsze. Jest z nami już sześć lat i myślę, że znamy ją lepiej niż wy.

- Przestańcie, proszę. - Czułam się jak kość, o którą walczy stado psów. Wszyscy byli tak zajęci mówieniem mi, że wiedzą lepiej, że nie mogłam zdecydować sama, co byłoby dla mnie najlepsze.

Saul wstał od stołu.

- Karła, denerwujemy Sky. Lepiej już idźmy. - Zerknął na mnie. - Oferta jest ważna, Sky. Po prostu o tym pomyśl. Dla dobra Zeda i dla twojego własnego.

Benedictowie wyszli, wymieniwszy oschłe pożegnania przy furtce. Rozległo się trzaskanie drzwiczek od samochodu. Ja zostałam w salonie, przebiegając palcami po klawiaturze fortepianu. Czy to moja wyobraźnia, czy on także był rozstrojony?

- Doprawdy - stwierdziła Sally naburmuszona, wróciwszy do domu. - Czy nie ma nikogo we Wrickenridge, kto nie myśli, że wie lepiej niż my?

- Przykro mi, że musiałaś tego słuchać, skarbie. - Simon pogłaskał mnie po włosach. - Na pewno chcą dobrze.

- W tej chwili Las Vegas wydaje się kuszące - dodała Sally.

Oczy Simona błysnęły, jak u kierowcy, który dostrzegł przerwę w stojących w korku samochodach i wie, że uda mu się w nią wpasować.

- W takim razie zadzwonię do pani Toscany i zobaczę, czy uda nam się umówić.

Nie odpowiadała mi ta postawa „pełną parą w kierunku nowego życia”. Potrzebowałam czasu, żeby dopasować

się do tego, które próbowałam wieść tutaj. Potrzebowałam czasu, żeby dowiedzieć się, co dzieje się między mną i Zedern. A do tego wszystkiego potrzebowałam, żeby moja głowa znalazła się na właściwym miejscu. Zamknęłam pokrywę pianina.

- Czy nie moglibyśmy przez minutę zastanowić się nad tym, co powiedzieli państwo Benedict? Może naprawdę mogą pomóc?

- Przykro mi, Sky, ale kto się na gorącym sparzy, ten na zimne dmucha. - Simon przeszukiwał wizytówki, aż znalazł tę z hotelu w Vegas. - Pakowanie się w sprawy tej rodziny skończyło się katastrofą. Nie mamy nic przeciwko temu, żebyś spotykała się z Zedem tutaj, ale nie wolno ci chodzić do ich domu. Robisz postępy, nie chcemy pogorszenia. A teraz zadzwonię.

Nie miałam siły, żeby się kłócić, więc nic nie obiecałam, tylko wstałam i powiedziałam, że idę spać. Słyszałam, jak Simon z ożywieniem rozmawia z tą kobietą, wspominając, które weekendy mamy wolne i jak bardzo nie możemy się doczekać wizyty. Nie miałam ochoty wracać do Vegas; po co? Wszystko, czego chciałam, było tutaj.

Usiadłam na brzegu łóżka i wyglądałam przez okno jeszcze długo po tym, jak moi rodzice położyli się spać. Niebo było czyste, a śnieg w świetle księżyca wydawał się sinoniebieski. Zima przyszła na dobre, tworząc zaspę śniegu mające przetrwać aż do wiosny. Termometr wskazywał temperaturę znacznie poniżej zera, a z okapu zwisały sopte, które z każdym dniem się wydłużały. Podrapałam się po ramionach. Nie mogłam tego wytrzymać. Miałam ochotę krzyknąć, bić się po głowie, aż wróci do dawnego stanu. Próbowałam udawać, że zdrowieję, ale tak napraw-

dę czułam, że mój stan się pogarsza. Kurczowo trzymałam się normalności, stając lekko po cienkim lodzie chroniącym mój umysł, ale obawiałam się, że to wszystko było tylko złudzeniem i już dawno wpadłam w szczelinę.

Wstałam gwałtownie i podeszłam do okna, zaciskając pięści. Musiałam coś zrobić. Do głowy przychodziło mi tylko jedno miejsce, gdzie mogłam się zwrócić, żeby zapobiec rozszerzaniu się szkód. Schwyciłam szlafrok i otworzyłam szeroko okno. Wiedziałam, że to, co zamierzałam zrobić, to szaleństwo, ale w końcu samą siebie uważałam za wariatkę, więc co mi tam. Żałowałam, że moje buty śniegowe są na dole - nie chciałam ryzykować, że obudzę moich rodziców i mój plan się wyda. Wspięłam się na daszek ganku, ześlizgnęłam na krawędź i zeskoczyłam na ziemię. Moje pantofle natychmiast się przemoczyły, ale byłam teraz zbyt przejęta wiarą, że to moja ostatnia nadzieja, żeby się tym przejmować.

Zaczęłam biec wzdłuż drogi. Stopy zapadały mi się w puszysty śnieg. Przechodziłam od przejmującego zimna do całkowitego braku czucia. Minęłam nasz samochód zaparkowany w garażu, żałując, że nie skorzystałam z możliwości prawa w Kolorado, które pozwala prowadzić szesnastolatkom. Zed wspomniał kiedyś, że mógłby mnie uczyć, ale nigdy do tego nie wróciliśmy. Nie szkodzi, byłam tylko kilka mil od niego, po drugiej stronie miasta, dam radę.

Zanim skręciłam w stromą drogę za domkami narciarskimi prowadzącymi do kolejki, z biegu przeszłam w marsz. Śnieg w tym miejscu był ubity i zamarzał, tworząc lodowe zaspę. Kiedy spojrzałam na swoje palce, zdałam sobie sprawę, że podeszwy butów miałam w strzępkach, a moje stopy krwawiły. Co dziwne, nie mogłam zmusić się do tego, by się

tym przejmować. Ostrożnie zbliżyłam się do domu Benedictów, zastanawiając się, jaki mają system bezpieczeństwa. Spodziewali się ataku i na pewno jeszcze nie zrezygnowali ze środków ostrożności. Sto metrów od domu, poczułam barierę - nie fizyczną, ale wrażenie oporu i strach, mający zmusić mnie do zawrócenia. Unosząc tarczę, szłam dalej -moja determinacja, by dotrzeć do Zeda, była silniejsza niż te przeczące instynktowi uczucia. Kiedy przeszłam przez barierę, poczułam, że uruchomiłam coś w rodzaju alarmu. W domu zapaliły się światła, najpierw na górze w sypialniach, potem na dole, na ganku.

Co ja sobie myślałam? Planowałam zapukać do ich domu w środku nocy? To była uzbrojona po zęby Ameryka, nie Anglia; prawdopodobnie zastrzelą mnie, zanim zdadzą sobie sprawę, kim jestem. Moja pewność, że to dobry pomysł, gdzieś się ulotniła. Stałam niezdecydowana na ścieżce, zastanawiając się, czy mam dość siły, żeby odwrócić się i pójść do domu.

- Nie ruszaj się. Podnieś ręce tak, żebyśmy je widzieli. -Głos mężczyzny, którego nie poznałam.

Byłam jak wrośnięta w ziemię. Było mi zbyt zimno, żeby się ruszyć i żeby myśleć.

Wtedy rozległ się niedający się z niczym pomylić dźwięk odbezpieczanej strzelby - coś, co dotąd słyszałam tylko w filmach. Przed oczyma przesuwwały mi się obrazy: *Bugsy Malone* - „wychodź z rękami do góry”. Powstrzymałam histeryczny śmiech.

- Wyjdź z cienia, chcemy cię widzieć. Zmusiłam się, żeby się poruszyć.

- Powiedziałem z rękoma do góry! Podniosłam trzęsące się ręce.

- Trace, to Sky! - Zed wypadł z domu, ale został złapany za rękę. Trace, jego najstarszy brat, policjant z Denver, nie puszczał go dalej.

- To może być pułapka - ostrzegł.

Victor wyszedł z ciemności za mną. Zaszedł mnie od tyłu, żeby odciąć mi drogę ucieczki, i wycelował pistolet w moje plecy.

- Puść mnie! - szarpał się Zed, ale Saul dołączył do blokady.

- Czemu nie korzystasz z telepatii, Sky? - spytał Saul spokojnie, jakby było rzeczą zupełnie naturalną, że o trzeciej nad ranem przychodzi z wizytą dziewczyna w szlafroku.

Przełknęłam ślinę. W mojej głowie i bez tego było zbyt wiele głosów.

- Czy mogę wejść? Powiedzieliście, że mogę.

- Czy jest sama? - spytał Trace Victora.

- Chyba tak.

- Spytaj ją, dla pewności. - Trace opuścił broń. - Nie możemy ryzykować pomyłki.

- Nie dotykaj jej, Vick! Zostawcie ją! - Zed wyrwał się z uchwytu brata i zeskoczył ze schodów.

- Zed! - krzyknął Saul.

Ale za późno. Zed dopadł mnie i objął ramionami.

- Och, kochanie, jesteś przemarznięta!

- Ja... przepraszam, że przychodzę o tej godzinie - wyszeptałam.

- Przestań mówić jak Brytyjka, nie musisz przeproszać. Cii, już dobrze.

Saul doszedł do nas, ale nie miał serca oddzielać mnie od swojego syna.

- Nie jest dobrze, póki nie dowiemy się, czemu tu jest. Przeszła prosto przez nasz system ochronny. Nie mogła tego zrobić bez pomocy. Nie jest aż tak potężna.

Victor odsunął mnie od piersi Zeda i utkwił we mnie swój stalowy wzrok. *Powiedz nam, czemu tu jesteś. Czy ktoś cię przysłał?* - Używał swojego daru, dodając swoim słowom czegoś, co zmuszało mnie do odpowiedzi. Słyszałam to coś jak harmonię ukrytą pod linią melodyczną. To bolało. - *Sky, musisz mi powiedzieć.*

- Przestań, przestań! - załkałam, odsuwając się od nich i cofając. - Wynoście się z mojej głowy, wszyscy! - Potknęłam się i usiadłam w śniegu, przyciskając ręce do głowy.

Zed odepchnął Victora i uniósł mnie w ramionach. Był wściekły.

- Zabieram ją do środka i nie obchodzi mnie, co powiecie. Ona jest moja - to moja przeznaczona - i lepiej nie próbujcie mnie zatrzymać.

To oświadczenie wywołało szok u jego braci i rezygnację u Saula.

- Spójrzcie na nią - jest niebieska z zimna. - Zed przepchnął się przez członków swojej rodziny i zabrał mnie do kuchni. Był tam Xav i Will, jeden z braci, których jeszcze nie poznałam; obserwowali monitor ustawiony na kontuarze.

- Przeszła przez barierę - powiedział Will. Obsługiwał coś w rodzaju kamery pilnującej bramy i okolicy kolejki. - Nie ma śladu nikogo innego.

- Sky, w co ty grasz? - spytał Xav, podchodząc do mnie. Wtedy zauważył moje stopy. - O rany, Zed, nie widzisz, że ona krwawi? Połóż ją na kontuarze.

Zed przytrzymał mnie, kiedy Xav zsunął to, co pozostało z moich butów. Zamknął oczy i położył dłonie na

podeszwach moich stóp. Natychmiast poczułam pieczenie i mrowienie, a potem ból, kiedy odzyskiwałam czucie w palcach.

Victor położył pistolet na kontuarze i opróżnił magazynek.

- Will, Xav, wasz młodszy brat zapomniał wam coś powiedzieć.

Trace pokręcił głową.

- Taak, poznajcie jego przeznaczoną.

Przez moment poczułam zmianę w przepływie energii u Xava, ale po chwili wrócił do leczenia. Will gwizdnął.

- Żartujesz?

- Przynajmniej tak twierdzi. - Trace zerknął na swojego ojca, szukając potwierdzenia. Saul skinął głową.

- Proszę, proszę. - Will wyszczerzył zęby w uśmiechu. Naprawdę się cieszył. - Masz jakieś starsze siostry, Sky?

Zed uśmiechnął się do niego z wdzięcznością.

- Nic o tym nie wie - ale spróbujemy ich dla ciebie poszukać.

- Nie zapomnijcie o nas - dodał Trace. Uśmiech miał lekko wymuszony. - Niektórym z nas czas się kończy.

Saul na chwilę dotknął jego ramienia.

- Cierpliwości, synu. Znajdziesz ją.

- Przyszłaś tu całkiem sama? - spytał miękko Zed, w trakcie trwania leczenia. - Czemu?

- Potrzebuję pomocy - wyszeptałam, pragnąc tylko przytulić się do jego piersi i zniknąć. Był taki ciepły, a ja taka zmarznięta. - Potrzebowałam cię.

Trace i Victor wciąż byli podejrzliwi wobec mojego dziwnego pojawienia się. Czulałam płynące od nich fale

emocji. O mój Boże, mój dar wrócił. W magazynie mogłam czytać emocje, ale od tamtej pory się na nie zamknęłam; tutaj, w domu sawantów, zdolność postrzegania ludzi przez ich emocje wróciła z całą mocą.

- Chcę, żeby twoi bracia wiedzieli, że mówię prawdę. - Nie potrzebowałam otwierać oczu, żeby wiedzieć, kto gdzie stoi. Dwóch najstarszych Benedictów osłaniało drzwi do dalszej części domu. Emocje ich ojca były mieszane - strach, zmartwienie z mojego powodu i zdumienie. Will opierał się o kontuar i świecił radosną, wiosenną zielenią. Xav koncentrował się na leczeniu moich stóp; jego obecność była bladoniebieskim odcieniem skupienia. A Zed świecił złotem miłości z purpurową obwódką desperacji, żeby coś dla mnie zrobić.

- Nie myślisz, że jestem tutaj, bo ktoś przysłał mnie, żeby cię skrzywdzić, prawda? - wyszeptałam, pocierając policzkiem o jego sweter.

- Nie, kochanie - odpowiedział, muskając moje włosy.

- Twój tata powiedział, że mogę przyjść.

- Wiem.

Saul podniósł telefon leżący na stole.

- Jaki jest do niej telefon? - spytał. Zapomniałam o moich rodzicach.

- Oni nie wiedzą, że mnie nie ma.

- Lepiej obudzić ich i powiedzieć, że jesteś bezpieczna, niż pozwolić, żeby odkryli puste łóżko i zaczęli się martwić.

Zed podał mu numer, a Saul szybko porozmawiał z Simonem. Wiedziałam, że będą chcieli wskoczyć w samochód i przyjechać po mnie, ale ja nie chciałam tego po przejściu tylu mil.

- Chcę zostać - wyszeptałam. Po czym dodałam mocniejszym głosem. - Chcę zostać.

Saul zerknął na mnie i skinął głową.

- Tak, Simon, nic jej nie jest, trochę przemarzła, ale się nią zajmujemy. Jest pewna, że chce zostać. Może przyjedziecie po nią po śniadaniu? Nie ma sensu przyjeżdżać w środku nocy bez potrzeby. Tak, w porządku. - Odłożył słuchawkę. - Przyjedzie po ciebie rano. Mówi, że musisz odpocząć i się nie martwić.

- Znowu mam szlaban?

Zed pogłaskał mnie po karku.

- O tym nie wspominał - odparł Saul z uśmiechem.

- Założę się, że tak.

- Aż skończysz pięćdziesiąt lat - powiedział Zed.

- Tak myślałam.

Xav puścił moje stopy.

- Zrobiłem, co mogłem, dla twojej przeznaczonej - wymówił to słowo z namaszczeniem. - Teraz musi się ogrzać i wyspać. Rany prawie się zagoiły.

- Dziękuję. - Zed podniósł mnie w górę. - Położę ją dziś w moim łóżku. Mama pożyczycy jej suchą piżamę.

Już opatulona w ciepłą kołdrę Zeda, wcale nie czułam się senna. Zed siedział na parapecie z gitarą w ręce i przygrywał uspokajające melodie. Karla trochę gderała, że śpię w pokoju Zeda, ale kiedy stało się jasne, że on nie zamierza spuścić mnie z oczu, poddała się, mówiąc, że ufa, iż będziemy się dobrze zachowywać.

Zed oparł czoło o czoło swojej mamy - gest ten wydał mi się dziwnie wzruszający, bo jego mama była od niego znacznie niższa.

- Powiedz mi, co widzisz, mamó. Opuściłem tarczę. Karla westchnęła.

- Widzę, że nad nią czuwasz i zachowujesz się jak prawdziwy dżentelmen.

- Właśnie. - Mrugnął do mnie. - Czasem mama, która widzi przyszłość, to skarb.

Teraz, kiedy patrzyłam na jego sylwetkę na tle ciemnego nieba, pomyślałam, że nigdy nie widziałam niczego równie doskonałego.

- Kocham cię, Zed - powiedziałam cicho. - Nie muszę czekać, żeby uporządkować swoje wspomnienia, wiem, że cię kocham.

Zed przestał grać.

- Oho. - Odchrząknął. - To pierwszy raz, kiedy mówisz mi to twarzą w twarz.

- Mówiłam ci wcześniej, jestem tego pewna.

~ Nie, tylko robiłaś aluzje, ale nigdy nie powiedziałaś tego tak po prostu.

- Ja naprawdę, no wiesz, kocham cię. Jestem trochę nieśmiała, więc mówienie tego nie przychodzi mi łatwo.

- Trochę nieśmiała? Sky, jesteś prawdopodobnie najbardziej nieśmiałą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

- Przepraszam.

Podszedł do mnie i przysiadł na brzegu łóżka.

- Nie przepraszaj. To jest to, co w tobie kocham. Wciąż się boisz, że nikt nie będzie cię lubił, i przybierasz taki lekko zaskoczony wyraz twarzy, kiedy wszyscy się w tobie zakochują. To słodkie. - Pacnął mnie w koniuszek nosa.

- Nie chcę być słodka.

- Wiem, ty chcesz być traktowana poważnie. - Wyraz twarzy miał poważny, ale oczy się śmiały. - I ja cię tak traktuję - przysięgam.

- Nie - nie jeśli o to chodzi.
- Nie wierzysz mi? Pokręciłam głową.
- Potrafię czytać emocje, wiesz? Odgarnął mi włosy z czoła.
- Może nie mam pokerowej twarzy, ale nie wierzę, że jestem aż tak czytelny.

- Nie rozumiesz. To mój dar. Naprawdę potrafię odczytywać twoje uczucia. Mój dar - odblokował się.

Zed zamarł, a jego aura przybrała fioletowo-różowy kolor zdziwienia. Obserwowałam, jak przyswaja to, co powiedziałam, a jego emocje przybierają stopniowo ciepłe kolory jego miłości do mnie, kiedy zaczynał się z tym godzić.

- W porządku, więc wiesz, że kiedy mówię, że cię kocham, naprawdę tak myślę. Wiesz, że jesteś moją przeznaczoną.

- Tak. Ale potrafię też stwierdzić, czy kłamiesz na temat innych rzeczy. Ludzie mają podejrzenie żółtą chmurę nad sobą, kiedy mówią nieprawdę.

- O, nie, to już nie w porządku.

- Ty widzisz przyszłość.

- Nie przez cały czas - i już nie tak często, odkąd jestem z tobą. Uśmiechnęłam się sennie.

- Więc lepiej na mnie uważaj.

Zed przesunął wierzchem dłoni po moim policzku.

- Podoba ci się, że choć raz masz przewagę.

- Tak, wyprzedzam trendy czy jak to tutaj mówicie.

- Boże dopomóż. - Trącił mnie, żebym się przesunęła, i wyciągnął się obok mnie. - Kiedy to odkryłaś?

- W magazynie. Dzięki temu wiedziałam, że mnie nie skrzywdziłeś, chociaż mój umysł mówił mi, że tak. -

Urwałam. Ta wizja była wciąż bardzo żywa. - Jesteś pewien, że nigdy do ciebie nie strzelałam - nawet w zabawie, jak wtedy ta z nożem? Zed jęknął.

- Nie przypominaj mi o tym. I tak, jestem pewien. To raczej nie jest coś, o czym łatwo bym zapomniał, nie sądzisz?

- Ja zwariowałam, Zed. - Proszę, przyznałam to.

- Ho, ho! Ja też zwariowałem - na twoim punkcie.

Zeszłam na dół do kuchni ubrana w dużo za duże dżinsy i koszulę. Nogawki dżinsów i rękawy koszuli podwinęłam; na stopach miałam wełniane skarpety Zeda zamiast kapci. Zaczynałam przyzwyczajać się do tego, że moi rodzice patrzą na mnie z tym zszokowanym i niezadowolonym wyrazem twarzy. Widać było, że ich zawiodłam, ale bali się zrobić mi awanturę, żebym się nie załamała.

- Cześć, skarbie, gotowa, żeby jechać do domu? - spytał Simon, trochę niecierpliwie, dzwoniąc trzymanymi w dłoni kluczykami od samochodu.

Zed stanął za mną, dodając mi odwagi swoją milczącą obecnością.

- Chciałabym tu trochę zostać. Proszę. Myślę, że oni mogą mi pomóc. - Złapałam rękę Zeda za plecami.

Sally dotknęła ręką krtani.

- Na jak długo?

Wzruszyłam ramionami. Bolało mnie, kiedy ich raniłam.

- Aż się okaże, czy to zadziała.

Karla przymknęła na chwilę oczy, próbując wyczuć przyszłość. Kiedy na mnie spojrzała, uśmiechnęła się.

- Naprawdę myślę, że uda nam się pomóc Sky. Proszę, zaufajcie nam. Mieszkamy ledwie kilka minut drogi samochodem od was. Będziecie mogli przyjechać do Sky, jeśli coś was zmartwi.

- Skarbie, jesteś tego pewna? - spytał Simon.

- Jestem pewna.

Sally jeszcze nie pogodziła się ze zbliżającą się separacją.

- Ale kochanie, co takiego oni mogą zrobić dla ciebie, czego my nie możemy?

- Nie wiem. Po prostu czuję, że to właściwe. Sally przytuliła mnie mocno.

- OK, spróbujemy. A więc twój chłopak będzie się tobą opiekował?

- Tak, będzie.

Sally pokiwała głową.

- Widzę. Jeśli to się nie uda, nie martw się. Spróbujemy czegoś innego i nie przestaniemy szukać, aż rozwiążemy twój problem.

- Dzięki.

Moi rodzice niechętnie wrócili do domu, zostawiając mnie z dziewięciorgiem Benedictów w ich kuchni.

- Lubię twoich rodziców - powiedział Zed cicho, otaczając mnie ramieniem. - Zawsze stoją po twojej stronie, prawda?

- Tak. Mam szczęście, że są ze mną. - Byłam bardzo świadoma naszej widowni. Wciąż jeszcze nie poznałam Uriela - to był ten szczupły i ciemny chłopak obok Willa. Obaj patrzyli na mnie, jakbym była jakimś egzotycznym stworzeniem. Przeznaczoną Zeda. Uriel, najniższy z całej rodziny Benedictów, był tym, którego bałam się najbardziej - to on potrafił czytać przeszłość.

Karla zaklaskała w dłonie.

- No dobrze, moi mali...

Mali? Ona była zdecydowanie najmniejszą osobą w całej rodzinie.

- Śniadanie! Trace i Uriel - talerze. Xav - noże i widelce. Yves i Victor - wy robicie naleśniki. Will - przynieś syrop klonowy.

- A co z Zedem? - wymamrotał Yves, wyjmując miskę. Karla uśmiechnęła się do nas.

- Jest zajęty dodawaniem otuchy swojej dziewczynie i to właśnie powinien robić. Siadajcie, wy dwoje.

Zed pociągnął mnie na kolana we wnęce jadalnej, a ja usiadłam, żeby obserwować przedstawienie. Najbardziej niebezpieczni chłopcy we Wrickenridge w domu byli zupełnie inni. Chociaż Trace i Victor byli dorosłymi mężczyznami, nie ośmielili się odpyskować swojej mamie i razem ze wszystkimi przystąpili do swoich zadań. Dzięki temu, że przy mnie nie musieli ukrywać się ze swoimi umiejętnościami, wkrótce przyzwyczałam się do tego, że Benedicto-wie przyzywali rzeczy, których potrzebowali, a te przyfruwały im do rąk. To było fascynujące. Zdałam sobie sprawę, że widzę, jak to robią. Ta szczególna moc ukazywała mi się jako białe światło, bardzo słabe, jak cienka nić. Musiałam skoncentrować się na wypatrywaniu jej, inaczej mi umykała. Zastanawiałam się, czy potrafię robić to samo. Obserwowałam, jak Trace powoduje, że jajko unosi się z pudełka, i wtedy, poddając się impulsowi, wyobraziłam sobie, że łapię je w swoją moc jak na lasso. Ku mojemu zdumieniu, jajko wymknęło się Tracebwi spod kontroli i poleciało w naszym kierunku. Zed schylił się wraz ze mną w samą porę. Jajko uderzyło o ścianę za nami i spłynęło na podłogę.

- Kto to zrobił? - krzyknęła Karla, oburzona. - Xav? Nie pozwolę, żebyście rzucali jajkami w naszego gościa!

Xav wyglądał na urażonego.

- To nie ja. Czemu zawsze myślicie, że to moja wina?

- Bo z reguły tak jest - odparł Will oschle, trącając Xava w plecy tak, że upuścił sztucce na stół.

- Kto to zrobił? - spytała Karla ponownie, zdecydowana uzyskać odpowiedź.

- Ktokolwiek to był, pozostałe jajka wylądują mu za kołnierzem - warknął Zed, obejmując mnie obronnie w pasie.

- Kto? - powtórzyła Karla, udowadniając, że wysoki wzrost wcale nie jest potrzebny, żeby wyglądać groźnie.

- Yyy... to chyba ja - przyznałam się.

Zedowi opadła szczeka, a ja odkryłam, że zdumienie ma kolor połyskującego srebra.

- Widziałam, jak robicie różne rzeczy, i zastanawiałam się, czy też tak potrafię. Więc złapałam jajko na lasso.

Will parsknął śmiechem, po czym machnięciem ręki nakazał sztuccom ułożyć się na miejscach. Ukłoniły się przede mną, po czym rozłożyły się schludnie na stole.

Saul usiadł przy stole.

- Widziałaś? Co to znaczy?

Czułam, że policzki mi różowieją. Żałowałam, że nie mam guzika, który wyłączałby moją skłonność do rumieńców.

-Yyy... no, widziałam, jak poruszacie rzeczami. To przypomina białą linię. Pewnie wyczuwam energię czy coś w tym rodzaju.

- Ona widzi też emocje, tato - dodał Zed. - Potrafi stwierdzić, czy ktoś kłamie.

- Bardzo przydatne. - Victor spojrział na mnie oceniająco. Nie byłam pewna, czy mi się to podobało. W przeciwieństwie do pozostałych zdradzał bardzo niewiele emocji - może był po prostu lepszy w osłanianiu się.

Odwróciłam od niego wzrok.

- Uzdrawianie to kolor niebieski. Kiedy pani Benedict zanurza się w przyszłości, robi się jakby przyblakła. Nie jestem pewna co do reszty, ale myślę, że każda moc ma swoją własną tożsamość.

A co z telepatią? - spytał Saul.

Skrzywiłam się. Wciąż nie lubiłam mieć uczucia, że ktoś jeszcze jest w mojej głowie.

- Nie widzę jej - a przynajmniej nie wiem, czego szukać.

- Telepatia wymaga najmniejszej energii ze wszystkich darów, kiedy jest wykonywana blisko osoby, z którą się komunikujesz. Może jej znak jest zbyt subtelny, by go dostrzec.

Pomasowałam skronie, przypominając sobie ból, jaki czułam, kiedy rozmawiałam z Zedem na dużą odległość. Gdzie ja byłam, kiedy to robiłam? W magazynie?

Zed przytulił mnie do siebie.

- Nie myśl teraz o tym, Sky. Widzę, że cię to boli.

- Czemu nie mogę sobie przypomnieć?

- Tego się dowiemy - odparł Saul stanowczo. - Ale to po śniadaniu.

- A co ze szkołą? - Wiedziałam, że Zed i Yves powinni byli już wyjść.

- Zjazd rodzinny - możemy opuścić lekcje. - Yves wyszczerzył zęby i położył przede mną pierwszy naleśnik. Jego wizerunek porządnego ucznia nieco zbladł, kiedy zobaczyłam, jaki jest zadowolony, że opuszcza szkołę.

- Jak wtedy we wrześnieu? - spytałam, odwracając się do Zeda.
- Nie było was w piątek.

- Ach, wtedy. Tak. Pomagaliśmy Trace'owi wytropić ludzi, którzy zastrzelili tę rodzinę w porachunkach handlarzy narkotyków.

Przypomniałam sobie teraz, na jak wyczerpanego wyglądał, kiedy spotkałam go w mieście duchów na wzgórzu następnego dnia, w sobotę.

- A te rodzinne zjazdy - wtedy widzicie, co się stało?

- Tak, i mamy rezultaty - dodał Trace, siadając naprzeciwko ze swoim talerzem. - Dorwaliśmy tego sk... - zerknął na minę swojej mamy - ...urczybyka. Czeka na proces w przyszłym roku.

- Nie musisz się o nas martwić, Sky - dodał Zed, który czytał mi w myślach, chociaż nie potrafił czytać emocji jak ja. - Tym się zajmujemy.

- To rodzinny interes - zgodził się Xav, polewając swojego naleśnika syropem klonowym. - Sieć Sawantów działająca tak, jak powinna.

- I jesteśmy z tego dumni - podsumował Victor, klepiąc w puste miejsce przed sobą. - Gdzie jest mój.

Talerz ze świeżo usmażonym naleśnikiem zawisł w powietrzu przed nim. Zed zakrył mi ręką oczy.

- Żadnego lassa. Roześmiałam się.

- Obiecuję - żadnych eksperymentów z jedzeniem.

Po śniadaniu nastrój spoważniał. Saul wyszedł na chwilę sprawdzić, czy jego asystenci obsługujący kolejkę mają wszystko pod kontrolą, po czym wrócił i otrzepał śnieg z butów.

- Gotowe - oznajmił. - Zróbmy to w pokoju rodzinnym.

Zed zaprowadził mnie do pomieszczenia na końcu domu, które funkcjonowało także jako pokój do gier. Trace i Victor przesunęli stół do gry w ping-ponga, podczas gdy Uriel i Yves ułożyli poduszki w krąg na podłodze.

- Usiądź sobie z Zedem - powiedział Saul, siadając naprzeciw mnie.

- Co zamierzacie robić? - Już byłam zdenerwowana. W co ja się wpakowałam?

- Traktujemy to jak śledztwo. - Trace usiadł po mojej prawej ręce. - Co jest właściwe, bo wierzymy, że to, co ci się stało, to wynik przestępstwa.

- Faktycznie czuję się, jakby ktoś napadł na mój mózg

- przyznałam.

- Każdy z nas wykorzysta swój dar, żeby cię odczytać

- to nie będzie nic inwazyjnego, tylko dotknięcie, żeby wy-czuć, który trop jest najsilniejszy. - Trace skierował wzrok na Zeda. - Będę musiał potrzymać cię za rękę, jeśli Zed cię puści - muszę być w kontakcie z osobą, którą badam, żeby mój dar mógł działać. Powinienem być w stanie stwierdzić, gdzie ostatnio byłaś - przed tym, jak znalazłaś się w magazynie. Nie musisz tego pamiętać. Wystarczy, że tam byłaś, a ja będę w stanie cię wytropić. To cudowne dziecko tutaj, jako siódmy syn, będzie przekazywał to, co widzę, bo jest z nas najpotężniejszy.

Odwrociłam się, żeby spojrzeć na Zeda.

- To prawda?

- Tak, jestem czymś w rodzaju ekranu, który wyświetla informacje. Porównuje rezultaty. Widzę to, co wszyscy pozostali.

- I nawet nie potrzebuje baterii - zażartował Will, opadając na poduszkę po mojej drugiej stronie.

Żartowali sobie, ale ja zaczynałam rozumieć tę ciemność, którą dostrzegłam w Zedzie, odbicie zła, które był zmuszony oglądać. Przepływały przez niego nie tylko jego własne wizje, ale też wizje całej reszty, co oznaczało, że widział zło pod wszystkimi kątami i dogłębniej niż inni. Nic dziwnego, że czuł, że sam wpada w to bagno, do czasu aż znalazł kotwicę.

Drugi w kolejności syn Benedictów, Uriel, który uczył się na studiach podyplomowych, trącił Willa w bok.

- Cześć, Sky, jeszcze nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Jestem jedynym wrażliwcem w tej rodzinie.

- Widzę.

- Mój dar polega na czytaniu wspomnień, wszystkiego, co ma związek z przeszłością. Wiem, że boisz się, że zdradzę twoje sekrety, ale nie martw się. Nie mogę cię zmusić, żebyś pokazała mi swoją przeszłość, mogę tylko popchnąć drzwi, które ty otworzysz.

- Rozumiem. - Siedziałam, opierając się o pierś Zeda, i jego ciepło dodawało mi sił. - A jeśli będę chciała, żeby wszystkie drzwi były zamknięte?

- Wtedy tak będzie. Ale myślimy, że powinnaś zacząć tworzyć całkowity obraz wszystkiego, co ci się przydarzyło, żeby zrozumieć, co jest prawdziwe, a co sobie wyobraziłaś.

Zmarszczyłam brwi. Nie podobało mi się to.

- To jak muzyka, Sky - wyjaśnił Zed. - Aranżujesz partyturę po jednym instrumencie. Wygląda, że zajęłaś się melodią, przez pewien czas, ale zgubiłaś gdzieś basy i główny motyw.

- Masz na myśli to, co wydarzyło się, kiedy byłam małą?

- Tak. To gdzieś tam jest.

Ciemne miejsca. *Cudowne połączenie bólu i uczucia porzucenia.* Kto mnie tak opisał?

- Uważamy, że kiedy zobaczysz, co kryje się za tymi wszystkimi drzwiami, będzie ci łatwiej zamknąć je przed innymi i powstrzymać ludzi przed odczytywaniem cię z taką łatwością. W zamian powinnaś odzyskać kontrolę nad bliższymi wspomnieniami. Jakbyś odkryła kluczowe kawałki w układance.

To było zdecydowanie coś, czego chciałam, nieważne, że bardzo bałam się całego procesu.

- OK, sprawdźmy, co się we mnie kryje.

Pani Benedict zaciągnęła zasłony, podczas gdy Yves, strzelając palcami, zapalił świece w pokoju. To był chłopak, który potrafił sprawić, że rzeczy eksplodują - przypomniałam sobie. Ulżyło mi, kiedy zobaczyłam na własne oczy, że ma swój dar pod kontrolą. Świece pachniały wanilią i cynamonem. W domu było cicho. Słysząc było odległe głosy ludzi bawiących się na stoku, mrużenie kolejki linowej przejeżdżającej przez punkty kontrolne, szum poruszających się na wietrze drzew, ale w tym pokoju, w tym niebie wszystko było spokojne. Wyczuwałam, jak muskają mnie różne dary poszczególnych członków rodziny - jak delikatna pieśczość, nic, co mogłoby wywołać niepokój. Zed trzymał mnie w objęciach, zrelaksowany i spokojny.

Xav - uzdrowiciel, przemówił jako pierwszy.

- Sky, nie dzieje się z tobą nic w medycznym znaczeniu tego słowa - nie widzę śladu choroby umysłowej, chociaż czuję twój niepokój.

Zed pogłaskał mnie po karku.

- A więc jednak nie zwariowałaś.

- Nie widzę przyszłości wyraźnie - przyznała Karla. -Od tej chwili prowadzi wiele możliwych ścieżek.

-Ale wiem, gdzie ostatnio była - odezwał się Tracę. -Była w pokoju w hotelu pierwszej klasy - satynowe prześcieradła, mnóstwo szkła, dotykałaś czegoś z białej skóry i puszystego dywanu. Mogę z pewnością stwierdzić, że przetrzymywano cię gdzieś, zanim znalazłaś się w magazynie. Gdybyśmy mieli ubrania, które wtedy miałaś na sobie, mógłbym pewnie powiedzieć ci więcej.

- Zagrożenie nie minęło - powiedział Saul, wykorzystując swój dar, by wyczuć czających się na nas drapieżników.

Will skinął głową.

- Czuję, że szuka cię więcej niż jedna osoba, Sky. Odwróciłam się do Zeda.

- Ty też to widziałeś?

- Mhm. Wiem też, że tych dwóch z magazynu to ci sami, którzy strzelali do nas w lesie. O'Halloran był sawantem, niesłychanie dobrym w ochronie. Zastanawiam się, czy to dlatego wyczuwam w twoim umyśle inną warstwę - coś obcego. Widzisz ją, Uriel?

Uriel dotknął uspokajająco mojego kolana.

- Tak, i myślę, że wiem, co to jest, chociaż nie wiem, jak tu się znalazło. Sky, twoi rodzice to artyści, prawda?

Pokiwałam głową.

-Wiesz, co dzieje się czasem z dziełami starych mistrzów? Ktoś bierze je i maluje na ich powierzchni, tak że trzeba zedrzyć jedną warstwę, żeby otrzymać oryginał. No więc ktoś zrobił coś podobnego z twoją pamięcią.

To wydawało się mieć sens.

- W takim razie co jest oryginałem, a co fałszerstwem?

- I tutaj musimy wrócić do początku.

- Czy wszyscy zobaczą? - Było mi wystarczająco źle z tym, że sama zobaczę własną przeszłość; nie chciałam jeszcze mieć widowni.

- Nie, tylko Zed, ty i ja - odpowiedział Uriel. Jego aura pulsowała delikatnym różem współczucia. -1 nie powiemy nikomu, chyba że będziesz tego chciała.

Bardzo nie chciałam tego robić, ale wiedziałam, że muszę.

- Nie bój się - wyszeptał Zed. - Będę z tobą.

- OK, OK. Więc co mam robić? Uriel uśmiechnął się pocieszająco.

- Tylko się odpręż i wpuść mnie.

Zaczęło się dobrze. Czułam, jak Uriel bada moje wspomnienia - te, w których spotkałam moich adopcyjnych rodziców, i te, w których muzyka pomogła mi wyzdrowieć. Tych nie zakopałam. Dopiero kiedy popchnął drzwi prowadzące dalej wstecz, poczułam strach.

Nie walcz z tym - powiedział Zed. - On cię nie skrzywdzi.

Ale ja nie bałam się Uriela, tylko tego, co leżało za tymi drzwiami.

Nic, co zobaczymy, nie zmieni naszego stosunku do ciebie -zapewnił mnie Zed.

Czułam fale spokoju płynące od pozostałych Benedic-tów. Xav robił coś, żeby uspokoić mój wzburzony puls.

Wzięłam głęboki oddech. *OK.*

Uriel odsunął zasuwę, a przed drzwi zaczęły wypływać obrazy, jak tłum napierający na bramki obrotowe. Zimna noc. Gotująca się wściekłość w samochodzie.

- Mam już dość tego dzieciaka. Wszystko psuje! - Mężczyzna walił w kierownicę, podczas gdy kobieta o zapadniętych policzkach poprawiała makijaż w lusterku. Wyglądała trochę jak ja, ale jej cera była naprawdę niedobra, jakby od miesięcy głodowała. Warstwy podkładu nie ukrywały znamion.

- Co mogę zrobić? Jestem jej jedyną rodziną. - Kobieta malowała sobie usta krwistoczerwoną szminką, wydobywając z siebie cmoknięcia.

Otworzyły się drzwi prowadzące jeszcze dalej w przeszłość. Inne usta, różowe jak guma do żucia, całujące mnie w policzek. Moja mamusia była siostrą Czerwonoustej. Pachniała delikatnymi perfumami i miała srebrzysty śmiech. Jej długie, jasne włosy łaskotały mnie w brzuch, kiedy pochylała się, żeby mnie pogilgotać. Zachichotałam.

Zadzwoił dzwonek do drzwi.

- Zostań tutaj, maleńka. - Podniosła bok turystycznego łóżeczka.

Grzmiący głos w korytarzu. Tatuś. Nie chciałyśmy, żeby nas znalazł, prawda, mamusiu? Czemu tu przyszedł? Mocno przytuliłam mojego królika z oklapniętymi uszami i słuchałam, jak rozmawiają w korytarzu.

- Ale ty nie jesteś moim przeznaczonym, łan - oboje to wiemy. Miguel nim jest. Jadę do niego i nie powstrzymasz mnie przed tym! - Głos mamusi był nieładny. Była bardzo zła, ale też przestraszona. Ja też się bałam.

- Co z dzieckiem? Co ze mną? Nie możesz wyjechać z Anglii razem z nią!

- Nigdy przedtem jej nie chciałeś - jesteś po prostu zazdrosny!

- To nieprawda. Nie pozwolę ci tego zrobić.

- Muszę być z nim. Ze wszystkich ludzi ty właśnie powinieneś to zrozumieć.

- Więc jedź. Ale ja zabiorę moją córkę ze sobą.

Zbliżali się. Zaszlochałam. Pokój był czerwony od gniewu i krzykliwie złotego koloru miłości. Ponury mężczyzna wyciągnął mnie z łóżeczka i przytulił do piersi. Lampka nocna w kształcie myszki eksplodowała, rozpryskując kawałki potłuczonej żarówki.

- Myszka! - krzyknęłam. Mama trzęsa się z gniewu.

- Straciłeś Di bardzo młodo. Straciłeś swoją przeznaczoną i jest mi z tego powodu bardzo przykro, Ian. Ale wbrew wszelkiej nadziei ja znalazłam swojego po tym, kiedy już się poddałam, i muszę do niego jechać. A teraz odłóż ją!

Tatuś przytulił mnie mocniej. Też się trząsał.

- Czemu to ja miałbym zostać bez niczego, Franny? Nie zgodzę się na to. - Kiedy mama podeszła, żeby mnie zabrać, wyrzucił rękę w jej kierunku i moje książki wypadły z półki, bombardując ją.

Dywan zaczął płonąć pod jego stopami. Pociągnęłam nosem.

- Przestań, Franny. Zaraz zapali się cały dom!

- Nie zabierzesz jej ode mnie! - krzyknęła mama gniewnie i moje łóżko stanęło w płomieniach. - Nie zostawię mojej córeczki.

- Wyciągnęła ręce i pociągnęła mnie za piżamę.

Płonące łóżko wzniosło się w powietrze i wpadło na nią, rzucając ją o ścianę.

- Mamusiu! - Zacisnęłam powieki. Nigdy więcej ich nie zobaczyłam.

Kolejny obraz. Ciocia Czerwonousta odebrała mnie ze szpitala. Byłam jedną osobą, która przeżyła pożar - w cudowny sposób wyfrunęłam z domu popychana niewidzialną siłą. Znalaziono mnie zwiniętą w kłębek na mokrej od rosy trawie. Teraz mieszkaliśmy w bloku. Wciąż byłam chora i miałam brudną sukienkę. Byłam maleńka - moja głowa nie dosięgała nawet klamek. W głównym pokoju grała głośna muzyka. Powiedziano mi, żebym trzymała się z daleka, więc chowałam się w korytarzu.

- Nie patrz tak na mnie! - Znów ten kierowca; tym razem był z nim przyjaciel. Posłał mi kopniaka, kiedy nie odsunęłam się wystarczająco szybko. Cofnęłam się i przycisnęłam do ściany, próbując udawać, że wcale mnie tam nie ma. Obserwowałam, jak przekazywał coś drugiemu mężczyźnie i dostawał w zamian pieniądze.

- Oszukał pana - wyszeptałam.

Ten drugi zamarł i przykleknął koło mnie. Jego oddech był okropny, pachniał smażoną cebulą.

- Co powiedziałaś, mała? - Chyba uznał mnie za zabawną.

- Skłamał. Jest zadowolony, że pana oszukał. - Kiwałam się w przód i w tył, wiedząc, że zostanę za to ukarana, ale przynajmniej on także.

-Hej - powiedział on, uśmiechając się nieszczercze. - Słuchasz gówniarza mojej dziewczyny? Co ona może o tym wiedzieć?

Mężczyzna pachnący cebulą wyjął pakunek z kieszeni i ścisnął go między kciukiem i palcem wskazującym. Już się nie uśmiechał.

- Czysta?

- Na sto procent. Daję moje słowo.

- On kłamie - powiedziałam. Aura mężczyzny była zgniłozielona.

Pan Cebula wyciągnął do niego paczkę.

- Dzięki, mała. Chcę moich pieniędzy. Twoje słowo nie jest warte funta kłaków.

Mężczyzna oddał pieniądze, przysięgając na swoją niewinność.

Potem był ból.

Później słyszałam, jak mówił lekarzowi, że spadłam ze schodów i złamałam rękę. Byłam niezdarna. Kłamstwo. Był na mnie wściekły.

Potem z powrotem siedzieliśmy w samochodzie. Kolejny dzień. Znow w drodze, zanim ktoś za bardzo się nami zainteresuje. Ciocia Czerwonousta była podenerwowana. Narzekała, mówiła, że on zamierza ją rzucić z mojego powodu. Też mnie nie lubiła. Widziałam za dużo - mówiła. Jak czarownica. Jak jej głupia, zmarła przyrodnia siostra.

- Moglibyśmy ją oddać opiece społecznej w Bristolu, powiedzieć, że nie dajemy sobie z nią rady. - Ciocia spojrzała na mnie wrogo.

- Po pierwsze, nigdy nie informuj władz o swoim istnieniu. Nie wracamy do Bristolu - jedziemy dalej. - Wyprzedził kolejny samochód na autostradzie i wjechał mu przed maskę.

- Od kiedy, Phil?

- Od kiedy policja zrobiła nalot na Cricketer's Arms.

Spojrzałam przez okno na niebieski znak - zobaczyłam, że na jego szczycie jest mały symbol samolotu. Żałowałam, że ja nie mogę wzbić się w powietrze i odlecieć. Zaczęłam śpiewać.
Leaving on a jet plane...

- Dość tego! - Zdecydował mężczyzna i skręcił z drogi na stację benzynową. - Zostawiamy wariatkę tutaj.

- Co?! - Kobieta zerknęła na niego zdumiona.

Z mężczyzny emanowała mulisto-zielona złośliwość. Aura kobiety była ciemnofioletowa z odcieniem zielonego. Robiło mi się niedobrze, kiedy na nich patrzyłam. Zamiast tego spojrzałam na moje brudne szorty.

- Żartujesz, prawda?

- Nie. Zostawiam ją tutaj. Ty możesz zostać z nią albo jechać ze mną. Twój wybór.

- Cholera jasna, Phil! Nie mogę jej tak po prostu porzucić! Mężczyzna zjechał z drogi na miejsce z tyłu parkingu i nerwowo zerknął w lusterko.

- Czemu nie? Nie mogę prowadzić interesów, kiedy ona jest w pobliżu. Znajdzie ją jakiś poczciwy człowiek. Będzie jego problemem, Jo, nie naszym. To tylko pomyłka Fran-ny. Powinna była się jej pozbyć. Ona nie ma nic wspólnego z tobą - z nami. - Pochylił się i pocałował ją. Jego aura była obrzydliwie żółta, co oznaczało wielkie kłamstwo.

Kobieta przygryzła wargę.

- Dobrze, dobrze, daj mi chwilę. Boże, muszę się napić. Nikt nas nie złapie?

Wzruszył ramionami.

- Tablice rejestracyjne są fałszywe. Jeśli nie wysiadziemy, kamera nas nie złapie. Nie zna jej nikt w Anglii. Rodzice zmarli w Dublinie - jeśli ktoś nie pomyśli, żeby sprawdzić za granicą, ona jest nikim. Kto ją rozpozna po takim czasie? Nawet nie ma akcentu.

- Więc zostawimy ją i zajmie się nią kto inny. Nic jej się nie stanie. - Ciocia próbowała się przekonać, że postępuje właściwie.

- Stanie się, jeśli będę musiał po nią wrócić. Jest dla nas niedobra - niszczy to, co mamy.

Kobieta zebrała się na odwagę i kiwnęła głową.

- Zróbmy to.

- Musimy tylko wybrać właściwy moment, żeby nikt nie zauważył. - Mężczyzna odwrócił się i złapał mnie za koszulkę. - Słuchaj, wariatko, bądź cicho, nie rób awantur, albo wrócimy po ciebie i zrobimy z tobą porządek. Zrozumiano?

Pokiwałam głową. Byłam tak przestraszona, że bałam się, że się zsiusiam. Jego aura przybrała pulsujący, czerwony kolor, jak wtedy, kiedy mnie uderzył.

Sięgnął do klamki i otworzył drzwi.

- A teraz wysiadaj i idź tam. Nie rób problemów. Odpięłam pas, przyzwyczajona, żeby sama o siebie dbać.

- Jesteś tego pewien, Phil? - zajęczała kobieta.

Nie odpowiedział, tylko zamknął drzwi. Następną rzeczą, jaką usłyszałam, był silnik przyspieszającego samochodu.

Usiadłam i zaczęłam liczyć stokrotki.

Kiedy otworzyłam oczy, nie byłam już na parkingu. Siedziałam w kręgu, w ramionach Zeda, było mi ciepło i ktoś się o mnie troszczył.

- Widziałeś to? - wyszeptałam, bojąc się na niego spojrzeć.

- Tak. Bogu dzięki, że cię porzucili, zanim on cię zabił. - Zed delikatnie potarł policzkiem o czubek mojej głowy. Moje włosy zaplątywały się w jego zarost.

- Wciąż nie wiem, kim jestem. Chyba nikt nie nazwał mnie po imieniu.

Ciocia Jo, Phil i wariatka - tak było, kiedy miałam sześć lat. Jeśli moja mama i tata - Franny i Ian - nadali mi jakieś imię, zapomniałam je. Moi rodzice byli sawantami; zabili się, bo nie kontrolowali swoich darów i zostawili mnie z ćpunem jako opiekunem. Byłam na nich zła za tę zdradę.

- Ktoś, kto mówi prawdę, nie będzie czuł się dobrze w domu dilerka. - Zed robił palcami kółka dookoła moich nadgarstków i głaskał moje dłonie, żebym rozluźniła zaciśnięte pięści. - Widziałem już taką hołotę, kiedy pracowałem dla Tracę'a i Victora. Miałaś szczęście, że wyszłaś z tego cało.

Jako dziecko nie rozumiałam transakcji w korytarzu, teraz tak.

- Popsułam Philowi cały interes - ten mężczyzna był jego najlepszym klientem. I zrobiłam to więcej niż raz.

- A on zbił cię więcej niż raz.

Wzdrygnęłam się, zażenowana. Czułam się źle z tym, że Benedictowie oglądali tyle przykrych scen z moim udziałem.

- Chyba tak.

Złość Zeda była karmazynowa i nie była skierowana na mnie, ale na tego, kto ośmielił się zrobić mi krzywdę.

- Chciałbym go dorwać i sprawić, żeby poczuł to, co ty.

- Był złym człowiekiem, wykorzystywał moją ciotkę. Ona była w porządku - ale nie potrafiła się mną zajmować. Nie wydaje mi się, żeby wciąż byli razem.

- Prawdopodobnie oboje nie żyją. Narkotyki i dilerka nie wróżą długiego, szczęśliwego życia - stwierdził Uriel ze znawstwem.

Oparłam się o Zeda. Czułam się wyczerpana i obnażona. Potrzebowałam czasu, żeby poukładać sobie to, co zo-

baczyłam, i uporządkować moje wspomnienia. Nie mówiliśmy o tym, ale musiałam też pogodzić się z obsesją mojej matki na punkcie jej przeznaczonego, która zniszczyła naszą rodzinę. To zdarzenie było jak brzydka plama zakrywająca to, co - jak myślałam - łączy mnie i Zeda. Czułam się przez to brudna i jakoś zagrożona.

- Dość już widziałas - stwierdził Zed. - Nie spodziewamy się, że wszystko natychmiast ci się przypomni.

- Ale znaleźliśmy fundament - dodał Uriel. - Możemy na tym budować.

Spojrzałam na pozostałych siedzących w pokoju i zrozumiałam, że nie spodziewają się dziś ode mnie żadnych odpowiedzi. Victor i Trace czekali na informacje z największą niecierpliwością, ale starali się to ukryć.

- Potrzebujesz przerwy. Zabierz swoją dziewczynę na deskę, Zed - powiedział Trace. - Upewnimy się, że będziecie bezpieczni.

Odepchnęłam ponure wspomnienia z pewnym wysiłkiem.

- Czy chcesz, żebym w tej przerwie złamała nogę? Bo to się stanie, jeśli spróbuję jeździć na desce.

Trace roześmiał się, a jego poważna twarz policjanta rozpogodziła się w przyjaznym uśmiechu, kiedy spojrzał na młodszego brata.

- Nie, Sky. Zed o ciebie zadba.

Z ulgą wyszłam na zewnątrz. Wspomnienia wisiały mi nad głową jak trująca chmura, ale kiedy ujrzałam nieskalane, białe stoki, na chwilę odpłynęły. Wszystko iskrzyło. Jeśli się skoncentrowałam, mogłam dostrzec każdą igłę, szyszkę, każdy płatek śniegu - tak wyraźnie było wszystko widać. Góry nie zniechęcały mnie dzisiaj, a uszczęśliwiały.

Pożyczyłam kombinezon od Karli, przez co wyglądałam jak kluska, ale Zed wydawał się sądzić, że to urocze.

- Ośła łączka? - spytałam, wypuszczając z siebie kłęby pary jak smok.

- Nie, za dużo ludzi. - Osłonił oczy i przyjrzał się górom, pozwalając mi docenić, jak wysoki i niebezpieczny wydawał się w swoim dopasowanym, granatowym kombinezonie. Jak rekin na stoku. Uśmiechnął się do mnie, kiedy zobaczył, jak go podziwiam, i poruszył żartobliwie brwiami.

- Podoba ci się to, co widzisz? Trąciłam go łokciem.

- Przestań! Naprawdę musisz popracować nad skromnością.

Roześmiał się.

- Dobrze - jeśli obiecasz, że mnie tego nauczysz.

- Myślę, że jesteś straconym przypadkiem.

To spowodowało u niego jeszcze większe rozbawienie. Kiedy wreszcie przestał się śmiać, przytulił mnie do siebie.

- To jak, Sky, gotowa? Bo jedziemy na górę. Jest tam takie spokojne miejsce. Zamierzałem zabrać cię tam wtedy, kiedy zaczęli do nas strzelać, ale myślę, że w zimie jest tam jeszcze ładniej. Wjedziemy kolejką i zejdziemy kawałek.

Na szczycie było dużo spokojniej niż w weekendy. Jose nie pracował przy stoisku, więc nie mogłam zatrzymać się na pączka i porozmawiać, jak zazwyczaj robiłam. Zed zaprowadził mnie z dala od zatłoczonych szlaków do lasu.

- Czy to dobry pomysł? Pamiętasz, co się stało ostatnim razem, kiedy poszliśmy do lasu.

Otoczył mnie ramieniem i pogłaskał uspokajająco po ramieniu.

- Tata i mama stworzyli barierę dookoła. Tracę, Vick i Will są na czatach. Nic nam się nie stanie.

- Bariere w myślach?

- Tak, powoduje, że ludzie zawracają, zaczynają myśleć, że zostawili włączone światła w samochodzie albo muszą spotkać się z kimś w mieście. To mi przypomina: jak przedostałaś się wczoraj przez naszą barierę?

Wzruszyłam ramionami.

- Poczułam ją, ale byłam zbyt zdesperowana, żeby się nią przejąć.

- Nie powinno było ci się udać. Dlatego Tracę i Vick byli podejrzliwi, że pojawiaasz się tak znienacka.

- Może ta bariera nie jest tak mocna, jak wam się wydaje.

- Może ty jesteś potężniejsza, niż myślimy. Musimy się tego dowiedzieć.

- Ale nie teraz, proszę. - Nie chciałam mieć nic więcej wspólnego z sawantami - to, co robili, było zbyt dziwne.

- Nie, nie teraz. Teraz jest czas zabawy.

Wyszliśmy na otwartą przestrzeń, gdzie grunt opadał fantastycznym łukiem w kształcie litery J. Szczyty po przeciwnej stronie doliny wyglądały jak olbrzymy, które przysły na przedstawienie.

- Wow.

- Super, prawda? Nie przychodzi tu wiele ludzi, bo droga prowadzi donikąd, ale ja ją lubię. Można tu uprawiać snowboard ekstremalny bez tych nieznośnych narciarzy, jak mój brat, którzy kręcą się pod nogami.

- Nie jestem gotowa na jazdę ekstremalną.

- Wiem. Można tu też jeździć powoli i spokojnie. - Położył deskę na śniegu. - Surfowałaś kiedyś?

Roześmiałam się.

- Niewiele wiesz o Londynie, co? W Richmond raczej nie ma plaży.

Wyszczrzył zęby.

- Więc co robiłaś cały dzień?

- Mamy park jeleni. Można pójść na konie. Jest Tamiza, jeśli lubisz wiosłować.

- Wyduś to z siebie.

-Ja... no... robiłam zakupy. Mam z tego olimpijskie złoto. I oczywiście miałam swoją muzykę.

- Czas poszerzyć horyzonty. Rozbiegnij się i zrób ślizg. -Co?

- Zaufaj mi, zrób to.

Czując się bardziej niż głupio, zrobiłam, o co prosił.

- OK, więc prawa noga jest twoją nogą prowadzącą.

- Skąd to wiesz?

- To ta stopa, na której zrobiłaś ślizg. A teraz ustawię cię w odpowiedniej pozycji. - Poprawił deskę i pokazał mi, gdzie postawić stopy. Otoczył mnie ramieniem w pasie i zabujał mnie w przód i w tył. - Chodzi o to, żeby łapać równowagę.

- To tylko wymówka, żeby położyć na mnie ręce.

- Wiem. Świetna, prawda?

Ku mojemu zaskoczeniu w snowboardzie okazałam się znacznie lepsza niż w jeździe na nartach. Oczywiście przewracałam się często, ale bardziej jak przeciętny początkujący snowboardzista niż jak kompletna idiotka, jaką robiłam z siebie na nartach.

- Pokaż mi, jak ty jeździsz, przystojniaku - zażartowałam z Zeda, kiedy poczułam, że wystarczająco dużo razy jak na jeden dzień wylądowałam na pupie.

- OK, niziołku. Usiądź wygodnie i nie ruszaj się. Pokażę ci, jak to się robi. Muszę tylko wspiąć się trochę na górę.

Usiadłam pod osłoną niewielkiego klifu, wypatrując na stoku jakiegokolwiek śladu Zeda, ale chyba potrzebował dużo czasu, żeby dotrzeć na początek trasy.

- I-haaaa!

Deska wystrzeliła mi nad głową i Zed wylądował sześć metrów przede mną, po czym poszusował w dół zbocza.

-Ale popisy! - Musiałam się roześmiać. Powinnam była się domyślić, że to robi.

Zabrało mu chwilę, zanim wdrapał się znów do mnie z deską zarzuconą na ramię. Już z daleka szczyrzył zęby w uśmiechu.

- I co? - zawołał.

- Hmm. - Przyjrzałam się swoim paznokciom. - Może być.
- Może być?! To było doskonałe!
- Widzisz, przejechał tędy inny chłopak i zrobił salto. Dałam mu dziesięć punktów.

Rzucił deskę na ziemię i przewrócił mnie na śnieg.

- Ja też chcę dziesięć punktów.
- Ho, ho. Nie bez potrójnego aksla.
- To jest figura łyżwiarska, ignorantko.
- Mój chłopak zrobił taką w drodze powrotnej. Dostał maksymalną ilość punktów.

Zed warknął prosto w moją szyję.

- Ja jestem twoim chłopakiem. Przyznaj to: nie było nikogo innego.

Zachichotałam.

- I tak nie mogę dać ci dziesięciu punktów za ten skok.
- A może spróbuję cię przekupić? - Zaczął mnie całować w szyję, aż dotarł do ust, po drodze całując wszystkie wrażliwe miejsca. - No i? Jak mi poszło?

Mając nadzieję, że jego dar przewidywania przyszłości przez chwilę nie działa, po cichu nabrałam w dłoń dużo śniegu.

- Hmm, niech pomyślę. Wydaje mi się, że... musisz poćwiczyć! - I zanim zdążył zareagować, wsadziłam mu śnieg za kołnierz kurtki, powodując skrzek, którego jeszcze u niego nie słyszałam.

- Świetnie, a więc wojna. - Przewrócił mnie, ale wyrwałam mu się, zanosząc się śmiechem. Zaczęłam uciekać, ale po kilku krokach Zed mnie złapał i podniósł do góry.

- Zaraz wylądujesz w zaspie. - Znalazł jedną z większych i rzucił mnie w nią, tak że zanurzyłam się w niej do połowy.

- Dzięki, mam więcej amunicji! - Zrobiłam kulę śniegową i rzuciłam w niego.

Obróciła się w powietrzu i zawróciła, żeby uderzyć mnie w twarz.

- Oszust!

Zed zgiął się wpół ze śmiechu na moje oburzenie.

- Dostaniesz za swoje! Ja też tak potrafię! - Przypomniałam sobie, jak złapałam jajko na łące, i wyobraziłam sobie, że pociągam za gałąź zwisającą nad jego głową, po czym ją puszczam. Wystrzeliła w powietrze, obsypując go śniegiem. Zadowolona z efektu, nonszalancko otrzepałam ręce. - Jak ci się to podoba?

Zed strzepnął lód z czapki.

- Nie powinniśmy byli ci mówić, że jesteś sawantką. Jesteś niebezpieczna.

Podskoczyłam i zaklaskałam w dłonie.

- Jestem niebezpieczna - niebezpieczna! Juhuuu, jestem niebezpieczna!

- Ale jeszcze nie dość uzdolniona! - Śnieg wysunął mi się spod nóg i wylądowała na plecach w zaspie, a nade mną przykleknął Zed ze śnieżką w dłoni. - To jak oceniasz moją jazdę?

Uśmiechnęłam się.

- Zdecydowanie dziesięć punktów. Nie, jednaście. Odrzucił śnieżkę na bok.

- Dobrze. Cieszę się, że poszłaś po rozum do głowy.

Nieco później tego dnia spędziłam trochę czasu samotnie, przechadzając się w lesie na tyłach domu i porządkując odblokowane przez Uriela wspomnienia. Po morderczej kłótni moich rodziców - nie mogłam znieść myśli

o niej - moje wczesne dzieciństwo stało się chaotycznym koszmarem bezustannych przeprowadzek, przypadkowej opieki i braku miłości. Nie było aż tak źle, dopóki moja ciotka nie spotkała swojego handlującego narkotykami chłopaka.

Co się stało z resztą mojej rodziny? To mnie zastanawiało. Czy moja mama albo tata nie mieli rodziców ani dziadków albo innych braci i sióstr, do których mogłabym pójść? To była zagadka, ale nie spodziewałam się pozytywnych odpowiedzi. W wieku sześciu lat miałam tylko niejasne pojęcie o mojej sytuacji: wiedziałam, że mogę liczyć tylko na opiekę dwóch niezasługujących na zaufanie dorosłych. To było koszarne życie; nie wiedziałam, co zrobić, żeby mnie pokochali, więc wycofałam się w swój własny świat i przedsięwzięłam małe kroczki przeciwko Philowi, który postawił sobie za cel krzywdzenie mnie.

Podziwiałam za to dziecko, którym byłam, chociaż gdybym siedziała cicho, mogłabym pewnie uniknąć bólu.

Próbowałam przypomnieć sobie coś więcej. Moje imię. To wydawało się proste, powinnam je przecież pamiętać.

- Sky, wszystko w porządku? - Zed uznał, że wystarczająco jestem pogrążona w myślach, i przyszedł po mnie z kubkiem napoju w dłoni.

- W porządku. Tylko sobie myślę. Podał mi kubek.

- Już dość się namyślałaś. Proszę, zrobiłem ci gorącej czekolady. Nie jest tak dobra jak w kawiarni, wiem, ale powinna cię rozgrzać.

- Dziękuję. Czegóż takiego potrzebowałam.

Zed wziął mnie za łokieć i poprowadził w kierunku domu.

-Wiedziałaś, że w czekoladzie są pierwiastki, które sprawiają, że jesteś szczęśliwsza?

- Nie potrzebuję wymówki, żeby pić czekoladę. - Upiłam łyk i zerknęłam na Zeda. Jego grzywka w miejscu, gdzie nie zakrywała jej czapka, była pokryta płatkami śniegu. Oczy miał dzisiaj radosne - były koloru zielono-niebieskiego, jak tafla rzeki w słońcu. - A ty, piłeś te same pierwiastki?

- Hmm?

- Bo wyglądasz na szczęśliwego. Roześmiał się.

- Nie, nie piłem czekolady. Ty mi wystarczysz. O to chodzi z przeznaczoną - jesteś moją pigułką szczęścia.

Nie, to nie była prawda: moi rodzice udowodnili, że posiadanie przeznaczonego powoduje zniszczenie. Udawałam przed Zedem, że wszystko jest w porządku, ale wiedziałam, że nie mogę tego zrobić - nie mogę podjąć ryzyka. Kiedy doszłam do tego wniosku, miałam wrażenie, jakbym właśnie zjechała z klifu i wciąż spadała w dół. Jak miałam to powiedzieć Zedowi - i jego rodzinie - że po tym, co stało się z moją mamą i tatą, nie mogę być tym, kim spodziewają się, że będę? Kiedy ogłoszę tę nowinę, zrobi się bardzo nieprzyjemnie. Zed mnie znienawidzi - ja już nienawidziłam samej siebie.

Tak bardzo się bałam.

Podczas gdy to nademną wisiało, Benedictowie wybrali ten wieczór, żeby zacząć przygotowywać dom do świąt Bożego Narodzenia. Czułam się jak Judasz na przyjęciu. Saul i Tracę zniknęli na strychu i wrócili stamtąd ze stosem pudeł pełnych dekoracji.

- Podchodzicie do tego na poważnie, co? - zachwyciłam się, obracając w palcach piękną szklaną bombkę z zawieszonym w środku złotym aniołem. To byłam ja - złapana w bańce paniki, niezdolna, by się z niej wyrwać.

- Oczywiście, Sky - odparła Karla. - Zbieramy ozdoby podczas naszych podróży. Poza tym co roku moja rodzina z Sieci Sawantów przysyła mi specjalne dekoracje. Obrazilibyśmy ofiarodawców, gdybyśmy ich darów nie wykorzystywali.

Zed, stojąc za swoją mamą, przewrócił oczami.

- Mama uważa, że jedna ozdoba nie wystarczy, kiedy można powiesić dziesięć. Zanim skończymy, będziesz się czuła jak w dziale z dekoracjami świątecznymi.

U Benedictów nie było dmuchanych Świętych Mikołajów. Każda ozdoba była ręcznie wykonana i jedyna w swoim rodzaju. Znalazłam tam rzeźbiony żłobek z Południowej Ameryki, łańcuch sopolkowych światełek z Kanady i bombki z weneckiego szkła. Część mnie gorąco pragnęła należeć do tej wielkiej rodziny ludzi obdarzonych tym samym darem, co ja, ale ja na to nie zasługiwałam. Nie, skoro odrzucałam ich sposób życia. Musiałam coś powiedzieć, i to szybko - czułam się nie w porządku, pozwalając, by traktowali mnie jako jedną z nich, podczas gdy ja podjęłam już decyzję, że chcę zrezygnować z tej przyszłości. Ale z każdą mijającą chwilą coraz trudniej było mi zebrać się na odwagę.

„Chłopcy”, jak Karla określała swoich mężczyzn, przy-taszczyli jodłę ze swojej działki. Była ode mnie dwa razy wyższa i sięgała aż po sufit. Po zwyczajowym narzekaniu na niedziałające światełka i brakujące przedłużacze, Saul i Victor owinęli ją lampkami. Młodszy członek rodziny zawieszali dekoracje, a Zed wsadził mnie sobie na ra-

miona, żebym mogła zawiesić bombki na wyższych gałęziach. Karla po raz kolejny opowiadała historię każdej z nich: o osobie, od której ją dostała, albo o miejscu, w którym ją kupiła. Miałam wrażenie, że Benedictowie są członkami jakiejś ogromnej rodziny mieszkającej od Argentyny po Azję i Europę. Przy nich moja, trzyosobowa, wydawała się bardzo mała.

- A teraz kolędy! - zaordynowała Karla, kiedy wróciła z tacą grzanego wina, gorącą czekoladą dla mnie i biszkoptami z cynamonem.

Trace udawał, że jęczy i narzeka. Z rozbawionych światełek nad jego głową odgadłam, że tylko odgrywa swoją rolę muzycznego beztalencia, tak jak się po nim spodziewają. Usiadłam na pufie, starając się trzymać z daleka moje poczucie winy, i obserwowałam pozostałych. Saul nastroił swoje skrzypce, Zed wyjął gitarę, a Uriel złożył flet. Przepięknie wykonali wybór tradycyjnych kolęd; niektóre melodie były tak melancholijne, że czułam się jak przeniesiona w przeszłość, kiedy śpiewano je po raz pierwszy. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że Uriel ma łagodnie brązową aurę - nie tylko grał melodie z przeszłości, widziałam, że częściowo w niej był.

- Potrzebujemy wokalisty - stwierdził Uriel. - Trace? Wszyscy się roześmiali.

- Pewnie, jeśli chcecie popsuć nastrój - odparł, udając, że wstaje, ale Will zmusił go, żeby usiadł.

- Sky? - spytał Yves. Pokręciłam głową.

- Ja nie śpiewam.

- Jesteś bardzo muzykalna - przecież z tobą grałem - drażnił się ze mną.

Poczułam przyływ paniki i chęć, żeby się schować.

- Ja nie śpiewam. Uriel zamknął oczy.

- Ale śpiewałaś.

- Już nie.

- Czemu nie, Sky? - spytał Zed łagodnie. - To już za tobą. Widziałaś przeszłość i możesz zostawić ją w tyle. Dzisiaj zacznasz od nowa.

Ale nie tak, jak on się spodziewa. Boże, pomocy. Karla podała nam talerz z biszkoptami, żeby przełamać napięcie.

- Zostawcie dziewczynę w spokoju. Nikt nie musi śpiewać, jeśli nie chce.

Ale ja chciałam. Pod całym tym zdenerwowaniem wiedziałam, że jako muzyk bardzo chciałabym zaśpiewać, użyć głosu jako jeszcze jednego instrumentu.

- No chodź, zaśpiewam z tobą. - Zed wyciągnął do mnie rękę.

- Wszyscy zaśpiewajmy - zaproponował Uriel. - „Radość dla świata”?

- Mogę zagrać na saksofonie. - Usiłowałam ominąć temat. Mama podrzuciła mi go, wiedząc, że potrzebuję muzyki, kiedy mi źle.

Benedictowie udowodnili, że nie tylko śpiewają, ale harmonizują ze sobą tak dobrze, jak prawdziwy chór. Nawet Tracę zaryzykował kilka basowych dźwięków, nie kompromitując się przy tym.

Na koniec Zed przytulił mnie.

- Świetnie grasz na saksofonie. Wiesz, że to instrument najbardziej zbliżony do ludzkiego głosu?

Skinęłam głową. Mój saksofon tenorowy był dla mnie sposobem, żeby śpiewać bez śpiewania. Może był zbliżony do ludzkiego głosu, ale czułam, że dla Zeda to nie dość. On chciał wszystkiego, a ja się przed tym cofałam.

Tej nocy Zed oddał mi swoją sypialnię i poszedł spać do Xava. Mimo niepokoju byłam tak wyczerpana umysłowo, że udało mi się zasnąć pierwszym, naprawdę nieprzerwanym snem od czasu mojego porwania. Obudziłam się następnego ranka i odkryłam, że mój mózg pracował przez noc, żeby się naprawić, jak komputer wykonujący defragmentację dysku. Kiedy przeszłam przez wczesne wspomnienia, przypomniało mi się wszystko, co wydarzyło się w Las Vegas. Kelly rozebrał mnie na części kawałek po kawałku. Sprawił, że zaczęłam myśleć takie okropne rzeczy o Zedzie i Xavie, spryskał swoim graffiti każdą część mojego umysłu - nienawidziłam go za to. Ale teraz wróciłam za stery; potrafiłam odróżnić prawdę od kłamstwa i to warto było świętować. Niecierpliwiąc się, by podzielić się tym odkryciem z innymi, pobiegłam obudzić Zeda.

- Hej! - wpadłam do pokoju Xava, który był tuż obok mojego. Zed wciąż był zapięty w kokonie ze śpiwora na podłodze, a Xav leżał rozwalony na łóżku i chrapał z otwartymi ustami. - Zed!

- C-co? - Wygramolił się ze śpiwora i przyciągnął mnie do siebie, zakładając, że ktoś nas zaatakował. - Co się stało?

- Wiem, kto mnie porwał! Wszystko pamiętam. Xav wstał z łóżka.

- Sky? Co się stało?

Nagle zdałam sobie sprawę, że stoję tutaj tylko w długiej koszulce i majtkach. Powinnam była włożyć na siebie coś więcej.

- Yyy, Zed, możesz obudzić Trace'a i Victora? - spytałam, wycofując się. - Muszę im coś powiedzieć.

Zed zdążył już się rozbudzić. Uśmiechnął się szeroko i poklepał mnie po pupie.

- Idź włożyć mój szlafrok. Wyciągnę ich z łóżek i spotkamy się w kuchni. Mama i tata też będą chcieli to usłyszeć.

Opowiedziałam im, co sobie przypominałam - przy filiżance herbaty: moje angielskie zwyczaje odzywały się, kiedy czułam się bardzo niekomfortowo. Wspomnienia były przerażające: hotel, Daniel Kelly wmuszający w mój umysł obrazy, jego syn krążący wokół mnie jak rekin ludojad.

Victor nagrywał wszystko, co mówiłam, i kiwał głową, jakbym potwierdzała jego podejrzenia.

- Kolejna rodzina sawantów spoza sieci - dziwił się Saul. - I to w dodatku bez przeznaczonych. I zatrudniali O'Hallorana. Wydaje mi się, że jest ich więcej, niż myśleliśmy.

- Wiem, jak manipulować ludzkim umysłem - stwierdził Victor, wsadzając dyktafon do kieszeni - ale nie przy-szłoby mi do głowy, żeby robić to na taką skalę.

- To dlatego, że Kelly są źli, a ty nie - podsunęłam. - Nie żartuję, kiedy mówię, że on napadł na mój umysł. Okradł mnie, próbował sprawić, że was znienawidzę. - Pod stołem złapałam Zeda za rękę. - Te obrazy są wciąż w mojej głowie, chociaż teraz wiem, że są fałszywe.

- Słyszałeś o takim darze, jaki ma jego syn? - spytał Zed Saula, ściskając moją rękę, żeby dodać mi otuchy. -

Nie podoba mi się to, jak przyczepił się do Sky. Tylko pogorszył sprawę.

Saul w zamyśleniu podrapał się po policzku.

- Ute mówią o ludziach, którzy żerują na emocjach innych. W świecie sawantów są pasożytami.

- A córka, co potrafi? - spytał Trace.

- Może ma jakiś dar związany z tarczami - przynajmniej mówiła, że może przełamać moją, ale ona i tak nie była dość silna, żeby obronić mnie przed Danielem Kellym. On jest bardzo potężny. Opierałam się tak długo, jak mogłam.

-Prawdopodobnie dłużej, niż ona się spodziewała -skomentował Victor. -I jego obrazy nie przyjęły się jak należy, prawda? Wciąż je kwestionowałaś.

- Aresztujecie go?

- Ach. - Upił łyk kawy. - Sęk w tym, Sky, że to nie jest dowód, którego możemy użyć, żeby podejść Daniela Kelly'ego. To potężny człowiek; jego pieniądze kupują milczenie. Żaden sędzia nie zaakceptuje twojego świadectwa, zwłaszcza po tej poplątanej wersji, którą podałaś policji w Las Vegas. Tam oskarżałaś kogo innego.

- Zeda i Xava.

- Tak. Przerwali śledztwo, kiedy udowodniłem, że oni nie mogli mieć nic wspólnego z twoim porwaniem, ale to dyskredytuje ciebie jako świadka.

- Rozumiem. Więc niepotrzebnie powiedziałam wam to wszystko?

- Oczywiście, że potrzebnie. Teraz znamy prawdę i możemy powiązać sprawy, których nie rozumieliśmy, albo te, o których nie wiedzieliśmy. To bardzo cenne, że wiemy, że są inni sawanci pracujący po stronie złych mocy.

- Uśmiechnął się ironicznie na te słowa rodem z hollywoodzkiego filmu. - Tak, w świecie sawantów też istnieją złe moce. Moglibyśmy wpaść w kolejną pułapkę, gdybyśmy

O tym nie wiedzieli. To podsuwa też możliwość, że ich wtyczka w FBI nawet nie wie, co tak naprawdę robi. Daniel Kelly mógł uzyskać dostęp do jednego z moich ludzi i zmusić go, żeby nas zdradził. Muszę sprawdzić, kto się z nim kontaktował.

Poczułam się lepiej ze świadomością, że na coś się przydałam. Ożywiona tą myślą, zerknęłam na zegarek: była siódma trzydzieści.

-Wiecie co? Chciałabym pójść dziś do szkoły. - Dałabym wszystko, żeby znowu poczuć się normalnie. Być wśród przyjaciół, którzy nie mogli zmienić moich myśli, czytać mi w nich ani sprawiać, że rzeczy wybuchają. To opóźniłoby również konieczność przeprowadzenia poważnej rozmowy z Zedem. Czułam, że to się zbliża.

- Co? - Zed podrapał się po zarośniętym policzku. -Masz taką wymówkę, żeby opuścić lekcje, i chcesz na nie iść?

- Nie lubię wagarować. Czuję się przez to, jakbym była chora, jakbym pozwalała Danielowi Kelly'emu wygrać.

- No cóż, jeśli tak to ujmujesz, musimy iść. Lepiej się przygotuję. O rany, nawet nie powtórzyłem materiału do testu z fizyki, bo myślałem, że będę z tobą cały dzień.

Saul zmarszczył brwi.

- Jeśli wykorzystujesz Sky jako wymówkę, żeby unikać nauki, Zed...

Zed już był w drodze na górę.

- Widzimy się na dole za dwadzieścia minut, Sky.

- Tylko dam znać rodzicom, co planuję.

Sally i Simon byli bardzo szczęśliwi, że czują się na tyle dobrze, żeby pójść do szkoły.

- Miałaś rację, kochanie - paplała Sally przez telefon. - Potrzebowałam zmiany otoczenia i Benedictowie byli najlepszym miejscem dla ciebie.

- Ale dzisiaj wrócę do domu. - Przebywanie tutaj było zbyt bolesne, kiedy już podjęłam decyzję, by odrzucić świat sawantów.

- Cudownie. Mamy dla ciebie niespodziankę - małą wycieczkę.

- Nie do Vegas? - jęknęłam, przypomniawszy sobie nowy pomysł Simona.

- Skoro czujesz się lepiej, powinniśmy odsunąć wszystkie złe wspomnienia i zobaczyć to miasto.

- Nie chcę się tam przeprowadzać.

- Ja też nie, skarbie. Ale znasz Simona, musi doprowadzić wszystko do końca i to on zdecyduje, co robimy.

Nie miałam ochoty wracać do miasta, w którym mieszkali Kelly.

- Ta kobieta, która się z wami skontaktowała - kto to jest?

- Pani Toscana - zdaje się, że jest znajomą pana Rodenheima.

- A którego hotelu jest dyrektorem?

- Zapomniałam. Circus Circus? Coś takiego.

Nic mi to nie mówiło, ale ten zbieg okoliczności był podejrzany; postanowiłam, że na wszelki wypadek wspomnę o tym Victorowi.

- OK, Sally. Do zobaczenia.

Weszłam do liceum o ósmej trzydzieści z Yvesem po jednej, a Zedem po mojej drugiej stronie. Nie było mnie tylko przez kilka tygodni, ale równie dobrze mogły to być miesiące. Tak jak się spodziewałam, przyciągałam zaciekawione, ukradkowe spojrzenia. Nie potrzebowałam czytać ludziom w myślach, żeby wiedzieć, co myślą: *To ona - ta dziewczyna, która została porwana. Mówią, że się załamała. Zwariowała.*

- To nieprawda, Sky - wyszeptał Zed. - Nikt nie uważa, że jesteś wariatką. Rozumieją.

Weszliśmy do sekretariatu, żeby zawiadomić o moim powrocie. Pan Joe aż wyskoczył zza biurka, żeby mnie uściskać.

- Mała Sky! Wróciłaś! Tak się wszyscy martwiliśmy! - Otarł łzę z oka i pociągnął nosem, częściowo naprawdę wzruszony, częściowo z upodobania do dramatu. - Jesteś pewna, że jesteś gotowa?

- Tak, proszę pana. Zmierzył wzrokiem Benedictów.

- Upewnijcie się, że będzie się dobrze czuła.

- Tak, proszę pana - obiecał Zed.

- Lepiej tak zróbcie. - Pan Joe podał mi kartkę, którą miałam zanieść do swojej klasy. - A teraz znikajcie. Nie chcecie chyba się spóźnić pierwszego dnia w szkole.

Okazało się, że tak zachowywali się wszyscy: dosłownie wychodzili z siebie, żeby pomóc mi na nowo się zaaklimatyzować. Nawet Sheena i jej Wampirze Żony były dla mnie miłe, jakbym miała rozpaść się na kawałki jak szklana bombka, gdyby powiedziały coś okrutnego. Co dziwne, zaczęłam tęsknić za ich głupimi żartami o króliczku. Byłam do tyłu na wszystkich przedmiotach, ale zamiast przedstawiać to jako problem, nauczyciele zorganizowali dla mnie pakiety „wyrównawcze”, a uczniowie oferowali mi swoje notatki. Tina już skserowała dla mnie swoje. Olśniło mnie, że gdzieś po drodze zostałam zaakceptowana jako należąca do tej szkoły i dbano o mnie, jak o jedną ze swoich.

W porze lunchu poszłam z Zedem na zajęcia z muzyki. Nie spodziewałam się robić nic innego poza oglądaniem, ale pan Keneally nie zamierzał się na to zgodzić. Usadził mnie przy pianinie.

- Ale koncert jest w przyszłym tygodniu! - zaprotestowałam.

Z wdziękiem wyjął z torby nuty.

- Masz rację. Mnóstwo czasu, żeby nauczyć się utworu, który dla ciebie wybrałem.

- Chce pan powiedzieć, że mam grać sama? Rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu wsparcia

u pozostałych uczniów, ale nawet Nelsonowi wyraźnie podobała się taktyka pana Keneally.

- A ty nie chcesz? Po co uczyć się gry na instrumencie, jeśli nie chcesz, żeby cię słyszano? - spytał nauczyciel.

Nie sądziłam, by zrozumiał przyjemność, jaką dawało mi granie dla samej siebie, więc nic na ten temat nie powiedziałam.

- Nie jestem pewna, czy dam sobie z tym radę.

- Nonsens. Najlepszą odpowiedzią na cios, jaki otrzymałaś, jest walka.

Chyba podzielałam tę filozofię.

- Dobrze. Przyjrzyj się temu utworowi.

Pan Keneally przeszedł do skrzypiec, ale rzucił jeszcze przez ramię.

- Lepiej zrób więcej, niż tylko się przyjrzyj. Twoje imię już jest w programie. Powiedziałem Nelsonowi, żeby je tam wpisał, kiedy tylko usłyszałem, że będziesz dzisiaj w szkole.

Po lekcjach czekał na nas Victor, opierając się o maskę swojego samochodu. Miał dla mnie złe, ale niezupełnie niespodziewane wiadomości.

- Maria Toscana - znana lepiej jako Maria Toscana Kelly. - Pokazał mi zdjęcie córki Daniela Kelly'ego na swoim laptopie, kiedy usiedliśmy z tyłu jego priusa. - Wyszła za włoskiego hrabiego, ale rzuciła go dwa lata temu i dołączyła do imperium tatusia. Powiedziałbym, że hrabia miał szczęście.

A więc mój instynkt mnie nie mylił.

- Próbują dostać się do mnie przez moich rodziców.

- A przez ciebie do nas. Kelly są na nas jeszcze bardziej wściekli, odkąd zastrzeliliśmy dwójkę ich ludzi w magazynie. To może być szansa, na którą czekamy.

Zed otoczył mnie ramieniem. Siedział prosto, świadom niebezpieczeństwa, które na mnie czyha.

- Nie możesz wykorzystać do tego Sky i jej rodziców, Vick. Victor zamknął pokrywę laptopa.

- W tej chwili bijemy głową w mur i nie wiemy nic na temat miejsca pobytu dwóch uciekinierów z więzienia. Cała rodzina powinna siedzieć za kratkami, a nie możemy tam zatrzymać nawet tych, których tam wsadziliśmy. To co najmniej frustrujące.

- Co mogę zrobić? - spytałam.

- Miałem zamiar poprosić cię, żebyś miała na sobie mikrofon, kiedy spotkasz się z Marią Toscaną Kelly.

- Ale to pułapka! - zaprotestował Zed. - Vick, ona nie może tego zrobić.

- Ale my już o tym wiemy, więc możemy odwrócić sytuację i zamiast tego złapać w pułapkę ich. Ci ludzie nie przestaną na nas polować, aż ich dopadniemy. Myślę o Sky tak samo jak o nas - ona jest jedną z nas.

Bawiłam się paskiem od mojego plecaka. Jeśli to zrobię, pomogę Benedictom. Jeśli nikt nic nie robi, nigdy nie będą mogli żyć normalnie. Chociaż tak mogłam im pomóc, bo coraz bardziej przerażało mnie bycie sawantem i dochodziłam do wniosku, że najlepszą rzeczą, jaką mogę zrobić - najbardziej bezpieczną - będzie ucieczka. Będę musiała powiedzieć Zedowi, że nie mam zamiaru być niczym więcej niż jego tymczasową dziewczyną. Wkrótce wrócę do Anglii i zostawię za sobą cały świat sawantów.

- Nie słuchaj go, Sky - powiedział Zed cicho.

- Ale mogę pomóc.

Zed wyglądał na zdeterminowanego.

- Wolę wiedzieć, że jesteś bezpieczna i zdrowa, nawet jeśli to oznacza, że moja rodzina wciąż jest w niebezpieczeństwie.

- Jaki z tego pożytek? Wszyscy będziemy w czymś w rodzaju więzienia, w którym szefem będzie Daniel Kelly.

- Boże, Sky, nie rób mi tego. - Zed oparł swoje czoło o moje. Jego zmartwienie przenikało do mnie czarnymi falami przetykanymi srebrnymi błyskawicami.

Był taki prędko, żeby mnie bronić; czas najwyższy, żeby pozwolił mi się odwzajemnić. Nie byłam delikatną damą w opałach, za jaką wydawał się mnie uważać Zed; miałam własny dar i własne plany. Skoro nie mogłam być odważnym partnerem, którego potrzebował, chciałam przynajmniej zyskać pewność, że on i jego rodzina nigdy nie zostaną skrzywdzeni przez Kellych.

- Nie, nie zrobię tego tobie, zrobię to *dla* nas wszystkich - dlatego że to właściwe. Nie chcę żyć ze świadomością, że nie zrobiłam nic, kiedy miałam okazję coś zmienić. Czyj jeszcze umysł Daniel Kelly obrabuje, jeśli nie pomogę go powstrzymać?

- Vick! - błagał Zed. - Nie możesz pozwolić, żeby coś jej się stało.

Victor poważnie skinął głową.

- Obiecuję. Jest jedną z nas, prawda? Nie pozwoliłbym tym świrom nas dopaść, więc nie pozwolę im też tknąć Sky. A ona nie pójdzie tam bez ochrony.

Zed wciąż był nieprzekonany. W pewnych sprawach był jak moi rodzice - uważał mnie za zbyt kruchą, by stawiać czoło groźnemu światu. Chciałam mu udowodnić, że nie ma racji. Dam sobie z tym radę.

- Jaką ochronę będę miała? - spytałam Victora. Zed nie chciał się na to zgodzić.

- Sky, cicho bądź. Nie zrobisz tego. Widziałem, co ci ludzie potrafią zrobić - nie pozwolę ci znowu się w to mieszać.

Uderzyłam go pod żebra - mocno.

- Nie masz prawa mówić mi, żebym była cicho, Zedzie Benedict. Zachowujesz się, jakby trzeba mnie było trzymać pod kloszem. Ja też widziałam złe rzeczy, wiesz o tym.

- Ale nie takie. Nie chcę, żeby cię to dotknęło.

- Więc jest w porządku, jeśli ty napełniasz sobie głowę tymi horrorami, ale ja już nie mogę?

- No, tak.

- To głupie i seksistowskie.

- Zed, potrzebujemy jej - dodał jego brat.

- Nie wtrącaj się, Victor - rzuciłam.

- Tak, psze pani. Spojrzałam na nich złowrogo.

- Chciałam wam to powiedzieć już od jakiegoś czasu. Potrzebujesz pomocy, Zed. Pomocy w poradzeniu sobie z tym, co zrzuciła ci na głowę twoja rodzina. Wiem, że jesteś przez to zły i sfrustrowany i wyżywasz się za to na innych, na przykład na nauczycielach, bo nie możesz osiągnąć ludzi, którzy zrobili te złe rzeczy...

Zed próbował mi przerwać.

- Poczekaj, Sky...

- Nie, to ty poczekaj, ja nie skończyłam. Tak się składa, że wiem więcej niż inni ludzie o tym, co złe doświadczenia mogą zrobić z głową. Potrzebujesz czasu, żeby poradzić sobie ze sobą, nie będąc wciąż zagrożonym przez Kellych. A żeby ci to dać, pojedę do Las Vegas, żeby... skopać tyłek Danielowi Kelly'emu.

- Dobrze powiedziane, Sky - pochwalił mnie Victor, ale Zed spojrzał na mnie złym wzrokiem.

- A teraz wróćmy do naszych spraw - powiedziałam szybko. - Jaką ochronę miałeś na myśli?

- To nie koniec, Sky - warknął Zed.

- Ależ tak. Victor, mówiłeś coś? Victor uśmiechnął się szeroko do brata.

- Dama podjęła decyzję, Zed. Na twoim miejscu przestałbym z nią dyskutować. Sky, popracuję z tobą nad twoją tarczą. Ostatnio była dość słaba. To były ściany w sypialni, prawda?

Skinęłam głową.

- Tym razem będą grube jak w zamku Windsor, a dookoła będzie fosa, OK?

Uśmiechnęłam się.

- Dobrze.

- Poza tym mam parę pomysłów na to, co możesz zrobić temu typkowi Seanowi, jeśli zacznie znów wysysać z ciebie emocje.

- Jeszcze lepiej.

Victor poklepał mnie po ręce.

- Lubię cię, Sky. Jesteś waleczną dziewczyną.

- Prawda? Słyszysz, Zed? Żadnych porównań do Bambi. Jestem rottweilerem z temperamentem.

- Bardzo małym rottweilerem - powiedział Zed, wciąż nieprzekonany.

Największym problemem zbliżającego się weekendu było, jak dużo na temat naszych uzgodnień powinni wiedzieć moi rodzice. Jako matka, Karla uważała, że trzeba powiedzieć im wszystko. Ja byłam przeciw. Wiedziałam, że natychmiast zabronią mi pojechać i odwołają spotkanie, dając tym samym znać Kellym, że jesteśmy na ich tropie. Victor zgodził się ze mną; w końcu postanowiliśmy, że

powinien on porozmawiać z Sally i Simonem i powiedzieć im, że ludzie stojący za moim porwaniem wciąż mogą tam na mnie czyhać. Miał jednak nie wymieniać z nazwiska Marii Toscany Kelly.

W piątek po południu, ostatniego dnia przed wyjazdem, leżałam zwinięta w kłębek na kanapie w domu Benedictów, obok Zeda, który oglądał mecz baseballa. Obejmował mnie ramieniem, a drugą rękę zanurzał w misce z popcornem. Pozostali członkowie rodziny usunęli się z pola widzenia, wiedząc, że Zed chciał spędzić ten czas sam na sam ze mną, zanim odprawi mnie do Vegas jutro rano. Mniej zainteresowana tajemnicami baseballa niż obserwowaniem go, wpatrywałam się w łuk jego szyi, linię szczęki i kształt nosa. Jak ktoś może być tak ostentacyjnie... no cóż, jedyne słowo, jakie przychodziło mi na myśl, to „przystojny”? To wydawało się nie w porządku wobec nas, przeciętnych śmiertelników. Sądziłam, że Zed jest zbyt zajęty oglądaniem gry, żeby zwracać uwagę na mnie, ale się pomyliłam. Zaczął się śmiać.

- Sky, znowu zachowujesz się niemądrze.
 - Chcesz powiedzieć, że jestem w ckliwym nastroju?
 - Chyba tak.
 - Ale ja lubię na ciebie patrzeć.
 - Próbuję oglądać baseball - to zajęcie jest święte.
- Przysunęłam się bliżej do niego. Jak długo jeszcze będę mogła tak leżeć?
- Ja cię nie powstrzymuję.
 - Ależ tak. Czuję twoje oczy na mojej twarzy, prawie jakbyś mnie dotykała.
 - Masz bardzo ładną twarz.

- Ależ dziękuję, panno Bright.

- Proszę, panie Benedict. - Odczekałam chwilę, po czym wyszeptałam: - Teraz powinieneś powiedzieć: „Pani twarz też jest niczego sobie”.

Zed odwrócił uwagę od ekranu i spojrzał na moją zwróconą ku niemu twarz.

- To jest do tego jakiś scenariusz? Gdzie, na stronie z romansami?

- Ha, ha. Jeden komplement wymaga drugiego w zamian. Zmarszczył brew i zamyślił się.

- No dobrze, a zatem, panno Bright, ma pani bardzo piękne... lewe ucho.

Rzuciłam w niego garścią popcornu.

- Pokpiłem sprawę? - spytał niewinnie. - Tak.

Odsunął amunicję z mojego zasięgu, położył nogi na kanapie i posadził mnie na sobie, tak że leżałam z głową na jego piersi, a nasze palce się dotykały. Palcami rysowałam małe kółka na jego piersi, ciesząc się z przechodzącego go dreszczu przyjemności. Był ode mnie taki inny - mocny tam, gdzie ja zawsze byłam drobna.

- Tak lepiej. Proszę mi pozwolić dodać, panno Bright, że ma pani najpiękniejsze na świecie lewe ucho, prawe ucho i wszystko, co leży pomiędzy nimi, a co właśnie mam przywilej oglądać. Szczególnie lubię pani włosy, chociaż prawdą jest, że są wszędzie. - Odsunął kosmyk moich włosów ze swoich ust.

- No cóż, skoro tak pan chce je całować.

- O tak. Będę musiał poprosić o wpisanie tego do konstytucji jako mojego osobistego, niezbywalnego

prawa. Dziś wieczorem wyślę w tej sprawie list do prezydenta.

- Hmm. - Odwróciłam głowę w stronę ekranu. - Jaki wynik?

- Kogo to obchodzi?

To była prawidłowa odpowiedź.

Leżeliśmy tak razem przez kilka minut. Czułam w sobie spokój, mimo tego co czekało mnie jutro. Czułam się pełna. Ale wtedy, idiotka, musiałam zacząć majstrować przy panującej między nami harmonii i sprawić, że pojawiło się między nami pęknięcie.

-Zed?

- Hmm?

- Nie uważasz, że ta próba ściągnięcia mnie z powrotem do Vegas jest dość łatwa do przejrzenia?

Poczułam, że się spina.

- Co masz na myśli?

- Rodzina Kellych - przynajmniej Daniel Kelly i Maria - zrobili na mnie wrażenie sprytnych. Na pewno zdają sobie sprawę, że ty będziesz chciał dalej mnie pilnować? Spodziewają się, że będziesz podejrzliwy wobec takiego niespodziewanego zaproszenia jak to.

Przesunął palcami po moim kręgosłupie, powodując serię impulsów elektrycznych w całym moim ciele.

- Tak, masz rację. Ale co by to miało znaczyć?

Wzruszyłam ramionami, żałując, że nie potrafię skoncentrować się na tym cudownym uczuciu, które u mnie powoduje, zamiast wciąż wracać do moich niespokojnych myśli.

- Nie mogę ich przejrzeć. Nie widzisz, co się stanie? Przez chwilę milczał.

- Nie. Widzę ciebie w Vegas, migawki z kasyna, ale nic więcej. Jak powiedziałem, nie kontroluję tego, co widzę, a poza tym ty, moja rodzina, czas, zbyt długi do tego, co ma się stać, to zbyt wiele niewiadomych. Nie mam wyraźnego obrazu.

- Co będzie, jeśli chcą mnie wykorzystać, żeby znowu ściągnąć tam twoją rodzinę? Mogą się domyślać, że Victor będzie pod ręką, żeby mnie chronić. Mogę narazić moich rodziców i twojego brata na prawdziwe niebezpieczeństwo.

- Zapominasz wspomnieć o sobie. Wiesz, że jestem przeciwny, żebyś to robiła. Jeśli masz wątpliwości, nie jest za późno, żeby się wycofać.

- Ale wtedy twoja rodzina wciąż byłaby zagrożona.

- Tak, byłaby.

- To nie w porządku.

- Nie, ale wierzę, że wykonujemy dobrą robotę, kiedy razem używamy naszych darów. To jest tego warte. Nikt w całej Sieci Sawantów nie potrafi zrobić tego co my.

Uniosłam się na łokciu.

- Nie mogłabym tak żyć. - Ześlizgnęłam się z niego i usiadłam na brzegu kanapy. Zed już się zameczał przez napięcie, które wywoływała w nim ta praca. Nigdy o tym nie mówił, ale mogłam się założyć, że ma koszmary na temat scen, które widział. Co zrobi, kiedy zda sobie sprawę, że nie zostanę z nim, bo bardziej niż Danielem Kellym jestem przerażona tym, co wiąże się z byciem przeznaczonym?

Musiał usłyszeć echo moich obaw, bo złapał mnie w pasie, żeby powstrzymać mnie przed tworzeniem dystansu między nami.

- Chcę, żebyś była szczęśliwa. Coś wymyślimy. Oczywiście, że nie.

- Teraz tak mówisz, ale na ludziach można się zawieść, wiesz?

- Próbowałam ostrzec go, żeby nie pokładał we mnie zbyt wielkich nadziei. - Świat się zmienia. Wątpię, żeby wielu ludzi zostawało ze swoimi szkolnymi miłościami.

Jego twarz spochmurniała.

- Teraz jesteś nie w porządku, Sky. Od kilku dni czuję, że jesteś wstrząśnięta tą sprawą z przeznaczonymi, ale oni nie mają nic wspólnego ze szkolnymi miłościami. Chodzi o coś głębszego.

Nadal siedzieliśmy obok, ale już nie zatopieni w sobie. Mogłam za to winić tylko siebie, bo to ja zrobiłam krok wstecz.

Spróbowałam mówić rozsądnie i dojrzałe.

- Myślę, że jestem w porządku. Podchodzę do tego realistycznie.

- To tak mnie widzisz? - Twarz Zeda zrobiła się zacięta, przypominając mi, że nie bez powodu miał reputację zabijaki. - Nie czujesz tego, co ja? Wciąż zamykasz się na swój dar?

Oczywiście, że to czułam - aż za bardzo. Przerazało mnie to.

- Nie wiem, co jest normalne, a co nie. Wiem, że cię kocham, ale po prostu nie mogę tego zrobić. - Pokazałam na nas.

- Rozumiem. - Usiadł i przeniósł się na drugi koniec kanapy. - No cóż, w takim razie obejrzę resztę gry, a ty myśl sobie o tym dalej.

- Zed, proszę. Muszę o tym porozmawiać.

Położył miskę z popcornem na kolanach.

- Rozmawiamy. Do tej pory ustaliliśmy, że jestem tylko jakimś chłopakiem, z którym się umawiasz. Uciekasz od cudu, który razem odkryliśmy.

Wykręciłam sobie dłonie. Nie chciałam sprawiać mu przykrości, ale jak miałam tego nie robić, kiedy walczyłam o moje emocjonalne przeżycie? Nie rozumiał, co było dla mnie stawką.

- Słuchaj, Zed, moi rodzice zabili się z powodu przeznaczonego mojej matki. Nie chcę, żeby historia się powtórzyła. Nie mam w sobie takiej siły. - Poklepałam się po głowie.

Zed skinął krótko głową.

- Rozumiem. Twoja mama i tata stracili to, więc my także. To nie ma absolutnie żadnego sensu, ale ty pewnie o tym wiesz. Ja widzę to tak, że twoi rodzice mieli problem, bo los spletał im złośliwego figla, a twoja mama uciekła od twojego taty, chociaż powinna była rozegrać to bardziej w porządku. Popełnili błąd, a ty za to zapłaciłaś.

Nie spodobało mi się, że skrytykował moją mamę za jej ucieczkę.

- Próbuję ci wyjaśnić, jak się czuję, Zed.

- A co z tym, jak ja się czuję, Sky? - Zgniół w dłoni garść popcornu, próbując zachować spokój. - Przeszedłbym dla ciebie przez płonące węgle. Co tam, dla ciebie stanąłem przed lufą nabitego pistoletu. Ale czy to wystarczy, żeby ci udowodnić, że cię kocham? Że dla mnie liczysz się tylko ty? Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić.

- Proszę, nie bądź zły.

- Nie jestem zły. Jestem rozczarowany. Boże, to jeszcze gorsze.

- Przepraszam.

- No cóż. - Udawał, że patrzy na grę, ale widziałam, że jego emocje krążą dziko między wściekłością i bólem.

Czułam się załamana tym, co właśnie zrobiłam. Zaofiarowałam mi miłość - coś wyjątkowego - jak jajko Faberge - a ja zaczęłam je rozbijać. Kiedy twój przeznaczony cię odrzuca, czujesz, jakby rozrywano cię na dwoje, ale nie wiedzieć czemu nie mogłam się powstrzymać. Raniłam go, bo byłam przerażona. Jak u wspinacza wysokogórskiego, który obciął sobie rękę, żeby się ratować, trochę bólu teraz było lepsze niż więcej cierpienia później, prawda? O Boże, miałam rację czy po prostu uciekałam?

Zagubiona i przestraszona, wyłączyłam telewizję.

- Hej! - Zed sięgnął po pilota.

- Daj mi tylko chwilę, potem będziesz mógł to włączyć. - Schowałam pilota za plecami. - Naprawdę mi przykro. To właśnie ja - nie jestem najbardziej pewną siebie osobą na świecie. Powiedziałeś kiedyś, że zawsze zachowuję się, jakbym była zdziwiona, że ktoś mnie lubi - ale ja naprawdę jestem zdziwiona. Nie spodziewam się, że ludzie będą mnie lubić - a co dopiero kochać. Po prostu nie czuję się godna miłości, a teraz widzisz dlaczego. Chyba miałeś pecha, że skończyłeś ze mną jako swoją przeznaczoną.

Zed przesunął ręką po twarzy i włosach, próbując zebrać myśli.

- Nie winię cię.

- Wiem, że nie. Widziałeś, co jest we mnie, bez żadnych upiększeń. - Zaśmiałam się z lekka histerycznie. Serce biło mi jak oszalałe: wszystko popsułam, ale nie mogłam zostawić go z myślą, że nie żywię do niego silnych uczuć. Może nie mogłam być tym, kim chciał, ale mogłam udo-

wodnic, że go kocham. - Powiedziałeś, że stanąłeś przed lufą nabitego pistoletu, żeby udowodnić, że mnie kochasz. Pewnie mogę zrobić to samo dla ciebie. Jutro jadę do Vegas - i robię to dla ciebie. Skoczył na równe nogi.

- Nie ma mowy!

Rzuciłam mu pilota, którego bezmyślnie złapał.

- Nie mam tak jasnego zdania jak ty na temat sawan-tów i oboje musimy z tym żyć. Po prostu nie mogę ryzykować bycia z tobą w ten sposób - chyba nie przeżyłabym takiego życia. - Wzięłam głęboki oddech. - Ale plan Victora to jedyny sposób, jaki przychodzi mi do głowy, żeby udowodnić ci, że mimo chaosu w mojej głowie, naprawdę cię kocham.

No i już - powiedziałam, co miałam powiedzieć. Nie potrafiłam przewidzieć odpowiedzi Zeda - jego emocje były splątane, a on bardzo długo milczał.

- Więc możesz... wracać do gry. Ja wracam do domu -położę się wcześniej spać.

Wyciągnął do mnie rękę.

-Sky?

-Tak?

- Wciąż cię kocham - bardziej niż kiedykolwiek. Poczekam, aż będziesz na to gotowa.

Poczułam się bardzo winna. Nigdy nie będę gotowa.

- Nie chcę, żebyś dla mnie wystawiała się na niebezpieczeństwo.

Założyłam rękę.

- Tak, jakoś się tego domyśliłam.

Przyciągnął mnie bliżej i swoją dużą dłoń objął mnie za tył głowy. Ciepło przeniknęło mnie aż do skóry.

- Porozmawiam z Victorem o twoich obawach. Będę nalegał, żeby pozwolił mi jechać. Lepiej przewiduję przyszłość tuż przed wydarzeniem, nawet jeśli ktoś próbuje mi w tym przeszkodzić. Mogę pomóc wyprzedzać kłopoty.

- Z bezpiecznej odległości?

- Z rozsądnej odległości. Wystarczająco blisko, żebym mógł ci pomóc, ale nie tak, żeby Kelly zyskali przewagę.

- OK. - Poglaskałam go dłonią po piersi w miejscu serca, milcząco przepraszając za ból, który mu powoduję. -Na to mogę się zgodzić.

Agentka FBI, którą poznałam kilka miesięcy temu, spotkała mnie w łazience na lotnisku McCarran w Las Vegas, żeby wyposażyć mnie w mikrofon.

- Cześć, Sky. Jestem Anya Kowalski. Pamiętasz mnie? - spytała, wyjmując narzędzia.

- Tak, oczywiście.

Uśmiechnęła się do mnie w lustrze. Jej gładkie, brązowe włosy błyszczały w świetle lamp.

- Doceniamy to, co dla nas robisz.

- Czy mogłaby się pani pospieszyć? Sally może przyjść mnie szukać w każdej chwili.

Agentka Kowalski wyszczerzyła się do mojego zmartwionego odbicia w lustrze.

-To niemożliwe. Lokalny reporter wypytuje ją o jej opinię na temat standardu lotniska. On nie puści jej tak szybko.

- Kim on jest?

- Jednym z naszych ludzi. - Wsunęła mały mikrofon za gumkę mojego stanika. - To powinno wystarczyć. Postaraj się nie zakrywać go za bardzo i pamiętaj, żeby niczym go

nie zagłuszać - torebką czy czymś takim - bo ludzie na nasłuchu dostaną bólu głowy.

- OK. To wszystko? Żadnej baterii ani kabla?

- Nie. Mikrofon ma swoje własne zasilanie i będzie działał przez około dwadzieścia cztery godziny. Kabel tylko by go zdradził.

- Ale on nadaje sygnał, prawda?

- Tak, przekazuje dźwięk. To, co słyszysz ty, słyszymy i my.

- Czy ktoś może się domyślić?

- Teoretycznie. Ale tylko jeśli śledzą wewnętrzne kanały FBI. Dotąd nie mieliśmy takich problemów.

- Ale jeśli Daniel Kelly już dostał informacje od jednego z was?

Skrzywiła się.

- To będziemy po uszy w kłopotach. Ale wydostaniemy ciebie i twoich rodziców, nie martw się.

Sally promieniała, kiedy do niej wróciłam.

-Ten młody człowiek był naprawdę zainteresowany moją opinią - opowiadała. - Powiedział, że całkowicie się zgadza, że lotnisko jest nijakie i przydałyby mu się tu jakieś wyzywające dzieła sztuki - może krowa Damiena Hirsta albo jego diamentowa czaszka - to w końcu Vegas.

- Może jeszcze świnia i łóżko Emin? - burknął Simon, który nie miał najlepszej opinii na temat instalacji. -Większość ludzi na lotniskach wygląda, jakby przydał im się porządny sen.

- Powinnam była o tym pomyśleć - odparła Sally, mrugając do mnie.

- Myślę, że bardziej właściwy byłby jeden z rozpuszczających się zegarów Dalego - dla międzynarodowych podróżnych czas jest jak ciągutka - zasugerowałam.

Moi rodzice zatrzymali się i popatrzyli na mnie zachwyceni.

- Co? - spytałam, zakłopotana.

- Ty rozumiesz sztukę! - wykrzyknęła Sally.

- No i co z tego?

Simon roześmiał się, zadowolony.

- A ja przez te wszystkie lata myślałem, że to do niej nie przemawia! - I dał mi soczystego buziaka.

- I tak nie zamierzam opryskiwać farbą nic niepodjeżdżających płócien - wymamrotałam, zadowolona, że dałam im powód do radości. Czułam się wystarczająco źle z tym, że pozwalałam im ślepo pakować się w niebezpieczeństwo.

- Nie oczekujemy tego. Właściwie to nawet ci tego zabramy. Wyobraź sobie, że mamy w rodzinie kolejnego roztrzepanego artystę.

Simon wziął pod rękę mnie i Sally i w rytmie walca wyprowadził nas z lotniska do oczekującego samochodu.

Kiedy sadowiłam się na tylnym siedzeniu, rzeczywistość tego, co się działo, uderzyła mnie ze zdwojoną siłą. Nie był to ten sam samochód, którym zawieziono mnie do magazynu, tylko niepozorna taksówka hotelowa, ale i tak poczułam, że przechodzi mnie dreszcz.

Zed?

Wszystko gra, Sky. Jesteśmy z Victorem dwa samochody za wami. Za chwilę się odłączymy i przekazemy was innemu agentowi, ale nie zgubimy cię.

Możemy rozmawiać w ten sposób?

Aż dojedziecie do hotelu. Domyślamy się, że Maria Kelly to druga po O'Halloranie specjalistka od tarcz, więc nie możemy ryzykować.

Powiedz mi jeszcze raz, jak dużo muszę z nich wydostać, żeby wkroczyło FBI?

Potrzebujemy, żeby przyznali, że są zamieszani w twoje porwanie albo że zrobili w tym czasie coś nielegalnego - na przykład sfalszowali twoje wspomnienia - to najbardziej prawdopodobne. Dodatkową cenną informacją byłaby jakakolwiek wzmianka o dwóch zbiegach z rodziny Kellych.

Jak mam doprowadzić do tego, że to powiedzą? - Teraz, kiedy musiałam wprowadzić w życie strategię, o której do tej pory tylko myślałam, wydawało się to dużo trudniejsze.

Zorganizowali wszystko, żeby cię tu sprowadzić, więc na pewno mają jakiś plan. Działaj po ich myśli tak długo, jak będziesz mogła. Domyślamy się, że spróbują rozdzielić cię z Sally i Simonem.

Mam im na to pozwolić?

Czułam, że Zedowi nie podobała się odpowiedź. W ten sposób będą bezpieczniejsi. O mnie się nie martw. Nie da się.

Skrećiliśmy w zadaszony podjazd do hotelu-kasyna Fortune Teller.

- No właśnie, tak się nazywa! - powiedziała Sally, strzelając palcami. - Wiedziałam, że ma coś wspólnego z wrózkami. - Wyglądziła swoją jedwabną apaszkę z motywem z Matissea i marynarkę z lekkiej wełny. - Dobrze wyglądam, Sky?

- Bardzo profesjonalnie - odparłam. Żał mi było, że wysiła się tak dla przestępców.

Simon zawsze wyglądał jak artysta, niezależnie od tego, w co się ubrał. Dziś miał na sobie swoją ulubioną, czarną

dżinsową kurtkę i dżinsy - to była jego prywatna wersja garnituru.

- Co za wspaniałe miejsce! - zachwycił się, kiedy przeszliśmy przez foyer z rzędami jednoręcznych bandytów i kelnerkami odzianymi w skąpe cygańskie stroje. Hol przypominał labirynt - z jednej strony dużo sklepów sprzedających tanie drobiazgi, a zaraz obok butik z ekskluzywnymi produktami. - Tak całkowicie bez gustu, to jak dzieło sztuki samo w sobie.

Po naszej prawej stronie rozbrzmiał klakson i monety zaczęły wypadać z maszyny na kolana rozentuzjasmowanego mężczyzny w świecącym niebieskim dresie. Na chwilę zapadła cisza, kiedy gracze zerknęli w stronę szczęściarza, po czym wszystko wróciło do normy.

- Chciałabym namalować te twarze - mówiła Sally, przyglądając się kobiecie siedzącej na stołku przy maszynie z obrazkami owoców. Na jej twarzy malowała się desperacja. - Można tu wyczuć jednocześnie nadzieję i jej brak. Brak naturalnego światła sprawia wrażenie, jakbyśmy byli w krainie cieni, prawda? W świecie zagubionych dusz.

Kraina cieni? Sama myślałam raczej o piekle z rodziną Kellych w roli panujących demonów.

Chłopiec hotelowy zaprowadził nas do wind.

- Pani Toscana czeka na państwa w swoim biurze - wyjaśnił. - Zachodnia Wieża, trzecie piętro.

Winda z lustrami zawiozła nas na antresolę. Balkon wychodził na główną salę kasyna, w którym toczyły się rozgrywki w różne gry, od ruletki po pokera. Jako że było wczesne popołudnie, większość ludzi ubrana była swobodnie i panował nastrój odprężenia. Spodziewałam się wyra-

finowania rodem z Jamesa Bonda, a zobaczyłam nadmorski park rozrywki. Pokrywające stoły sukno lśniło jasną zielenią fałszywej nadziei. Plastikowe żetony reprezentujące miliony dolarów pogłębiały złudzenie, że to wszystko jest tylko nieszkodliwą zabawą. Nasz przewodnik zaprowadził nas do podwójnych drzwi z napisem „Dyrektor” na żelaznej tabliczce. Kiedy przez nie przeszliśmy, krzykliwy wystrój hotelu mającego za patronkę wróżkę został za nami; znaleźliśmy się w otoczeniu cichym i urządzonym ze smakiem. Elegancka biała sofa w kształcie litery L dla gości; świeże kwiaty na niskim szklanym stoliku; schludnie ubrana sekretarka, która przywitała nas i zaprowadziła do pokoju szefowej.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłam, była seria ekranów pokazujących, co dzieje się w każdej części hotelu. Były tam zbliżenia stołów karcianych i bardziej ogólny widok na wspólną przestrzeń hotelową. Potem zauważyłam Marię Kelly stojącą w oknie z wyciągniętą ręką i spoglądającą na atrium. Aż się zjeżyłam: była ucieleśnieniem zła i chciałam, żeby trzymała się z dala od moich rodziców.

- Simon, Sally, cieszę się, że mogę poznać was osobiście po naszych rozmowach przez telefon. A to pewnie jest Sky?

Jej uśmiech był przyjazny, ale emocje mówiły co innego: błyszczały chłodną, niebieską kalkulacją z czerwonym odcieniem przemocy. Miałam nadzieję, że moja twarz nie zdradza uczucia obrzydzenia na jej widok. Musiałam udawać, że wciąż nic nie pamiętam.

- Tak, to ona - odparł Simon. - Dziękujemy za zaproszenie.

Wskazała nam trzy krzesła stojące po drugiej stronie biurka.

- Miałam nadzieję, że ten weekend będzie dla was okazją, by zrozumieć moje hotele, to, jakich klientów obsługujemy i jakie mogą być ich gusta artystyczne. Jak zobaczycie, nasze pokoje mają standard od ekonomicznych do ekskluzywnych i preferencje naszych gości obejmują równie szeroką skalę.

Ta oferta była nieprawdziwa - widziałam to teraz w błyszczących dookoła niej żółtych światłach. Podobało jej się rozwijanie opowieści, jakby była kotem igrającym z myszami.

- Opracowałam dla was cały program. Jeden z moich asystentów będzie miał za zadanie służyć wam pomocą. Ale to na pewno musi wydawać się nudne waszej córce.

- Sky jest szczęśliwa, że mogła z nami przyjechać - odpowiedziała Sally. - Nie będzie nam przeszkadzać.

- Nie, nie, to nie będzie potrzebne. Pomyślałam, że może wolałaby zobaczyć, co Vegas oferuje młodym ludziom.

Simon poruszył się w krześle.

- Naprawdę, proszę pani, to bardzo miło z pani strony, ale wie pani, przez co Sky ostatnio przeszła. Nie chcemy zostawiać jej samej w obcym miejscu.

- Oczywiście, zgadzam się z panem. Dlatego poprosiłam mojego młodszego brata, żeby poświęcił jej trochę czasu. Jestem pewna, że miło spędzą czas. Może mogliby obejrzeć popołudniowe przedstawienie. Cirque du Soleil jest cudowny - nie można tego przegapić!

Wizja miłego spędzenia czasu według Seana Kelly ego to pozbawienie mnie emocji i wprowadzenie zamętu w mojej głowie. A więc taki był plan: rzucić mnie na pożarcie Seanowi, podczas gdy moi rodzice będą oprowadzani po hotelu.

Miałam tylko nadzieję, że Victor i Zed to wszystko słyszą i wkroczą, zanim sprawy posuną się za daleko.

- Miałabyś na to ochotę, kochanie? - spytała Sally.

- Mogę pójść - odpowiedziałam, niezdolna, by zmusić się do podziękowania Marii.

- Wspaniale. - Zmarszczki wokół oczu Sally ułożyły się w pełnym ulgi uśmiechu. - A więc spotkamy się tutaj wieczorem na kolacji, kochanie.

- Zarezerwowałam dla nas moją prywatną salę, żebyście mogli poznać pozostałych członków zarządu. - Uśmiechnęła się Maria, ukazując rząd drogich zębów. - Ale Sky może będzie wołała zjeść burgera z Seanem. Czeka na nią na zewnątrz. Mam kilka spraw zawodowych, które chciałabym przedyskutować z twoimi rodzicami, Sky. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

- Dobrze. - Była prawdziwą krową - wysyłała mnie gdzieś z tym świrem, a udawała, że robi mi przysługę. - Do zobaczenia później.

- Będziemy improwizować - stwierdził Simon radośnie. - Wróc do nas, kiedy będziesz miała ochotę, skarbie.

Niechętnie wstałam. Jedną pozytywną stroną tego planu był fakt, że moi rodzice będą z dala od niebezpieczeństwa. Sprawdziłam, że mam w kieszeni mój nowy telefon. Victor dał mi go dziś rano, mówiąc, że wpisał tam na wszelki wypadek swój numer i inne telefony alarmowe.

-Miej telefon włączony, Simon. Zadzwonię, kiedy skończę zwiedzanie.

- Nie spiesz się, jeśli będzie ci się podobać, kochanie. -Sally uśmiechnęła się porozumiewawczo do Marii.

To było bardzo mało prawdopodobne - chyba że zobaczą naszych gospodarzy w kajdankach.

Zapomniałam, jak bardzo odpychający był Sean w rzeczywistości. Nie chodziło o to, że miał nadwagę - mógłby być przecież przyjazny i jowialny - ale miał wilgotne dłonie, fałszywy uśmiech i mały wąsik, który wyglądał jak jakiś robal.

- Sky Bright? Miło mi cię poznać. - Wyciągnął do mnie rękę, którą musiałam przyjąć, ale puściłam ją tak szybko, jak mogłam.

- Cześć. Ty jesteś Sean, prawda?

- Tak. Maria poprosiła, żebym się tobą zaopiekował. *No pewnie.*

- Co chciałabyś zobaczyć najpierw? Stoły? - Zaprowadził mnie do wind.

- Wolno mi grać? Myślałam, że nie jestem pełnoletnia. Sean mrugnął do mnie.

- Powiedzmy, że zorganizowaliśmy to specjalnie dla ciebie. Dostaniesz kilka żetonów na koszt hotelu i będziesz mogła zagrać, nie tracąc nic ze swoich własnych pieniędzy. Jestem hojny - pozwolę ci zatrzymać wygraną.

- To bardzo miło z twojej strony. *Wcale nie.* Zaprowadził mnie do kasy i wyciągnął żetony warte tysiąc dolarów.

- To powinno wystarczyć na początek.

- Nie znam zasad żadnej gry karcianej.

- Więc spróbujmy ruletki - to dziecinnie proste. Wszystko, co się działo, było jak ruletka. Czarne czy

białe? Czy wygramy my, czy rodzina Kellych?

- OK. Brzmi świetnie - odpowiedziałam z udawanym entuzjazmem.

Gładko przegrałam połowę sumy przez złe obstawianie, po czym wygrałam jedną czwartą z powrotem jednym szczęśliwym trafem. Zaczynałam rozumieć, dlaczego od

tej gry można się uzależnić. Istniała nadzieja, że następny obrót koła przyniesie szczęście. Nie potrzeba było umiejętności; tylko uśmiechu losu.

- Jeszcze raz? - spytał Sean, zgarniając dla mnie moją wygraną.

- OK. - Postawiłam prawie wszystkie moje pieniądze w zewnętrznym zakładzie na liczby parzyste.

Przegrałam.

- Hej ho - westchnęłam, próbując nie przejmować się tym, że wszystkie te pieniądze wracają na konto hotelu. To tylko złoto Leprokonusów, jak w *Harrym Potterze*.

Postaw wszystko na piętnastkę - szepnął Zed.

Ukryłam uśmiech za dłonią. Wiedziałam, że w grach hazardowych będzie nie do pobicia. Postawiłam pozostałe żetony na piętnastkę. Sean pokręcił głową.

- Jesteś pewna, Sky? Taki zakład nazywa się zakładem na pojedynczy numer - to ryzykowny ruch.

- Tak, lubię niebezpieczne życie - uśmiechnęłam się do niego bezczelnie.

Pozostali uczestnicy zaśmiali się wyrozumiale, widząc mój entuzjazm debutantki.

- Dobrze - odezwał się, przeciągając, pocziwy mężczyzna z Teksasu w kowbojskim kapeluszu - jeśli ta młoda dama mówi, że czarna piętnastka jest szczęśliwa, postawię moje pieniądze tam, gdzie ona. Trzydzieści pięć do jednego - bardzo małe prawdopodobieństwo wygranej.

Z delikatnego pomarańczowego blasku wokół mężczyzny domyśliłam się, że starał się on tylko poprawić mi samopoczucie po mojej pochopnej decyzji. Wychodził z założenia, że „nieszczęście lubi towarzystwo” i będzie mi rażniej, kiedy już wszystko przegram.

- Proszę mi zaufać - odezwałam się do niego poważnie. - Mam dobre przeczucia.

Ze śmiechem rzucił okazałą kupkę pieniędzy na piętnastkę. Kilka innych osób dało się wciągnąć w zabawę i zaryzykowało postawienie jednego żetonu albo dwóch na ten sam kwadrat.

Z pewnym siebie uśmiechem krupier zakręcił dużym kołem i rzucił kulką.

- Grasz pierwszy raz, kochana? - spytał Teksańczyk, zakładając palce za szlufkę paska.

-Tak.

- Masz ładny akcent.

- Jestem z Anglii.

- Miło mi cię poznać. A teraz, młoda damo, nie przejmuj się, kiedy stracisz pieniądze - potraktuj to jak lekcję. Żałuję, że tego nie zrobiłem, kiedy byłem w twoim wieku. Miałbym miły apartament na Florydzie, gdybym nie zmarnował pieniędzy w takich miejscach jak to.

Uśmiechnęłam się i kiwnęłam głową, ponownie zwracając uwagę na zwalniające koło.

Kulka podskoczyła, zaterkotała i wpadła do swojej przegródki. Krupier spojrział w dół i przełknął ślinę.

- Czarna piętnastka!

Wszyscy przy stole wydali okrzyk, oprócz mnie. A potem...

- I-haaaa! - Teksańczyk wyrzucił kapelusz w powietrze. Następnie podniósł mnie wysoko w górę, okręcił w kółko i pocałował w oba policzki. - Szczęście przynosi dziewczyna i oto ona!

Nasza wspólna wygrana była imponująca. Odeszłam z prawie pięcioma tysiącami dolarów, Teksańczyk z kilkoma setkami tysięcy - to wszystko ku przerażeniu Seana.

- Obieca mi pan, że wyda to na mieszkanie na Florydzie? - spytałam Teksańczyka, który przedstawił mi się jako George Mitchell Trzeci. Widziałam już, jak oddaje całą sumę Kellym jednym nieudanym zakładem.

- Obiecuję, kochana. Więcej, nazwę je na twoją cześć. Jak się nazywasz?

- Sky Bright.

- Doskonale. Jasne niebo, nadchodzę. - Z machnięciem kapelusza ruszył do kasy, podciągając spodnie za pasek.

Jako że gracze to przesądna grupa, natychmiast okrzykli mnie, prosząc o odpowiedź, na co postawić w następnym obrocie. Sean pociągnął mnie za rękę.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli już pójdziemy - powiedział gładko. Jego aura pulsowała wściekłą czerwienią.

- OK. Jeśli chcesz - odparłam słodko.

- Upewnię się, że dostaniesz swoją wygraną. Czek będzie w porządku?

- Taak... na moich rodziców, proszę. Jeszcze nie otworzyłam własnego konta w Stanach.

- Świetnie. - Jego uścisk na moim ramieniu był daleki od delikatności, zdradzając, że Sean tracił nad sobą panowanie. Próbował obrócić to w żart. - Powinienem cię stąd wyprowadzić, zanim rozbijesz bank. Może teraz pójdziesz zrujnować jakichś innych graczy?

Czy to znaczy, że podejrzewał mnie, że użyłam mocy sawantów, żeby wygrać w ruletkę?

- Myślę, że mam już dość. To tylko szczęście początkującej. Nie chcę więcej ryzykować.

Sean opanował się i wrócił do roli.

- OK, w takim razie chodźmy coś zjeść. Mamy doskonałą restaurację na najwyższym piętrze, z widokiem na

Czerwony Kanion. Tylko zostawię twoje żetony w kasie.
-Skierował się do okienka. Z otaczającej go aury satysfakcji widziałam, że nie miał najmniejszego zamiaru wypłacić mi ani centa.

Mimo ryzyka nie mogłam się oprzeć, by nie sprawdzić, czy Zed wciąż mnie słucha. Maria Kelly pewnie jest zajęta, czyż nie?
Widziałaś?

Tak. Wciąż nie mogę przestać się śmiać - dobra robota, skarbie. Nie mogłem się powstrzymać, żeby ci nie podpowiedzieć - Victorowi nie jest do śmiechu.

Jego głos w mojej głowie uspokajał mnie, zmniejszał mój strach.

Jedno z moich lepszych dokonań - dzięki tobie.

Zapadła cisza.

Muszę kończyć. Victor mówi, że Daniel Kelly jest na samej górze. Myślmy, że to już.

Chcą znowu wymazać mi wspomnienia z umysłu?

Bardzo prawdopodobne, ale nie pozwolimy na to. Nie zapomnij o mocnej tarczy. Ustawiamy się na pozycjach, mamy ekipę piętro niżej, która udaje sprzątaczy.

Gdzie jesteś?

Blisko. Lepiej przestańmy już rozmawiać, zanim Sean podsłucha.

On chyba nie da rady, ale Maria może być gdzieś blisko. Ona jest bardziej potężną sawantką, według mnie. Więc musimy przerwać. Uważaj na siebie. Ty też.

Podróż do góry windą była jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłam. Musiałam ukrywać fakt, że mdliło mnie ze zdenerwowania - zbyt dobrze pamiętałam, co stało się ostatnim razem, kiedy znalazłam się sama z Danielem Kellym i jego synem.

- To na co masz ochotę? Mają dobre kanapki klubowe - odezwał się Sean, zacierając ręce. Potrzebował tylko czarnego płaszcza, żeby zaśmiać się „ha, ha, ha” jak prawdziwy czarny charakter. Uznałam to za żalosne.

- O tak, brzmi super.

- Podoba ci się Vegas?

- Jest wyjątkowe. Prychnął.

- O tak. Plac zabaw dla dorosłych.

- Uczysz się w college'u?

- Nie. Od razu włączyłem się w rodzinny interes.

- Hotele?

- I inne rzeczy.

Wolał te inne rzeczy - wymuszenia haraczy i przemoc. Czułam, że myśli o sobie jako o następcy ojca. Tak napraw-

dę, wzbudzał raczej politowanie - brakowało mu charakteru jego ojca i siostry. Naprawdę przerażający był tylko wówczas, kiedy groził, że wyssie ze mnie emocje.

Drzwi windy otworzyły się na zbyt znajomy korytarz. Nie mogłam się powstrzymać i zawahałam się, zanim wysiadłam.

- Jakiś problem?

- Yyy... Nie, chwilowe deja-vu.

Pogładził się po wąsiku, żeby ukryć uśmiezek.

- Znam to uczucie. Słuchaj, Sky, chciałbym cię tylko przedstawić mojemu ojcu; to on zarządza rodzinnym biznesem. To nie zajmie dużo czasu. Zgadzasz się?

Wsadziłam ręce do kieszeni i szybko zerknęłam w dół, żeby sprawdzić, czy w moim dekolcie nie widać mikrofonu.

- W porządku.

Robię to dla Zeda - powiedziałam sobie, kiedy poszłam za Seanem do sali konferencyjnej.

Daniel Kelly czekał na nas u szczytu stołu, tak jak wtedy, kilka tygodni temu.

- Ach, Sky, miło cię znów widzieć. - Wstał i zamknął drzwi machnięciem ręki przy pomocy telekinezy.

Usłyszałam szcęk zamka.

Jak to? Nawet nie próbował ukryć, że jest sawantem.

- My się poznaliśmy? - spytałam, mając nadzieję, że wydaję się autentycznie zdumiona.

- Możesz już przestać udawać. Dobrze wiem, że FBI przysłało cię tutaj w próżnej nadziei, że powiemy coś, co nas pogrąży. Ale to się nie stanie.

Więc czemu tak mówił? Nie mogłam się powstrzymać, żeby jeszcze raz nie zerknąć w dół.

- Możesz zapomnieć o mikrofonie. Maria zakłóca połączenie. Będą słyszeć tylko szумы. Sean, gdzie twoje maniery? Wskaż naszemu gościowi krzesło.

Sean złapał mnie za ramiona i popchnął na krzesło stojące przy oknie.

- Co od niej czujesz? - spytał Daniel Kelly, bębniąc palcami po skrzyżowanych ramionach.

- Pewność siebie zniknęła. - Sean głęboko wciągnął powietrze. - Jest tylko strach - cudowny strach.

- Bierz, ile chcesz - stwierdził jego ojciec. - Dość nas kosztowała przez ten numer, który wykrciła w kasynie.

Zadrzałam, kiedy Sean schylił się do mojej szyi i potarł swój policzek o mój. Czułam się jak opona, z której umyka powietrze. Zupełnie zapomniałam o treningu, który przeszłam z Victorem; nie potrafiłam sobie przypomnieć, co powinnam robić. Strach narastał; trzęsłam się w niekontrolowany sposób. Co gorsza, nie czułam już Zeda blisko siebie. Wszystkie najbardziej przerażające momenty w moim życiu wydostały się na powierzchnię: kłótnia moich rodziców, bicie Phila, porzucenie, strzelanina w lesie, magazyn.

- Cudowne - mamrotał Sean. - Jest jak dobre wino - oszałamiająca i mocna.

Daniel Kelly stwierdził, że dość już mu pobłażał.

- Przestań, Sean. Chcę, żeby była przytomna.

Sean pocałował mnie spoconymi ustami w brodę i wstał. Czułam się ociężała i pusta, jakby cała energia uleciała ze mnie razem z emocjami. Objęłam się ramionami.

Myśl - rozkazałam mojemu rozczłonkowanemu umysłowi. *Jest coś, co możesz zrobić. Zamek Windsor.*

Ale moja tarcza była jak domek z kart i rozpadła się przy pierwszym uderzeniu.

- Jeśli się nie mylę, FBI spróbuje dostać się na to piętro, więc nie mamy dużo czasu. Niestety, Sky, niedługo zdemolujesz hotel, jako że twoje wątpliwe zdrowie psychiczne całkiem cię opuści. Złapiesz ten pistolet - wskazał na pistolet leżący na stole - i zaczniesz uciekać przez kasyno, strzelając do niewinnych gości. FBI będzie musiało cię zastrzelić, żeby cię powstrzymać - poświęcić jednego pionka ze swoich. Poetyckie, nieprawdaż?

- Nie zrobię tego.

- Zrobisz. Oczywiście będą podejrzewać prawdę, ale nie będzie żadnych dowodów, skoro ty będziesz martwa.

-Nie.

- Jakie to smutne dla Benedictów. - Przysiadł na brzegu stołu i zerknął na zegarek. - Widzisz, Sky, stwierdziłem, że zrobienie z nich narzędzia twojej śmierci będzie najlepszą zemstą. Będą musieli żyć z tą świadomością. To na zawsze ich unieszkodliwi, a FBI nie ośmieli się znowu ich wykorzystać.

Musiałam wziąć się w garść. Victor powiedział mi, co zrobić, jeśli znowu będą chcieli napaść na mój umysł. Musiałam zrobić to dobrze, bo tym razem zależało od tego nie tylko moje życie. Nie mogłam sobie wyobrazić nic bardziej przerażającego niż spowodowanie śmierci innych osób. Daniel Kelly mi tego nie zrobi. Nie zgadzam się na to.

Zacisnęłam ręce na oparciu krzesła i zaczęłam wyrzucać z siebie fale energii. Stół się zatrzęsł; szklana karafka przesunęła się na jego brzeg i rozbiła się na podłodze; w oknach pojawiły się rysy i zaczęły wędrować w kierunku sufitu.

-Przestań! - powiedział Kelly ostro i spoliczkował mnie. - Maria! Sean, wyssij z niej moc!

Maria wpadła do środka, podczas gdy Sean ponownie pochylił się ku mojej szyi. Tym razem poczułam go, zanim zdążył zacząć pozbawiać mnie emocji. Wyrzuciłam z siebie jeden impuls gniewu, trafiając go w umysł, jakbym uderzyła go pięścią w twarz. Odsunął się.

- Co u...! - Sean złapał się za głowę. Z nosa leciała mu krew. - Ty mała więdźmo!

- Maria, zrób coś! - rozkazał Daniel Kelly, kiedy panele sufitowe zaczęły spadać na podłogę.

Maria wyrzuciła w moim kierunku obie dłonie. Poczułam, jakbym uderzyła w ścianę po swobodnym upadku ze wzgórza. Cisnęło mną o krzesło, aż upadłam razem z nim na podłogę. Mój atak został przerwany.

- Nasza mała sawantka nauczyła się, jak korzystać ze swojej mocy, tak? - Machnięciem dłoni Daniel Kelly wyprostował moje krzesło. - Przecież nie myślisz, że naprawdę dorównasz naszej trójce, co? Nie, widzę po twoich oczach, że nie. Wciąż czekasz, aż twoja kawaleria wpadnie tutaj i cię uratuje, ale zła wiadomość jest taka, że tego nie zrobią. To piętro jest zablokowane, a oni nie mają przepustki. Zanim dostaną, całe przedstawienie przeniesie się do kasyna. - Złapał moją głowę w swoje dłonie i ścisnął. -A teraz usiądź i odpręż się. To nie zajmie dużo czasu.

Następną rzeczą, jaką pamiętałam, było wyjście z windy do holu hotelowego. Pianista siedział przy swoim instrumencie i przygrywał piosenkę o tym, że ludzie potrzebują się nawzajem. Ale ja nie potrzebowałam nikogo. Chciałam ich zastrzelić, prawda?

Weszłam do kasyna z pistoletem schowanym za plecami pod koszulką.

- Hej, to Szczęśliwa Dziewczyna! - Natychmiast był przy mnie George Mitchell Trzeci.

- Co ty tu wciąż robisz, George? - spytałam. Czy jego też miałam zabić? Poczułam, że pot spływa mi po twarzy. Otarłam go wierzchem dłoni.

- Tylko żegnam się ze stołami. Przysięgałem ci, że nie wrócę tutaj, i dotrzymam słowa.

- To dobrze, George. Lepiej już idź.

- Tak, siodłam konia i odjeżdżam. - Zasalutował przede mną, po czym przyjrzał mi się uważniej. - Ty nie wyglądasz dobrze, kochana.

- Dziwnie się czuję.

- Idź się położyć. Spocznij sobie. Mogę kogoś dla ciebie znaleźć?

Podrapałam się po głowie. Kogoś szukałam. Zeda. Był gdzieś blisko.

- Twoich rodziców?

Artystów. Sztuka. *Me wiedziałam, że rozumiesz sztukę.* Starzy Mistrzowie. Warstwy. To było ważne, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, dlaczego. Obrazy przepływały przez mój mózg, jakby poruszał nimi wiatr, jak w jednym z moich komiksów, i otwierał go na przypadkowych stronach.

- Nic mi nie jest. Za chwilę pójde do pokoju.

- Zrób tak, kochana. Miło było cię poznać.

- Ciebie też, George.

Odwrócił się do mnie plecami i odszedł kowbojskim krokiem.
Zastrzel go.

Nie!

Wyjmij pistolet i zastrzel go.

Moja ręka przesunęła się do pistoletu za pasem, palce znalazły kolbę, odbezpieczyły broń. Wtedy ktoś krzyknął - Maria Kelly podbiegła do ochrony i wskazała na mnie.

- Ona ma pistolet! - krzyknęła.

Spojrzałam na moją dłoń. No tak, miałam. Miałam przecież biec i strzelać w przypadkowe cele. *Zrób to.*

Starzy Mistrzowie. Fałszywe wspomnienia. Zdrapywanie.

Ochrona włączyła alarm. Stałam, niezdecydowana, pośrodku kasyna, podczas gdy gracze szukali schronienia. Jednoreki bandyta zaczął wyrzucać wygraną pustemu stołkowi.

- Rety, kochana, nie chcesz z tego strzelać! - zawołał George, bezpiecznie schowany po drugiej stronie stołu do pinballa.

Mój mózg krzyczał, żebym zaczęła działać. Nie mogłam się powstrzymać - uniosłam lufę w kierunku sufitu i nacisnęłam spust. Odrzut był niewiarygodny, poczułam szarpnięcie w nadgarstku. Żyrandol roztrzaskał się w drobny mak. Jak mogłam to zrobić? Byłam uwięziona w koszmarze, w którym nie kontrolowałam już swojego ciała ani umysłu.

Dobrze - teraz celuj w ludzi.

Nie, to było złe. Nienawidziłam broni. Popatrzyłam na wielką czarną rzecz w mojej ręce, jakby była rakowym naroślem. Chciałam je odrzucić, ale mój mózg krzyczał, żebym zaczęła strzelać.

Nagle do kasyna wpadło FBI, które zdążyło zbiec z górnych pięter hotelu, i odepchnęło ochronę na bok. Musia-

łam wyglądać dziwnie, kiedy tak stałam pośrodku pustej podłogi otoczona rozsypanymi kartami i żetonami, kręcącym się kołem ruletki i niepróbująca się nawet bronić.

- Rzuć broń, Sky! - zawołał Victor. - Nie chcesz tego robić. To nie ty.

Spróbowałam rzucić pistolet, ale moje palce nie chciały się rozwinąć, a mój mózg nie słuchał rozkazu.

Zwróć broń na siebie. Powiedz, że się zastrzelisz, jeśli podejda bliżej. - Słowa Daniela Kelly'ego spowodowały, że uniosłam lufę w kierunku mojego ucha.

- Nie podchodźcie bliżej - powiedziałam drżącym głosem.

Po mojej lewej stronie rozległ się krzyk. Ochrona powstrzymywała moich rodziców, którzy próbowali się do mnie dostać.

- Sky, co ty wyprawiasz? - krzyknęła Sally z twarzą pobladłą ze strachu.

- Dalej, skarbie, rzuć broń. Potrzebujesz pomocy. Nikomu nie stała się krzywda - sprowadzimy dla ciebie pomoc - powiedział Simon zrozpaczony.

Ale ich słowa do mnie nie docierały. Silniejsze były szepty, że powinnam z tym skończyć, ukarać Benedictów za to, że mnie wykorzystali.

- Niech nikt się nie zbliża! - Moje palce zacisnęły się na spuście. Wydawało się, że nie ma innego wyjścia.

Wtedy Zed wyszedł zza pleców Victora, odtrącając brata, który próbował go zatrzymać.

- Mnie nie zastrzeli - odparł spokojnie, chociaż jego aura była czerwona od gniewu.

Czy był na mnie zły? Zrobiłam coś złego, prawda? Nie, on nie jest zły na mnie. Jest zły na kogo innego. Na Kellych.

Zed podszedł do mnie.

- Już drugi raz stoję dla ciebie przez lufą nabitego pistoletu, Sky. Musimy przestać się tak spotykać.

Żartował sobie ze mnie? Groziłam, że się zabiję, a on dowcipkował? To nie ten scenariusz. Ludzie mieli uciekać w przerażeniu - a ja miałam zginąć od pocisków.

- Nie powinieneś tu być, Zed. - Gorączkowo szukając czegoś, co w tym szaleństwie miało sens, upajałam się jego widokiem - szerokie bary, mocne rysy, głębokie, niebiesko-zielone oczy.

- Sky, musisz zrozumieć, że odkąd cię znalazłem, nigdzie sobie nie pójdę. Głęboko w środku sama tego nie chcesz. Przeznaczeni nie zadają sobie bólu. Nie możemy, bo to jakbyśmy zadawali ból samym sobie.

- Przeznaczony? - Co ja robię? Wewnętrzny przymus, żeby nacisnąć spust, rozplynał się jak lód na słońcu. To wszystko wydawało mi się złe, bo to nie mój scenariusz. Moje przeznaczenie stało przede mną. Zed kochał mnie tak bardzo, że ryzykował, że go zastrzele. Mój przeznaczony. Kelly nie wiedzieli, że mam moc, której nie mogą pokonać; już zostałam odnaleziona - udało mi się ochronić ten sekret, kiedy zniszczyli wszystkie moje tarcze. Rozpoznanie mojego przeznaczonego przebiło się przez wszystkie fałszywe warstwy z siłą, której nawet wytrawny sawant nie mógłby powstrzymać.

Wszystko stało się jasne. Moje palce puściły kolbę pistoletu i pozwoliły mu upaść na podłogę.

Wzruszyłam ramionami, trzęsąc się jeszcze.

- Yyy... co mogę powiedzieć? Przepraszam?

Zed przebiegł ostatnie metry i mocno mnie przytulił.

- Kelly znów namieszali ci w głowie?

Ukryłam głowę na jego piersi.

-Tak. Miałam was ukarać i albo sama się zastrzelić, albo zostać zastrzelona przez FBI.

- Sprytne - ale nie udało im się pokonać mojej dziewczyny.

- Mało brakowało.

- Nie! - Daniel Kelly wpadł do kasyna z Marią i Seanem po obu stronach, spragniony nagrody pocieszenia, skoro główna mu uciekła. - Oskarżam tę dziewczynę. Groziła moim gościom pistoletem - strzelała do mojej własności -przerwała ludziom grę. Proszę ją aresztować.

Moi rodzice stanęli przy mnie, zanim zdążyli to zrobić Kelly.

-Co się dzieje, Sky? - Simon wyglądał, jakby miał uderzyć pana Kelly ego.

- Sally, Simon, poznajcie Daniela Kelly ego i jego rodzinę. - Machnęłam ręką w ich kierunku. - To oni porwali mnie ostatnim razem. Dziś po południu próbowali zrobić mi pranie mózgu i zmusić, żebym zaczęła tutaj strzelaninę.

- Dziewczyna jest nienormalna. Już spędziła miesiąc w szpitalu psychiatrycznym. Nie można jej ufać. - Daniel Kelly wyciągnął swój telefon i zaczął dzwonić do swojego prawnika. - Musi zostać zamknięta dla zapewnienia porządku publicznego.

Victor podniósł pistolet przez chusteczkę i wrzucił go do torby na dowody.

- Bardzo interesujące, panie Kelly, ale pozwolę sobie się nie zgodzić. Wydaje mi się, że Sky ma rację, kiedy mówi, że nią manipulowaliście.

Sally wyglądała na przerażoną.

- Chce pan powiedzieć, że ją narkotyzowali albo... co? Zahipnotyzowali?

- Właśnie tak, proszę pani.

- Nie macie żadnych dowodów - powiedziała Maria Toscana z ironicznym uśmiechem, stojąc ramię w ramię ze swoim ojcem.

- Za to nasze kamery dokładnie zarejestrowały to, jak dziewczyna wpadła tutaj i zaczęła strzelać. Komu z nas uwierzy sędzia?

- Sky. - Odparł Victor z przebiegłym uśmiechem. - Widzi pan, panie Kelly, domyśliłem się, że dotarł pan do agentki Kowalski, kiedy sprawowała nad panem dozór w październiku. Była moją partnerką, więc nie mógł się pan oprzeć, prawda? Kiedy zdałem sobie sprawę, kto dostarcza wam informacji na temat naszego śledztwa, na przykład o tym, kim jest Sky, co wiedziałem tylko ja i Kowalski, spodziewałem się, że poinformuje was o mikrofonie, który założyliśmy Sky. Kowalski nie miała pojęcia, że ją wykorzystujecie, prawda?

- Odmawiam odpowiedzi - odparł Daniel Kelly przez zęby.

- Nic nie szkodzi, bo ja mam jeszcze dużo do powiedzenia. Agent Kowalski wyposażyła Sky w standardowy mikrofon FBI - ten, który blokowaliście - ale nie wiedziała nic na temat dyktafonu w telefonie Sky. - Wyciągnął mój telefon z tylnej kieszeni moich spodni i poklepał go. - Każde słowo, które wypowiedzieliście do Sky, jest nagrane i zachowane dla sędziego i ławy przysięgłych. Jestem pewien, że będzie czego posłuchać.

- Chcę porozmawiać z prawnikiem. Uśmiech Victora stał się jeszcze szerszy.

- Doskonale. Moje ulubione cztery słowa. Danielu Kelly, Mario Toscana Kelly, Seanie Kelly, aresztuję was pod

zarzutem porwania i usiłowania morderstwa. Macie prawo odmówić zeznań...

Sześciu oficerów w mundurach wyszło z szeregu, żeby zakuć Kellych w kajdanki, podczas gdy Victor kontynuował recytowanie im ich praw. Zed odprowadził mnie na bok i przytulił mnie mocno, kołysząc mną w przód i w tył, tak że tylko moje palce ocierały się o dywan.

- Czy to nie cudowny dźwięk - słyszeć, jak recytowane są im ich prawa? - wyszeptał mi do ucha, całując mnie dokładnie w to miejsce, które obślinił Sean, sprawiając, że przeszły mi dreszcze. Byłam bezpieczna. Byłam w domu.

- Mam nadzieję, że ich zamkną i wyrzucą klucz.

- Sądząc z wyrazu twarzy Vicka, myślę, że jest tego pewien.

- Wiedziałaś o telefonie?

- Tak, ale nie mogłem ci powiedzieć, na wypadek gdyby Kelly wyciągnęli to z twojej głowy.

Położyłam dłoń na jego sercu, wsłuchując się w jego równe bicie i dochodząc do siebie po adrenalinowym szoku. Nie mogłam przestać się trząść.

- Wobec tego ci wybaczam.

- Nawet sobie nie wyobrażałem, że każą ci zrobić coś takiego, kochanie. - Wskazał na bałagan, który zrobiłam w kasynie.

- Ja nic nie zrobiłam, pamiętasz? No, poza tym, że strzeliłam w żyrandol, ale on był obrazą dobrego smaku, więc tak naprawdę wyrzuciłam wszystkim przysługę.

- Naprawdę nic ci nie jest?

- Nic. Uriel pomógł mi oddzielić prawdę od kłamstwa; tym razem, kiedy wyczułam fałsz, wszystko ułożyło się w całość jeszcze szybciej, dzięki mojemu przeznaczonemu.

Ale boli mnie głowa. I trochę bardziej zdemolowałam ich apartament - trochę nim zatrzęsłam.

-Tak, poczuliśmy to. Jestem pod wrażeniem. Masz niezłą siłę, jak na twoje pięć stóp i jeden wątpliwy cal.

Podniosłam głowę, żeby zobaczyć, jak odprowadzają Kellych.

- Ktoś musi się upewnić, że Daniel Kelly nie użyje swojego daru, żeby wydostać się z więzienia.

-Victor się tym zajmie. Ustanowił procedury, żeby mieć pewność, że Kelly na nikim nie położy ręki.

- A co z tymi dwoma, którzy uciekli z więzienia? Zed potargał moje włosy.

- Daj spokój, Sky, trzy aresztowania na jeden dzień to nie tak źle. Dorwiemy ich prędzej czy później. Wolałbym wiedzieć, kiedy wreszcie przestaniesz przede mną uciekać.

Oparłam moją głowę o jego pierś.

- Ja uciekam?

- Nie jesteśmy jak twoi biologiczni rodzice. Uda nam się to. Tylko mi zaufaj. Proszę.

Staliśmy spokojnie razem wśród panującego w kasynie chaosu. Wzięłam głęboki oddech, by poczuć jego zapach: mydła pachnącego lasem i czegoś jeszcze, co było nim. Tym właśnie dla mnie był: miejscem odpoczynku. Byłam głupia, myśląc, że potrafię żyć bez niego. Moje obawy zaślepiły mnie na skarb, którego omal nie odrzuciłam.

- Myślę, że przestałam uciekać, kiedy dzisiaj do mnie wyszedłeś. Uderzyłam w ścianę.

Pocałował mnie w czubek głowy.

- A ja się nie ruszam.

- OK. Jesteś moim przeznaczonym. Proszę, przyznałam to.

Wzdrygnął się z ulgą.

- Bolesne?

- Bardzo.

- Boisz się?

- Odchodzę od zmysłów.

- Nie bój się. Jedyłą naprawdę przerażającą rzeczą byłoby, gdybyśmy nie zostali razem.

Sally i Simon podeszli do nas z moim nowym znajomym, Teksańczykiem Georgem.

- Ten dżentelmen powiedział nam, co się stało - powiedziała Sally, patrząc na mnie ostrożnie.

- Już w porządku, Sally. Victor wszystko wam opowie, kiedy wróci.

George pokiwał mądrze głową.

- To była diabelska rzecz, pani Bright. Wiedziałem, że z waszą dziewczyną jest coś nie tak, kiedy zobaczyłem jej oczy - takie szkliste. Przypomniały mi o takim numerze, który widziałem w Paradise Lounge. Hipnotyzer sprawił, że mężczyzna z widowni śpiewał jak Elvis do momentu, aż strzelił palcami i przerwał urok.

- Mrugnął do mnie. - Ale te łotry nie mogły cię zmusić, żebyś działała wbrew sumieniu, prawda, Sky?

- Chyba nie, George.

- Widzisz, hipnoza ma swoje granice. - Poklepał mnie po ręku, jakby był moim dziadkiem. - Odpocznij sobie teraz, Sky.

- A ty zabierz swoją wygraną z dala od stołów. - Wskazałam na wyjście.

Zasalutował.

- Tak jest, psze pani. Na Florydzie czeka na mnie apartament nazwany na twoją cześć.

Kiedy odszedł, zwróciłam się do mojego taty.

- To co, wciąż chcecie przeprowadzać się do Vegas? Simon spojrzał na Sally, a potem na mnie i Zeda stojących razem.

- Myślę, że odpowiedź brzmi „nie”. Stanowczo „nie”.

Epilog

Ku mojemu przerażeniu, moje zdjęcie, kiedy stoję w kasynie i strzelam do żyrandola, dostało się do gazet. Upadek Daniela Kelly'ego był tak gorącym doniesieniem, że każde związane z tym wydarzenie trafiało na nagłówki. Oczywiście, opowieść o tym, co dokładnie tam robiłam, była pogmatwana; większość czyniła ze mnie wtyczkę FBI pracującą w przebraniu, żeby odkryć przestępczą działalność rodziny Kellych. Była z tego dobra historia prasowa, ale nie przeszła w szkole, gdzie dobrze mnie znali.

- Hej, Sky! - zawołał Nelson, praktycznie rzucając się na mnie na korytarzu. - Co, do diabła, robiłaś w ten weekend w Las Vegas?

Benedictowie i ja przedyskutowaliśmy, jaka historia najlepiej wyjaśniałaby tak mało charakterystyczne dla mnie zachowanie. Nelson był pierwszą osobą, na której miałam wypróbować naszą bajeczkę.

- Ach, to? - roześmiałam się lekko. - Wierzysz w to, co piszą w gazetach? To był numer, który kręciłam dla brytyjskiej telewizji, taka rekonstrukcja; kręcą taki film

o przestępczości z bronią w ręku w Ameryce. Producent nie wybrał najlepszego momentu, bo znaleźliśmy się tam dokładnie w chwili, kiedy aresztowano zarząd hotelu. Mama mówiła, że to za jakieś złamanie przepisów BHP. Nelson pokręcił głową.

- Nie, Sky, Kelly to niebezpieczni ludzie - oskarżeni o planowanie morderstwa.

- Naprawdę? - Otworzyłam szeroko oczy.

Me przesadź - odezwał się Zed, który tymczasem podszedł do nas. - *Nelson nie jest głupi. Spodziewa się, że wiesz coś na temat Kellych.*

- No to nieźle. To bardzo ciekawe - powiedziałam, przybierając nieco mniej niewinny ton głosu. - Powinnam była bardziej uważać na to, co się tam działo.

- Więc będziesz w telewizji? - Nelson złapał inny trop.

- Tak. To program dla dzieci, nazywa się... yyy... *Niebieski Piotruś.*

- Super. Przestępczość z bronią w ręku - temat na czasie.

- No pewnie.

- Fantastycznie. Daj nam znać, kiedy będą go puszczać - i upewnij się, że dostaniesz nagranie.

- Pewnie.

Nelson odbiegł w dal, po drodze kradnąc buziaka Tinie.

- Sky będzie w brytyjskiej telewizji! - krzyczał. - To kaskaderka!

No cóż, tak też można przekazywać historię dalej. Ka-skaderka? To mi się podobało. Dużo bardziej niż psycholka, która strzelała w kasynie.

- No chodź, Sky, o czym myślisz? - spytał Zed, popychając mnie, żeby szła dalej.

- O niczym takim.

- Lepiej przestań, bo przed nami poważne próby. Koncert jest pojutrze.

- Cholera. Zapomniałam.

- To nic. Jeśli możesz brać udział w śledztwie FBI, nie powinnaś się przejmować małym koncertem dla przyjaciół i rodziny.

Mały koncert? Oho, panie Benedict, później pogadamy.

Mały koncert Zeda okazał się masową imprezą. Wszyscy z okolicy siedzieli w szkolnej auli. Panował świąteczny nastrój. Cheerliderki Sheeny przyszły w czapkach Świętego Mikołaja; drużyna baseballowa wybrała rogi reniferów. Każdy instrument został ozdobiony łańcuchem choinkowym. Geecy z dumą zaprezentowali przygotowaną przez siebie prezentację wideo na temat tego, co wydarzyło się w tym roku szkolnym. Pokazywana była na białym ekranie nad sceną. Byłam szczególnie zakłopotana, kiedy zobaczyłam, że mój debiut w roli bramkarza doczekał się własnego rozdziału. Ale pięknie obroniłam tę bramkę. Rodzice rozmawiali między sobą i wymieniali plotki i dowcipy. Benedictowie przyszli całą rodziną. Byłam uradowana, kiedy zobaczyłam, że Yves rozmawia z Zoe; wyglądała na przejętą, że zaszczycił ją swoją uwagą. Umilił jej tym dzień, udowadniając, że nawet chłopcy wyglądający na zajętych nauką potrafią zachować się szarmancko. Sally i Simon pogrążeni byli w rozmowie z mamą Tiny. Kiedy do nich podeszłam, usłyszałam, że nie mówią o mnie - co za ulga - ale o artystycznym talencie Tiny.

Moja przyjaciółka skinęła na mnie i pokazała mi swoje pomalowane na srebrno paznokcie. Dobrowolnie rezyg-

nując ze śpiewania z troski o nasze bębenki, radziła sobie nieźle, sprzedając programy.

- Sally właśnie zaproponowała, że będzie udzielać ci dodatkowych lekcji za darmo; bardzo wysoko cię ceni - obwieściłam.

- Naprawdę? - Uśmiech Tiny oślepił mnie setkami watów. - Więc ty też dostaniesz coś za darmo. - Podała mi program. - Widzę, że grasz solo.

- Jeśli nie uda mi się uciec, zanim pan Keneally wepchnie mnie na scenę.

- Ani mi się waż! Liczę na ciebie. Wszystkim zapowiedziałam, że nasza kaskaderka będzie gwiazdą programu.

Po tym chyba nie odzyskam tak szybko reputacji.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Wtedy na ekranie ukazało się moje zdjęcie, kiedy strzelałam do żyrandola.

- Skąd oni do wydostali?

- Internet to potęga - odparła Tina filozoficznie, po czym wróciła do sprzedaży. - Kupujcie programy! Cały dochód idzie na sanatorium w Aspen!

Zerknęłam na mój program i zobaczyłam, że moje imię jest na samym początku. Otoczone światełkami rodem z Vegas.

To przelało czarę - nie zostanę tu ani chwili dłużej. Nelson i Tina zrobili ze mnie główną atrakcję wieczoru. Ruszyłam do wyjścia, by wpaść prosto na Zeda.

- Wybierasz się dokądś, Sky? - spytał z wszechwiedzącym uśmiechem.

- Do domu.

- Oho. A dlaczego, jeśli wolno spytać? Zniżyłam głos.

- Wszyscy będą się na mnie gapić!
- Mniej więcej o to chodzi, kiedy występujesz. - Zaprowadził mnie z powrotem za scenę.
- Nic, co powiesz, nie zmusi mnie, żebym tam wyszła -wysyczałam, kiedy widzowie zajęli swoje miejsca.
- Nic? - Jego usta ułożyły się w uśmiech.
- Nic. - Zaparłam się nogami. Pochylił się ku mnie i wyszeptał:
- Tchórz. Założyłam ręce.
- Pewnie, że tak. Roześmiał się.
- OK. W takim razie może udziele ci jeszcze jednej wyjątkowej lekcji jazdy na desce, jeśli zagrasz?

Panika zelżała na wspomnienie tego czasu, który spędziliśmy na stoku. Zed zawsze wiedział, czego chcę - gdzie czuję się bezpiecznie.

- Naprawdę?
- Tak. Obiecuję nawet, że zrobię podwójnego aksla i salto.
- Potrójnego.
- Potrójnego?
- Potrójnego aksla. I ma być gorąca czekolada. Udał, że marszczy brwi.
- Boże drogi, dziewczyno, ostro się targujesz.
- Z pianką marshmallow. I dużo całusów.
- To rozumiem. - Wyciągnął dłoń. - Zgoda.

Nie mogłam się doczekać. Ze śmiechem wzięłam go za rękę i, zanim zdążyłam zaprotestować, Zed zaprowadził mnie do pianina przy akompaniamencie oklasków naszych przyjaciół.

- Nie martw się - wyszeptał. - Nie zostawię cię - nigdy.
Usiadłam i otworzyłam nuty pierwszego utworu. Moja przyszłość wyglądała obiecująco - a on stał tuż przy mnie.